



Pionek  
diabła

BESTSELLEROWA AUTORKA USA TODAY

natasha knight

# **Pionek Diabła**

## **SPIS TREŠCI**

- 1 ISABELLEK
- 2 JERICHO
- 3 ISABELLE
- 4 JERICHO
- 5 ISABELLE
- 6 JERICHO
- 7 ISABELLE
- 8 JERICHO
- 9 ISABELLE
- 10 ISABELLE
- 11 JERICHO
- 12 ISABELLE
- 13 JERICHO
- 14 ISABELLE
- 15 JERICHO
- 16 ISABELLE
- 17 JERICHO
- 18 ISABELLE
- 19 JERICHO
- 20 JERICHO
- 21 ISABELLE
- 22 ISABELLE
- 23 JERICHO
- 24 ISABELLE
- 25 JERICHO
- 26 ISABELLE
- 27 JERICHO
- 28 ISABELLE
- 29 JERICHO
- 30 ISABELLE
- 31 JERICHO
- 32 ISABELLE
- 33 JERICHO
- 34 ISABELLE
- 35 JERICHO
- 36 ISABELLE
- 37 ISABELLE
- 38 JERICHO
- 39 ISABELLE
- 40 ISABELLE
- 41 JERICHO
- 42 ISABELLE
- 43 JERICHO
- 44 JERICHO

45 ISABELLE



TYTUŁ ORYGINAŁU Devil's Pawn

Copyright © 2022 by Natasha Knight

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber, 2023

Copyright © by Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber, 2023

Redaktor prowadząca: Anna Ćwik

Redakcja: Beata Bamber

Korekta: Patrycja Siedlecka

Zdjęcie na okładce: © WANDER AGUIAR PHOTOGRAPHY LLC

Opracowanie graficzne okładki: Justyna Sieprawska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Beata Bamber

Wydanie 1

Gołuski 2023

ISBN 978-83-67303-22-4-999

Skład, łamanie, przygotowanie do druku i rysunki:

Agnieszka Makowska

[www.facebook.com/ADMakowska](http://www.facebook.com/ADMakowska)

Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber Sowia 7, 62-070 Gołuski

[www.papierowka.com.pl](http://www.papierowka.com.pl)





natasha knight

# Pionek diabła

PRZEŁOŻYŁA Anna Standowicz-Chojnacka

SERIA PIONEK DIABŁA

tom 1

PIONEK DIABŁA

tom 2

ODKUPIENIE DIABŁA



## 1 ISABELLE

Bal maskowy. Czy można sobie wyobrazić coś piękniejszego? Coś bliższego ideału? Zwłaszcza że zorganizowała go Socjeta. Bukiety kwiatów zwieszające się ze stołów zastawionych najprzedniejszą porcelaną. Kelnerzy serwujący szampana w wysokich, smukłych kieliszkach z ciętego kryształu, ośmioosobowa orkiestra kameralna grająca walca pod oszałamiającym blaskiem tuzina olbrzymich żyrandoli. Marzenie każdej dziewczyny. Oprócz mnie.

Stoję w cieniu, przyglądając się tancerzom. Kobiety i mężczyźni poruszają się w parach, jakby ćwiczili kroki przez całe życie. Zastanawiam się, czy to goście czy raczej profesjonaliści zatrudnieni przez Socjetę, by stworzyć odpowiedni nastrój. Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było, bo osobiście wątpię, żebym poruszała się z podobną gracją, gdy tańczę z mężczyznami, których przyprowadza mój brat Carlton. Przeszywa mnie dreszcz na wspomnienie ostatniego partnera. Facet mógłby być moim dziadkiem.

Kilka kroków ode mnie ktoś otwiera okno i do przepięknej barokowej sali wpada podmuch wiatru. Deszcz przeszedł w mżawkę, a w pomieszczeniu jest duszno pomimo pracującej pełną parą klimatyzacji.

Rzucam szybko okiem, aby się upewnić, że Carlton na mnie nie patrzy, dopijam szampana, po czym odstawiam pusty kieliszek na pobliski stół. Przemykam do wyjścia i prześlizguję się przez próg podwójnych, przeszklonych drzwi, które pozostają otwarte, choć deszcz nadal śąpi.

Na dziedzińcu rozbito namioty na wypadek niesprzyjającej aury. Udekorowano je latarniami i zbyt wieloma kwiatami, by ktokolwiek mógł je zliczyć. W środku stoją goście, piją, palą i śmieją się z przesadną głośnością.

Kiedy przechodzę, wszystkie głowy odwracają się w moją stronę. To przez sukienkę. Wygląda groteskowo ze spódnicą z piór, która sięga ledwie do połowy ud, i talią podkreśloną mocno ściągniętym gorsetem bardzo ograniczającym możliwość nabrania powietrza. Carlton ją wybrał, bo według niego podkreśla moje największe atuty. Na szczęście spod maski wyglądającej jakby wykonano ją z kawałka koleczugi, widać tylko oczy. Jest ładna, zrobiona ze złotych łańcuszków i monet ocierających się o ramiona przy każdym kroku. Poza tym daje nieco ochrony przed wścibskim wzrokiem. Ale bez zbyt skąpej kiecki mogłabym się obejść.

Decyduję się zaryzykować spacer w mżawce, przez którą pióra sukienki z pewnością oklapną, i szybkim krokiem zmierzam do kapliczki znajdującej się po drugiej stronie dziedzińca. Nikogo tam nie będzie. Jestem tego pewna. Może i członkowie Socjety utrzymują, że są religijni, ale z tego, co zaobserwowałam, to jedynie pozory. Msze służą im tylko do prezentacji najnowszych kolekcji domów mody.

Drewniane drzwi świątyni są ciężkie. Uchylają się ze zgrzytem ledwie na tyle, bym mogła się prześlizgnąć. Zamykam je za sobą i oddycham z ulgą na znajomy widok i zapach. Po dłuższej nieobecności w kościele zaczynało mi brakować woni kadzidła, a Carlton rzadko odwiedza takie miejsca.

Od dziecka darzę tę kapliczkę szczególnym sentymentem. Mama zabierała mnie ze sobą, gdy przychodziła posprzątać siedzibę IVI. Wciąż pamiętam, jak siadałam w pierwszej ławce, a nogami, zbyt krótkimi, by dotknąć nimi podłogi, majtałam w powietrzu. Czułam się tu jak w domu, kiedy musiałam na nią czekać, gdy wykonywała swoją pracę.



Podchodzę do „mojej” ławki, jak zwykle przyglądając się zalegającym w świątyni cieniom. Mrok rozprasza jedynie blask świec płonących w niszach i na ołtarzu. Kiedy docieram do końca nawy, pochylam głowę, żegnam się znakiem krzyża i zajmuję miejsce. Zsuwam buty. Są zbyt wąskie, a obcasy – zbyt wysokie. Przebiegam palcami po znajomym napisie wrytym w ławce. Po inicjałach CY. Siadam w tym samym miejscu za każdym razem, gdy udaje mi się tu przyjść. W pierwszym rzędzie, jakby Bóg mógł mnie dzięki temu lepiej widzieć. Nie chodzi o to, że chcę Go o coś prosić. Wiem, że lepiej tego nie robić. Nawet się nie modłę. Po prostu zamykam oczy i wsłuchuję się w panującą ciszę. W absolutny brak jakichkolwiek dźwięków.

To lepsze niż wszystkie bale maskowe na świecie. Lepsze niż tańczenie z setką mężczyzn, dzięki którym Carlton liczy na zawarcie sojuszy przynoszących korzyści rodzinie. Nawet przez chwilę nie zastanowił się, czego ja chcę. Nie pomyślał, że chociaż byłoby to dobre dla jego – naszej – rodziny, to już sprawiło, że zboczyłam z kierunku, który obrałam lata temu. Ale nie mogę sobie pozwolić na rozpamiętywanie przeszłości. Nie teraz. Potrzebuję wytchnienia. Znajdę je w tej kaplicy dzięki kilku skradzionym dla siebie chwilom.

Otwieram oczy i podnoszę wzrok na ołtarz. Jedna ze świec, które zazwyczaj się na nim palą, zgasła. Zastanawiam się, czy to ja zdmuchnęłam ją niechcący, gdy wchodziłam. Wstaję, żeby zapalić ją na nowo. Płoszy mnie skrzywienie dobiegające z tyłu kaplicy. Biorę gwałtowny wdech i się odwracam. Wzrokiem próbuję przebić najgłębszy mrok, który panuje wokół chrzcielnicy, lecz jest zbyt ciemno. Wpatruję się w cienie, jednak nie dostrzegam żadnego ruchu, a do moich uszu nie dobiega kolejny dźwięk.

– Czy jest tu ktoś? – pytam i czuję się jak idiotka, gdy nikt nie odpowiada. To tylko skrzywienie starego drewna. Nic więcej. Usiłuję odgonić chłód, który towarzyszył mi przez cały wieczór, ale przypominam sobie, że w kaplicy zawsze jest zimniej niż na zewnątrz. Ruszam znów w stronę ołtarza. Znajduję leżące na nim pudełko zapalek i pocieram jedną o draskę. Płomień świeci jasno, a ja muszę stanąć na palcach, by dosięgnąć knota wysokiej świecy. Udaje mi się ją w końcu zapalić. Właśnie zdmuchuję zapalną, kiedy tuż zza drzwi dobiega mnie śmiech zakłócający spokój tego miejsca. Chwilę później drzwi kaplicy uderzają z hukiem o ścianę, a ja podskakuję ze strachu. Do środka wpada dwóch śmiejących się mężczyzn. Jeden z nich prędko zamyka za sobą wrota. Wraz z nimi do świątyni wdziera się woń alkoholu i marihuany. Gdy tylko dostrzegam ich twarze, nie mam wątpliwości, że obaj są naćpani.

Na oko mężczyźni mają po dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat. Są ledwie rok czy dwa starsi ode mnie. Rozpoznaję jednego. Tańczyłam z nim jakąś godzinę wcześniej, ale nie potrafię sobie przypomnieć, jak ma na imię. Pamiętam tylko, że nie zapałałam do niego sympatią. Nie spodobał mi się ani sposób, w jaki pieścił palcami nagą skórę moich pleców, ani to, że miażdżył mi piersi o swoją klatkę.

– A kogo my tu mamy? – mówi, gdy i on mnie rozpoznaje. Maskę ma odsuniętą na czoło. Oblizuje usta i błądzi wzrokiem po wypukłości moich cycków nad gorsetem sukienki. – To ta dziewczyna – oznajmia towarzyszowi i daje mu kuksańca w bok. Ten drugi wpatruje się we mnie, zacisnąwszy usta w wąską, nieprzyjaźnie wyglądającą kreskę.

– Dziewczyna od Bishopów – stwierdza. Obaj podchodzą bliżej i zatrzymują się tuż przede mną. – A przynajmniej w połowie – uzupełnia.

– W tej lepszej połowie, brachu – odpowiada drugi i razem zaczynają się śmiać. Nie bardzo rozumiem, co w tym śmiesznego. – Zdejmijmy to coś z twojej głowy, żebyśmy mogli ci się lepiej przyjrzeć – dodaje i sięga dłonią do zapięcia mojej maski.

– Nic z tego.

Odsuwam się poza zasięg jego rąk. Niestety za mną stoi ołtarz, który blokuje mi drogę ucieczki.

– Niby dlaczego? Nie mam zamiaru zawierać umowy z twoim bratem w ciemno. Nie kupuje się kota w worku, prawda?

– Stary, wydaje mi się, że to Manson dobił targu – wtrąca drugi, a na jego twarzy pojawia się paskudny grymas.

Chłopak znów wyciąga dłoń i tym razem udaje mu się wsunąć palce w moje włosy. Odpycham go obiema rękami, a to sprawia, że zatacza się w tył. Traci równowagę, bo jest i pijany, i naćpany, ale kiedy oczy zwężają mu się w wąskie, pałające gniewem szparki, a jego kumpel wybuchą śmiechem, zdaję sobie sprawę, że stan chłopaka czyni go bardziej niebezpiecznym.

– Przepraszam, muszę wracać – mówię i ruszam w stronę wyjścia, ale udaje mi się postawić tylko jeden krok, nim chwytą mnie za ramię.

Zatrzymuję się, spoglądam na jego rękę, a potem podnoszę wzrok na twarz. Wykrzywiam usta w uśmiechu i przysuwam się do chłopaka. Serce wali mi w piersi, nie wiem, czy bardziej z wściekłości czy ze strachu, ale jestem pewna dwóch rzeczy. Po pierwsze, muszę się wyrwać tym typom, bo w przeciwnym wypadku ta przygoda nie skończy się dla mnie dobrze. Po drugie, za nic w świecie nie mogę pokazać, że się ich boję. Niektórych facetów kręci strach.

– Mój brat już tu idzie i raczej nie będzie zachwycony faktem, że próbowaliście położyć na mnie łapska – oznajmiam.

– Nie nazwałbym tego kładzeniem na tobie łap. A ty? – zwraca się do kumpla.

Tamten kręci przecząco głową.

– W życiu.

– Ale to już tak – mówi ten, który trzyma moje ramię, po czym obraca mnie i klepie w tyłek tak mocno, że aż się zataczam.

Zaciska dłoń mocniej na moim ramieniu, a potem obaj kolesie wybuchają śmiechem.

I wtedy ponownie słyszę ten sam dźwięk co wcześniej. Znów dobiega z pogrążonego w ciemności kąta. Tyle że tym razem zdaję sobie sprawę, że to nie stare drewno go wydało. Kiedy zerkam w tamtą stronę, widzę, jak coś się porusza.

W świetle świec zaczynają tańczyć drobinki kurzu, ale mężczyźni, którzy wparowali do kaplicy, nie dostrzegają subtelnej zmiany w powietrzu. Lecz w końcu do ich uszu dobiega dźwięk kroków i odwracają się w jego stronę. Wspólnie przyglądamy się, jak ciemność nabiera kształtu i idzie w naszym kierunku.

Serce obija mi się o żebra. Wpatruję się w rzucany przez tajemniczą postać cień i przez moment nie jestem pewna, czy to człowiek czy zwierzę. Po chwili rozpoznaję długą czarną pelerynę, jakie noszą Sprawiedliwi Synowie. Materiał faluje wokół ciała mężczyzny, sprawiając, że podążająca za nim ciemność zdaje się głębsza i bardziej przerażająca.

Nieznajomy wydaje się zbyt wysoki i barczysty, a wszystko wokół niego zbyt mroczne, począwszy od czarnego ubrania pod peleryną, przez skrywającą twarz maskę z rogami, po wściekłość skierowaną na gości, którzy przyparli mnie do muru.

Nie zaprzęta sobie głowy słowami, po prostu idzie w naszą stronę. Kiedy się zbliża, tamci dwaj wyglądają jak chłopcy, bo mężczyzna góruje nad nimi wzrostem, muskulaturą, samą swoją obecnością. Rzuca na mnie przelotne spojrzenie, nim skupia wzrok na tym, który ściska mi ramię. Bez najmniejszego wysiłku odrywa ode mnie jego rękę. Twarz mojego oprawcy wykrzywia się z bólu, gdy zamaskowany nieznajomy wykręca mu ramię za plecami. Jego kumpel cofa się o krok, potem drugi, aż puszcza się biegiem ku drzwiom.

– Koles, co, do chuja?! – wrzeszczy ten, który nie może zrobić nawet kroku. – Puszczaj!

Nieznajomy zwiększa nacisk.

– Nie ty masz ją złamać – szepcze niskim głosem, a ja rozważam te niepokojące słowa i

drzę na myśl, co mogą zwiastować.

Nagle zdaję sobie sprawę, że cofnęłam się pod sam ołtarz. Patrzę na rozgrywającą się przede mną scenę z otwartymi ustami i walącym sercem, a do mojego mózgu dociera, co przedstawia maska na twarzy mężczyzny. Rogatą bestię. Diabła. Gdy nieznajomy podnosi wzrok i przygważdża mnie nim do ziemi, czuję ciężar w żołądku. Przystaję myśleć, przestaję oddychać. Wpatruję się w najmroczniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam.

„Niebezpieczeństwo”.

Tylko ta myśl kołacze mi się w głowie, tylko to pojedyncze słowo jest w stanie sformułować mój umysł. Jedna tęcza ma kolor nieba o północy, druga jest stalowoszara, a wzrok przepelnia coś tak złowrogiego, że czuję, jakby moje ciało palił żywy ogień.

Mija wieczność, nim nieznajomy uwalnia mnie spod swojego spojrzenia i jednocześnie popycha pijanego faceta w stronę drzwi. Chwilę później zostaję sam na sam z człowiekiem w masce diabła. Cały czas tu był. Czaił się w cieniu i obserwował w ciszy. Czułam to, odkąd zaczął się bal. Wpatrzone w moją twarz oczy. Wciąż miałam dreszcze. Przeszywają mnie także teraz, bo zdaję sobie sprawę, że to był on. Mężczyzna w masce. Rozpoznaję prześladowający mnie niepokój, wrażenie, że jestem obnażona, sama w pokoju pełnym obcych ludzi.

Zasycha mi w ustach. Przyciskam się plecami do ołtarza, dłońmi chwytam jego krawędzie. Wzrok nieznajomego błądzi po moim ciele, zostawiając za sobą gęsią skórę. Znow wstrząsa mną dreszcz. Mężczyzna z pewnością to widzi, wie, że jestem przerażona. Dopiero gdy cofa się o krok, moje płuca zaczynają z powrotem działać, a ja nabieram w końcu powietrza.

– Nie powinnaś przychodzić tutaj sama – mówi. – Żadna kobieta nie może czuć się bezpiecznie bez towarzystwa, kiedy dokoła pełno alkoholu i idiotów. – Wpatruję się w niego w osłupieniu. – Twoje buty – dodaje.

– Co? – pytam cicho.

Wskazuje dłońią w dół, a ja spoglądam na swoje bose stopy, potem znow na niego. Pokazuję palcem, gdzie zostawiłam szpilki, a mężczyzna mi je przynosi. Staje blisko... Za blisko. Wkracza w moją przestrzeń osobistą, jakby należała do niego i jakbym to ja przekraczała wyznaczone przez nieznajomego granice. Wciąż nie mogę się ruszyć.

– Nie zjem cię – oznajmia niskim głosem.

Moja pierś drży, gdy nabieram głęboko powietrza. Sama sobie nakazuję, by się uspokoić. Nic złego się nie dzieje. Facet właśnie mnie uratował. Chłód, który poczułam, to tylko wybryk wyobraźni.

– A przynajmniej jeszcze nie teraz – dodaje, a ja wiem, że pod maską szczyrzy zęby w uśmiechu. Przełykam ślinę. Cała się trzęsę.

Mężczyzna pochyla się i stawia buty na podłodze. Przyglądam się masywnemu ciału. Lekko licząc, jest dwa razy większy niż ja. Prostuje się i wyciąga do mnie rękę wnętrzem dłoni do góry. Na nadgarstku dostrzegam tatuaż. Ogon węża.

Wpatruję się w niego. Całą siłą woli zmuszam się, by podnieść wzrok.

– Załóż buty – nakazuje.

Mam zbyt wyschnięte gardło, żeby mówić, by sformułować słowa lub choćby wydać z siebie dźwięk, więc tylko chwytam jego dłoń i biorę gwałtowny wdech wywołany nagłym wstrząsem. Gdy palce zaciskają się wokół moich, czuję drżącą w jego uścisku moc. Nieznajomy trzyma mnie stabilnie i bardzo długo mi się przygląda. W końcu mrugam, spuszczam oczy i wsuwam szpilki na stopy.

– Dobrze – rzuca, a ja stoję jak słup soli z ręką uwięzioną w jego dłoni.

Słyszymy gong wzywający na kolację. Podnoszę wzrok na mężczyznę, który wpatruje się w moje usta, potem w głęboki dekolt. Czuję, jak po karku ścieka mi stróżka potu. W końcu

facet wypuszcza moją rękę i chwyta w dłoń łańcuszki zwisające z maski, jakby chciał je zważyć. Ściąga brwi.

– Isabelle Bishop – mówi w końcu i znów patrzy mi w oczy.

„Wie, jak się nazywam?”

Gong rozbrzmiewa po raz drugi, a po dłuższej chwili ciszy – po raz trzeci. Mężczyzna się cofa.

– Wracaj na przyjęcie i pamiętaj, żeby trzymać się z dala od miejsc pogrążonych w mroku. Nigdy nie wiesz, co może tam na ciebie czyhać.

## 2 JERICHO

Odwracam się tyłem do dziewczyny i wychodzę z kaplicy. Nie powinienem tu przychodzić. Przecież wiedziałem, że nawet w świątyni nie znajdę pociechy. Przynajmniej dopóki choć jeden Bishop wciąż chodzi po świecie i oddycha. „Dziewczyna tylko w połowie należy do Bishopów”, doprecyzowuje mój mózg. „To niczego nie zmienia”, uciszam go.

Poprawiam maskę i wychodzę na dziedziniec. Mżawka na powrót zmieniła się w ulewę. Deszcz zniszczy tę niedorzeczną sukienkę z piór. Carlton Bishop się wkurzy. Kieruję się w stronę ciemniejszego budynku. Umiejscowiony z dala od głównej części kompleksu pozostaje nieoświetlony, jeśli nie liczyć jednego okna. Robię zaledwie kilka kroków, gdy w kieszeni czuję wibrowanie telefonu. Wydobywam go i zerkam na ekran. Odczytuję treść wiadomości, ponieważ przysłała ją matka.

„Wracaj do domu”.

Na widok tych trzech słów czuję, jak skręca mnie w środku. Zamieram. Matka wie, że nie powinna pisać, chyba że chodzi o coś naprawdę ważnego. Kolejny przychodzący SMS rozwiewa wszelkie wątpliwości w tym względzie.

„Ona Cię potrzebuje”.

Nie waham się ani chwili. Zmieniam kierunek i idę w stronę dziedzińca, jednocześnie odpisując.

„Zaraz będę”.

Następnie wyklikuję wiadomość do Rajcy Hildebranda, mężczyzny siedzącego w jedynym oświetlonym pokoju w budynku Trybunału.

„Zmiana planów. Spotkanie odbędzie się u mnie w domu”.

Wciskam przycisk „wyślij”, a potem robię coś, czego nie planowałem. Piszę kolejnego SMS-a do Rajcy.

„Przyrowadź dziewczynę. Dzisiaj wieczorem zamierzam wejść w jej posiadanie”.

Wyłączam telefon, nim Hildebrand zdąży odpowiedzieć. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby wysłać ostatnią wiadomość. Przez to cały misternie opracowany plan weźmie w łeb. Plan, nad realizacją którego trudzę się już zdecydowanie za długo.

Rozmowy milkną, gdy kroczę przez dziedziniec, a w ślad za mną powiewa peleryna. Nie dbam o to. Idę z podniesioną głową, przechodząc przez rozstawione namioty, a ludzie rozstępują się na mój widok. Boją się mnie. Czują się zaintrygowani, ale bardziej przerażeni. I tak powinno być. Bo plotki nie zostały wysrane z palca. Jericho St. James wrócił. Zakończył wygnanie, na które sam się skazał, i znów zamieszkał w swoim domu.

Niech wiedzą. Niech wiadomość dotrze do Carltona Bishopa, o ile jeszcze jej nie słyszał. Chcę, by drżał ze strachu. Przez pięć lat żył spokojnym życiem, podczas gdy ja się ukrywałem. Nie ze strachu o siebie, o nie. Gdyby chodziło wyłącznie o mnie, powróciłbym wcześniej. Dokonał zemsty. Zabił go. Nawet jeśli sam miałbym przy tym zginąć. Nie, zniknąłem ze świata, żeby ochronić coś, a raczej kogoś o wiele cenniejszego. Moją córkę. Ale to nie ona zaprzęta teraz moje myśli, lecz kobieta, którą zostawiłem w kaplicy. Drobną dłoń wewnątrz mojej. I dziwne uczucie wywołane przez jej dotyk. Co by zrobiła, gdyby mnie tam nie było? I co zrobiliby tamci mężczyźni? Mężczyźni... Nie, nie mężczyźni. Chłopcy. Idioci przekonani o swojej wyjątkowości. Przyszłość, kurwa, Socjety. Ale co zrobiłaby Isabelle? Jak by się obroniła? Jest drobna. O połowę mniejsza ode mnie. Jakie więc ma szanse ze mną?

Gdy tylko przekraczam bramę kompleksu, zza rogu wyjeżdża parkingowy w moim lamborghini. Zatrzymuje się tuż przede mną. Zrywam maskę z twarzy i ciskam ją na ziemię, a dzieciak wysiada z samochodu i gapi się oniemiały, jakbym był jakimś bogiem. Ale wiem, że podziwia auto, nie mnie.

– Dobrze się nim zająłeś? – pytam i sięgam do kieszeni po portfel. Chłopak kiwa głową z entuzjazmem.

– Nie spuszczałem go z oka, sir.

Wsuwam mu w dłoń studolarowy banknot.

– Świetna robota – chwalę go i poklepuję po ramieniu, a potem wślizguję się na miejsce kierowcy.

Parkingowy zamyka drzwi wozu, a ja wyjeżdżam na zalaną deszczem ulicę. Przemykam między samochodami, by wrócić do domu, do miejsca, które zawsze powinno nim być. Do miejsca, które kocham. Do miejsca, od którego zbyt długo trzymałem się z daleka. A wszystko przez nich.

Przed oczami tańczą mi tęczówki Isabelle Bishop w kolorze błękitu. Zastanawiam się, czy to strach rozpałił je od wewnątrz, czy zawsze mają tak jaskrawy kolor. Niczym pobłyskujące kawałki akwamarynu. Mój kutas twardnieje, gdy wyobrażam sobie, jak wpatrują się we mnie, kiedy zmuszam dziewczynę, by przede mną uklękła. Kiedy biorę ją w posiadanie. Uśmiecham się na tę myśl. Z niecierpliwością na to czekam. Siłą woli zmuszam się, żeby wrócić do przyczyny obecnego stanu rzeczy. Przypomnieć sobie, że Isabelle należy do rodziny Bishopów. Zastanawiam się, dlaczego w ogóle udałem się do kaplicy, ale moje serce wie to od razu. Po to, by pamiętać. By oddać hołd. By powiedzieć umarłym, że nie zostali zapomniani. Że nareszcie nadszedł czas zemsty. O tym muszę myśleć przede wszystkim, nie o ślicznych oczach dziewczyny.

Skręcam na podjazd, a brama zaczyna się rozsuwać. To jedyny budynek mieszkalny w promieniu kilku kilometrów, otoczony hektarami ziemi, znacznie oddalony od miasta. Jedynym minusem jest fakt, że przylega do posiadłości Bishopów.

Auto wydaje z siebie cichy pomruk, kiedy zdejmuję nogę z gazu. Zostało stworzone do dużych prędkości. Pragnie ich. Jadę powoli wzdłuż okrągłego podjazdu, gdy frontowe drzwi stają otworem i próg przekracza Dex, by mnie powitać. Wsiadam, po czym rzucam mu kluczyki. Gość pracuje ze mną od pięciu lat, to moja prawa ręka. Stał mi się bliższy niż własny brat.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Kiwam głową.

– Co się stało?

– Mała cię potrzebuje. Twoja matka siedzi przy niej od jakiegoś czasu, ale ledwie daje sobie z nią radę.

Wzdycham i wchodzę do domu. Choć przez ostatnich pięć lat żyliśmy na całkiem niezłym poziomie, córka nie jest przyzwyczajona ani do takich luksusów, ani do mieszkania w tak wiekowej rezydencji. Posiadłość rodziny St. James liczy sobie kilka stuleci, ale pomimo modernizacji wciąż jest pełna mrocznych zakamarków. I duchów przodków. Pewnego dnia wytłumaczę Angelique, że nie mają zamiaru wyrzucić jej krzywdy. Ale pięć lat to trudny wiek.

Dom rozświetla łagodne złociste światło. Moje kroki rozbrzmiewają donośnie, kiedy idę po marmurowej posadzce w stronę okazałych schodów zajmujących centralne miejsce w przestronnym okrągłym westybulu. Krocząc do pokoju małej, przypominam sobie dotyk poręczy pod palcami, zagłębienia w kamieniu powstałe przez stulecia użytkowania. Dywan tłumi moje kroki, gdy idę korytarzem do sypialni córki. Kładę dłoń na klamce i biorę głęboki wdech, by odgonić myśli o Socjecie i o Bishopach. O dziewczynie o oczach niczym kulki z błękitnego

szkła. Rozciągam usta w uśmiechu i otwieram drzwi.

– Tatusiu! – woła Angelique z łóżka.

Zmuszam się, by uśmiechnąć się szerzej, choć dostrzegam bladą twarzyczkę i cienie czające się w żrenicach. Nie pasują do dziecka w jej wieku i mam zamiar je stamtąd przegonić. Jedynym grzechem mojej córki jest to, że ma mnie za ojca.

Serce ściska mi się boleśnie, kiedy przemierzam wielki pokój utrzymany w żółtej tonacji. Brat przeszedł samego siebie.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz, kochanie? – pytam najłagodniej, jak tylko potrafię. Moja matka bez słowa wstaje z łóżka, wciąż gładząc pocieszająco głowę dziewczynki. – Już późno.

Angelique zerka na babcię i wraca wzrokiem do mnie. Wpatruję się w jej oczy. Jakże znajomo wyglądają. Są wierną kopią moich. Ale to jedyne, co po mnie odziedziczyła. Urodę ma po matce, podobnie jak łagodną naturę.

– Bałam się – wyznaje. – Tu jest za ciemno.

Odgarniam jej niesforne loki z ramion, siadam i przytulam ją. Wydaje się taka mała. Taka krucha.

– Nic ci nie grozi, Angelique. Jestem tutaj. I wujek Zeke. I babcia też.

Czasami zastanawiam się, czy nabyła ten instynktowny strach w chwili narodzin. W dniu, w którym wyrwano ją z bezpiecznego łona matki, by sprowadzić na ten okrutny, pełen przemocy świat.

Biorę wdech przez ściśnięte gardło. Barki mam spięte i muszę włożyć całą siłę w to, żeby się rozluźnić. By ukryć przed nią mroczną część mnie. Nie chcę znaleźć się na liście rzeczy, które wzbudzają w niej przerażenie.

– Zostawię ci zapalone światło – proponuje matka i włączą lampę po drugiej stronie pokoju. – Czy dzięki temu poczujesz się lepiej?

– A mogłabyś rozsunąć zasłony? – pyta Angelique.

– Ani księżyc, ani gwiazdy dziś nie świecą – oznajmiam. – Pada deszcz.

Wzrusza ramionkami.

– Lubię deszcz.

– W takim razie rozsuniemy zasłony.

Uśmiecha się i kładzie na łóżku. Nachylam się, żeby pocałować ją w czoło i otulić kołdrą.

– Jak długo tym razem zostaniemy? – zadaje kolejne pytanie. Przez całe życie ciągle się przeprowadzała, tułała od domu do domu, od hotelu do hotelu. Latami musiałem ją ukrywać. Jeszcze kilka dni temu nie istniała dla świata.

– Jesteśmy w domu – mówię i wstaję. Już czas, by wyszła z ukrycia i zaczęła normalnie żyć. – Zostaniemy tu, Angelique.

– Ty też?

Kurwa! Nie zapomniała, jak często znikalem. Jak zostawiałem ją z babcią i hordą najemników, którzy mieli jej pilnować, podczas gdy ja tropiłem zabójców żony.

– Ja też – potakuję, zamierzając dotrzymać obietnicy. Wróciłem do domu na dobre.

Kiwa główką, a po chwili powieki same jej opadają.

– Dobranoc, słoneczko – żegna się z nią babcia. Całujemy ją oboje w policzek i wychodzimy na korytarz. Zamykam za sobą drzwi.

– Padasz z nóg – mówię do matki. Jej zmęczenie widać aż nadto wyraźnie. – Powinnaś się położyć.

Włosy zaczynają jej odrastać. Delikatne białe kosmyki. Po zakończeniu leczenia na policzki wracają rumieńce.

Nareszcie.

Uśmiecha się do mnie.

– Nic mi nie będzie. Cieszę się, że jestem w domu.

– Gdzie Zeke? – pytam.

– Na dole.

Kiwam głową.

– Dobranoc – mówię i ją przytulam. Chociaż przybrała trochę na wadze, wciąż wydaje się krucha.

– Dobrze, że ją tu przywiozłeś. – Wyswobadza się z moich objęć. – Mam nadzieję, że to, co jej powiedziałaś, nie było czczą obietnicą.

– Nie było. Zostajemy. – Mój głos brzmi surowo, co nie umyka uwadze matki. Poznają to po zmarszczce, która pojawia się pomiędzy jej brwiami.

– Trzeba zostawić przeszłość za sobą, Jericho.

– Zmarli zostaną pomszczeni. – Odwracam się i ruszam w kierunku schodów. Nie pierwszy raz toczymy tę rozmowę i mam już tego serdecznie dość.

– Ona by tego nie chciała! – woła za mną matka, kiedy stoję już na górnym stopniu.

Zatrzymuję się, zaciskam szczęki i zgrzytam zębami.

– Idź spać – nakazuję, choć chciałbym powiedzieć setki innych rzeczy.

– Synu... – zaczyna.

Podnoszę na nią wzrok.

– Tylko w ten sposób mogę zapewnić jej bezpieczeństwo – mówię, chociaż to nie jedyny powód mojego działania.

Argument wystarcza jednak, by zakończyć rozmowę.

Schodzę na dół, do gabinetu mojego brata, by zaczekać na Rajcę Hildebranda i pozostałych gości.

Gra się zaczyna.



### 3 ISABELLE

– Gdzie byłaś? – pyta Carlton.

Stoi tuż za drzwiami wiodącymi do sali balowej. Właściwie to mój przyrodni brat. Stąd ten wcześniejszy komentarz, że należę do rodziny Bishopów tylko w połowie. Wydaje się, że ludzie przywiązują do tego ogromną wagę, chociaż moim zdaniem z niewłaściwych powodów. Wcale się nie smucę, że nie jestem pełnej krwi Bishopówną. Wręcz przeciwnie. Zasmuca mnie fakt, że w moich żyłach w ogóle płynie ich krew.

Carlton obdarza wymuszonym uśmiechem przechodzącego obok gościa i kiwa głową, jakbyśmy prowadzili normalną rozmowę. Zastanawiam się, czy bolą go od tego mięśnie twarzy. Cóż, zawsze dbał o zachowanie pozorów.

– Poszłam się odświeżyć po tańcach – kłamię.

Mierzy mnie wzrokiem, a w końcu znów kiwa głową.

– Dobrze. Rzeczywiście nieco oklapłaś.

– Jestem zmęczona. Możemy wracać do domu?

Spogląda mi przez ramię i uważnie przypatruje się tłumowi.

– Wrócisz do domu po kolacji.

– Nie dam rady dłużej tańczyć, bolą mnie stopy.

– To ważne, byśmy znaleźli dla ciebie odpowiednią partię.

– Czy to ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, że nie chcę znajdować odpowiedniej partii? Ani w ogóle żadnej?

– Wiesz, że musimy to zrobić. Tak będzie z korzyścią dla wszystkich.

– Masz na myśli, że tak będzie z korzyścią dla ciebie. Niby jak ja na tym skorzystam?

Odciąga mnie z dala od pary, która przechodzi zbyt blisko nas w drodze do swojego stołu.

– Należysz do rodziny Bishopów, Isabelle.

– W połowie.

– To nieistotne. Ciężą na tobie pewne obowiązki, podobnie jak na mnie. Jak na wszystkich członkach rodziny.

– No jasne, napychanie rodzinnej kabzy.

Światło, które do tej pory rozjaśniało jego błękitne oczy, nagle gaśnie, wzrok staje się pochmurny. Zrzuca maskę, jaką nosił przez cały wieczór, dzięki czemu widzę wyraźnie prawdziwe oblicze Carltona. Nie wygląda na zadowolonego.

– Nie słyszałem, żebyś narzekała, kiedy przyjąłem cię pod swój dach i opłaciłem ci szkołę. Nie mówiąc już o wyremontowaniu pokoju, kupieniu ubrań i samochodu, karmieniu. Wymieniać dalej?

– Nie – mówię przez zaciśnięte zęby.

Nigdy go o to wszystko nie prosiłam. Okoliczności sprawiły, że znaleźliśmy się w sytuacji, w której żadne z nas nie chciało się znaleźć. A teraz już za późno, żeby się wycofać. Pieniądze zostały wydane, a ja nie mam możliwości, by je oddać.

– Dobrze. – Sięga do kieszeni, gdy jego telefon wydaje z siebie pojedynczy sygnał. Kiedy czyta SMS-a, widzę, że wiadomość wyprowadza go z równowagi. Chociaż z drugiej strony ostatnio ciągle jest spięty. Bardziej niż zazwyczaj. – Jebany Hildebrand – mamrocze i spogląda mi przez ramię. Nagle napręża się jak struna i uśmiecha z widocznym wysiłkiem.

Podążam za jego wzrokiem, odwracam się i zauważam starszego, nieprzyjemnie wyglądającego mężczyznę, który idzie w naszą stronę w towarzystwie dwóch goryli. Ochroniarzy pracujących dla Socjety nie sposób nie rozpoznać. Poruszają się w bardzo charakterystyczny sposób. W jednej chwili dociera do mnie, że nadciąga coś złego.

– Rajco Hildebrand – mówi Carlton, wyciągając rękę.

Rajca? Czyżby członek Trybunału?

Cisza, która nagle zapada wśród osób znajdujących się w zasięgu wzroku, nie uchodzi mojej uwadze. Przechodzący nieopodal ludzie zwalniają kroku i wytężają słuch.

– Carltonie – odpowiada staruch i rzuca mi przelotne spojrzenie, choć zachowuje się, jakby mnie tu nie było. – Nastąpiła mała zmiana planów. Spotykamy się w innym miejscu. Mam nadzieję, że jesteś gotowy.

– Dopiero przed chwilą otrzymałem pańską wiadomość.

– To tylko zmiana lokalizacji. Chodźmy – mówi i wskazuje ręką drzwi wyjściowe.

– Jeśli poda mi pan lokalizację, każę kierowcy...

– Czeka na ciebie mój samochód – przerywa mu Hildebrand. Nie znam go, co prawda, ale wygląda na człowieka, który nie przyjmuje odmowy.

Trybunał to organ sądowniczy Socjety. IVI wydaje się stać ponad prawem, kierować własnymi zasadami, posiadać własne sądy. I własny system kar. Drzę na tę myśl i na wspomnienie informacji, jakie usłyszałam od mojej kuzynki Julii, która zgłębia historię organizacji, jakby to była co najmniej Biblia.

Carlton bacznie przygląda się Rajcy i dopiero po chwili nagina się do jego woli. Nie przywykł do wykonywania rozkazów.

– Oczywiście. Każę tylko kierowcy odwieźć siostrę do domu.

– Dziewczyna jedzie z nami.

Brat mruży oczy.

– Co to ma, do diabła, znaczyć? Cała ta potajemna...

– Licz się ze słowami, Bishop – przerywa mu Hildebrand, odwraca się i rusza przed siebie. Macha dłonią do towarzyszących mu mężczyzn, którzy – nie mam co do tego wątpliwości – bez wahania siłą zaciągnęliby mnie i brata na tajemnicze spotkanie, gdybyśmy dobrowolnie za nimi nie poszli.

Carlton robi krok do przodu, ale chwytam go za ramię i ciągnę. Kieruje głowę w moją stronę.

– Co się dzieje? – pytam.

– Proszę za mną! – woła Hildebrand przez ramię.

Brat rusza za nim, nie zaszczyciwszy mnie nawet słowem, a ja zostaję z gorylami. Jeden z nich odchrząkuje i gestem wskazuje, bym szła przed nim. Spełniam polecenie, starając się nie zwracać uwagi na zaciekawione spojrzenia ludzi, wdzięczna za maskę, która zakrywa mi twarz, bo czuję, że pieką mnie policzki.

Mimo że serce szaleńczo wali o żebra, podążam posłusznie za Rajcą i Carltonem, bo tego zostałam nauczona. Tak postępuje większość kobiet należących do Socjety. Panuje tu patriarchy, więc traktuje się nas jak obywateli drugiej kategorii. W dodatku ja nie tylko jestem kobietą, ale i bękartem. Ojciec Carltona nawiązał romans z pokojówką, a ona jakiś czas później wydała mnie na świat. Przynajmniej ludzie nazywają ten związek romansem. Jednak kiedy przypominam sobie ich relacje, które obserwowałam, gdy byłam wystarczająco duża, żeby zwracać uwagę na te rzeczy, ogarniają mnie wątpliwości, czy taki właśnie miał charakter.

W każdym razie mama zaszła w ciążę. Przez szesnaście pierwszych lat życia nie miałam pojęcia, że należę do rodziny Bishopów. Nosiłam nazwisko York. Lecz rodzice zmarli, a rok po

ich śmierci zabito mojego brata Christiana, który przejął nade mną opiekę. Przez dwa dni byłam sierotą. Potem zjawiał się Carlton i mnie przygarnął. Jak się okazało, miałam jeszcze jednego brata.

Kiedy docieramy do bramy na końcu dziedzińca, otrząsam się z rozmyślań. Cieszę się, bo takie dumanie nad przeszłością nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Rajca Hildebrand wsiada do pierwszego z dwóch oczekujących na nas rolls-royce'ów. Nagle dostrzegam na ziemi maskę z rogami diabła. Robię krok w jej kierunku i biorę gwałtowny wdech. To ta maska. Maska mężczyzny, którego spotkałam w kaplicy. Najwyraźniej opuścił siedzibę IVI. Zastanawiam się, czy rozpoznałabym tego faceta, gdybym zobaczyła go ponownie lub usłyszała jego głos. Jestem pewna, że tak. Jeśli kiedykolwiek znajdę się z nim w jednym pomieszczeniu, będę wiedziała, że to on. Skąd? Bo nawet patrzenie na porzuconą maskę sprawia, że wzdłuż kręgosłupa przebiegają mi dreszcze, a włoski na karku stają dęba.

– Siostró. – Z zamyślenia wyrywa mnie ostry głos Carltona. Czeka przy otwartych drzwiach drugiej limuzyny. Za mną stoją ochroniarze.

Rzucam ostatnie spojrzenie na maskę, odwracam się i wsiadam do samochodu. W jakiś sposób wiem, że gdziekolwiek jedziemy i cokolwiek się wydarzy, dzisiejszej nocy zmieni się całe moje życie.

## 4 JERICHO

– Mówiłem ci, że nie powinieneś wychodzić – oznajmia mój brat Ezekiel. – Nie jesteś sobą.

Wręcza mi szklaneczkę whiskey.

Biorę od niego drinka i upijam łyk.

– Nic mi nie jest. Wszystko się zgadza? – pytam i obchodzę biurko dokoła, żeby rzucić okiem na rozłożone na blacie dokumenty. Najwidoczniej ktoś je dostarczył, gdy byłem na balu.

– Co do joty z wcześniejszymi ustaleniami. Brakuje tylko kilku podpisów. Hildebrand nie miał nic przeciwko innej lokalizacji? Tak po prostu się zgodził?

Podnoszę wzrok, słysząc zmianę tonu w głosie Zeke'a, i na widok szerokiego uśmiechu sam rozciągam wargi. – Nie mam pojęcia. Wyłączyłem telefon.

– Och, jestem pewien, że dotrze tutaj w znakomitym humorze. – Ezekiel dopija ostatnie krople whiskey i nalewa sobie kolejną porcję.

Patrzę na profil brata. Nie widziałem go od pięciu lat, ale niewiele się zmienił przez ten czas. Większość ludzi powiedziała by pewnie, że wcale, ale ja nie jestem jak inni. Łączy nas podobna budowa ciała. Urodziłem się dwa lata wcześniej niż on i zawsze byliśmy sobie bliscy. No, może poza kilkoma miesiącami, kiedy sytuacja wyglądała zgoła inaczej, ale to stare dzieje.

– Zeke – mówię, a brat odwraca się przodem do mnie. – Pokój małej wyszedł ślicznie, chociaż jest odrobinę... żółty. Robi wstrząśniętą minę.

– Tylko odrobinę? A tak się starałem.

– Dziękuję. Dziękuję, że to zrobiłeś.

Już nie żartujemy.

– To moja bratanica i cieszę się, że wróciła do domu, gdzie jej miejsce. Tak samo jak jej ojciec.

Tym razem to ja uśmiecham się szeroko. Zeke kiwa głową i sięga do kieszeni po komórkę. Odczytuje wiadomość.

– Dwa rollsy właśnie podjeżdżają pod dom.

– Niech Hildebrand wejdzie pierwszy. Bishopowie mogą zaczekać na zewnątrz – wydaję polecenie. Zdejmuję marynarkę, przewieszam ją przez oparcie fotela biurowego i podwijam rękawy. Ezekiel tymczasem odpisuje na SMS-a i wkłada telefon z powrotem do kieszeni.

– Jericho – mówi, by odciągnąć moją uwagę od zaścielających biurko papierów. Przygląda się wzorom pokrywającym mi przedramiona. Właściwie to jeden tatuaż. Dwa smoki splecione na plecach z ogonami wijącymi się przez całe ręce aż po nadgarstki. Chaos i więzi rodzinne. Zniszczenie. Władza. Brat ma taki sam, więc nie wiem, czemu się na mnie gapi. – Na pewno jesteś na to gotowy?

Patrzę mu w oczy.

– Od pięciu lat jestem na to gotowy. Potrzebowałem tylko dowodu.

Ezekiel potakuje. Słyszał nagranie. Zna rolę, którą odegrał Carlton Bishop w śmierci Kimberly. W jej przypadkowym zamordowaniu. Przekładkowym, bo to ja stanowiłem cel, a ona tylko weszła napastnikom w drogę. Miała dwadzieścia cztery lata. Kurwa, była taka młoda. Nosiła pod sercem nasze dziecko. Jakiś czas wcześniej zaręczyliśmy się, planowaliśmy się pobrać. Marzyliśmy o tym, że zamieszkamy na jakiejś plaży w Meksyku i zostawimy wszystko za sobą. Kurwa! Ja pierdołę! Jebać Carltona Bishopa. Zamierzam go zniszczyć.

– Bracie. – Wzdrygam się, gdy Zeke kładzie mi dłoń na ramieniu. Nawet nie wiem, kiedy do mnie podszedł. Zbyt mocno pograżyłem się w przeszłości.

– Wszystko w porządku – mówię, nie patrząc na niego.

– Na pewno?

Spoglądam mu w oczy, stalowoszare jak u naszej matki, choć jej wydają się łagodniejsze, bardziej przyjazne.

– Powiedziałem, że wszystko gra – odwarkuję. Nie poznaję własnego głosu.

– Nie pozwól, by to zauważyli.

– Co mieliby zauważyć?

– Twój ból. Zdradza słabość.

Zaciskam szczęki i biorę głęboki wdech przez nos. Ma rację. Muszę się opanować. Trzymać myśli na wodzy, żeby znów nie przenieść się w przeszłość. Nie przy tych ludziach. Zamykam oczy, jeszcze raz głęboko oddycham i kiwam głową. Chwilę później rozlega się pukanie do drzwi.

– Przedstawienie czas zacząć – oznajmia Zeke i uśmiecha się szeroko. Znacznie lepiej odgrywa swoją rolę niż ja. Z większą łatwością zmienia maski. – Proszę wejść! – woła, podchodzi do biurka i podnosi szklaneczkę whiskey.

Obaj przyglądamy się, jak Dex otwiera drzwi i do gabinetu wchodzi Rajca Hildebrand. Patrzy na mnie, na Zeke'a, po czym rozgląda się po pomieszczeniu. Wydaje się poirytowany, ale chyba zawsze ma taką minę. To zadufany w sobie człowiek i, o ile pamiętam z czasów, kiedy jeszcze żył ojciec, nigdy nie darzył naszej rodziny szczególnymi względami. Pewnie uważa nas za uzurpatorów. Nie jesteśmy założycielami organizacji, ale mamy pieniądze, a koniec końców każdy kłania się forsie. Wszystko i wszystkich można kupić, choćby nie wiem jak Socjeta starała się temu zaprzeczać. Nawet pozycję w IVI.

Co innego Bishopowie. Jedna z trzynastu pierwotnych rodzin założycielskich. Są nie tylko członkami organizacji, ale także jej fundamentem. Carlton Bishop to Sprawiedliwy Syn z prawdziwego zdarzenia. Ja, Zeke, a wcześniej także nasz ojciec, musieliśmy wykupić sobie miejsce. Hildebrand nigdy o tym nie zapomniał. A to czyni sytuację jeszcze słodsza. Przyklejam uśmiech na twarz.

– Rajco, doceniam, że przyjechał pan pomimo zaproszenia na ostatnią chwilę.

Dex zamyka drzwi, a Hildebrand spogląda mi w oczy.

– Na przyszłość pamiętaj, że sprawy tej wagi winny być załatwiane w budynku Trybunału.

– Założyłem, że zważywszy na delikatność tej konkretnej sprawy, nie będzie pan miał nic przeciwko.

Zaciska szczęki, bo wie, że trzymam go za jajca. Sprawiedliwy Syn, członek jednej z rodzin założycielskich, układa się z gangsterami. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby ktoś go na tym przyłapał. Informacje na ten temat z pewnością nie zostałyby dobrze przyjęte. Właśnie dlatego się tu zjawił. I zrobi dokładnie to, co mu każe.

– Oczywiście – odpowiada.

– Proszę usiąść – mówię, składając leżące na biurku dokumenty. Obchodzę mebel i dłonią wskazuję obitą skórą kanapę w części gabinetu przeznaczoną dla gości.

Rajca siada, a Zeke pyta:

– Coś do picia?

Hildebrand kiwa głową w kierunku stojącej na biurku butelki, a brat nalewa mu szklaneczkę whiskey.

– Jak się miewa twoja córka? – rzuca cierpko.

– Całkiem dobrze. – Biorąc pod uwagę okoliczności. Wsparcie Rajcy jest niezbędne, żeby ta część planu się powiodła, ale nie mam zamiaru mówić mu o swojej rodzinie więcej, niż musi wiedzieć.

– Jak mniemam, zamierzasz przyprowadzić ją do siedziby stowarzyszenia i formalnie wszystkim przedstawić.

– Kiedy nadejdzie właściwa chwila, a ja zadbam o jej bezpieczeństwo.

Pierwsza część zdania to kłamstwo, druga ma za zadanie wyrzucić na moim rozmówcy lekką presję. Uświadomić mu, jak ważna jest ta kwestia dla IVI.

– Czy dziewczynka została ochrzczona?

– Czyżby martwił się pan o jej duszę?

– Ależ oczywiście – odpowiada, uśmiechając się niemal tak ciepło jak ja.

Rozmowa zmierza w złą stronę, więc zmieniam temat.

– Zakładam, że dokładnie sprawdził pan dowody przeciwko Carltonowi Bishopowi.

Jestem przekonany, że to zrobił, bo w przeciwnym wypadku by go tu nie było. Dowody, które mam na myśli, to nagranie rozmowy Carltona z jakimiś zbirami na temat planowanego zamachu na moje życie, w którym zginęła Kimberly. Z ich słów wynika także, że Bishop mógł maczać palce w śmiertelnym wypadku samochodowym mojego ojca.

– Tak. Oddasz nagranie, kiedy podpiszemy dokumenty, jak ustaliliśmy?

– Zgodnie z umową. – Wyczuwam obecność Zeke’a u boku. – A dziewczyna?

– Czeka razem z bratem na twoje rozkazy.

Nie patrzę na Ezekiela. Z pewnością zdziwił się rozwojem sytuacji. Dzisiejszej nocy mieliśmy skonfrontować się z Carltonem, podpisać papiery i pokazać mu, że zasady gry się zmieniły. Nie było mowy o tym, że wezmę sobie Isabelle. Jednak mój plan ewoluował.

– Świetnie.

Zbieram dokumenty, które sporządził Hildebrand, po czym rozkładam je na ławie. Ponadwymiarowe arkusze pergaminu zajmują cały blat. Zdejmuję skuwkę z pióra wiecznego i kładę je przed Rajcą. Mężczyzna odstawia drinka na bok, pochyla się, bierze pióro do ręki i przygląda się stronom. Nie wprowadzałem żadnych zmian, więc ta część powinna pójść gładko. I rzeczywiście tak się dzieje. Mija ledwie chwila, a słyszę skrobanie stalówki, gdy Hildebrand składa podpis. Chce mieć to jak najszybciej z głowy. Po kilku sekundach odkłada pióro i odchyła się z powrotem na oparcie. – Dyskrecja jest w tym przypadku najważniejsza, St. James.

– Och – odpowiadam, a potem siadam i podnoszę pióro. Mój wzrok pada na nazwisko Isabelle Bishop, które pojawia się na dokumencie w kilku miejscach. – W zupełności się z panem zgadzam. – Składam podpis.

Zeke otwiera drzwi, posyła Dexowi znaczące spojrzenie i nakazuje mu przyprowadzić Bishopów.

– Powiedz mi coś – zagaduje Hildebrand, kiedy czekamy na ich przybycie. Przybliża do mnie twarz. – Po co ci dziewczyna? Nawet nie jest czystej krwi. Jej matka była zwykłą pokojówką, która zapomniała o swojej pozycji.

Zaciskam dłoń, liczę do dziesięciu i biorę głęboki wdech.

– W takim razie nie powinien pan mieć nic przeciwko, biorąc pod uwagę fakt, że moje wysokie miejsce w hierarchii Socjety zostało kupione.

Nawet nie staram się wyglądać przyjaźnie, kiedy wypowiadam te słowa. To prawda, której Rajca z chęcią by zaprzeczył. Jego twarz przybiera odcień wściekłej czerwieni. Trafiłem w samo sedno.

– Dyskrecja – mamrocze.

Drzwi stają otworem. Wstaję i odwracam się, żeby zobaczyć, jak Carlton Bishop

wchodzi do gabinetu. Gdy jego wzrok pada na mnie, przez ułamek sekundy widzę w nim niedowierzanie. Jeśli wcześniej nie słyszał plotek o moim powrocie, w momencie, w którym samochód wiozący jego i jego śliczną przyrodną siostrę skręcił na długą, pustą drogę wiodącą do posiadłości St. Jamesów, musiał się zorientować, że nadszedł czas na wyrównanie rachunków.

Widzę, ile wysiłku kosztuje go oderwanie wzroku ode mnie i przeniesienie go na Hildebranda.

– Rajco, najwyraźniej obydwu nam przysporzono dziś kłopotu – mówi cierpko.

Jeszcze nie wie, co trzymam w zanadru. Najprawdopodobniej nie ma pojęcia o istnieniu nagrania. Felix Pérez jest mistrzem w szpiegowaniu innych.

– Siadaj – rozkazuje mu Hildebrand. Nawet się nie pofatygował, żeby wstać.

Bishop przenosi wzrok na oficjalnie wyglądające arkusze pergaminu, które leżą rozrzucone na ławie, i wieczne pióro bez skuwki. Na schnący atrament na naszych podpisach. Zastanawiam się, czy dostrzega imię siostry na dokumentach. Czy głowi się nad tym, o co chodzi. Myśli, co zaplanowałem. Tak czy siak, jego też trzymam za jaja.

Uśmiecham się szeroko i patrzę w kierunku drzwi. Nie interesuje mnie Carlton Bishop. Mam w dupie, czy siedzi, stoi czy robi gwiazdy po całym gabinecie. To nią jestem zaciekawiony. Po chwili Isabelle wchodzi w tej swojej absurdalnej sukience, rozmyślając, dlaczego się tu znalazła. Zrobiona z metalowych kółeczek maska zniknęła, a przepiękne oczy dziewczyny wpatrują się we mnie intensywnie. I, cholera jasna, kiedy nasz wzrok się spotyka, czuję ucisk w podbrzuszu. Podobnie zareagowałem wcześniej tego wieczora, gdy zetknęły się nasze dłonie. Zastanawiam się, czy mnie rozpoznała. Czy wie, że to ja byłem zamaskowanym diabłem, któremu musi teraz podziękować za uratowanie tyłka.

Dex zamyka za dziewczyną drzwi, a ona podskakuje. Dosłownie. Nie spuszcza z niej wzroku. Nie mogę go od niej oderwać. Zeke chrząka i w końcu odwracam się do siedzących mężczyzn. Natrafiam spojrzeniem na stalowoszare oczy brata, które wpatrują się we mnie uważnie. Przymykam powieki. Nie chcę, żeby się zorientował, o co mi chodzi, ale wiem, że już na to za późno. Widział, jak na nią patrzę. Ale jebać to. Niech myśli, że przyglądam się nowej zabawce do bzykania. Zresztą do tego sprowadzi się jej rola, przynajmniej częściowo. Będzie ssała mi kutasa, kiedy rozkażę jej go ssać. Będzie rozkładała nogi, kiedy rozkażę, żeby je rozłożyła. I będzie szorowała podłogi, kiedy rozkażę je szorować. Bo tutaj Bishopowie są nikim. Niczym. Znaczą mniej niż brud, który przylepił się do podeszew moich butów. Chociaż ten członek ich rodziny ma do odegrania pewną rolę. Jest kluczem do wymazania ze świata nazwiska Bishop. Do odebrania całemu rodowi wszystkiego, co kiedykolwiek posiadali.

– Isabelle, nie stój tak przy drzwiach, przywitaj się z Rajcą – mówi Carlton szczekliwym głosem.

Obserwuję reakcję dziewczyny. Wydaje mi się, że nawet nie próbuje ukryć pogardy, jaką żywi wobec przyrodniego brata. W końcu przenosi wzrok na Hildebranda.

– Rajco – udaje jej się w końcu wydusić. Dopiero po dłuższej chwili spuszcza wzrok.

Carlton odwraca się do Hildebranda, a ja nie przestaję przyglądać się Isabelle. Dostrzegam, jak przenosi na mnie spojrzenie, a potem zaczyna szybko mrugać, żeby ukryć zmieszanie. Przyłapaną na gorącym uczynku.

– Co to ma znaczyć? – pyta Bishop, przebiegając wzrokiem leżące na ławie dokumenty.

Hildebrand rzuca mi przelotne spojrzenie. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale wchodzi mu w słowo, bo to zbyt ważne. To pierwszy krok na drodze do pokonania Carltona Bishopa. I dlatego to ja chcę wygłosić te słowa.

– Niniejszym inicjuję Rytuał.

## 5 ISABELLE

Zamarzałam.

„Niniejszym inicjuję Rytuał”.

Słowa rozbrzmiewają echem w mojej głowie, tak jak te, które wypowiedział wcześniej dzisiejszej nocy: „Nie ty masz ją złamać”. Przysiadam na krawędzi stojącego najbliższej krzesła, bo czuję, że za chwilę ugną się podę mną kolana. Mój umysł pracuje gorączkowo.

Zwykle rumiana twarz brata pokrywa się głębokim szkarłatem, a do mnie dociera, po co się tutaj znalazłam. Dlaczego Hildebrand nalegał, bym przyjechała z Carltonem. W normalnych okolicznościach ani on, ani inni Rajcy nie raczyliby zamienić ze mną słowa. Jestem kobietą, a w zasadzie dla nich półkobietą, bo przecież tylko jedno z moich rodziców było członkiem ich wspaniałej Socjety.

Ten mężczyzna, nieznajomy z kaplicy, właśnie zainicjował Rytuał. Archaiczne, nonsensowne prawo nadal funkcjonujące w organizacji. Prawo do przejęcia władzy nad czyimś życiem. Związek przypominający ten pomiędzy chrzestnym a chrześniakiem, na mocy którego jedna strona podejmuje się opieki nad drugą, niepełnoletnią. Jednak w zawiłym kodeksie IVI oznacza to przejęcie pieczy nad dzieckiem bądź kobietą niezależnie od jej wieku. Ponieważ każdym domostwem musi władać mężczyzna. Właśnie dlatego Carltonowi z taką łatwością przyszło usankcjonowanie roli mojego prawnego opiekuna. Ale wtedy byłam nieletnia i pozbawiona rodziny. Zostałam sama. A gdy tylko ustalono, że należę do klanu Bishopów, IVI zdobyło prawo do decydowania o moim losie. A może sama na to pozwoliłam? To były ciężkie, pełne mroku czasy. Miałam zaledwie szesnaście lat, brata zabito na moich oczach, a mnie samą pozostawiono na śmierć. Ale teraz? Mam dziewiętnaście lat, jestem już dorosła. Z drugiej strony nie żyjemy w normalnym świecie, a ci mężczyźni nie grają według zwyczajnych reguł.

– Nie możesz rozpocząć Rytuału – wyrzuca z siebie Carlton i podnosi arkusze pergaminu, które wyglądają na bardzo stare. Sprawiają wrażenie, jakby miały rozpaść mu się w palcach. Przebiega wzrokiem tekst.

– Ależ mogę. I właśnie to zrobiłem – odpowiada mu nieznajomy z kaplicy.

Siłą zmuszam kolana, żeby się złączyły, i wycieram spocone dłonie o sukienkę. Niewiele to daje, bo pióra wciąż są wilgotne od deszczu. W pomieszczeniu zalega cisza, gdy Carlton odczytuje zawartość dokumentów.

– Rajco, to niedopuszczalne! Nie wiem, jakich kłamstw naopowiadał panu St. James, ale mogę pana zapewnić, że nie ma w nich ziarna prawdy!

Brat zrywa się na równe nogi, mnąc papiery.

– Jeśli to podrzesz, odpowiesz przed Trybunałem. To oficjalny dokument i tak też będzie traktowany. – Hildebrand nabiera tchu. – Powinieneś okazać wdzięczność, że zażądał od ciebie tylko tyle. Ma do tego prawo i wyłącznie siebie możesz winić za to, że mu je dałeś.

Carlton zaciska usta. St. James patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie uśmiecha się. Nienawidzi mojego brata, nie mam co do tego wątpliwości. Żywi do niego pogardę. Drzę, ponieważ jego wzrok zdaje się wwiercać pod moją skórę. Całym wysiłkiem woli zmuszam się, by siedzieć prosto, i zastanawiam, czy mnie także nienawidzi, a jeśli tak, czy jedynymi powodami tego uczucia są moje nazwisko i krew Bishopów płynąca mi w żyłach.

– Dex! – woła, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Otwierają się drzwi. Wstaję i przesuвам się w głąb pokoju, żeby oddalić się od



stojącego w progu faceta.

– Tak, sir? – odpowiada mężczyzna, niewzruszony wyczuwalnym w pomieszczeniu napięciem.

– Zabierz dziewczynę na dół.

Na dół? Przecież jesteśmy na parterze. Dex kiwa głową, a kiedy na niego spoglądam, gestem nakazuje mi, żebym za nim poszła.

Nie robię nawet kroku. Nie jestem w stanie. Na przemian otwieram i zamykam usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Carlton czyta dokumenty po raz drugi. Pozostali mężczyźni czekają, aż się ruszę. Czy brat mnie ocali? Nie mam pewności, czy mu się to uda, nawet jeśli będzie chciał. Skoro jest tutaj przedstawiciel Trybunału, to znaczy, że ten człowiek, mój diabeł, otrzymał błogosławieństwo organizacji, żeby wcielić w życie swoje plany. A Carlton nie sprzeciwi się nakazom IVI.

Przenoszę wzrok na nieznanego, który niemal niezauważenie kiwa głową. Dex chwyta moje ramię.

– Zaczekajcie! – krzyczę, kiedy zaczyna mnie ciągnąć ku drzwiom.

Wszyscy w milczeniu przypatrują się scenie. Mężczyzna, który dotąd się nie odzywał, a który tak bardzo przypomina diabła, że domyślam się, iż są braćmi, beztrzesko pociąga łyk alkoholu. Nie potrafię wyczytać nic z jego twarzy, nie mam pojęcia, co chodzi mu po głowie.

Zasycha mi w ustach i w gardle. Oblizuję wargi i zmuszam się, by spojrzeć na St. Jamesa. To on rozdaje tutaj karty. Decyduje, co się wydarzy. Ale co mam mu powiedzieć? Nie odzywam się, więc unosi brwi.

– Ja... nic nie rozumiem – udaje mi się w końcu wykrztusić.

– W takim razie brat nie przyłożył się do twojego wykształcenia, przynajmniej jeśli chodzi o obyczaje Socjety. Nie omieszkam poszukać rozwiązania tego problemu. – Omiata mnie wzrokiem. – Dex.

– Idziemy – nakazuje mężczyzna.

– Ale... Carlton? – Chwytam się ostatniej deski ratunku, idąc chwiejnym krokiem w stronę drzwi.

Brat rzuca mi przelotne spojrzenie, a potem wraca do czytania dokumentów, jakby nic złego się nie działo. Jakby to, że ci mężczyźni mnie uprowadzają, a – nie czarujmy się – to właśnie robią, było czymś zupełnie normalnym.

Dopuszczalnym. – Dex! – woła mój diabeł, więc się zatrzymujemy. – Jeśli zaczniesz sprawiać kłopoty, potrzymaj ją trochę w ciemności. W ciemności? Gdzie on, do cholery, chce mnie zamknąć?

Dex potakuje i wychodzimy z gabinetu. Palce mężczyzny boleśnie wpijają się w moje ramię. Kiedy zamyka za nami drzwi, słyszę gniewny, pozbawiony zwyczajowej samokontroli głos brata. Głos, który mówi mi, że nie uda mu się postawić na swoim, nie tej nocy. Nie gdy ma tych mężczyzn za przeciwników.

Rozglądam się, gdy Dex prowadzi mnie do hallu. Obcasy stukają głośno po biało-szarym marmurze poprzecinanym gdzieś czarnymi jak onyks żyłkami. Myślałam, że pójdziemy schodami w górę, lecz przechodzimy obok nich. Im bardziej oddalamy się od dwuskrzydłowych drzwi frontowych, tym większy stawiam opór.

– To boli! – Facet nie kłopotczy się, żeby cokolwiek odpowiedzieć, tylko ciągnie mnie w stronę słabo oświetlonego korytarza. – Gdzie idziemy? – pytam i próbuję podważyć palce wpijające się w skórę. Paniczny strach sprawia, że adrenalina buzuje mi w żyłach. Mężczyzna odwraca się do mnie, a ja mimowolnie się odchylam.

– Bądź ciszej – mówi ze spokojem, po czym przekręca klucz w zamku i otwiera stalowe

drzwi znajdujące się na samym końcu korytarza.

Usiłuję zajrzeć mu przez ramię, gdy zapala światło, lecz nie muszę nic widzieć, żeby domyślić się, że schodzimy do piwnicy. W powietrzu wyraźnie czuć chłodny, ziemisty zapach podziemi. Dex nie luzuje chwytu, kiedy schodzimy. Wolną ręką trzymam się nierównej poręczy przybitej do kamiennej ściany.

– Dokąd mnie prowadzisz? – ponawiam próbę uzyskania odpowiedzi. Liczę kroki, a kiedy dochodzimy do podnóża schodów, rozglądam się dokoła. Na końcu korytarza po mojej lewej stronie mruga światło, jakby żarówka miała za chwilę się wypalić. Ten po prawej jest lepiej oświetlony, więc dostrzegam, że wzdłuż niego ciągnie się rząd starych drzwi.

– Do katakumb.

Zamieram.

– Co? – udaje mi się wykrztusić. Dex szczyrzy zęby w uśmiechu, a jego rozbawione spojrzenie pada na moją twarz. Z pewnością jestem blada jak ściana. – Do katakumb?

– Żartowałem. Aż tak głęboko nie zejdziemy.

Ha, ha, bardzo śmieszne! Próbuję mu się wyszarpnąć, ale nie pozwala na to, tylko ciągnie na prawo. Kiedy odwracam głowę, żeby spojrzeć do tyłu, czuję wdzięczność choć za to. Widzę, jak żarówka rozbłyskuje po raz ostatni, a potem gaśnie. Korytarz za nami pogrąża się w całkowitej ciemności.

Docieramy do ostatnich drzwi. Mężczyzna je otwiera i sięga dłonią do środka, żeby zapalić światło. Pomieszczenie rozświetla pojedyncza żarówka. Zwisa naga na kablu pośrodku sufitu w pokoju bez okien. Do jednej ze ścian przystawiono niewielkie łóżko, a obok niego szafkę na chwiejnych nóżkach i z przekrzywioną szufladą. Na jej blacie stoi lampka bez abażuru i bez żarówki. Na podłodze leży wytarty dywanik. Odwracam się do Dexa, który przygląda mi się bez emocji.

– Gdzie jesteśmy?

– W starych pomieszczeniach dla służby. Od dawna nikt ich nie używa. Ale zaufaj mi, wolisz być po tej stronie korytarza.

Zaufać mu? Patrzę na drugą, pogrążoną w ciemności stronę korytarza, a potem znów na niego. Gestem zachęca, bym weszła do środka. Kręcę głową.

– Muszę porozmawiać z bratem. Muszę...

– Mogę zabrać żarówkę, a tego byś nie chciała, zapewniam cię. Tu na dole ciemności są nieprzeniknione.

Przełykam ślinę.

– Czego on ode mnie chce?

– Czyli bez żarówki.

Wiem, że nie wyciągnę nic z Dexa, więc kiedy przekracza próg, błagam, aby się zatrzymał. Nie mam wątpliwości, że to nie czcze pogrózki, a ostatnie o czym marzę, to zostać sama w ciemnościach.

– Jak długo mam tu być? – pytam, gdy w końcu mnie puszcza. Robi to, dopiero gdy znajduję się całkowicie wewnątrz pomieszczenia.

Mężczyzna wrusza ramionami i sięga dłonią do klamki. Widzę, że w zamku po jego stronie tkwi klucz.

– Dopóki Jericho nie zdecyduje, że nadszedł czas, by po ciebie przyjść – odpowiada i zanim udaje mi się powiedzieć coś więcej, zatrząskuje drzwiami, po czym przekręca klucz.

Otulam się ramionami. Rozglądam się po małym, wyglądającym na nawiedzony pokoiku. W tej głupiej kiecce przemarzałam do szpiku kości. Ale najgorsze jest przerażenie, które ogarnia mnie na myśl, co dalej.

## 6 JERICHO

Kiedy razem z Rajcą Bishop opuszcza mój dom, zachowuje się cichutko jak dziecko, któremu rodzice za karę złoili skórę. Usłyszał dowody przeciwko sobie, a przynajmniej te fragmenty nagrania, jakie wybrałem specjalnie dla niego. Oczywiście te najbardziej obciążające. Po wszystkim ani razu nie podniósł na mnie wzroku. Ledwie mógł spojrzeć w oczy Hildebrandowi. Zastanawiałem się, czy Rajca cieszy się z faktu, że nie musi stawiać przed obliczem Trybunału jednego z Bishopów. Sprawiedliwego Syna z rodziny założycielskiej, który spiskował, by zamordować innego członka Socjety.

System sprawiedliwości IVI jest bezlitosny. Działa poza przyjętymi normami społecznymi i ponad prawem zewnętrznego świata. Kary, jakie wymierzają sędziowie organizacji, często bywają znacznie surowsze niż te obowiązujące tam, a za taką zbrodnię wydaliby wyrok śmierci. Zaledwie kilka lat temu za podobne przestępstwo wykonano egzekucję na terenach należących do IVI. I muszę przyznać, że tamta zbrodnia pociągnęła za sobą o wiele poważniejsze konsekwencje, niż Carlton Bishop ze swoją ograniczoną wyobraźnią byłby w stanie przewidzieć. Winnego w brutalny sposób pozbawiono życia i chociaż przebieg egzekucji powinien pozostać tajny, szczegóły wciąż krążą wśród członków stowarzyszenia i służą za ostrzeżenie.

Słyszę odgłos zamykanych drzwi, a kiedy odwracam się w ich stronę, napotykam wzrok Zeke'a.

– Osiągnąłeś to, co chciałeś? – pyta.

– Chciałem, żeby Angelique miała matkę.

Ezekiel pociąga łyk whiskey. Nie spieszy się z odpowiedzią.

– Wiesz, jej śmierć nie tylko dla ciebie była bolesna. Straciłem najlepszą przyjaciółkę, a właściwie kogoś więcej. „Kogoś więcej”. Tak, wiedziałem o tym. Dawno temu Kimberly rzeczywiście była dla niego kimś więcej. Żadne z nas nie planowało, że się w sobie zakochamy. Żadne tego nie chciało ani do tego nie dążyło. Ale stało się, a ja i brat przeszliśmy nad tym do porządku dziennego. Przynajmniej tak mi się do tej pory wydawało. Chociaż przeżyliśmy kilka trudnych miesięcy, szczególnie gdy ciąża zaczęła być widoczna.

Wpatrujemy się w siebie nawzajem, a przez moją głowę niczym pokaz slajdów przelatują migawki z przeszłości. Czy on myśli o tym samym? Widzi te same obrazy? Czy obwinia mnie o jej śmierć? Sam się obwiniam i, do diabła, może zasługuję na jego potępienie. Kimberly zginęła przeze mnie, brat ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Mówił, że nasz związek stanowi dla niej zagrożenie. Nie tak dawno temu to samo powtarzałem Dantemu Grigoriemu. Uprzedzałem go, że kobieta, którą pokochał, przez samą jego miłość znalazła się w niebezpieczeństwie.

– Żałuję – mówię bratu. – Każdego pieprzonego dnia.

– Wiem. – Upija kolejny łyk. Mija dłuższa chwila, nim znów się odzywa. – Jest młodzieńca.

Zmiana tematu. Postanowił pogadać o Isabelle.

– Jest pełnoletnia – uściślam.

– Technicznie rzecz biorąc, owszem. Ale dwanaście lat młodsza od ciebie.

– Najważniejsze, że pochodzi z rodziny Bishopów. – Przełykam resztkę whiskey i odstawiam szklankę. – Chyba nie zaczęłaś darzyć ich ciepłymi uczuciami, co? Czyżbyś wyrzucił już Kimberly z pamięci?

Widzę, jak zaciska szczęki.

– Po prostu zwracam uwagę na fakt, że dziewczyna jest bardzo młoda. A jakbyś nie zauważył, to mogę ci jeszcze powiedzieć, że z tego, co widziałem przez te kilka minut, które spędziłem z nią w jednym pokoju, to nie jest odpowiednia partia dla ciebie.

Z jakiegoś powodu komentarz brata podnosi mi ciśnienie. Prostuję się i robię krok w jego stronę. Ezekiel przymruża nieznacznie oczy i przekrzywia głowę. Czeka na moją reakcję.

– Sądziś, że do ciebie lepiej by pasowała? – pytam.

– Jaja sobie, kurwa, robisz?

– Czyżby o to chodziło? – Nie wiedzieć czemu, nie daję za wygraną.

– Braciszku, chyba się z chujem na łby pozamieniałeś. To jeszcze dziecko, a ja znam cię aż za dobrze i wiem, co ci chodzi po głowie.

– Czyżby? No to mnie oświeć i powiedz, co takiego zamierzam z nią zrobić.

– Istnieje tylko jedno rozwiązanie, które ma sens.

Unoszę brwi w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

– Mówię tylko, że jest młoda. Pragniesz pograżyć jej brata i ja to rozumiem. Ale naprawdę chcesz zniszczyć życie niewinnej dziewczynie, żeby to osiągnąć?

– Kurwa, ona należy do rodu Bishopów. Nie ma czegoś takiego jak niewinny członek tej jebanej rodziny.

– A jak zamierzasz wytłumaczyć to swojej córce? Wziąłeś ją w ogóle pod uwagę?

– Poradzę sobie. Nie musisz się martwić o Angelique, jest najwyżej na mojej liście priorytetów.

– Na pewno?

Wzbiera we mnie furia.

– Nie masz prawa tego kwestionować – warczę.

– To moja bratanica – odpowiada, odstawiając drinka, i podchodzi do mnie. – Otwiera także moją listę priorytetów. Dlatego uważam, że popełniasz błąd. Wydaje mi się, że coś w tej dziewczynie przyciągnęło twoją uwagę, i nie chcę, żeby zaślepiło cię pragnienie zamoczenia w niej fiuta.

Chwytam go za kołnierz.

– Jak, kurwa, śmiesz?!

Strząsa z siebie moje dłonie.

– Nie będę stał z boku i czekał, aż wszystko spierdolisz.

– Nie mam zamiaru niczego spierdolić.

– Nie jesteś wystarczająco skupiony, Jericho.

– Jestem skupiony na sto procent, Zeke. A ty z łaski swojej nie wpierdalaj się w moje sprawy. Nie obchodzi mnie, że mdlejesz na samą myśl o ukaraniu Isabelle Bishop. Wystarczy, jak będziesz trzymał łapy przy sobie.

– Tak jak ty w przypadku Kimberly, co?

Niespodziewanie otwierają się drzwi i w progu staje matka. Od dawna nie widziałem jej tak rozgniewanej. Wygląda jak wcielenie furii. Wszędzie rozpoznałbym ten ogień w oczach. Widzę go za każdym razem, gdy spoglądam w lustro.

Przygląda się nam przez chwilę, a kiedy bezwiednie otwiera usta, zdaję sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by między mną a bratem doszło do rękoczynów. Potem wchodzi i zamyka za sobą drzwi.

– Dlaczego nie śpisz? – pytam po tym, jak jednocześnie z Zekiem odskakujemy od siebie.

– Zupełnie postradaliście rozum? – odpowiada pytaniem na pytanie.

„Kurwa!”

Spuszczam głowę i wpatruję się w perski dywan, który zakrywa sporą część podłogi. Ezekiel zawsze lubił takie dekoracje. Mój gabinet, położony po drugiej stronie hallu, ma nieco nowocześniejszy wystrój.

Wzdycham i podnoszę wzrok na brata.

– Przepraszam. Wcale tak nie myślę.

– Ja też nie – mówi. Wygląda na tak równie zawstydzonego co ja. Robi krok w moją stronę i wyciąga przed siebie dłoń. Ściskam ją. – Tkwimy w tym razem. Jestem twoim sojusznikiem, nie zapominaj o tym.

– Nie zapomnę – obiecuję.

– Tak lepiej – wtrąca matka.

– Musisz odpocząć, mamó – beszta ją łagodnie Zeke. – Twoja lekarka powiedziała...

– Wiem, co mówi moja lekarka, synu – przerywa mu, po czym zwraca się do mnie: – Powiedz mi, czy aby się nie przesłyszałam... – Ściąga brwi i świdruje spojrzeniem moją twarz. – Jest tu ta dziewczyna od Bishopów?

Zeke prycha, a ja zaciskam szczęki. Nie jestem nikomu winien żadnych wyjaśnień, nawet rodzinie.

– Zgadza się.

– Gdzie dokładnie? – dopytuje matka z błyszczącymi oczami. Kiedy zgrzytam zębami, zna już odpowiedź. Jej twarz blednie. – Jericho!

Stoję nieruchomo i staram się uspokoić oddech.

– Nie możesz zostawić jej tam na dole.

Jej ton wytrąca mnie z równowagi. Zmiękła w ciągu kilku ostatnich lat, ale to nie czas na delikatność. Biorę głęboki wdech, żeby jej odpowiedzieć, ale matka popełnia błąd i dodaje:

– Kimberly z pewnością nie...

– Dość tego!

Uderzam dłonią w blat biurka, a matka aż podskakuje ze strachu. Jeden rzut oka na jej twarz uświadamia mi, że powinienem się pohamować. Samą swoją obecnością dziewczyna sprawiła, że rzuciliśmy się sobie do gardeł. Tak właśnie działają Bishopowie.

Patrzę na brata, potem na matkę. Wpatruję się w jej oczy i cedzę przez zęby:

– Nie widziałaś, jak Kimberly wydaje ostatnie tchnienie. – Choć targają mną emocje, mój głos brzmi spokojnie. – Nie trzymałaś jej w ramionach, kiedy ulatywało z niej życie. Kiedy gasło światło w jej oczach. To ja byłem z nią w chwili śmierci, nie wy. Dlatego nie wy zdecydujecie o losie Bishopówny.

Kończę tyradę, zbieram podpisane dokumenty i przechodzę sztywnym krokiem obok matki. Zostawiam ją oraz Zeke'a w jego gabinecie, a sam ruszam do piwnicy. Zbieram się w sobie, gdy stoję przed stalowymi drzwiami. Siłą zmuszam się do zaczerpnięcia tchu. Odpycham wspomnienia na bok, przypominam sobie, dlaczego robię to wszystko. Muszę być zimny i nieugięty jak te drzwi. Przekręcam klucz w zamku i je otwieram. Wyrzucam z głowy wszystkie myśli, po czym schodzę po schodach, by zająć się Isabelle Bishop.



## 7 ISABELLE

Dźwięk drzwi trzaskających o ścianę sprawia, że podskakuję na łóżku. Mrugam kilkakrotnie. Plecy mam obolałe i zziębnięte od opierania się o kamień. Wzrok zatrzymuje się na diabolicznym mężczyźnie, którego sylwetka majaczy w korytarzu. W mgnieniu oka przypominam sobie, gdzie się znajduję i dlaczego tu jestem.

Pierwotny instynkt przetrwania każe mi zerwać się na nogi i wcisnąć w przeciwległy kąt niewielkiego pomieszczenia. Zniszczony dywan drapie mnie w stopy, kiedy staram się odsunąć jak najdalej od tego człowieka. Jakaś część świadomości rejestruje szaleńcze bicie serca i napływ adrenaliny.

Mężczyzna wygląda na wściekłego. Zaciska szczęki, przez co linia podbródka, ledwie pokryta jednodniowym zarostem, wydaje się ostrzejsza. Oczy mu płoną, jedno pociemniało z gniewu, drugie pała dzikim, zwierzęcym, srebrnym blaskiem. Odrywam od nich wzrok i zauważam, że podwinął rękawy koszuli aż do łokci. Pod skórą wyraźnie rysują się pasma mięśni napięte jak postronki, a na jej powierzchni wiją się ogony węży. Olbrzymie pięści zwisają po bokach ciała.

Najwyraźniej zasnąłam. Do diabła, jakim cudem udało mi się zasnąć w tym miejscu i to ze świadomością, co mnie czeka? Mężczyzna robi krok w moją stronę, lecz zatrzymuje się, gdy ja zaczynam się cofać. Przeczesuje palcami ciemne włosy, a ja zachodzę w głowę, co go zdenerwowało. Ten człowiek jest gwałtowny i okrutny. Czysty gniew, który emanuje z jego postaci, wydaje się namacalny. Zastanawiam się, czy w identyczny sposób przeżywa wszystkie emocje. Intensywnie. Z pasją. Uświadamiam sobie, że w niesprzyjających okolicznościach taka pasja może stać się śmiertelnie niebezpieczna. A ja, przedmiot tej nienawiści, właśnie znalazłam się na jego łasce.

Chcę uciec, lecz nie mam dokąd. Malutka łazienka jest wielkości kabiny prysznicowej, ledwie zmieściły się tu sedes i umywalka, poza tym w drzwiach nie ma zamka. Chociaż wiem, że ani drzwi, ani zamek by go nie powstrzymały. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś takiego jak on, nie poznałam żadnej ludzkiej istoty, która emanowałaby podobną zwierzęcą energią wyładowującą się z trzaskiem wokół ciała.

– Załatwione – oznajmia i ciska trzymane dotąd w dłoni dokumenty na łóżko. Jego głos brzmi zupełnie inaczej niż w kaplicy. Nawet groźba, którą tam rzucił, wydaje się dziecinną igraszką w porównaniu z obecnym tonem. Słysząc w nim gniew i pewną dzikość, nad którą stara się zapanować.

– Co zostało załatwione? – pytam, zerkając na papiery. Zauważam, że jeden z nich zsunął się z materaca i wylądował na podłodze. „Niniejszym inicjuję Rytuał”. Nie ma prawa tego zrobić. Nie można tak po prostu rozpocząć Rytuału. Można zostać o to poproszonym, a i to tylko wtedy, gdy zyskało się czyjeś bezgraniczne zaufanie.

Mężczyzna bierze głęboki wdech i omiata pokój wzrokiem, niezrażony nędznym wystrojem, chłodem, starością. W końcu zatrzymuje spojrzenie na mnie. Jego ramiona delikatnie się rozluźniają, palce zaciskają mocniej, po czym się prostują. Mój wzrok pada na duże dłonie, a następnie nieuchronnie wędruje ku wytatuowanym przedramionom i rysującym się pod skórą prężnym mięśniom.

– Należysz do mnie, Isabelle Bishop.

Nie mogę się powstrzymać i ponownie zerkam na rozrzucone na łóżku dokumenty, ale

pod tym kątem odczytuję zaledwie kilka słów. Nie dość, że pismo jest bardzo ozdobne, to jeszcze papiery leżą do góry nogami. Udaje mi się odczytać słowo „rytuał” i własne nazwisko. Rozpoznaję też należący do mojego brata podpis.

Christian nigdy by nie pozwolił, żeby przytrafiło mi się coś takiego. Nigdy nie podpisałby dokumentów, na mocy których zostałabym komuś oddana. Lecz Christian nie żyje, a Carlton jest zupełnie innym człowiekiem.

Nie muszę dokładnie czytać papierów, aby wiedzieć, że mężczyzna nie kłamie. Zgodnie z ich treścią należę do niego. Właśnie tak działa IVI. Gdyby chodziło o innego człowieka i o inny rodzaj kontraktu, moja sytuacja zapewne i tak byłaby podobna, choć podejrzewam, że z mniejszą dozą niechęci z mojej strony. Ale ten facet mnie nienawidzi, brzydzi się mną.

– Dlaczego mi pomogłeś? – pytam, nim gryzę się w język.

St. James wygląda na zdezorientowanego.

– Słucham?

– W kaplicy. Dlaczego mi pomogłeś? Skoro mnie nienawidzisz, dlaczego nie pozwoliłeś tamtym naćpanym gościom się ze mną zabawić?

– Ach, o to chodzi.

Cofam się o kolejny krok i na plecach czuję dotyk ściany. Nie mam gdzie uciec, a on widzi, w jak niekorzystnym położeniu się znalazłam. Wie, że udało mu się przyprzeć mnie do muru. I jak każdy drapieżnik – naciera. Zatrzymuje się, dopiero gdy znajduje się tak blisko, że czuję ciepło jego ciała. Emanuje z niego siła. Rozchodzi się falami, gotowa porazić mnie niczym prąd.

– Isabelle Bishop – odzywa się po chwili, patrzy na tuzin szpilek do włosów, które zostawiłam na stoliku nocnym, i chwyta jeden z moich loków. Wcześniej były upięte w kok tak ciasny, że bolała mnie od tego głowa, ale teraz, obserwując jego zachowanie, zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, że go rozplotłam. Mężczyzna zaczyna owijać sobie moje włosy wokół dłoni. Sięgają do pasa, więc może je wykorzystać jako broń przeciwko mnie. Spodziewam się, że za nie szarpnie, by zadać mi ból, dlatego jestem cała spięta.

Patrzy w moje oczy, a ja zaczynam przyglądać się jego. Z tej odległości widzę czarną obwódkę wokół tej szarej, złote plamki w tęczęwkach. Nagle ciągnie za włosy na tyle mocno, by się naprężyły, czym zmusza mnie do odchylenia głowy. – Nie oni mieli cię złamać, lecz ja.

Przełykam ślinę i zaczynam drżeć. Otaczam się ramionami, bo zniszczona, przemoczona sukienka pozostawia zbyt wiele na widoku, nie daje żadnej ochrony.

St. James odwija włosy z dłoni, z premedytacją ocierając się kłykciami o moje nagie ramię. Przesuwa dłoń aż do obojczyka i długiej, paskudnej blizny widniejącej tuż obok. Przyglądając się jej, marszczy brwi. Gładzi palcami zniekształconą tkankę i ślady, które pozostały po szwach. Kiedy nasz wzrok znów się spotyka, lekkie drżenie mojego ciała przeradza się w dreszcze, a piersi unoszą się wysoko z każdym wdechem. Facet wędruje spojrzeniem niżej, by przyjrzeć się ich krągłościom.

Próbuję oddychać normalnie, gdy kłykcie pozostawiają za sobą gęsią skórę wzdłuż ramienia, w zgięciu łokcia. Mężczyzna chwyta moją dłoń, odwraca ją wnętrzem do góry i pieści zewnętrzną częścią palców skórę od nadgarstka do łokcia i z powrotem, i tak raz za razem. Doznanie jest zarazem niesamowicie zmysłowe i przerażające.

– Pasuje ci ta blizna – mówi w końcu. – Coś brzydkiego na tak ślicznym stworzeniu. Niczym ostrzeżenie.

Wysilam umysł, by nadażyć za tokiem jego rozumowania, ale nie mogę zebrać myśli. Nie kiedy dotyka mnie w ten sposób. – Planuję łamać cię powoli, Isabelle Bishop.

Trzęsą mi się kolana.

– I będę rozkoszował się każdą chwilą.

Opieram się o ścianę, żeby nie upaść.

– Nie mogłem pozwolić, by tamten chłopak cię tknął. Widzisz, wcale ci nie pomagałem. Upewniałem się tylko, że towar, w którego posiadanie wejść, nie będzie wybrakowany.

Puszczaj moją dłoń i znów przynosi spojrzenie na obojczyk.

– Opowiedz mi o tej bliźnie.

– Upadłam.

To prawda, choć nie cała. Nie zamierzam jednak marnować na niego słów. W noc morderstwa Christiana zepchnięto mnie ze schodów i złamałam obojczyk. Miałam dużo szczęścia. Napastnik z pewnością zrobiłby mi o wiele większą krzywdę, gdyby nie spłoszyło go wycie syren. Jeden z sąsiadów usłyszał moje krzyki i zadzwonił na policję.

– Ukrywasz jeszcze jakieś skazy? – pyta. Nie jestem pewna, czy oczekuje odpowiedzi, ale i tak kręcę przecząco głową.

– Cóż, sam sprawdzę.

Robi krok w tył, lecz nie odczuwam z tego powodu ulgi, bo opiera jedną rękę o ścianę nad moją głową i przynosi na nią ciężar ciała. Zauważam jednak, że drzwi pozostają otwarte, a Dexa nie ma.

– Zdejmij sukienkę, Isabelle.

Zasycha mi w gardle, całe ciało się napina, sutki twardnieją, a żołądek wykonuje salta.

– Ja... Co takiego?

Szczerzy zęby w uśmiechu, choć ani razu nie mruga, a mi przypomina się maska, którą miał na sobie wcześniej. Uznałam go wówczas za bestię. Za diabła. Zastanawiam się teraz, czy rzeczywiście nim nie jest. Człowieka z pewnością nie przypomina.

– Rozbierz się i pokaż mi swoje blizny.

Otulam się rękoma i zerkam ponad jego ramieniem. Dostrzegam buty zostawione przy starym, rozklekotanym łóżku. St. James mnie obserwuje. Wracam do niego wzrokiem, a kiedy oblizuję usta, żeby coś powiedzieć, przygląda się im uważnie. W jego oczach widzę pożądanie i myślę o tych wszystkich kobietach, które spotkałam na balu maskowym. Większość z nich jest o wiele piękniejsza niż ja i znacznie lepiej ułożona. Dużo bardziej pasują do Socjety. Zastanawiam się więc, czemu wybrał mnie. Czego chce od kogoś tak nieistotnego.

– Isabelle.

Mrugam i rzucam jeszcze jedno szybkie spojrzenie na otwarte drzwi.

– Widzisz tam coś interesującego? – pyta, jakby nie wiedział, co tak przyciąga mój wzrok. Nie odpowiadam. Drań się mną bawi. – No tak, wolność czeka na ciebie zaledwie kilka metrów stąd. – Uśmiecha się szeroko i schodzi mi z drogi. – Rozważasz ucieczkę, prawda? Na twoim miejscu też bym o niej myślał. – Wyciąga ramię i wskazuje gestem drzwi. – Sądzę, że mogłabyś spróbować. Nie dotrzesz nawet do schodów, ale zawsze warto skorzystać z okazji.

Nie ruszam się. Słyszę jedynie, jak serce pompuje krew, czuję przypływ adrenaliny. „To gra. Urządza sobie twoim kosztem jakąś chorą grę!”, krzyczy głos w mojej głowie. Zdaję sobie z tego sprawę każdą komórką ciała.

– No dalej, Isabelle. Przecież tego właśnie chcesz – podjudza. Pochyliła się, policzkiem dotyka mojego, drapie zarostem skórę. Jego oddech owiewa mi ucho. – Lecz jeśli się na to zdecydujesz, wiedz, że kiedy cię złapię, zostaniesz surowo ukarana. A złapię cię na pewno.

Drżę na te słowa. Mogę walczyć albo uciekać. Zdaję sobie sprawę, że obydwie strategie są z góry skazane na porażkę, jednak przestaję logicznie myśleć, a górę bierze instynkt. Moim celem jest przetrwanie, więc wybieram ucieczkę. Nogi same zaczynają się poruszać. Rzucam się w przód ze świadomością, że ten diabeł mnie schwyta, że nie dam rady dobiec na górę, a nawet



jeśli dam, to wpadnę tam w jakąś pułapkę. Ale i tak biegnę. Za sobą słyszę śmiech. A może to wcale nie śmiech, tylko warknięcie? Niski pomruk bestii czającej się na ofiarę, która zachowuje się przewidywalnie. Pędzę przez pokój, wprawiam mięśnie w tak znajomy im ruch. Dużo biegam, ale znajduję się na nieznanym terenie i kiedy wypadam na korytarz, zatrzymuję się na chwilę, bo zrobiło się jeszcze ciemniej niż wcześniej.

St. James nie podąża za mną, przynajmniej nie od razu. Słyszę, jak chichocze. Kiedy spoglądam za siebie, widzę, że nie ruszył się z miejsca, lecz gdy nasze spojrzenia się spotykają, robi krok do przodu. Rzucam się do ucieczki. Mężczyzna idzie za mną, ale się nie spieszy. Kieruję się w stronę schodów. Wiem, że korytarz biegnie dalej, ale jest zbyt ciemno, a ja za bardzo się boję, żeby sprawdzać, dokąd prowadzi.

Kiedy dopadam do schodów, on dopiero wychodzi z pomieszczenia. Uda mi się. Trzyńście stopni. Dam radę. Przytrzymuję się poręczy i wbiegam. Potykam się z nerwów, gdy woła mnie po imieniu spokojnym, lecz przepełnionym drwiną głosem. Jestem już prawie u szczytu. Nie muszę oglądać się za siebie, by wiedzieć, że zaraz się na nich pojawi.

To pułapka. Gra. Pretekst, by wymierzyć mi karę. Zdaję sobie z tego sprawę, jeszcze zanim moje palce zaciskają się na klamce. Wiem, że okażą się zamknięte. I mam rację. Ciągnę za klamkę i walę w skrzydło mimo bezcelowości tych działań.

Chwilę później silne ramiona chwytają moją talię. Mężczyzna podnosi mnie bez wysiłku i taszczy z powrotem w dół schodów, przytrzymując mi ręce. Plecami jestem przyciśnięta do umięśnionej klatki piersiowej. Wrzeszczę, próbując się wyrwać, na wpół oszalała ze strachu i wściekłości, gdy on niesie mnie ze spokojem, niemal z cierpliwością do maleńkiego pokoju. Jakimś cudem światło po drugiej stronie korytarza ponownie się włącza, szydzi ze mnie swoim mruganiem, jakby bawiła je rozgrywająca się przed nim scena.

Zostaję rzucona na łóżko. Odbijam się od materaca przy akompaniamencie skrzypienia sprężyn. St. James zamyka za nami drzwi. Wygląda perfekcyjnie, każdy włos jest na swoim miejscu, czoła nie rosi nawet kropelka potu. Wsuwa ręce do kieszeni i wpatruje się we mnie. Wygląda na wyluzowanego. Wzrok ma mroczny, ale przepełniony ciekawością. Zrywam się na nogi i przecieram załzawione oczy.

– Dlaczego mi to robisz?! – wrzeszczę, a mój głos brzmi, jakby należał do zupełnie innej osoby. Zdarte od krzyków gardło boli jak cholera.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Ponieważ mogę. A teraz się rozbieraj.

## 8 JERICHO

Bez butów na obcasie dziewczyna ma nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć. Podoba mi się ta różnica wzrostu między nami. Także jej niewielki ciężar w moich ramionach sprawił mi przyjemność, gdy niosłem ją do pokoiku, w którym spędzi najbliższą noc. Lubię patrzeć, jak drżą jej ręce, kiedy wędruje spojrzeniem pomiędzy moimi oczami a tatuażami na przedramionach. W nieudolnych próbach udawania, że mi się nie przygląda, stara się przenieść wzrok na ścianę. Za każdym jednak razem coś przyciąga go z powrotem. Co kilka chwil cykl rozpoczyna się na nowo, a pełne życia błękitne oczy wypełniają się coraz większą paniką, gdy natrafiają na moje. Cała drży, choć ciasno oplata się ramionami.

– Isabelle – zaczynam i przenoszę ciężar ciała na jedną nogę. Przekrzywiam głowę, by móc lepiej przyjrzeć się dziewczynie. Widzę, jak jej piersi unoszą się rytmicznie przy każdym wdechu. – Nie lubię się powtarzać.

Odnoszę wrażenie, że jeszcze bardziej kurczy się w sobie. Już dwa razy zapędziła się w kozi róg, chociaż przyznaję, że zachowałem się okrutnie, prowokując ją do ucieczki. Bawienie się nią nie było miłe z mojej strony, ale ja nie jestem miłym człowiekiem i chciałem sobie popatrzeć. Nie, nie tylko popatrzeć. To nie takie proste. Chciałem odreagować. Kłótnia z Ezekelem wyprowadziła mnie z równowagi. Wróciły uczucia, które, żywiłem taką nadzieję, już dawno zostały pogrzebane. Jak on się czuje tak naprawdę po tylu latach? Wybaczył mi? Z pewnością nie zapomniał, to oczywiste. Ale przecież nie mogę go za to winić. Matka to zupełnie inna historia. Nie spodoba jej się to, co muszę zrobić. Już jej się to nie podoba. Jednak nie będzie się wtrącać.

Potrząsam głową, żeby oczyścić myśli. Powinienem się skupić i skoncentrować na Isabelle Bishop, ponieważ jutro spotka się z moją córką. A zanim to nastąpi, muszę mieć ją pod kontrolą. Zrobię wszystko, żeby ochronić Angelique, i nie zamierzam przy tym przejmować się, ile to będzie kosztowało dziewczynę, która stoi przede mną i się trzęsie.

– Isabelle? – Unoszę brwi.

Zamyka powieki, przyciska do nich dłonie, po czym bierze głęboki wdech. Przygotowuje się na to, co nieuniknione. Dobra dziewczynka. Kiedy opuszcza ręce i otwiera oczy, twarz ma umazaną tuszem do rzęs. Błękitne tęczówki wyglądają obłędnie. Chryste! Jest zajebiście śliczna.

– Dlaczego?

– Dlaczego co? – odpowiadam pytaniem na pytanie, świadomy faktu, że dziewczyna wyczuwa kryjącą się za moimi słowami drwinę. Sprawia ona, że gniew Isabelle rośnie, a ja coraz lepiej się bawię.

– Dlaczego ja? Z jakiego powodu? Co takiego zrobiłam?

– Słuszne pytania – mówię i obchodzę niewielkie pomieszczenie dokoła. Zauważam pajęczyny w rogach pod sufitem, goły, poplamiony materac na wygiętej ramie łóżka. Podnoszę arkusz pergaminu, który spadł na podłogę, i układam go razem z pozostałymi. Kiedy znów spoglądam na Isabelle, stoi z rękoma założonymi na piersi. – Ale z drugiej strony dlaczego miałby to być ktoś inny?

Marszczy czoło. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

– Carlton zrobił coś złego – raczej stwierdza, niż pyta, a tego z kolei ja się nie spodziewałem. Mięśnie szczęki same mi się zaciskają i zdaję sobie sprawę, że nie umyka to

uwadze Isabelle. Widzę, jak zmienia się wyraz jej oczu, jak prostują się plecy.

Wyciągam ręce z kieszeni i idę w stronę dziewczyny. Pochyla ramiona w obronnym geście. Uśmiecham się, łapię ją za nadgarstki i prostuję złożone ręce wzdłuż boków. Wpatruję się w jej usta, zastanawiając się, czy zdaje sobie sprawę, że oblizuje wargi, zawsze gdy jestem tak blisko. Przenoszę wzrok niżej, na wypukłość piersi, a Isabelle próbuje się wyrwać z mojego uścisku. Nie pozwalam na to, tylko odwracam ją tyłem do siebie.

– Trzymaj dłonie na ścianie.

Podnoszę jej ręce nad głowę i przyciskam do zimnego kamienia. Wciąż ją trzymam, kiedy napawam się widokiem. Naprężone ramiona, napięta skóra, wystające łopatki. Przytrzymuję nadgarstki jedną dłonią, drugą odgarniam sięgające pasa włosy za ramię, by obnażyć plecy.

Dziewczyna wciąga ze świstem powietrze, czując mój dotyk na skórze. Ten dźwięk, a także drżenie ciała, gdy zbliżam nos do jej szyi i wdycham zapach, sprawiają, że kutas mi twardnieje. Sam oddycham szybko i płytko, chociaż nawet się jeszcze nie rozebrała. Przełykam ślinę, staram się zapamiętać jej woń. Wiosenna świeżość i niewinność maskujące cierpki odór strachu. Ale ledwie.

Przesuwam brodą w zagłębieniu, gdzie szyja łączy się z barkiem, a Isabelle łąka. Odsuwam się, żeby popatrzeć, jak skóra o oliwkowym odcieniu zaczerwieniła się w miejscu, w którym podrażnił ją zarost, a potem nachylam się do ucha dziewczyny.

– Nie ruszaj się.

Wodzę dłońmi po ramionach, obserwując, jak mój dotyk wywołuje gęsią skórę. Opuszkami palców badam kontury długich, smukłych kończyn, zarys sprężystych mięśni. Kiedy odrywam dłonie od Isabelle, zaciska swoje w pięści, a ja niemal słyszę wewnętrzną walkę, którą ze sobą toczy. Stać spokojnie czy się poruszyć? Wykonać polecenie czy walczyć? – Kazałem ci się nie ruszać – szepczę tuż przy jej uchu, wyczuwając wargami bijący szaleńczo puls. Pozwalam, żeby mój oddech owionął ją i połaskotał, rozkoszując się drżeniem, które wywołał.

Chwilę później dziewczyna znów trzyma dłonie płasko na ścianie, a ja przyglądam się tyłowi jej sukienki. Na górze ma gorset zasznurowany jedwabną tasiemką. Ciągnę pasek materiału, by rozwiązać kokardkę, i zaczynam powoli uwalniać Isabelle z oków ubrania. Skóra pod spodem jest zaczerwieniona i pełna odgniecia, co oznacza, że gorset związane zbyt ciasno.

– Proszę, przestań – błaga, ale nie odrywa rąk od ściany.

– Ciii.

Rozchyłam połę gorsetu. Mój wzrok wędruje w dół jej pleców, a oddech staje się urywany. Mam nadzieję, że tego nie słyszy. Cieszę się, że nie widzi wyrazu mojej twarzy, gdy odciągam materiał na boki na tyle szeroko, by ściągnąć sukienkę przez biodra i pozwolić jej spaść na podłogę. Dziewczyna znów łąka, jej ciałem wstrząsa dreszcz, a ramiona zaczynają sunąć w dół.

– Nie. Ruszaj. Się.

Zatrzymuje ręce w miejscu. Jest posłuszna. Prawdopodobnie dlatego, że czuje przerażenie. Wiem, co według niej mam zamiar zrobić, i po części sam siebie za to nienawidzę. Nie mogę znieść myśli, że pozwalam, by w to wierzyła. Tylko prawdziwy potwór mógłby się zdobyć na coś takiego. Zaciskam dłonie, zamykam oczy i kolejny raz próbuję oczyścić umysł. „Należy do rodziny Bishopów. Nie zasługuje na twoją litość”.

– I nie dostanie jej – szepczę do siebie.

Wracam spojrzeniem do Isabelle. Widzę poszarpaną bliznę biegnącą wzdłuż kręgosłupa. Kolejna skaza. Muszę użyć całej siły woli, by oderwać od niej wzrok. Studiuję krzywizny ciała, napięte mięśnie, zwężenie w talii, krągłość bioder, długie, smukłe nogi, kostki łaskotane przez

pióra sukienki, która spadła na podłogę i leży wokół stóp dziewczyny.

– Jeszcze jeden ślad.

Przykładam opuszki dwóch palców do górnego końca blizny. Czuję zgrubiałą tkankę. Przeciągam nimi wzdłuż szorstkiej linii i słyszę świszczący oddech Isabelle. Skóra na obojczyku została zszycia, chociaż lekarz spieprzył sprawę, ale przy tej bliznie nie ma żadnych śladów po szwach.

– Skąd się wziął? – pytam.

– Upadłam.

– Często ci się to zdarza.

Dziewczyna nie dodaje nic więcej. Wiem, że kryje się za tym jakaś większa historia, ale czas na jej wysłuchanie jeszcze nie nadszedł. Poza tym mam to teraz w dupie.

– Powinnaś bardziej na siebie uważać – mówię i wkładam palce pod gumkę majtek. Pozwalam im opaść na podłogę, jak tylko zsuwam je poniżej linii bioder.

Isabelle wciąga gwałtownie powietrze i wykonuje taki ruch rękami, jakby chciała się zakryć, ale dociskam jej dłonie swoimi, a potem przyciskam się do niej. Czy czuje na plecach wybrzuszenie w moich spodniach? Kurwa.

– Nie ruszaj się, powiedziałem.

Odwraca lekko głowę i widzę, że skóra wokół oczu jest wilgotna i zaczerwieniona.

– Proszę, przestań... Proszę... – Głos jej się łamie.

– Stój spokojnie. Tylko patrzę. – Słowa wylatują szybko z moich ust, a ja zastanawiam się, czemu właściwie to powiedziałem. Dlaczego pozwoliłem sobie na zaoferowanie jej jakiegokolwiek pocieszenia. – Ale musisz stać bez ruchu. W przeciwnym razie na patrzeniu się nie skończy.

Walka ze mną nie ma sensu, już jej to udowodniłem. Kiwa głową na znak zgody. Odsuwam się. Widok Isabelle stojącej pod ścianą, nagiej i bezbronnej, sprawia, że oddech zamiera mi w piersi. Ja pierdolę!

– Odwróć się.

Mój głos brzmi, jakby należał do kogoś innego. Dziewczyna rzuca spojrzenie przez ramię, zanim powoli obraca się przodem do mnie. Nie wie, co zrobić z rękami, i instynktownie próbuje się zasłonić.

– Nie, Isabelle.

Spuszcza ręce wzdłuż tułowia, a ja pozwalam oczom nacieszyć się widokiem. Sięgające pasa włosy wciąż ma przerzucone przez ramię, więc zasłaniają jedną pierś.

– Odgarnij włosy do tyłu.

Z trudem przełyka ślinę i podnosi ręce, by wypełnić polecenie. Widzę, jak trzęsą się jej dłonie, i twardnieją jeszcze bardziej. Ma naprężone sutki, piersi są niewielkie, ale pełne i sterczące. Ledwo będzie co chwycić, ale musi wystarczyć. Brzuch jest napięty, a cipka gładko wygolona, dzięki czemu między nogami wyraźnie widzę szparkę. Ja pierdolę, nie przypominam sobie, kiedy ostatnio tak się podnieciłem przy jakiejś kobiecie.

Zmuszam się, by spojrzeć jej w oczy, i dostrzegam, że wpatruje się w moje krocze. Odczekuję chwilę, pozwalam nacieszyć się widokiem, ale daję do zrozumienia, że przyłapałem ją na gorącym uczynku. W końcu podnosi wzrok.

Oddycham z wysiłkiem, zastanawiając się, czy gdybym wsunął palce między jej nogi, poczułbym wilgoć. Wyczuwam zapach dziewczyny. Pod wonią strachu czai się nuta podniecenia. W mojej piersi wzbiera niski pomruk, a Isabelle kuli się pod ścianą. – Podnieś sukienkę i majtki.

Skonfundowana wyplątuje stopy z materiału i przykuca. Zbierając ubrania, zerka na mnie ukradkiem.

– Buty też.

Dziewczyna się nie podnosi. Zamiast tego klęka gołymi kolanami na wytartym, zatęchłym dywaniku i wyciąga ramię, żeby ich dosięgnąć. Obserwuję, jak rozchylają się jej pośladki, i żałuję, że nie stoję za nią, gdzie miałbym lepszy widok. Poprawiam kutasa przez spodnie. Nakazuję mu cierpliwość. Jeszcze będzie miał swoje pięć minut. Isabelle należy do mnie, nie muszę się spieszyć.

Po chwili wstaje i przyciska do siebie ubrania. Widzę gęsią skórę, która pokryła jej ciało. Tu na dole jest zimno. Nawet w najcieplejsze letnie dni piwnica pozostaje chłodna i wilgotna. Pamiętam to jeszcze z czasów, gdy Zeke, Zoë i ja bawiliśmy się tutaj, zanim ojciec kazał zamontować stalowe drzwi. Zanim odciął piwnicę od reszty domu i zamknął ją na klucz. Chociaż nie sądzę, żebyśmy ja lub brat mieli ochotę wracać tu po tym, co się stało, a na pewno nie wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. Zastanawiam się, czy Ezekiel zszedł tu choć raz od tamtego czasu.

Mrugam i dostrzegam, że Isabelle przygląda mi się z lekko przekrzywioną głową. Muszę zachować przy niej ostrożność. Jest spostrzegawcza. Zbyt spostrzegawcza jak na mój gust. Spuszczam wzrok na jej piersi i zaczynam rozpinać koszulę.

– Przecież powiedziałaś, że...

Jej oczy robią się okrągłe. Przyciska mocniej sukienkę, jakby ten kawałek materiału mógł ją przede mną ochronić. Nic nie mówię, tylko przeciągam koszulę przez głowę i ciskam ją na materac. Wyświadczam dziewczynie przysługę, za którą powinna być mi wdzięczna.

Błądzi wzrokiem po mojej kłacie i brzuchu, rozchyła usta ze zdziwienia na widok tatuaży oplatających ramiona. Na widok smoków. Ale nic jeszcze tak naprawdę nie widziała.

Podnoszę dokumenty z łóżka, po czym zwijam je w rulon.

– Dawaj ubrania – mówię i wyciągam po nie rękę.

– Mówiłeś, że masz zamiar tylko popatrzeć – szepcze.

– Dawaj. Ubrania.

Wyciąga rzeczy w moją stronę, a z oczu spływają jej łzy. Odbieram od niej wszystko i śledzę spojrzeniem trasę, którą pokonały słone krople.

– Spędzisz tutaj dzisiejszą noc. To twoja kara za ucieczkę. Wrócę rano. Jeśli znów spróbujesz zwać, zostaniesz tu na kolejne dwie noce. Nadażasz za moim tokiem rozumowania? – pytam ostro. Zbyt ostro. – Czy mam to jakoś uprościć?

Kiwa głową.

– Rozumiesz czy mam to uprościć?

Wzdycha teatralnie.

– Rozumiem.

Omiata spojrzeniem odrażające pomieszczenie i chociaż w oczach dziewczyny czai się strach, dostrzegam w nich także ulgę. Ulgę, że jej nie dotknę. Może powinienem ją uprzedzić, że wyrok został jedynie odroczone? Nie robię tego jednak. Cóż, to kolejny akt dobroci z mojej strony.

Odwracam się i idę do wyjścia. Przystaję na ułamek sekundy, kiedy słyszę, jak Isabelle wydaje z siebie głośne westchnienie na widok moich pleców. Wychodzę na zimny korytarz, zatraskuję za sobą drzwi i zamykam je na klucz. Ignoruję zjawę, która snuje się za mną w górę schodów. Zatrzyma się przed stalowymi drzwiami. Nie wiem, dlaczego nigdy nie opuszcza piwnicy i nie wraca do miejsc, w których była szczęśliwa.

Szczęście. Czasami wydaje mi się, że to uczucie zostało wymazane z pamięci członków mojej rodziny. W pewnym sensie wspomnienia radosnych chwil są bardziej bolesne, bo żyjemy z pełną świadomością tego, co straciliśmy.

Potrząsam głową i zamykam za sobą stalowe drzwi. Przekręcenie klucza w zamku wymaga nadludzkiego wysiłku. Wmawiam sobie, że to dla Angelique. Dla jej bezpieczeństwa. Nie chcę, by kiedykolwiek schodziła do piwnicy. Za żadne skarby.



## 9 ISABELLE

Żarówka kołysze się pod sufitem, wprawiona w ruch podmuchem powietrza od trzaśnięcia drzwi o futrynę. Słyszę dźwięk klucza przekręcanego w zamku i oddalające się kroki. Nie krzyczę za St. Jamesem, żeby wrócił. Straciłam głos. Kilka chwil później, kiedy światło przestaje drgać, podchodzę do drzwi i szarpnię za nie. Zamknięte na głucho. Czy mogę dzięki temu czuć się bezpieczniej? Czy to coś, czego obecność poczułam na zewnątrz – cokolwiek to było – pozostanie tam? Po drugiej stronie drzwi? Bo przysięgam, że coś tam się czai.

Christiana zawsze bawiła moja strachliwość. Uwielbiał horrory, a ja je z nim oglądałam, choć wiedziałam, że potem przyśnią mi się koszmary. Przygotowywał michę popcornu, siadaliśmy na kanapie, przykrywaliśmy się kocami i włączaliśmy film. Brat śmiał się ze mnie, kiedy w najbardziej przerażających momentach zakrywałam oczy. Później przez kilka dni z rzędu miałam pewność, że widzę lub słyszę duchy. Ale było warto. Stanowiliśmy żyte rodzeństwo, a po śmierci rodziców jeszcze bardziej zbliżyliśmy się do siebie. Strasznie mi go brakuje. Choć minęły trzy lata, odkąd odszedł, tęsknię za nim każdego dnia.

Drzę od przenikliwego, przesyconego wilgocią piwnicznego zimna i łapię koszulę, którą St. James rzucił na łóżko. Po co ją tu zostawił? Nie ochroni mnie zbyt przed chłodem. Waham się przez chwilę, ale tylko przez chwilę. Przebywanie w tym miejscu miesza mi w głowie. W końcu wciągam ją na siebie. Mankiety sięgają do nadgarstków tylko dlatego, że mężczyzna podwinął rękawy aż do łokci, a sama koszula kończy się w połowie uda. Wciąż emanuje jego ciepłem. I zapachem.

Sprężyny materaca skrzypią, kiedy na nim siadam i podciągam nogi. Oplątam kolana rękami, czując dziwną wdzięczność za to, że Jericho zostawił mi choć to okrycie. Dzięki niemu nie czuję się taka samotna. Tak, wiem, jak idiotycznie to brzmi. Facet mnie nienawidzi. Sama jestem bezpieczniejsza niż z nim. Czyż przed chwilą tego nie udowodnił? Na wspomnienie, co się między nami wydarzyło, oblewam się rumieńcem. Przypominam sobie, jak przyciskał moje nadgarstki do ściany, jak mnie rozebrał, dotykał. Między nogami wciąż czuję wilgoć. Nie potrafię jej wytłumaczyć. Wmawiam sobie, że to nie z podniecenia. Że to efekt poniżenia i strachu.

Wplątam palce we włosy i pociągam za pasma, odtwarzając w głowie całą scenę. To, jak zastygłam, gdy rozkazał, żebym się nie ruszała. Że nie musiał mnie przytrzymywać, by zdjąć mi ubrania. Że nie walczyłam, chociaż powinnam. Ale i tak wygrałby bez najmniejszego trudu. Walka z silniejszym przeciwnikiem nie miałaby żadnego sensu.

Przywołuję na myśl tatuaż na plecach St. Jamesa. Mignął mi ledwie przez moment, ale wrył się w pamięć na zawsze. Dwa olbrzymie, splecione ze sobą smoki. Walczące? Nie jestem pewna. Obejmujące się? Przyłapanie w miłosnym uścisku? Musiałabym lepiej się przyjrzeć, żeby rozstrzygnąć wątpliwości. Nie sądzę, bym kiedykolwiek miała ku temu okazję, i nie mogę uwierzyć, że w ogóle o tym myślę. Rysunek pokrywał żywymi barwami całą powierzchnię pleców, a poruszające się pod skórą mięśnie dawały bestiom pozory życia.

Opieram się o zimną ścianę, nie jestem pewna, czy mam ochotę położyć się na wyświechtanym materacu. Jericho powiedział, że wróci rano. Kiedy wychodziliśmy z siedziby stowarzyszenia, było po dziewiątej. Kolację zawsze serwuje się tam późno, więc może przyjdzie już za kilka godzin. Ale czy chcę, żeby wracał? Uporczywe myśli kotłują mi się w głowie przez całą wieczność, aż tracę nadzieję, że dam radę tu zasnąć. Jakiś czas później budzi mnie dźwięk

klucza przekręcanego w zamku. Prostuję się, ocieram kąciki ust i trę oczy. Po chwili drzwi stają otworem, wpuszczając do pokoju mroźny przeciąg, a żarówka kołysze się na kablu. Ogarnia mnie to samo uczucie co wczoraj wieczorem. Nie wyobraziłam sobie tego. Ale cokolwiek powoduje ten chłód, trzymało się od mojej tymczasowej sypialni z daleka. Dopóki nie wrócił Jericho. Czyżby w jakiś sposób to przyciągał?

St. James wygląda, jakby przed momentem wziął prysznic. Włosy ma wilgotne, twarz gładko ogoloną. Ubrał się dość swobodnie, w granatowe dżinsy i ciemnografitowy sweter z kaszmiru. Z dekoltu w szpic wypełzają krawędzie tatuażu. Dłonie trzyma w kieszeniach spodni. Podwinął rękawy, więc dokładnie widzę smocze ogony. Tym razem dostrzegam także zegarek, drogi, na metalowej bransolecie. Na jego nadgarstku wygląda na zbyt delikatny. Nie pasuje do niego. W końcu tatuaż znów przykuwa moją uwagę. Mężczyzna stoi bez ruchu i pozwala się sobie przyglądać. Czuję, jak rumieniec wypełza mi na twarz, i zażenowana odwracam głowę. Zachowuję się, jakbym nie mogła oderwać od niego wzroku. Przyzwyczaiłam się do sposobu bycia Carltona. Do dominacji, może nawet tyranizowania. Ale Jericho St. James jest inny. To wcielenie siły. Potęga zabójcza niczym huragan.

– Dzień dobry – mówi, a ja nie odpowiadam. – Dobrze ci się spało? – Jeden kącik jego ust sunie ku górze.

– A jak myślisz?

Nie silę się na uprzejmość. Jestem wyczerpana i spragniona, gardło mam tak wyschnięte, że ledwie mogę przełykać. Nie wspominając już o tym, jak bardzo zmarzłam.

– Życzysz sobie spędzić tutaj kolejne dwie noce?

Zakładam ręce na piersi, a jakiś głos w mojej głowie każe mi zachować ostrożność.

– Czy twoje milczenie oznacza, że masz na to ochotę? Bo jeśli tak, to... – urywa i robi krok w tył.

– Nie! – Błyskawicznie zeskakuję z łóżka. – Chciałabym stąd wyjść. – Jericho sugestywnie patrzy mi w oczy, więc przełykam nędzne resztki zranionej dumy. – Proszę.

Uśmiecha się.

– Tak lepiej.

Odsuwa się i wskazuje korytarz ręką. Waham się, ponieważ wiem, że znów może ze mną igrzać, lecz nie mam wyboru. Wymijam St. Jamesa, uważając, by go nie dotknąć, co okazuje się trudne ze względu na jego gabaryty. Kiedy znajduję się już na zewnątrz, chwytą mnie za ramię i odwraca tak, bym na niego spojrziała.

– Ani piśnij, zrozumiano?

– A to czemu? Czyżby pozostali mieszkańcy nie wiedzieli, że mnie porwałeś?

Znów się uśmiecha.

– Ależ wiedzą, ale jest dość wcześnie i moja córka jeszcze śpi.

Jego odpowiedź zbija mnie z tropu.

– Twoja... córka?

Macha w stronę schodów.

– Idź.

Jericho St. James ma dziecko? Czy to znaczy, że ma też żonę? Kobieta, która leży teraz w jego łóżku? W takim razie dlaczego wczorajszej nocy zrobił te wszystkie rzeczy? Dlaczego mnie rozebrał i dotykał? Stał mu. Widziałam to i czułam. Co dziwne, mam wrażenie, jakbym została przez niego zdradzona, choć to absurdalne. Jeśli ktokolwiek mógłby poczuć się w ten sposób, to wyłącznie pani St. James. Ruszam, ale po drodze rzucam mu spojrzenie przez ramię. Może żyją w otwartym związku? Może nie przeszkadza jej, że mąż sypia z innymi? I wtedy uświadamiam sobie, że przecież nie zostaliśmy kochankami. On mnie poniżył. Taki był jego



jedyny cel i udało mu się go osiągnąć. Koniec pieśni.

Zatrzymuję się u podnóża schodów, ponieważ stalowe drzwi na górze są uchylone i przesącza się przez nie światło. Jericho kiwa głową, więc idę w tamtą stronę. Gdy wychodzimy do hallu, rozglądam się dokoła. Widzę, że światło wydobywa się zza rogu, skąd dochodzą także odgłosy garnków i patelni, odkręcanej wody, zapalania kuchenki gazowej. Zwyczajne dźwięki zwyczajnego domostwa.

Czekam, aż mężczyzna zamknie drzwi na klucz, a potem podążam za nim korytarzem, przez który Dex włókł mnie poprzedniej nocy do piwnicy. Wszystkie mijane po drodze pomieszczenia są zamknięte, a ja odczuwam swego rodzaju radość na myśl, że drzwi do nich wykonano z drewna, nie ze stali. W końcu docieramy do okrągłego westybulu, a moim oczom ukazują się kolejne drzwi. Tym razem frontowe.

– Pamiętaj, że jeśli zaczniesz uciekać, spędzisz na dole kolejne dwie noce – mówi Jericho, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem, i zaczyna wchodzić na piętro.

Kiedy wspina się po schodach, patrzę na zmianę to na jego szerokie plecy, to na wyjście, i wiem, że nie ma sensu próbować. Dom stoi na obszernej działce. Minęło kilka dobrych minut, nim wiozący nas rolls-royce przejechał spod bramy na okrągły podjazd pod rezydencją. Dlatego idę za St. Jamesem na górę. Marmurowa posadzka ziębi moje bose stopy niczym lód. Na podeście leży puszysty ciemnoniebieski chodnik, który tłumi odgłosy jego butów, a moje nogi chroni przed chłodem. Jericho skręca w lewo, a ja podążam za nim i liczę drzwi – po tej stronie korytarza jest ich sześć. W końcu docieramy do podwójnych na samym jego końcu. Mężczyzna otwiera jedno skrzydło, po czym gestem wskazuje, bym weszła do środka.

Przekraczam próg i moim oczom ukazuje się ogromne łoże z baldachimem stojące pośrodku. Z zaciekawieniem błądzę wzrokiem po sypialni. Jericho wchodzi za mną i zamyka za sobą drzwi na klucz. Zastanawiam się, czy robi to, by się upewnić, że jego córka w niczym nam nie przeszkodzi. Wracam myślami do domniemanej żony, ale wygląda na to, że tylko jedna połowa łóżka jest używana. Dokoła widzę meble i rzeczy osobiste, które mogą należeć wyłącznie do mężczyzny. Przez oparcie krzesła przewieszono marynarkę, a w powietrzu unosi się zapach wody kolońskiej. Jego wody kolońskiej. Ta woń już zawsze będzie kojarzyła mi się z nim. Nigdy wcześniej nie wahałam niczego podobnego. To mieszanina aromatów skóry, ziemi oraz drzewa sandałowego, i wiem, że jeśli kiedykolwiek jeszcze poczuję ten zapach, przypomni mi on o Jerichu St. Jamesie.

Przyglądam się wytapetowanym ścianom, głębokiej czerni północy przełamanej bladym różem wstającego świtu, aksamitnym zasłonom w kolorze obsydianu, które muszą mieć ze cztery metry długości, bo ciągną się od sufitu do samej podłogi. Wciąż są zasunięte i blokują dostęp dziennego światła. Mrok sypialni rozprasza jedynie lampka nocna przy łóżku. Umeblowanie jest skąpe, składa się z obitych skórą w kolorze koniaku foteli i otomany, komody z ciemnego drewna i dwóch szafek nocnych do kompletu. Proste linie, nie całkiem nowoczesne, lecz stylowe. Wszystko na wskroś męskie. Gdy odwracam się w stronę właściciela domu, napotykam jego wzrok.

– Musisz się wykapać – oznajmia, a ja mrużę oczy.

– Czyżbym pachniała jak zatęchła piwnica? A może jak zapleśniały materac?

– I jedno, i drugie, z dominującą nutą strachu – odpowiada, po czym podchodzi do otwartych drzwi łazienki. Zapala światło i czeka, aż wejdę do środka.

Marzę o prysznicu, ale za nic mu się do tego nie przyznam. Przechodzę obok Jericha i wkraczam do przestronnej łazienki wyłożonej czarnymi i szarymi płytkami. Prostokątne lustro ciągnie się wzdłuż zajmującego całą ścianę blatu z dwiema umywalkami, na przeciwległym końcu stoi wanna na czarnych łapach. Prysznic został oddzielony od reszty pomieszczenia

szklanymi ściankami i przewidziany na dwie osoby.

Rezydencja Bishopów jest wielka i świadczy o tym, że pieniądze były w rodzinie od pokoleń, ale została wykończona w zupełnie innym stylu. Większość pokoi aż się prosi o generalny remont. Moja sypialnia jest niewielka w porównaniu z resztą pomieszczeń, może ciut większa od tej ponadwymiarowej łazienki. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego Carlton dał mi tamten pokój, skoro w domu jest tyle większych i lepiej umeblowanych, które stoją puste. Nie żebym się tym przejmowała, po prostu byłam ciekawa. Odczuwałam wobec niego ogromną wdzięczność, że w ogóle mnie przygarnął, ponieważ w przeciwnym razie najpewniej wyładowałabym na ulicy.

– Nie wspominając o szczątkowej, lekko piżmowej woni podniecenia – dodaje Jericho.

Wytrąca mnie tymi słowami z toku myślenia. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, o co mu chodzi. Odnosi się do mojego zapachu. Serce wali mi jak szalone. On wie!

– Masz wyjątkowo czuły zmysł powonienia, ale z tym ostatnim nie trafiłeś. Przyznaję się jednak do strachu. Twoja piwnica jest nawiedzona.

Przez sekundę na jego twarzy gości dziwny wyraz, który znika tak szybko, że nie jestem pewna, czy coś mi się nie przywidziało. Wykorzystuję jednak zdobytą przewagę i brnę dalej.

– To twoja sypialnia i twoja łazienka. – Kiwa głową. Zauważam, że przestał się zachowywać w ten specyficzny, arogancki sposób. Moje słowa wytrąciły go z równowagi. – Twojej żonie nie będzie przeszkadzać, że kąpię się u ciebie pod prysznicem?

Serce prawie wyskakuje mi z piersi, gdy widzę emocje malujące się na jego twarzy. One także znikają po chwili, ale trwają na tyle długo, że udaje mi się dostrzec prawdziwe oblicze St. Jamesa. Człowieka, który tylko udaje, że wykuto go ze stali.

Nagle zaciska usta w wąską kreskę, mruży oczy i patrzy na mnie wzrokiem o mocy lasera. Chyba dotknęłam czulej struny... i zaraz za to zapłacę.

– Rozbieraj się – nakazuje nieznośnym sprzeciwu, ochryplym głosem. Ręce opuścił wzdłuż tułowia, dłonie zacisnął w pięści. Jego klatka piersiowa porusza się powoli, w rytm głębokich wdechów i wydechów.

Próbuję przełknąć ślinę, lecz gardło mam zbyt wyschnięte. Na blacie, tuż obok umywalki, dostrzegam szklankę.

– Mogę się najpierw napić wody?

Przygląda mi się przez moment, po czym kiwa głową. Podchodzę do umywalki i oddycham z ulgą. Odkręcam kran, nalewam wody i piję. Szum przypomina mi, że muszę skorzystać z toalety, ale przecież nie poproszę go o pozwolenie. To by była przesada, nawet biorąc pod uwagę, jak bardzo stara się zrobić ze mnie uległą.

Gdy wracam do niego spojrzeniem, stoi dokładnie w tym samym miejscu co wcześniej. Mierzy wzrokiem moją osobę z taką miną, jakby w myślach recytował po kolei wszystkie powody, dla których mnie nienawidzi. Ten widok sprawia, że ciarki przebiegają mi po plecach.

– Co zrobił ci Carlton? – pytam cicho.

Wiem, że musiało to być coś strasznego. I mam szczerą nadzieję, że nie miało nic wspólnego z żoną St. Jamesa. Bo w tej rezydencji nie ma jego żony, jestem tego pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent.

„Błagam, Boże, niech się okaże, że nie stoi za tym mój brat”.

Mężczyzna nie odpowiada na moje pytanie. Zamiast tego syczy przez zęby:

– Rozbieraj się.

Kiwam głową i zaczynam rozpinąć jego koszulę, którą wciąż mam na sobie. Palce działają nieporadnie, kiedy na zmianę to popatruję na niego, to staram się skoncentrować na zdejmowaniu ubrania. W końcu się poddaję i ściągam koszulę przez głowę. Wyciągam ją w jego

stronę, by mógł ją ode mnie odebrać. Tym razem nie spuszcza wzroku z moich oczu. Gestem wskazuje mi prysznic, a sam opiera się o futrynę drzwi i zakłada ręce na piersi.

Wchodzę do przeszklonej kabiny i odkręcam wodę. Odskakuję, gdy ochlapują mnie pierwsze lodowate krople, które nie zdążyły się jeszcze nagrzać. Nim wracam pod strumień, spoglądam przez ramię, by się upewnić, że wciąż tam stoi, nieruchomy niczym głaz, i mnie obserwuje.

Kąpię się więc. Zmywam z twarzy makijaż, myję włosy należącym do St. Jamesa szamponem, mimochodem zauważam brak odżywki na półce, a potem biorę do ręki wilgotną, spienioną kostkę i namydlam resztę ciała. W tym momencie robi się dziwnie, nazbyt intymnie. Używam jego mydła, pocieram nim swoją skórę. Ciekawe, czy on myśli o tym samym.

Kiedy kończę, zakręcam wodę i rzucam okiem na stojak pełen poskładanych ręczników. Jericho nie wykonuje żadnego ruchu, więc wychodzę z kabiny i sięgam po jeden, boleśnie świadoma wody spływającej po moim ciele oraz błędzących po nim obcych oczu. I wtedy męczyzna odrywa się od futryny. Nasze spojrzenia się krzyżują, gdy podnosi ręcznik i pozwala mu się swobodnie rozłożyć. Owija mi go wokół ramion – ciasno, zbyt ciasno – a potem mnie przyciąga.

Instynktownie wyciągam przed siebie mokre dłonie i opieram je o jego klatkę piersiową, żeby na niego nie wpaść całym ciałem. Pod palcami czuję mięśnie rysujące się pod miękkim materiałem swetra i żar skóry. Przełykam ślinę, wpatrując się w oczy St. Jamesa, jedno ciemnoniebieskie jak niebo o północy, drugie szare jak stal.

– Nigdy więcej o niej nie wspominaj. – „Cholera, miałam rację”. – Rozumiesz? – Potakuję, a on ciągnie za końce ręcznika, aż czuję nieprzyjemny ucisk na barkach i ramionach. – Nie pytaj o nią, a już tym bardziej nie wspominaj o niej przy mojej córce. Zrozumiałaś, Isabelle Bishop?

Wymawia moje nazwisko, jakby wypluwał z ust coś obrzydliwego. Nienawidzi mnie. Boże, jakąż odrazą go napawam. Potrząsa mną raz po raz.

– Tak! – odpowiadam krzykiem.

– To dobrze. A jeśli się zapomnisz, jeśli kiedykolwiek się, kurwa, zapomnisz, to będziesz mnie błagać, żebym pozwolił ci dożyć końca twoich dni w tym zatęchłym pokoju w piwnicy w nadziei, że tam nie dosięgnie cię moja kara. Wyrażam się wystarczająco, kurwa, jasno?

Z trudem przełykam ślinę, a całe ciało zaczyna drżeć, jakby w łazience zapanował nagły ziąb. Kiwam głową. Nie przestaję tego robić, dopóki mnie nie uwalnia i nie puszcza ręcznika, który spada na podłogę. Wtedy odwraca się, wychodzi z pomieszczenia i z hukiem zatrząskuje za sobą drzwi.

## 10 ISABELLE

Ręce nie przestają mi się trząść, kiedy schylam się, żeby podnieść ręcznik. Zamykam drzwi do łazienki na zamek, chociaż Jericha nie ma już w sypialni. Wiem, że sobie poszedł, ale i tak odczuwam wewnętrzny przymus, by to zrobić.

Otulam ramiona ręcznikiem i siadam na zamkniętej klapie sedesu. Cała dygoczę, więc podciągam kolana pod brodę, żeby się ogrzać. Ależ ten facet mnie nienawidzi. Dopóki żyli moi bliscy, czułam się kochana. Ja, rodzice i Christian darzyliśmy się nawzajem ogromną miłością. A potem trafiłam pod opiekę Carltona. Wciąż się zastanawiam, czemu postanowił się mną zająć. Z początku myślałam, że zrobił to ze względu na łączące nas pokrewieństwo, że żywił do mnie pozytywne uczucia, bo jestem jego przyrodnią siostrą. Potem, gdy lepiej go poznałam i zobaczyłam, jak szarmancko zachowywał się wobec naszej kuzynki Julii, zrozumiałam, że dał mi schronienie, bo musiał. Mnie traktuje z rezerwą, wręcz obojętnością, podobnie jak swoją żonę Monique. Zaobserwowałam to, choć rzadko ją widywałam przez te trzy lata, które spędziłam w posiadłości Bishopów, ponieważ są w trakcie separacji. Nie wiem, jak długo ma ona potrwać. Według Julii małżonkowie oddalili się od siebie ze względu na liczne poronienia, których doświadczyła Monique. Ale nie to zaprzęta teraz moją głowę, tylko Jericho St. James. Nienawiść, którą wobec mnie żywi, jest innej natury niż niechęć Carltona. Uczucia mojego brata nie są aż tak silne. Po prostu nie wykazuje zainteresowania moją osobą, a w najgorszym razie nie przepada za mną. Jericho zaś serdecznie mnie nienawidzi i świadomość tego faktu jest przerażająca.

Moim ciałem wstrząsa dreszcz. Zmuszam się, by wstać i wytrzeć się do sucha. Owijam się szczelnie ręcznikiem, zawiązuję go, by nie spadł, a następnie patrzę na swoje odbicie w lustrze. Wciąż jest lekko zaparowane wzdłuż krawędzi. Wyglądam na przemęczoną, skóra pod oczami przybrała siny odcień, cera zbladła. Muszę rozczesać włosy, ale po krótkich poszukiwaniach znajduję w szufladzie jedynie gęsty grzebień, więc tylko zbieram je w kitkę i skręcam, by wycisnąć tak dużo wilgoci, jak tylko się da. Potem przerzucam włosy przez ramię.

Nie wiem, co mam teraz zrobić. Zostać w łazience? Zejść na dół? Zaczekać na Jericha w pokoju? Czego tak w ogóle ode mnie oczekuje? I co robię w jego domu? Zanim udaje mi się zdecydować, co dalej, słyszę, jak drzwi do sypialni otwierają się i zamykają. Tętno przyspiesza, choć nie jestem pewna, czy to on. Wcześniej trzasnął tak, że ściany zadrżały. Kiedy słyszę delikatne pukanie do drzwi łazienki, aż podskakuję.

– Isabelle? – słyszę damski głos. – Przyniosłam ci ubrania. Wyjdź, proszę. Z pewnością jesteś głodna, a śniadanie już gotowe. – Wydaje mi się, że głos należy do starszej pani. Brzmi dość przyjaźnie. – Jericha tutaj nie ma – dodaje po chwili, jakby wiedziała, dlaczego zaszłam się w środku.

Zmuszam się, by podejść do drzwi i je otworzyć. Kobieta, która stoi po drugiej stronie, robi kilka kroków w tył, żeby dać mi trochę przestrzeni. Kiedy nasz wzrok się spotyka, uśmiecha się i choć grymas ten wydaje się dość neutralny, w jej oczach dostrzegam zmartwienie.

– Jestem Leontine St. James. Jericho to mój syn.

– Och!

Cóż za niespodzianka, mój „gospodarz” ma matkę. Jak widać, nawet potwory je mają.

Kobieta bierze wdech, podchodzi do łóżka i wyglądam pościel. Przypuszczam, że Jericho St. James jest ponad to, by samemu je ścielić. Na narzucie dostrzegam znajome ubrania. Dżinsy i chabrowa koszulka henley z pewnością należą do mnie, podobnie jak sandałki.

– Skąd pani to wzięła? – pytam, gdy Leontine kończy pracę.

– Syn kazał przywieźć te ubrania z samego rana. Twój pokój jest już prawie gotowy. Pewnie pokaże ci go zaraz po śniadaniu. Załóż je, proszę, to zejdziemy na dół. – Podchodzi do mnie i przygląda się kołtunowi na mojej głowie. – Dam ci kilka minut, żebyś mogła spokojnie się ubrać, i poszukam jakiejś szczotki do włosów, dobrze?

Kiwam głową. Leontine uśmiecha się i wychodzi. Zastanawiam się, czy nie zamknąć drzwi na klucz, ale ostatecznie rezygnuję z tego pomysłu i ubieram się pośpiesznie. Pod ciuchami znajduję jasnoróżowe majteczki oraz stanik do kompletu. Nie należą do mnie, ale mają metki, więc zrywam je i zakładam bieliznę. Lepsze to niż noszenie ubrań na gołe ciało. Właśnie zapinam dżinsy, kiedy słyszę pukanie do drzwi. Po chwili pani St. James otwiera je i wsuwa głowę do środka. Wchodzi, dopiero gdy się upewnia, że nie jestem goła.

– Do twarzy ci w tym kolorze – komplementuje bluzkę.

Patrzę w dół i przez chwilę rozważam zapięcie ostatniego guzika, czego zazwyczaj nie robię, ale koniec końców zostawiam go tak, jak jest. Leontine wręcza mi drewnianą szczotkę i buteleczkę sprayu ułatwiającego rozczesywanie. – Kiedyś sama go potrzebowałam, ale te czasy minęły – mówi i dotyka delikatnych pasemek siwych włosów. Są króciutkie i rzadkie, przez co odnoszę wrażenie, że kobieta zmaga się z poważną chorobą. Być może z tego samego powodu szyję ma owiniętą jedwabną apaszką pomimo upału. – Odrastają siwe, chociaż kiedyś były równie ciemne jak twoje.

– Dziękuję. Pójdę do lustra, żeby je rozczesać.

– Oczywiście. – Kobieta siada na skraju łóżka. – Zaczekam na ciebie.

Idę w stronę łazienki, ale zatrzymuję się w progu i odwracam, by zerknąć na Leontine. Kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, posyła mi uśmiech, ale nie ma w nim śladu bez troski.

– Nie rozumiem, dlaczego... – urywam w połowie zdania. O co miałabym ją zapytać? Dlaczego jej syn mnie porwał? Skoro tu przyszła, to pewnie jest współwinna. Na szczęście postanawia wybawić mnie z kłopotu i nie muszę kończyć.

– Jericho wszystko ci wytłumaczy. – Spogląda na zegarek. – Lepiej się pośpieszmy. Angélique pewnie już zeszła na śniadanie.

– To jego córka?

Kobieta potakuje.

– Ile ma lat?

– Pięć.

– Och...

„Takie małe dziecko”.

Wchodzę do łazienki wdzięczna Leontine za przyniesienie szczotki oraz sprayu i rozczesuję włosy. Zaplatam je w warkocz, przerzucam go sobie przez ramię i związuję gumką wypatrzoną wcześniej w jednej z szuflad. W tej postaci będą schnąć przez wieki, ale z narzędziami, którymi dysponuję, to i tak najlepsza opcja. Kiedy wracam do sypialni, oddaję szczotkę i butelkę matce Jericha.

– Zniosę je później do twojego pokoju. Mnie nie są potrzebne.

Mój pokój. A więc nie będę musiała spać tutaj? Nie zadaję jednak tego pytania na głos. Zamiast tego mówię:

– Dziękuję.

– Ależ nie ma za co.

Kobieta podchodzi do drzwi, otwiera je i gestem zaprasza, bym za nią ruszyła. Schodzimy na dół. Już na stopniach do moich nozdrzy dolatuje zapach grzanek na maśle, smażonego bekonu, jajeczniczy i, co najważniejsze, kawy.

Odczuwam niepokój, idąc za panią St. James imponującymi schodami obok gabinetu, do którego zostałam przyprowadzona poprzedniej nocy prosto z samochodu, a potem w stronę kuchni. Skręcamy i wchodzimy do jadalni przez łukowate przejście. Ledwie zauważam sklepienia sufitu, marmurowe filary, twarze siedzących przy stole osób rozświetlone promieniami porannego słońca, bo jedyne, co widzę, to oblicze mojego diabła siedzącego u szczytu. Jak za dotknięciem magicznej różdżki całe ciepło wyparowuje z pomieszczenia dokładnie w chwili, kiedy jego wzrok pada na mnie.



## 11 JERICHO

Angelique milknie, gdy do jadalni wchodzi Isabelle. Wpatruje się w nią z szeroko otwartą buzią i oczami jak spodki. Ja także przenoszę wzrok na pannę Bishop i uważnie się jej przyglądam. Chwała Bogu, urodę odziedziczyła po matce. Wszyscy Bishopowie mają rumianą karnację, jasne włosy i wodniste oczy. Jej skóra ma oliwkowy odcień, a włosy są czarne jak noc, teraz nawet ciemniejsze, ponieważ jeszcze nie wyschły. Grube pasma zaplotła w długi warkocz, który przerzuciła przez ramię. Chociaż nie zrobiła sobie makijażu, wciąż wygląda tak pięknie jak wczorajszej nocy. Może nawet piękniej dzięki widocznej w oczach bezbronności. Zeke odchrząkuje i wstaje. Ja nie.

– Isabelle – mówi i okrąża stół. Wyciąga do dziewczyny dłoń. Kurwa, on naprawdę chce uścisnąć jej rękę. Chyba muszę z nim pomówić o znaczeniu słowa „lojalność”. – Jestem Ezekiel, brat Jericha.

Dziewczyna zerka to na jego twarz, to na dłoń. Pewnie gest Zeke’a zdziwił ją nie mniej niż mnie, więc mija kilka chwil, nim go odwzajemnia. Gdy w końcu to robi, w mojej piersi wzbiera dziki, pierwotny pomruk. Opieram się rękoma o stół i wstaję, wpatrując się w brata, który rzuca mi spojrzenie, zanim wypuszcza dłoń Isabelle.

– Mamo – mówi i rusza w stronę matki, by pomóc jej usiąść, na parę sekund zasłaniając dziewczynę przed moim wzrokiem.

– Nie jestem kaleką, chłopcy. Nie wiem, ile razy mam to jeszcze powtórzyć.

– Siadaj – mówię do Isabelle i wskazuję dłonią miejsce naprzeciwko mnie.

W przeciwieństwie do Ezekiela nie mam w sobie nic z rycerza. Isabelle patrzy na krzesło i podchodzi do niego na sztywnych nogach, a ja nie przestaję się jej przyglądać. Zauważam chabrową bluzkę rozpinaną od góry do dołu z niezapiętym górnym guzikiem. Kolor tkaniny pasuje do błękitu oczu dziewczyny. Poza tym założyła dżinsy i buty na płaskiej podeszwie. Kazałem przywieźć jej ubrania, teraz muszę przejrzeć je osobiście i zdecydować, co będzie mogła nosić.

Spojrzenie Isabelle zatrzymuje się na mojej córce. Widzę, że stara się do niej uśmiechnąć. Siadam i kładę dłoń na rączce Angelique.

– To Isabelle – tłumaczę jej i zakładam niesforny loczek za ucho. – Zostanie z nami przez jakiś czas.

– Belle? – pyta mała. – Jak w mojej książeczce?

Przywołuję na twarz wymuszony uśmiech i kiwam głową. Mam ochotę powiedzieć córce, że z Isabelle Bishop żadna księżniczka, ale się powstrzymuję.

– Isabelle, to moja córka Angelique.

– Miło mi cię poznać – wita się dziewczyna. – Mój młodszy kuzyn mówi mi Belle.

– To moje ulubione imię – odpowiada Angelique, czym absolutnie mnie zaskakuje. Jest bardzo nieśmiała, najprawdopodobniej z mojej winy. Przez całe jej krótkie życie trzymałem ją z dala od ludzi. Do tej pory poznała babcię, Zeke’a, Dexa, a także kilkoro strażników i członków personelu, ale nikogo więcej. Nigdy. Kiedy z rzadka ma okazję kogoś spotkać, zazwyczaj chowa się za pluszowym misiem, z którym się nie rozstaje, albo za mną.

– Myślę, że od dzisiaj moim ulubionym imieniem będzie Angelique – odwzajemnia uprzejmość Isabelle, a córka w jednej chwili się rozpromienia.

– Naprawdę?

– Naprawdę – przytakuje dziewczyna z uśmiechem.

Zastanawiam się, czy nadal będzie tak miła wobec małej, kiedy zacznie mnie szczerze

nienawidzić. Bo ten moment na razie nie nadszedł. Pewnie odczuwa przede mną strach, i to się raczej nie zmieni, ale jeszcze mnie nie zna i nie wie, co zamierzam z nią zrobić. Nikt nie wie, co planuję. Rytuał gwarantuje Isabelle pewną ochronę, ale ja zamierzam ją tego pozbawić. Carlton się zgodzi, bo nie będzie miał innego wyjścia, kiedy zobaczy resztę artylerii, jaką gromadzę przeciwko niemu. Czekam tylko, aż Santiago wypełni swoje zadanie. Wtedy zacznę działać.

Do jadalni wchodzi Catherine, kucharka, która pracowała dla rodziny, odkąd byłem małym chłopcem, niosąc tacę grzanek smażonych na maśle. Przygotowała je na prośbę Angelique. Widzę, jak puszcza do niej oczko, i słyszę pełne zachwyty westchnienie córki, gdy stawia naczynie pośrodku stołu.

– O, wow! – wykrzykuje mała na widok kopczyka grzanek posypanych cukrem pudrem.

– Bardzo proszę, słoneczko – mówi Catherine, a ja podnoszę na nią wzrok.

– Nie ma czegoś zdrowszego?

Kobieta unosi brwi.

– Pamiętam, jak ty lubiłeś śniadania na słodko, Jericho – mamrocze. – Ale oczywiście jest.

W jadalni zjawia się kilka pokojówek niosących półmiski wypełnione jajecznicą, smażonym bekonem, pokrojonymi owocami oraz dzbanki świeżo wyciśniętych soków.

Catherine stawia talerz przed Angelique, nalewa dorosłym kawy i wychodzi. Patrzę na zachwyconą minę córki wcinającej grzanki. Usta i policzki ma białe od cukru pudru, który osypuje się na głowę siedzącego na jej kolanach misia. Podchodzi do niej babcia, odgarnia włosy z twarzy i spina je z tyłu, by nie przeszkadzały w jedzeniu, a potem wraca na swoje miejsce i smaruje masłem pajdę chleba. Sączę kawę, przyglądając się matce. Odgryza kawałek i odkłada kromkę. Wstaję, biorę talerz i nakładam na niego jajecznicę oraz kilka pasków chrupiącego bekonu.

– Biało – mówię. – Musisz jeść, żeby odzyskać siły.

Mama przechodzi rekonwalescencję po chemioterapii i chociaż cieszę się, że ten etap ma już za sobą, to proces dochodzenia do zdrowia jest długi i powolny. Kilka miesięcy temu nie mieliśmy nawet pewności, że uda jej się dożyć tej chwili, więc każdego dnia dziękuję za to Bogu.

Posyła mi uśmiech.

– Przecież jem – oznajmia i wskazuje dłonią Isabelle. – A ty powinieneś sprawić, by twój gość poczuł się na tyle swobodnie, by czegoś skosztować.

Mój gość, też coś. Nie mam, kurwa, zamiaru sprawiać, by Bishopówna czuła się swobodnie w moim domu. Niechętnie wstaję od stołu i podchodzę do miejsca, gdzie siedzi. Dziewczyna sztywnieje, gdy się nachylam, by podnieść jej talerz.

– Ty także będziesz potrzebowała dużo siły – szepczę na tyle cicho, by tylko ona mogła mnie usłyszeć, a potem nakładam jej jajek, bekonu, grzanek i owoców. Na talerzu piętrzy się prawdziwa góra jedzenia, ale nie mam wątpliwości, że pochłonie ją do ostatniego okruszka. Wczoraj nie zjadła kolacji, a nie zaszkodziłoby jej, gdyby przytyła parę kilo. Prostuję się i patrzę na czubek głowy Isabelle, gdy omiata wzrokiem stertę żarcia. – Jedz. Zeke przygląda się scenie bez słowa, po czym odwraca, by pomóc Angelique z nożem i widelcem. Jest mała, ale obserwuje nas i naśladuje. Nigdy nie przebywała w towarzystwie innych dzieci, otaczają ją sami dorośli. Zastanawiam się, jak przyjęliby ją rówieśnicy. Czy uznaliby córkę za dziwadło? Czy wyśmiewaliby się z niej z powodu jej różnokolorowych tęczówek – jednej niebieskiej, a drugiej szarej – czyli odziedziczonej po mnie heterochromii? Na szczęście nigdy nie będzie musiała znosić takich szykan. Choć wróciliśmy do domu, jej życie niewiele się zmieni. W tym tygodniu pracę zacznie prywatna nauczycielka, którą zatrudniłem, a Angelique będzie bezpieczna w miejscu, gdzie możemy ją obserwować i chronić.



Całuję córkę w czubek głowy, nim wracam na miejsce, by dokończyć jajecznicę z boczkiem. Kilka minut później dzwoni telefon Zeke'a i brat wychodzi z jadalni, żeby go odebrać. Gdy Angelique kończy jeść, matka zabiera ją od stołu. Zostajemy z Isabelle sami.

– Będiesz mogła wstać, dopiero jak skończysz jeść – oznajmiam, gdy odkłada sztućce.  
– Na talerzu został tylko boczek.

– Już skończyłam.

– Nie wiem, jak zostałeś wychowana, ale w tym domu uczono nas, że jedzenia nie powinno się marnować.

– Mojemu wychowaniu nic nie można zarzucić i nie mam w zwyczaju marnować jedzenia, ale skoro nałożyłeś mi całą górę na talerz, nie zapytałeś wcześniej, czy jem mięso, pomóż mi dokończyć posiłek.

Zaskakuje mnie jej reakcja, ale cieszę się, że dziewczyna ma mocny kręgosłup. Uśmiecham się, wstaję od stołu i podchodzę do Isabelle. Nie spodziewała się tego, więc zaczyna się wiercić na krześle. Siadam tuż obok niej.

– Jesteś wegetarianką?

Kiwa głową. Dziwię się, że udało się jej pochłoniąć całą resztę. Przyznaję, że było tego sporo. Podnoszę palcami kawałki boczku z talerza i pod czujnym spojrzeniem zjadam jeden po drugim. Wycieram właśnie ręce serwetką, gdy w wejściu do jadalni staje Dex. Isabelle sztywnieje, a jej dłonie zaciskają się mocno na drewnianych podłokietnikach.

– Pokój gotowy – informuje Dex, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem.

Wstaję i zwracam się do Isabelle:

– Idziemy.

Odsuwam jej krzesło od stołu, a ona się z niego zrywa. Ledwie dotykając opuszkami palców dół jej pleców, kieruję ją w stronę schodów. Kiedy mijamy korytarz zakończony stalowymi drzwiami prowadzącymi do piwnicy, czuję, jak się spina. I dobrze. Zwalniam kroku. Rozluźnia się, dopiero gdy zostawiamy tę odnogę za sobą i zaczynamy wchodzić po stopniach.

– W lewo – mówię po dotarciu na szczyt.

Rzuca mi podejrzliwe spojrzenie przez ramię, ale idzie we wskazanym kierunku. Kiedy dochodzimy do drzwi tuż obok tych, które prowadzą do mojej sypialni, zatrzymuję Isabelle, kładąc dłoń na jej ramieniu, i pchnięciem otwieram je na oścież. Dziewczyna przekracza próg, a ja wchodzę za nią. Zamykam drzwi na klucz, po czym z przesadnym pietyzmem wkładam go do kieszeni i się odwracam.

Napotykam wzrok Isabelle, ale zostawiam ją bez słowa i idę do łazienki umyć ręce. Gdy wracam, stoi nadal w tym samym miejscu. Rozgląda się dokoła ze zmarszczonym czołem, w każdym kącie dostrzegając coś, co do niej należy.

– To moje rzeczy – mówi.

– Przynajmniej niektóre z nich.

– Twoja matka powiedziała, że kazałeś je tu przywieźć. – Podchodzi do przeciwległej ściany, pod którą leży futerał ze skrzypcami, i gładzi go.

– Grasz?

Nic nie wiem ani na temat samego instrumentu, ani na temat biegłości Isabelle w grze na nim. Mogę tylko zgadywać, że nie ma wielkich umiejętności, skoro od ukończenia liceum nie chodziła do żadnej szkoły.

Dziewczyna spogląda na mnie, kiwa zdawkowo głową i nie ciągnie tematu. Podchodzi do biurka, rzuca okiem do plecaka i na znajdujące się w nim zeszyty. Przejrzałem je wcześniej, we wszystkich są nuty.

– Gdzie mój telefon?

– Nie będzie ci potrzebny – informuję. – Jesteś wegetarianką. Powinienem jeszcze o czymś wiedzieć?

– O czym na przykład?

– Czy przyjmujesz jakieś leki, czy jesteś na coś uczulona i tym podobne.

– Nie, nic z tych rzeczy. Jak długo mam tu zostać? Skoro sprowadziłeś mój dobytek...

– Należysz do mnie i zostaniesz tak długo, aż cię stąd nie wyrzucę.

Krzywi się na dźwięk lodowatych tonów w moim głosie i przez chwilę dochodzi do siebie.

– Mogę wiedzieć, kiedy zamierzasz mnie wyrzucić?

– A co? Masz jakieś plany?

– Twoja rodzina wygląda na miłą – zmienia temat i podchodzi do szafy, która wydaje się pusta nawet ze wszystkimi jej ubraniami w środku. – Czyżbyś był adoptowany?

– Bardzo zabawne. Ale muszę cię ostrzec, uważaj na mojego brata – mówię, przypomniawszy sobie zeszłą noc. Nasza rozmowa wciąż nie daje mi spokoju. Isabelle nic nie odpowiada. – Przez cały twój pobyt tutaj nie wolno ci wychodzić. Gdy uzyskasz pozwolenie, możesz wybrać się na dwór, ale wyłącznie wewnątrz murów otaczających posiadłość.

– Pozwolenie?

– Zgadza się.

– Od ciebie?

Szczerzę zęby w uśmiechu.

– A tak naprawdę, to jak długo mam tu zostać?

– Na czas nieokreślony. Jesteś teraz pod moją opieką.

– Opieka to za dużo powiedziane.

– To kwestia punktu widzenia.

– Dlaczego?

– O co pytasz?

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego tu jestem? Dlaczego akurat na mnie ci zależało?

– Pytasz, czy jest w tobie coś szczególnego? – Przypatruję się jej, wypowiadając te słowa. Zdaję sobie sprawę, że mówię to, by ją zranić, i osiągam cel. Domyślam się tego po rumieńcu, który wypływa na jej policzki, i wstydliwym odwróceniu wzroku.

Po minucie dziewczyna dochodzi do siebie, prostuje się i patrzy mi w oczy.

– Nie wydaje mi się, że jestem wyjątkowa. Po prostu chciałabym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi i co zamierzasz ze mną zrobić. No i kiedy mogę zacząć planować powrót do normalnego życia.

– Jesteś tylko środkiem do osiągnięcia celu.

Przybliżam się do niej. Widzę, że ma ochotę się odsunąć, ale stoi twardo w miejscu ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Łapię za koniec warkocza i ściągam z niego gumkę. Gdy rozplątam jej włosy, czuję, że są jeszcze wilgotne. Opadają falami na plecy.

– Zamierzam zrobić z tobą wiele rzeczy i nie ma potrzeby, byś planowała powrót do... normalności.

Przyglądam się, jak Isabelle próbuje przetrwać przed momentem rewelacji. Wpatruje się w moje oczy, a mnie znów dopada to dziwne uczucie, którego zdarza mi się doświadczać w jej obecności.

– Tak będzie odtąd wyglądało twoje życie. Będziesz miłą dla mojej córki, uprzejma i pełna szacunku wobec reszty rodziny, a przede wszystkim podporządkowana mnie.

– Co właściwie znaczy to ostatnie?

– Znaczą, że będziesz robić to, co ci każę. Jeśli każę ci paść na kolana i szorować

podłogę, to padniesz na kolana i zaczniesz szorować podłogę.

– Ach, czyli mam stać się wychwalaną służącą?

– Nie, wychwalaną nie. Poza tym nie powiedziałem ci jeszcze, jaki będzie twój najważniejszy obowiązek.

Isabelle opuszcza ręce wzdłuż tułowia, kiedy kładę palec na jej brzuchu i popycham ją lekko w stronę ściany, o którą opieram bark, by odciąć dziewczynie drogę ucieczki.

– Będziesz dbała o moją przyjemność. Gdybyś nawet zapomniała o wszystkim innym, to te trzy słowa wbij sobie do tej ślicznej główki i zawsze się nimi kieruj. Sprawiać przyjemność Jerichowi.

Dziewczyna zaciska szczękę tak mocno, że zastanawiam się, czy nie połamię sobie zębów. Przysuwam się do jej ucha. – Podobają mi się twoje rozpuszczone włosy. To jeden ze sposobów, by sprawić mi przyjemność – mówię. – Pokazywać, jak rzeka czerni spływa w dół nagich pleców.

– Nie mam zamiaru z tobą sypiać! – wypala.

– Wcale nie chodzi mi o spanie.

Zawieszam spojrzenie w miejscu, gdzie rozchyliła się jej koszulka, ukazując nagą skórę. Dekolt jest dość szeroki, jednak nie na tyle, by było widać bliznę. Wyciągam rękę, by rozpiąć kolejny guzik, a ramię Isabelle wystrzeliwuje w górę, by mnie powstrzymać. Patrę na jej dłoń, która w porównaniu z moją wydaje się jeszcze drobniejsza. Chwytam dziewczynę za nadgarstek, odrywam od siebie jej palce, wolną ręką łapię za drugi nadgarstek i unoszę szczupłe ramiona nad głowę. Nie odrywając od niej wzroku, obejmuję obie jej ręce jedną swoją i wyciągam je jeszcze wyżej, na tyle wysoko, że Isabelle musi stanąć na palcach.

Zaciska mocno powieki, jakby przygotowywała się na to, co za chwilę nadejdzie, a kiedy je otwiera, jej spojrzenie pada na sam środek mojej klatki piersiowej. Oddycha z wysiłkiem, na szyi wyraźnie widać uderzenia pulsu. Sięgam do następnego guzika i patrę, jak dziewczyna trzepocze gęstymi czarnymi rzęsami, śledząc uważnie ruchy moich palców. Po kolei rozpinam guziki aż do szóstego. Tyle wystarczy, by rozchylić poły bluzki i odsłonić obojczyki oraz piersi w ślicznym różowym staniku.

– Sam wybrałem.

Isabelle podnosi na mnie wzrok, a widok jej oczu zapiera mi dech w piersi. Cienkie, płonące wewnętrznym ogniem błękitne obwódki wokół rozszerzonych źrenic wpatrują się w moją twarz pełne nienawiści.

– Stanik i majtki. Cieszę się, że je włożyłaś. To znaczy, o ile włożyłaś majtki. Nie powinienem zakładać niczego z góry. – Nie miałam zbyt dużego wyboru – syczy Isabelle i próbuje mi się wyrwać.

– Ależ miałaś. Mogłaś niczego nie zakładać. Zawsze mamy wybór. Całe nasze życie to sztuka wyboru – mówię, niechętnie odrywając wzrok od jej oczu, i pozwalam palcom błędzić po delikatnym ciele w zagłębieniu między piersiami, napiętej skórze brzucha, małym, owalnym pępku tuż nad linią biodrówek.

– Przestań – proszę ochryplym głosem, gdy pozwalam dłoni zawisnąć nad guzikiem dzinsów.

– Nie, mam zamiar dowiedzieć się jeszcze dwóch rzeczy.

Odpinam guzik.

– Przestań!

– Chcę wiedzieć – kontynuuję, rozsuwając zamek błyskawiczny. – Po pierwsze, czy założyłaś majtki do kompletu. – Spuszczam wzrok na jej brzuch i odchylam materiał spodni na tyle, by odsłonić kawałek różowej koronki. – Po drugie... – Zawieszam głos i gładzę skórę

Isabelle w miejscu, gdzie styka się z gumką majtek. Dziewczyna przełyka ślinę, patrząc mi w oczy. Odwzajemniam spojrzenie. Na jej twarzy i szyi wykwitł szkarłatny rumieniec, a źrenice zrobiły się tak wielkie, że oczy wyglądają na niemal całkiem czarne. – Chyba się domyślam, ale chciałbym zyskać pewność... W sumie mógłbym cię o to spytać... – mówię dalej i wsuwam palce nieco głębiej. Isabelle zaczyna się wiercić. – Mam cię spytać?

– O co? – Chce brzmieć na rozgniewaną, lecz jej głos jest nieco zdławiony.

Przysuwam swoją twarz do jej, trącam policzek brodą i zbliżam usta do ucha dziewczyny. Czuję, jak przeszywa ją dreszcz, gdy liżę małżowinę. A potem pytam:

– Zrobiłaś się mokra, Isabelle?

– Nie! – wykrzykuje.

Odsuwam się nieco, zaglądam Isabelle głęboko w oczy i jednym ruchem wsuwam dłoń pod materiał majtek. Nabiera ze świstem powietrza, kiedy natrafiam palcami na wilgoć, która zdradza mi całą prawdę.

– Mała kłamczuszka – podkpiwam sobie, pieszcząc fałdy skóry między nogami i rozchylając je, by dotrzeć do twardego guziczka u zwieńczenia warg sromowych. Gdy okrążam go palcem, słyszę urywany oddech Isabelle, czuję, jak uginają się pod nią kolana. – Niegrzeczna dziewczynko, ociekasz sokami.

Wyciągam dłoń spod majtek i rozsmarowuję wilgoć po brzuchu, a potem macham palcami przed twarzą Isabelle, by zobaczyła, jakie są mokre. Rzuca na nie szybkie spojrzenie i odwraca wzrok, ale nie potrafi zaprzeczyć prawdzie.

– Gdybyś nie kłamała, doprowadziłbym cię do orgazmu – mówię i kładę dłoń na policzku dziewczyny, by zmusić ją do spojrzenia na mnie, po czym rozsmarowuję resztę wilgoci na jej wargach. – Ale nie znoszę kłamstwa ani kłamców.

– Pierdol się, dupku! – wrzeszczy i próbuje wyrwać głowę z mojego uścisku, ale wpijam palce mocno w jej szczękę i przyciskam głowę do ściany.

– Licz się ze słowami, kłamczucho. Nie lubię, jak kobiety przeklinają.

– Nie musisz mnie lubić. Właściwie jestem pewna, że nie ma żadnego ryzyka, że mnie polubisz.

– Masz rację, ale nie chciałbym wkładać fiuta w ordynarną kobietę, więc ustalimy listę zasad. Możesz je potraktować jak przykazania. Myślisz, że uda ci się je zapamiętać czy musimy je spisać? Zauważyłem, że twój brat nie zadbał o to, byś poszła na studia. Mam nadzieję, że nie ze względu na problemy z przystosowaniem się.

– Wal się!

Zwiększam nacisk palców.

– Nie będziesz przeklinać.

– Pieprz się. Mam cię w dupie – przedrzeźnia mój ton, choć przez to, że ściskam jej policzki, słowa są nieco zniekształcone.

– Jeśli jeszcze raz to powtórzysz, zerżnę cię tak, że będziesz miała pełne prawo mówić, że masz mnie w dupie. Co ty na to? Chcesz się przekonać, czy nie ściemniam? – Podnoszę palec wskazujący. – I mogę ci zagwarantować dwie rzeczy. Po pierwsze, zapewniam, że ci się to nie spodoba. – Dołączam do niego środkowy. – Po drugie, mnie spodoba się bardzo. No dalej, Isabelle, sprawdź, na co mnie stać. Rozruszajmy trochę ten nudny poranek. Jeszcze raz każ mi się pierdolić. Na co czekasz? – Żadnej reakcji. Cóż, jeśli nie liczyć pełnego nienawiści spojrzenia. Gdyby wzrok mógł zabijać... – Chociaż raz. Chyba się mnie nie boisz?

– Myślę, że tylko czekasz na okazję, żeby mnie za coś ukarać, ale nie mam zamiaru ci tego ułatwiać, Jerichu St. Jamesie. Przyglądam się jej, ignorując brzęczenie telefonu w kieszeni, uśmiecham się szeroko, przysuwam się do niej i całuję prosto w usta. Smakuję słodkie wargi,

wciąż pachnące podnieceniem. Po chwili czuję także żelazisty posmak, gdy Isabelle zaciska zęby na mojej dolnej wardze aż do krwi. Bezczelnie wpatruje mi się przy tym w oczy. Uśmiecham się w duchu, a kiedy mnie puszcza, całuję ją głęboko, z pasją. Potem chwytam jej dolną wargę między zęby i bawię się nią, ale nie gryzę. Na to przyjdzie jeszcze czas. Zamiast tego przerywam pocałunek i przeciągam zranionym miejscem po jej policzku, rozsmarowując krew na pięknej twarzy dziewczyny niczym barwy wojenne. Puszczam jej ręce i się odsuwam. Widzę, jak nogi się pod nią uginają, gdy nagle przestaję ją podtrzymywać, i Isabelle pada na kolana. Zadziiera głowę, by na mnie spojrzeć, twarz ma zaróżowioną, policzek umazany krwią, oddech spłycony. Siada na piętach. Podoba mi się w tej pozycji. Decyduję, że zerznę ją tego wieczora. Każę jej ukłęknąć i wsadzę kutasa tak głęboko do gardła, aż zaczniesz się nim dławić.

Mój telefon znów wibruje. Tym razem wyciągam go z kieszeni i czytam SMS-a. To od mojego brata. Czekają na mnie.

– W tej chwili mam ochotę oprzeć cię o łóżko i wypieprzyć, lecz moje plany będą musiały poczekać. Postaraj się powstrzymać przed wkładaniem rąk w majtki, dopóki nie wrócę.

Isabelle otwiera usta, jakby chciała wyrazić swoje oburzenie. Podchodzę do drzwi i przekręcam klucz, ale zanim naciskam klamkę, odwracam się do niej.

– I nie rób nic głupiego. – Po jej minie poznaję, że w duchu klnie na mnie w żywy kamień, ale jest bystra i wie, że moje pogroźki nie są czeze. W ramach kary zerznąłbym jej tyłek, a ona ma dość rozumu, by nie ryzykować. – Widzisz, jak dobrze nam idzie?

Dziewczyna wstaje, łapie pierwszą rzecz, która nawija się jej pod rękę, czyli stojącą na nocnym stoliku lampkę, ciągnie ją tak mocno, że wyrywa wtyczkę z gniazdka, i ciska nią we mnie. Ma jednak głównianego cela i nie trafia. Lampka rozbija się o ścianę, a ja nie mogę się powstrzymać i wybucham śmiechem. Ale mój telefon znów brzęczy i wiem, że muszę iść na dół, więc przybieram surowy wyraz twarzy i wpatruję się w Isabelle. Kiedy podchodzę o krok, ona cofa się o trzy.

– To był antyk. – Przerywam na chwilę, by się rozejrzeć. – Posprzątaj ten bajzel. W nocy zadecyduję, jak zrekompensujesz mi stratę. – Otwieram drzwi. Nim przestępuję próg, celowo rozdeptuję trochę szkła. – I nie zaszkodzi przypomnieć: nie rób niczego głupiego.

– A żebyś zdechł, St. James.

Zamykam za sobą i odchodzę z uśmiechem na ustach, bo zabranie Isabelle pod mój dach okazało się po stokroć zabawniejsze, niż się spodziewałem.

## 12 ISABELLE

Patrzę gniewnie w ślad za nim i zapinam ubrania. Mogłabym przysiąc, że wciąż czuję dotyk jego łap na skórze. I w majtkach. Szorstkie paluchy dobierające się do mojej kobiecości. Że niby miałyby mi się to podobać?! No ja pierdołę!

– Wal się, Jericho – mówię do pustego pokoju.

Cała twarz pali mnie z upokorzenia, więc upycham bluzkę w spodniach i idę do łazienki, żeby ją przemyć. Chcąc nie chcąc, kątem oka dostrzegam w lustrze swoje odbicie. Na policzku widnieje smuga krwi. Jego krwi. Zamieram i patrzę wprost na siebie. Krwawi, zatem jest człowiekiem. A to oznacza, że mogę go zranić. Przyciskam palec do czerwonego pasma. Ja to zrobiłam. Ja zadałam mu ranę. Nie wiem, czego się spodziewał, kiedy postanowił mnie uprowadzić, ale niech nie myśli, że poddam się bez walki. Za każdą krzywdę odpowiem krzywdą, odplacę mu pięknym za nadobne. Nie będę bierną ofiarą. To zbir i porywacz, pewnie ma dużo gorsze rzeczy na sumieniu.

Nagle przypomina mi się buzia Angelique podczas śniadania. Widzę, jak trzyma ukochanego misia na kolanach, jak pociera uszko dwoma palcami, wpatrując się we mnie, jakby nigdy wcześniej nie poznała nikogo spoza rodziny. I widzę wyraz jego twarzy, gdy na nią patrzy. Jak zakłada jej loczek za ucho, delikatnie dotykając ją tymi wielkimi, groźnymi łapskami. Jak całuje córkę w czubek głowy. Mam wrażenie, że jest ich dwóch. Ojciec Angelique i mój diabeł.

Potrząsam głową, odkręcam najgorętszą wodę, jaką tylko daję radę wytrzymać, i szoruję twarz. Powtarzam sobie, jak bardzo nie podoba mi się jego dotyk, jak mierzi fakt, że ośmielił się położyć na mnie ręce. Omijam we wspomnieniach to, co chciał mi udowodnić, oraz to, że mu się udało. Odrzucam myśl, że mogłabym czerpać z tego jakąkolwiek przyjemność, bo wcale tak nie było. Zakręcam wodę i biorę ręcznik, żeby się osuszyć. Rzucam okiem na zegar stojący na stoliku przy łóżku. Jest kilka minut po dziewiątej.

Na blacie w łazience stoi moja kosmetyczka z przyborami toaletowymi. Przetrzęsam ją, w końcu wyciągam pastę i szczoteczkę. Myjąc zęby, zaglądam do szuflad w szafce pod umywalką. Znajduję maszynki do golenia, tampony, szampon i odżywkę, praktycznie wszystkie rzeczy z mojej łazienki w domu. Wszystkie poza jedną. Brakuje nożyczek. Pewnie Jericho woli nie ryzykować, że go nimi zadżgam.

Wyłączam elektryczną szczoteczkę, płuczę usta, wycieram ręce i znów przekopuję kosmetyczkę. W środku znajduję małe plastikowe opakowanie tabletek antykoncepcyjnych. Carlton kazał mi zacząć je przyjmować, jak tylko wprowadziłam się do jego domu, chociaż zapewniałam, że nie ma takiej potrzeby. Teraz zaczynam się zastanawiać, czy potrzeba się nie pojawiła. Wyciskam kolejną pigułkę z blistra i połykam ją, popijając wodą z kranu nabrana w złożoną dłoń. Nigdy nie przywiązywałam zbyt dużej wagi do ich zażywania, ale teraz postaram się to zmienić. Wiem, że to, co stało się przed kilkoma minutami, to tylko preludium. Nie mam wątpliwości, że Jericho St. James planuje zaciągnąć mnie do łóżka.

Wracam do sypialni i zaglądam do niewielkiej wewnętrznej kieszeni plecaka, żeby się upewnić, że dwa kolejne opakowania pigułek wciąż znajdują się w środku. Zawsze wykupywałam w aptece receptę na trzy miesiące. Zasuwam ekspres kieszonki i wyglądam przez okno. Mój pokój musi znajdować się na tyłach domu, bo widzę z niego ogród otoczony lasem, a za nim mur, który ciągnie się całymi kilometrami. Na terenie posiadłości jest kilka obszarów, gdzie drzewa rosną rzadziej, a daleko na wschodnim krańcu dostrzegam coś, co wygląda jak

zrujnowana kamienna budowla. Może kiedyś była zamieszкана. Z tak daleka ciężko stwierdzić. Nie widzę domu, który znajduje się po drugiej stronie muru. Zaslaniają go drzewa. Posiadłości Bishopów i St. Jamesów sąsiadują ze sobą, a mur stanowi linię graniczną pomiędzy nimi. Rezydencja Jericha wygląda jak forteca, ale nie wiem, przed czym miałyby go strzec.

Dom Bishopów prawdopodobnie dorównuje jej rozmiarem, ale ogród nie jest nawet w połowie tak dobrze utrzymany jak ten rozpościerający się przed moim wzrokiem. Widzę ogromny basen wypełniony turkusową wodą i piękne meble stojące na położonym nad nim obszernym, półkolistym patio. Wzdłuż muru całymi kilometrami ciągną się wypielęgnowane rabatki z różami. Całość wygląda prześlicznie, jak z bajki.

Podskakuję, kiedy ktoś puka do drzwi. Odwracam się przestraszona, chociaż wiem, że to nie on. Jericho nie zwracałby sobie głowy pukaniem, więc nakazuję sercu, by zwolniło.

– Tak?

– Isabelle, to my. Leontine i Angelique. Możemy wejść?

Kieruję się ku drzwiom. Ostrożnie obchodzę strzaskaną lampę, by do nich podejść. Za progiem stoi pani St. James i trzyma dłoń na główce wnuczki. Angelique tuli misia, a pod pachą ściska pięknie oprawioną książkę, która zdaje się ważyć więcej niż ona sama.

– Co się stało? – pyta Leontine na widok szczątków.

– Och... Ja, no, upuściłam lampę.

Brwi kobiety, tak cieniutkie i rzadkie, że niemal ich nie widać, podjeżdżają wysoko aż pod linię włosów, a wargi rozciągają się w uśmiechu.

– W takim razie przyślę kogoś, żeby to posprzątał. Chodźmy na dół, Angelique chciałaby pokazać ci swoją książkę.

– Do mojego pokoju, babciu – mówi mała.

– Oczywiście, kochanie – odpowiada Leontine i uśmiecha się ciepło.

– Mogę sama to posprzątać, jeśli pożyczysz mi pani odkurzacz. W końcu to ja rozbiłam lampę.

– Cóż, wydaje mi się, że miałaś ku temu dobry powód – odpowiada, a jej szare oczy patrzą na mnie nadspodziewanie pogodnie. Kolorem przypominają jaśniejszą z tęczówek syna. Przez chwilę zastanawiam się, czy tę ciemną odziedziczył po ojcu, ale potem przypominam sobie, że nic a nic mnie to nie obchodzi. – Poproszę kogoś o pomoc. Angelique nie może się doczekać, żeby ci pokazać...

– Księżniczkę, która ma prawie tak samo na imię jak ty – przerywa jej dziewczynka, czym zwraca na siebie moją uwagę. Jej buzia w kształcie serca jest śliczna, sama słodycz. – Ma na imię Belle, pokażę ci.

Kucam przy niej, kiedy usiłuje otworzyć tomiszczę na odpowiedniej stronie, ale księga okazuje się zbyt opasła i nieporęczna dla jej małych rączek.

– Chodźmy do ciebie, tam obejrzymy ilustracje, dobrze? – proponuję, zanim upuści tomisko w potłuczone szkło.

Leontine odciąga wnuczkę w stronę korytarza, a ja wychodzę ostrożnie z pokoju. Rzucam przelotne spojrzenie na podwójne drzwi znajdujące się obok moich i przypominam sobie, że prowadzą do sypialni Jericha, po czym podążam za Angelique. Leontine znika na dole, żeby poprosić służbę o posprzątanie bałaganu, który narobiłam. Źle się z tym czuję, ale nic nie mogę na to poradzić.

– To mój pokój – chwali się mała i sięga rączką do klamki. Jak na pięciolatkę wydaje się dość drobna. – Jest nowy.

– Nowy? – zaciekawiam się, gdy wchodzę do żółtej sypialni.

– Niedawno się wprowadziliśmy – odpowiada, a ja zapamiętuję, żeby spytać o to Julię,

kiedy spotkamy się następnym razem. Jestem pewna, że po wydarzeniach wczorajszego wieczora dokładnie bada dzieje rodziny St. James. Zastanawiam się, jak Carlton wytłumaczył jej całą sprawę. Moja kuzynka ma chorobliwą obsesję na punkcie IVI. Zna wszystkie rodziny założycielskie i każdego ze Sprawiedliwych Synów. Pewnie nie pogniewałaby się, gdyby mój brat zaaranżował jej małżeństwo z jednym z nich.

Pokój okazuje się obszerny. Jest większy od mojego, a jego główną ozdobę stanowi podwójne łóżko z zasłoną z żółtego tiulu. Dokoła sufitu zawieszono lampki. Nie mam wątpliwości, że znajduje się tutaj każda zabawka, o jakiej mogłaby zamarzyć dziewczynka w wieku Angelique. Większości pudełek nawet jeszcze nie rozpakowano. Mimo wszystko w sypialni panuje porządek. Na stoliku obok łóżka ułożono jedna na drugiej kilka książek z bajkami, a na podłodze tuż przy ścianie piętrzą się jeszcze dwa stosy. Angelique musi je uwielbiać.

Mała podchodzi do łóżka, wdrapuje się na nie i siada oparta o poduszki. Kładzie misia obok siebie, po czym otwiera tom na kolanach. Zakłada ciemny loczek za ucho, zwraca stopy palcami do siebie i zaczyna nimi majtać, skupiając wzrok na misternie wykonanej książce rozkładance. Siadam obok dziewczynki, a ona wskazuje palcem bogato zdobiony zamek. W jednym z okien widać księżniczkę Belle, czyli Piękną, w charakterystycznej żółtej sukni balowej.

– To ona – mówi Angelique. – Belle. Bestia ją porywa, a potem się w niej zakochuje – tłumaczy mi. – Znasz tę historię? – Znam. To piękna opowieść. Twoja książka też jest śliczna. Chciałabyś, żebyś ci poczytała?

Uśmiecha się szeroko, kiwa energicznie główką i podaje mi tom. Przerzucam na pierwszą stronę i przez chwilę podziwiam scenę, która się ukazuje, a potem zaczynam czytać. Dziewczynka wzdycha i kładzie główkę na moim ramieniu. Tak mnie zaskakuje ten gest, że przerywam i spoglądam na nią. Zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę, że to zrobiła, ale wydaje mi się, że nie. Całą uwagę skupia na książce. Wyciąga dłoń, by delikatnie dotknąć postaci jednego z mieszkańców miasteczka, a ja czytam dalej. Szeptem powtarza cały tekst równoległe ze mną, co musi znaczyć, że słuchała historii Pięknej i Bestii wiele razy. Myślę, jak to możliwe, że jest córką tak okropnego człowieka. Jakim cudem udało mu się spłodzić tak słodką, łagodną istotkę?

Drzwi otwierają się cicho i do pomieszczenia wchodzi Leontine. Uśmiecha się na nasz widok. Poprawia firanki w jednym z okien, po czym zajmuje miejsce po drugiej stronie łóżka. Kiedy kończę czytać i zamykam książkę, Angelique wzdycha ciężko i odbiera ją ode mnie.

– To moja ulubiona bajka – oznajmia.

– Naprawdę?

Patrzy na mnie w sposób, w jaki potrafią tylko dzieci. Bez cienia zażenowania.

– Jesteś bardzo ładna i chociaż masz na imię prawie tak samo jak Piękna, to bardziej przypominasz Królową Śnieżkę. – Gładzi rączką moje długie włosy, które zostawiłam rozpuszczone. Nie dlatego, że Jericho tak kazał, a dlatego, że nie przyszło mi do głowy, by znów je zapleść.

– Dziękuję. Ty też jesteś śliczna, Angelique.

– Isabelle, może chciałabyś pójść z małą na spacer do ogrodu? – pyta Leontine. – Przesunięto mi wizytę na późniejszą godzinę, więc będę musiała wyjść na ciut dłużej, niż planowałam. Miałabyś coś przeciwko?

– Ależ skąd. Z chęcią to zrobię.

Wstajemy i Angelique wkłada swoją dłoń w moją. Kiedy idę za starszą kobietą, przypominam sobie, co powiedział Jericho na temat wychodzenia na zewnątrz bez jego pozwolenia i w myślach pokazuję mu środkowy palec. Nim przestępujemy przez próg, pani St.



James przykuca przy wnuczce.

– Zostawimy Misię w sypialni? Chyba przydałaby się jej krótka drzemka.

Dziewczynka tuli pluszaka do siebie i potrząsa głową.

– Ona nie lubi zostawać sama.

– Rozumiem – odpowiada Leontine i się prostuje. W jej oczach zauważam dozę niepokoju.

Idziemy na dół. Angeliqne schodzi ostrożnie po stopniach na swoich krótkich nóżkach, jedną rączką trzymając się barierki, drugą ściskając moją dłoń. Wspólnie zgniatamy misiowi łapkę. Rozmyślam nad tym, czy wizyta, o której wspomniała pani St. James, ma coś wspólnego z jej odrastającymi włosami i tym, co mówiła wcześniej, ale o nic nie pytam. Udajemy się do salonu, przestronnego i jasnego pomieszczenia, z którego można wyjść do ogrodu i nad basen przez troje dwuskrzydłowych, przeszklnych drzwi.

– Śliczny dom. – Nie mogę się powstrzymać przed powiedzeniem tego na głos.

– Dziękuję. Od pokoleń należy do rodziny. Zbudował go Draca St. James ponad czterysta lat temu – wyjaśnia Leontine, otwiera drzwi prowadzące na patio i odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. – Tak daleko sięga historia naszych rodów, ale to już pewnie wiesz.

Zastanawiam się, czy słyszę w jej głosie jakieś podteksty, czy tylko je sobie wyobrażam. Kobieta cały czas uśmiecha się z tą samą łagodnością.

– Właściwie to nie. Dopiero kilka lat temu dowiedziałam się, że w połowie należę do rodziny Bishopów.

– Hmm – mruczy pod nosem, ale nie komentuje moich słów, a ja czuję coraz bardziej nieodpartą potrzebę rozmowy z Julią. – O rety, jakież dzisiaj upały – mówi i nim cokolwiek udaje mi się wyczytać z wyrazu jej twarzy, wychodzi na zewnątrz. To ostatni dzień sierpnia i rzeczywiście jest nieznośnie gorąco. We wrześniu temperatury powinny nieco spaść. Na myśl o wrześniu pochmurnieję. Za parę tygodni zaczynałabym szkołę, ale Carlton wypisał mnie z zajęć. Zrobił to podczas wakacji, lecz nie znalazł czasu, żeby mi o tym powiedzieć. O całej sprawie dowiedziałam się, gdy zadzwoniłam na uczelnię, aby zapytać o plan zajęć i wymagane podręczniki. Brat dobitnie dał mi do zrozumienia, że nie powinnam sobie dłużej zaprzętać głowy nauką. Planował znaleźć mi odpowiednią partię i szybko wydać za męża. W końcu skoro w Socjocie panują średniowieczne zasady, czemu miałabym się przejmować edukacją czy karierą?

Potrząsam głową na wspomnienie naszej rozmowy. Jak Carlton wbije sobie coś do głowy, nie sposób go od tego odwieść. Właśnie po to zabrał mnie na bal maskowy i ubrał w tę idiotyczną kieckę z piórami. Po prostu pokazywał towar potencjalnym kupcom. Ciekawe, jak blisko dobicia targu był, nim Jericho St. James pomieszał mu szyki. Tak czy siak, nic na tym nie zyskałam. Mam wrażenie, że chociaż mój diabeł nienawidzi Carltona, to w kwestii dalszej edukacji byłiby jednomyślni. Dzięki St. Jamesowi moje życie stało się odrobinę bardziej nie do zniesienia, ale czyż nie o to właśnie mu chodziło? Czy nie stanowi to części kary, którą dla mnie obmyślił, chociaż nie mam pojęcia, czym zawiniłam?

Do drzwi podchodzi jakiś mężczyzna i odchrząkuje.

– Samochód czeka, proszę pani.

– Jeszcze chwilkę – odpowiada Leontine i odwraca się w naszą stronę. – Isabelle, jesteś pewna, że możesz się nią zająć?

– Prawdę mówiąc, sprawi mi to ogromną przyjemność.

– To świetnie. Gdybyś czegoś potrzebowała, Catherine jest w domu, a cała posiadłość aż roi się od strażników.

Nie bardzo wiem, czy to ostatnie stwierdzenie ma sprawić, że poczuję się bezpieczniej, czy zostało wypowiedziane jako ostrzeżenie. Właściwie po co im tak silna ochrona?

– W porządku.

– Wrócę za kilka godzin. – Przykuca przy wnuczce. – Pomóż Isabelle nie zgubić się w ogrodzie i pamiętaj, że nie wolno ci wchodzić do lasu, dobrze?

– Jasne, babuniu.

Mała przytula się do starszej kobiety. Widzę, jak mocno Leontine odwzajemnia uścisk, jakby bała się, że już więcej się nie zobaczą. Wydaje mi się to dziwne, jednak po chwili pani St. James wstaje, mówi nam „do widzenia” i odchodzi.

Kolejne godziny spędzamy z Angelique na zwiedzaniu ogrodu, zbieraniu róż i czytaniu. Wracamy do domu na obiad. Zakładam, że po posiłku dziewczynka pójdzie spać. Nie jestem pewna, do jakiego wieku dzieci potrzebują drzemki w środku dnia, ale moja podopieczna najwyraźniej już z tego wyrosła. Wychodzimy więc na zewnątrz, gdzie natychmiast uderza w nas fala gorąca. – Pozwiedzamy jeszcze trochę? – pytam małą. – W cieniu drzew powinno być nieco chłodniej.

Angelique wpatruje się z rezerwą w ścianę lasu, po czym odwraca się do mnie.

– Nie wolno mi tam wchodzić. Tatuś zabrania mi bawić się tam bez niego.

– Och, no tak. – Wówczas przypominam sobie ostrzeżenie Leontine. – Nawet ze mną? Przecież jestem dorosła.

Angelique potrząsa przecząco główką.

– Okej. W takim razie... – Spoglądam na skrzącą się turkusową taflę wody. – Może popływamy? Lubisz pływać?

Mała patrzy w tym samym kierunku co ja. Jej uśmiech staje się coraz szerszy, aż nagle gaśnie.

– Nie umiem pływać – odpowiada.

– Nie pamiętam, czy ja umiałam, gdy byłam w twoim wieku. Ale teraz idzie mi świetnie i mogłabym cię nauczyć, jeśli chcesz.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

– Naprawdę.

– Bardzo bym chciała.

– Świetnie. W takim razie przebierzmy się w kostiumy kąpielowe – proponuję, licząc na to, że ktokolwiek pakował moje rzeczy, nie zapomniął o kostiumie.

Najpierw pomagam założyć Angelique jej strój. Jest – cóż za niespodzianka! – żółty i ma mnóstwo falbanek, które dziewczynka najwyraźniej uwielbia. Rozczesuję małej włosy i związuję je w kędzierzawy koński ogon, żeby nie wchodziły jej do oczu. Potem idziemy do mnie, gdzie pod moją nieobecność uprzątnięto szkło. Angelique wchodzi do środka i rozgląda się z zaciekawieniem dokoła, kiedy ja przetrząsam komodę w poszukiwaniu kostiumu. W niektórych szufladach leżą moje rzeczy, w innych zupełnie nowe ubrania. Nie udaje mi się znaleźć starych strojów kąpielowych, za to widzę trzy nowiutkie bikini. Są nieco bardziej skąpe, niż sama bym wybrała, ale mają odpowiedni rozmiar, więc wybieram żółty, żeby pasował kolorem do stroju Angelique, i idę do łazienki się przebrać. Kiedy wracam, dziewczynka siedzi przy biurku i przegląda jeden z moich notesów.

– Co to jest? – pyta, przesuwając palcem po widniejących na kartce nutach. – To nie słowa.

– Muzyka?

Uśmiecham się i potakuję.

– Gram na skrzypcach – wyjaśniam, wskazując instrument wciąż zamknięty w futerale. Podnoszę go, kładę na biurku i otwieram, żeby pokazać jej skrzypce. – Widzisz?

– Ojej...

Mała gramoli się, żeby stanąć na krześle, po czym nachyla się nad biurkiem i z zaciekawieniem przygląda nieznanemu przedmiotowi. Kilka chwil później wyciąga nieśmiało rączkę i dotyka starego drewna. Skrzypce są używane, ale znajdowały się w dobrych rękach, nim rodzice kupili je dla mnie wiele lat temu. Nie przeszkadza mi to. Wręcz przeciwnie, bardzo mi się ten fakt podoba. Właściwie wolę grać na używanych skrzypcach niż na takich prosto ze sklepu. Mogę sobie wtedy wyobrażać, jak bardzo kochał je poprzedni właściciel, nim pokochałam je ja.

– Ale śliczne! Mogłabyś coś dla mnie zagrać, Belle? To znaczy Isabelle.

– Może mówić do mnie Belle, przywykłam do tego.

– Naprawdę?

– No pewnie.

– Dziękuję, Belle. Ja... nigdy nie słyszałam, jak ktoś gra na skrzypcach – mówi.

– Pewnie słyszałaś, tylko o tym nie wiesz. Później dla ciebie zagram, dobrze?

– Bardzo bym chciała. – Patrzy na moje bikini i uśmiecha się szeroko. – Podoba mi się twój kostium – oznajmia. – Jest podobny do mojego.

– Tak, pasujemy do siebie – odpowiadam i naciągam na siebie szlafrok kąpielowy. Angelique też ma na sobie szlafroczek. – Posmarujemy się kremem do opalania?

Dziewczynka wzrusza ramionami. Schodzimy na dół, mała wciąż tuli Misię. W kuchni odnajduję Catherine, kobietę, która serwowała nam śniadanie. Wygląda na zdziwioną faktem, że mamy zamiar popływać.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – oznajmia z wahaniem.

– Belle umie pływać – informuje ją Angelique. – I będziemy uważać.

– Zadbam o nią – obiecuję. – Proszę się nie martwić. Doskonale pływam. W liceum należałam do szkolnej reprezentacji pływackiej, a co roku w wakacje dorabiałam jako ratowniczką na lokalnej pływalni.

Catherine nie wydaje się w pełni przekonana, ale wręcza nam krem przeciwsłoneczny.

– Są tutaj jakieś zabawki do wody? – pytam, na co kobieta robi zdeorientowaną minę.

– Zabawki?

– No wie pani, materace albo koła do pływania.

Potrząsa głową, jakby pierwszy raz w życiu w ogóle słyszała o czymś takim.

– No nic. Idziemy? – zwracam się do Angelique, która posyła mi szeroki uśmiech, i kierujemy się w stronę patio.

Dziewczynka sadza Misię na leżaku i przykrywa ją swoim szlafrokiem. – Bardzo ją kochasz, prawda? – pytam, a mała potakuje.

– Jestem jej mamusią. Boi się, kiedy traci mnie z oczu, bo myśli, że ją zostawię i już nie wrócę. – Zwraca ku mnie drobną twarzyczkę. Dostrzegam na niej smutek, który jakimś cudem wcale mnie nie dziwi, chociaż u dziecka w jej wieku wydaje się zupełnie nie na miejscu. Ale zanim udaje mi się zastanowić nad jej słowami, znów się odzywa: – Myślisz, że mogłybyśmy przysunąć leżak bliżej basenu, Isabelle?

– Chyba nic nie stoi na przeszkodzie. Postawimy go pod parasolem, żeby Misia była w cieniu. Co ty na to?

– Superpomysł.

Kiedy Misia siedzi bezpiecznie, a mnie udaje się posmarować nas obie grubą warstwą kremu z filtrem, biorę Angelique za rękę i stawiamy krok w stronę wody. Nim robimy następny, mała zaczyna się wahać. Przyglądam się jej.

– Wszystko w porządku?

Dziewczynka mruży oczy przed słońcem.

– Może lepiej posiedzę z Misią, żeby się nie bała.

– Nic jej nie grozi. – Macham w stronę przytulanki. – I wcale się nie boi, kochanie. A ja będę cię cały czas trzymać, żebyś ty też się nie bała, dobrze?

Angelique patrzy na skrzącą się powierzchnię.

– No dobrze – zgadza się w końcu i wciąga głęboko powietrze, gdy po kilku następnych krokach woda zaczyna jej sięgać do połowy brzucha. Odwracam się przodem do niej i chwytam ją za obie ręce. Ostatnie stopnie basenu pokonuję tyłem. Mała stoi nieruchomo, kiedy zanurzam głowę pod powierzchnię. Woda cudownie chłodzi skórę w ten gorący, parny dzień. Wynurzam się i potrząsam głową, a Angelique chichocze, kiedy ją ochlapuję.

– Chodź, tylko mocno się mnie trzymaj – nakazuję. Biorę ją na ręce i niosę w głąb basenu.

Dziecko oplata ramionami moją szyję. Wydaje się bezbrzeżnie zdumione, kiedy podskakuje na środku zbiornika. Trzymam się miejsc, gdzie mogę swobodnie stanąć, nie zbliżam się do głębszego krańca. Za każdym razem, gdy sprawdzam, czy jest gotowe, bym poluzowała uścisk, ono tylko zaciska rączki mocniej wokół mnie i patrzy niepewnie na pluszaka.

– Bawiłaś się kiedyś w rozgwiazdę, Angelique?

– A co to takiego? – odpowiada pytaniem na pytanie.

– Trzeba położyć się plecami na wodzie i udawać rozgwiazdę. Kaszka z mleczkiem. Mam ci pokazać, jak to się robi?

Kiwa głową.

– W porządku. Posadzę cię teraz na brzegu basenu, dobrze? Pamiętaj, że nie wolno ci beze mnie wchodzić do wody.

Znowu potakuje, a ja sadzam ją na płytkach okalających zbiornik w taki sposób, że jej małe stópki pozostają zanurzone.

Trzymając się cały czas na wyciągnięcie ręki, kładę się na plecach i wyciągam kończyny na boki na kształt gwiazdy.

– Widzisz? Właśnie tak.

Dziewczynka przygląda mi się uważnie.

– Spójrz w niebo – mówię i wskazuję palcem chmurę. – Wygląda jak rożek do lodów, nie wydaje ci się?

Angelique zwraca twarzyczkę we wskazane miejsce i mruży oczy przed słońcem. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek wcześniej pozwolono jej wejść do basenu. Nie wiem, jak to możliwe, że dziecko w jej wieku jest bardziej przerażone niż podekscytowane perspektywą wejścia do wody. Za jej strach obwiniam Jericha St. Jamesa.

– Widzę ją! – wykrzykuje nagle mała. – A popatrz na tę. Wygląda zupełnie jak Misia.

– O rety, rzeczywiście! Chciałabys pobawić się w rozgwiazdę i poszukać różnych kształtów w chmurach?

Przygląda mi się przez chwilę, w końcu kiwa głową. Wstaję, biorę ją znów na ręce i wnoszę do wody.

– Belle?

Uśmiecham się do niej.

– Słucham, kochanie.

– Trochę się boję.

Przytulam ją mocno.

– Będę tutaj cały czas i ani na moment cię nie puszcze. Obiecuję. Ze mną nic ci nie grozi. Czujesz się przy mnie bezpiecznie?

Potakuje.

– No to zaczynamy. Teraz po prostu położysz się na wodzie. Rozluźnij się, będę trzymać ci rękę pod głową jak poduszkę.

Oddychaj normalnie. Jak twój brzusek wypełni się powietrzem, uniesiesz się na wodzie, zupełnie jak ja wcześniej.

– Nie puścisz mnie?

– Nie ma takiej opcji.

Spina się i waha przez dłuższą chwilę, ale w końcu podejmuje decyzję. Czuję, jak rozluźnia się na tyle, by położyć się na plecach. Kilka minut później unosi się z rozpostartymi na boki kończynami i szerokim uśmiechem na ustach. Wyciągam rękę spod jej głowy, łapię ją za dłoń, mocno splatając z nią palce, i kładę się na wodzie tuż obok. Jesteśmy niczym dwie dryfujące rozgwiazdy.

– Ta wygląda jak jednorożec – przerywa ciszę Angelique, a ja słucham tego z radością. Rozmyślam o jej krótkim życiu, o jej matce i o mroku, który dostrzegam w oczach dziewczynki, zbyt młodych, by znać cokolwiek poza światłem.

– O, rzeczywiście – odpowiadam i już mam zamiar wskazać palcem chmurkowego hipopotama, gdy nagle pada na nas cień.

Wciągam ze świstem powietrze i się wyprostowuję. Nie udaje mi się sięgnąć stopami dna, bo zdryfowałyśmy na głębszą stronę basenu. Jak tylko się zanurzam, Angelique zaczyna panikować i wymachiwać ramionami, by mnie chwycić. Łapię ją, zanim jej głowa znajdzie się pod wodą, ale ogromny plusk sprawia, że zaczynamy kołysać się niekontrolowanie. Chwilę później oplatają nas mocarne ramiona i ciągną w stronę płycizny, gdzie wrywają mi dziewczynkę z rąk. Obie kaszлемy i plujemy wodą. Ocieram oczy, a gdy je otwieram, widzę Jericha St. Jamesa stojącego w wodzie, wciąż ubranego w garnitur, przyciskającego córkę mocno do piersi. W jego żrenicach dostrzegam żądzę mordy.

## 13 JERICHO

– Coś ty sobie, kurwa, myślała?!

Isabelle wzdryga się i zatrzymuje gwałtownie w progu łazienki. Jedną ręką ściska ręcznik.

Po tym, jak upewniłem się, że córka jest cała i zdrowa, wziąłem prysznic, założyłem dzinsy oraz koszulkę i popędziłem do pokoju Isabelle. Od tego czasu krążę nerwowo po całym pomieszczeniu. Przyglądam się dziewczynie, podczas gdy ona zaciska mocniej dłoń na ręczniku. Mokre włosy przykleiły się do ramion i pleców. Widzę, ile ją kosztuje, by nie czmychnąć z powrotem do łazienki, żeby uciec przed moim gniewem.

Kiedy wróciłem do domu i zobaczyłem, jak Angelique leży nieruchomo w basenie, o mało nie dostałem zawału. Ja pierdolę! – Ona nie umie pływać – uświadamiam Isabelle. – Ma dopiero pięć lat!

– Tylko się bawiłyśmy. Nie odstępowałam małej na krok i nie spuszczałam z oczu. Ani na chwilę jej nie puściłam!

Podchodzę do niej sztywnym krokiem i nagle znajdujemy się w pozycjach, które chyba zaczynają wchodzić nam w krew: Isabelle przyciśnięta plecami do ściany, ja górujący nad nią. Sytuacja przywołuje mi na myśl jeden z obrazków w książce z bajkami Angelique. Piękna i Bestia. Zdaję sobie sprawę, w jakim stawia mnie to światło, ale mam to w dupie. Na przemian zaciskam i rozprostowuję palce, w końcu wsuwam dłonie do kieszeni, żeby nie zacisnąć ich na szyi dziewczyny. Przepelnia mnie gniew. Jestem tak wściekły, że nie ręcę za siebie.

– Kto ci zezwolił na wyjście na dwór? Mówiłem ci, że...

– No co? Czy to kolejne z tych twoich przykazań? Wpiszemy je na listę zaraz pod „nie będziesz przeklinać”?

Dłonie same zwijają mi się w pięści, a z głębi piersi wydobywa się warkot. Słyszysz go, więc się zamyka i odchyła ode mnie jeszcze bardziej, choć nie ma gdzie uciekać. Liczę do dziesięciu.

– Kto dał ci pozwolenie, żeby zabrać moją córkę do basenu?

– Nikt – odpowiada. – Ja tylko... Twoja matka poprosiła mnie, żebym się nią zajęła – zaczyna wyjaśniać, a jej głos z każdym słowem staje się coraz bardziej zatroskany. – Było strasznie gorąco, ale ty nie pozwalasz jej chodzić do lasu, nawet pomimo tego, że po posiadłości kręci się z tysiąc ochroniarzy, a jej granic strzeże mur nie do przebycia. – Brzmi to jak oskarżenie. – Rozumiem, że jej nie wolno, kiedy jest sama, ale ze mną też nie chciała iść, bo jej nie pozwalasz.

– Ona się boi wody.

– Bo nie umie pływać! Co prawda nie znam zbyt wielu pięciolatek, które by umiały, ale znam jeszcze mniej takich, które nie cieszą się na myśl o możliwości pochłapania się w basenie. Przez ciebie Angelique boi się nawet własnego cienia.

Prawa ręka sama zaciska mi się na jej gardle. Nie robię tego świadomie.

– Zdążyłaś wszystko rozgryźć w ciągu tych kilku godzin, które z nią spędziłaś, tak? To moja córka. Moja!

Isabelle posunęła się za daleko i o tym wie.

– Tylko leżałyśmy na wodzie. Bawiłyśmy się – mówi i łapie mnie oburącz za przedramię. Ręcznik zsuwa się na podłogę. Patrzę na nią, nagą i bezbronną. Zdaną na moją łaskę.

Rozluźniam chwyt. – Ani przez sekundę małej nic nie groziło. Miło spędzała czas. – Białka jej oczu zaczerwieniły się, w kącikach zbierają się łzy. Gdy puszczam szyję, dziewczyna próbuje zakryć się rękami. – Przynajmniej dopóki nie wskoczyłeś do basenu i omal nie utopiłeś nas tym tsunami! Dlaczego to zrobiłeś?!

Grzbietem dłoni ociera wilgoć z policzków. Wydaje mi się, że to łzy frustracji i gniewu, choć wcześniej były spowodowane strachem. Ma trochę racji, ale, no kurwa, nie ma prawa jej mieć. Nie ma prawa mówić mi takich rzeczy.

– Nie znasz nas, Isabelle. Nic o nas nie wiesz.

– Ale nagle znalazłam się w waszej rodzinie, chociaż wcale o to nie prosiłam.

Wpycham rękę z powrotem do kieszeni i odchodzę kilka kroków.

– Co niby według ciebie miałam zamiar zrobić? – pyta oburzona. Kiedy się do niej odwracam, znów mocno przyciska ręcznik do ciała. – Ubzdurałeś sobie, że mogłabym skrzywdzić twoją córeczkę? Że mogłabym skrzywdzić jakiegokolwiek dziecko?

– Należysz do rodziny Bishopów – wyrzucam z siebie i ruszam ku drzwiom. Muszę znaleźć się jak najdalej od niej.

– Jesteś niemożliwy! – wykrzykuje. – Myślisz, że pozwoliłabym, aby stało się jej coś złego? Uważasz, że skrzywdziłabym bezbronną dziewczynkę, bo nazywam się Bishop? To największa bzdura, jaką w życiu słyszałam. Jesteś popieprzony, Jericho!

Okręcam się na pięcie i staję z Isabelle twarzą w twarz, a ona zatacza się do tyłu.

– Wiem, do czego są zdolni członkowie waszej rodziny. Widziałem to na własne oczy – syczę.

Dziewczyna drży. Nie zna prawdy, która kryje się za tymi słowami.

– Nie skrzywdziłabym jej. Co jest z tobą nie tak, że brałeś to w ogóle pod uwagę? – pyta prawie szeptem.

Zaciskam dłoń na przyciasnej bransoletce, którą noszę na ręce. Należała do Kimberly. Przypominam sobie tamten dzień. Dźwięk wystrzału. Wyraz twarzy ukochanej, kiedy osunęła się w moje ramiona. Ciężar jej ciała, gdy zaczęło wiotczeć. Zmuszam się, by nie zapomnieć tamtej chwili. Wpatruję się w stojącą przede mną członkinię rodu Bishopów i przypominam sobie, dlaczego znalazła się w moim domu. Do czego jest zdolna. Do czego oni wszyscy są zdolni.

Najwyraźniej dziewczyna czuje wzbierającą we mnie agresję, bo cofa się o dwa kroki. Oczy ma szeroko otwarte, wpatruje mi się w twarz. Jest gotowa odpowiedzieć na mój ruch, ale żadnego nie robię. Przynajmniej nie w jej stronę. Muszę stąd wyjść, muszę się znaleźć jak najdalej od niej, zanim narobię większych szkód, niż planuję. Odwracam się do drzwi i wygrzebuję z kieszeni klucze. Kiedy przekraczam próg, Isabelle biegnie w moim kierunku.

– Zaczekaj! – Nieruchomieję. Między drzwiami a futryną została już tylko wąska szpara.

– Nic jej nie jest? – pyta, czym wprawia mnie w osłupienie. Sądziłem, że miała zamiar błagać, abym jej nie zamykał. Że będzie przekonana o swojej niewinności. – Powiedz mi przynajmniej, czy nic się jej nie stało.

– Los mojej córki nie powinien cię interesować – odpowiadam i nim ma okazję, by powiedzieć coś jeszcze, zamykam drzwi na klucz i chowam go z powrotem do kieszeni.

## 14 ISABELLE

Mija wiele godzin, nim słyszę dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Na dworze zapadł już zmrok. Szybko zamykam trzymany na kolanach zeszyt, wepchnąwszy ołówek pomiędzy kartki, i pocieram dłonie, żeby pozbyć się szarych smug. Gumka do ścierania spada na podłogę, a mój żołądek wydaje z siebie przeciągły pomruk. Umieram z głodu. Myślę, że to część planu diabła. Zagłodzić mnie na śmierć. Ale za co? Za to, że zabrałam jego córkę popływać? Przecież to zupełnie idiotyczne.

Zapach jedzenia sprawia, że burczenie w brzuchu staje się głośniejsze. Drzwi otwierają się, a kobieta, którą wcześniej widziałam pomagającą w kuchni, wchodzi do środka, pchając przed sobą wózek z kolacją. Przykrywa go beżowy lniany obrus. Stoi na nim talerz zakryty kopułową pokrywką ze stali nierdzewnej, a obok niego otwarta butelka wina, butelka wody, dwa kieliszki i koszyk chleba.

Humor poprawiłby mi się na ten widok, gdyby nie to, że za kobietą podąża St. James. Ledwie muska mnie wzrokiem, ale nawet gdy nie patrzy w moją stronę, w jakiś sposób udaje mu się okazać mi niechęć. Może się jebać. Ja też go nie znoszę.

Stoi na środku pokoju z łapami w kieszeniach i przygląda się, jak kobieta serwuje posiłek. Aromat robi się jeszcze bardziej kuszący, gdy zdejmuje pokrywkę. Przyciskam dłonie do brzucha, żeby zapobiec głośnemu burczeniu na widok i zapach warzyw pieczonych w ziołach, polanych stopionym serem i podanych w towarzystwie ziemniaków.

– Dziękuję, May – mówi Jericho, gdy kobieta kończy pracę. Wyprowadza ją z sypialni, zamyka drzwi i chowa kluczyk do kieszeni. Co za fiut.

– Wiesz, nie musisz się martwić, że rzucę się do biegu, wyminę cię i stąd ucieknę – oświadczam i schylam się, by podnieść gumkę i położyć ją na stoliku nocnym. Nie czekam na zaproszenie do posiłku. Jestem zbyt głodna, by przestrzegać zasad savoir-vivre’u.

– Zamykam drzwi, żeby mieć pewność, że nikt nie wejdzie do środka – odpowiada ze stoickim spokojem. – Nie chciałbym, żeby jakaś mała dziewczynka zabłąkała się w miejsce, w którym nie powinna się znaleźć. Przynajmniej nie dzisiejszej nocy. – Na dźwięk jego słów serce podchodzi mi do gardła. Na ich prawdziwy sens. Zatrzymuję się w połowie drogi do stolika na kółkach. – Siadaj i jedz – nakazuje i przystawia do niego krzesło, które stoi przy biurku. Bierze butelkę, po czym nalewa wina do dwóch kieliszków.

– Jestem nieletnia – przypominam mu i podnoszę widelec. Zgaduję, że Jericho ma jakieś dziesięć lat więcej ode mnie. Pijam wino i piwo, ale staram się ich nie nadużywać, przede wszystkim dlatego, że za nimi nie przepadam. A w obecności tego człowieka dodatkowo muszę zachować stuprocentową przytomność umysłu.

– Jako twój prawny opiekun udzielam ci pozwolenia – odpowiada ze złośliwym uśmiechem, unosi kieliszek w parodii toastu i pociąga łyk.

„Pierdol się, Jericho”, myślę, lecz nie mówię tego na głos, chociaż powinienam. Przecież nie zrobiłby tego, czym groził mi wcześniej. Nie wierzę, że byłby do tego zdolny. Nie jest chyba aż takim potworem. Ale może przemawia przeze mnie głupota. Tak czy siak, przezorny zawsze ubezpieczony.

– Jak łatwo przejrzeć, o czym myślisz, Isabelle – mówi, szczerząc się znacząco. – Niemal słyszę, jak rzucasz mi w twarz to swoje „pierdol się”.

– Ja? Skądże znowu. Nie śmiałybym łamać któregokolwiek z twoich uświęconych



przykazań, panie. – Chwytam kieliszek i upijam łyk. Czerwone wino ma głęboki, bogaty smak.

– Podoba mi się, gdy mówisz do mnie „panie”. Nawet nie wiesz jak bardzo.

„Pierdol się. Pierdol się. Obyś zdechł. Pierdol się”.

– Jedz.

Prawie mam w ustach kęs jedzenia, gdy czuję na sobie wzrok Jericha. Odkładam widelec.

– Jedzenie jest zatrute? Dlatego nie jesz razem ze mną? Pochoruję się po kolacji?

Podchodzi do stolika, podnosi widelec, na który nadziałam kawałek ziemniaka, i wsuwa go sobie do ust. Przeżuwa dokładnie, połyka i odkłada widelec na miejsce.

– Nie, żadnej trucizny. Po prostu zjadłem kolację wcześniej, razem z rodziną.

– Ach, więc na tym polega moja kara. Upokorzenie. Zostałam odesłana do pokoju jak niegrzeczne dziecko.

Nie wiem, dlaczego ta myśl sprawia, że robi mi się przykro. Przecież wolę siedzieć sama w sypialni niż przebywać w jego towarzystwie. Ale i tak w gardle rośnie mi gula, którą ciężko przełknąć. Może chodzi o członków rodziny. I o to, że moi bliscy nie żyją. Carlton i Julia nie są moją rodziną, chyba że na papierze.

Wbijam spojrzenie w talerz, by nie poddać się fali napływających emocji. Upijam kolejny łyk wina dla ukojenia nerwów. Jericho podchodzi do łóżka i otwiera notatnik.

– Co porabiałaś po południu?

– Tańczyłam – odpowiadam.

– Zabawne. Co to takiego? – Przerzuca kartki.

– Muzyka.

Wstaję i zabieram mu zeszyt. Czuję się zawstydzona, kiedy przegląda moje notatki. Odkładam notes i wracam do kolacji. – Masz brudne ręce.

Spoglądam na wnętrze dłoni, na której wciąż widnieją rozmazane ślady po ołówku. Wzruszam ramionami, trzymając w ręce nóż. Odchylam się na krzesło, po czym obracam go, by sprawdzić palcami ostrość. Przenoszę wzrok na St. Jamesa i przekrzywiam głowę.

– Chcesz wyglądać na groźną? – pyta. Przynajmniej porzucił temat muzyki. – Bo jeśli tak, to ci nie wyszło.

Podchodzę do niego. Wyjmuję mu kieliszek z dłoni i odstawiam na stolik.

– Jestem zmęczona. To był naprawdę długi dzień.

Mężczyzna chichocze.

– Dla mnie był jeszcze dłuższy – mówi, wpatrując mi się w oczy. Zamyka dłoń na mojej i wyciąga z niej nóż. – Lepiej to zabiorę, zanim się zranisz.

– Czy „idź do diabła” kwalifikuje się jako przekleństwo? – pytam, kiedy go odkłada.

Rozważa przez chwilę moje słowa.

– Sama się przekonaj – szydzi.

Decyduję się nie skorzystać z propozycji.

Jericho chwyta mnie za ręce, zakłada mi je za plecy i przytrzymuje jedną dłonią. Nie ściska mocno, ale wiem, że mógłby. Przesuwa wzrokiem po mojej twarzy, błądzi nim po ustach, potem niżej, po nagiej skórze nad biustem, w końcu wraca do oczu. – Podobają mi się twoje oczy, Isabelle.

Mrugam zaskoczona. Nie wiem, co odpowiedzieć, więc odwracam głowę.

– Są piękne, a ja lubię piękne rzeczy.

Zmuszam się, by na niego popatrzeć. By posłać mu gniewne spojrzenie. W odpowiedzi tylko szczerzy zęby.

– Są też pełne wyrazu. Sprawiają, że łatwo odczytać twoje emocje. Zbyt łatwo.

Ma rację. Ukrywanie uczuć i myśli nigdy nie szło mi dobrze.

Wolną dłonią odchyła kołnierzyk mojej bluzki.

– Chodzi mi o to, że...

Odgarnia włosy z mojego ramienia, by odsłonić bliznę, a potem pochyla się tak bardzo, że czuję ciepło emanujące z jego ciała, i przybliża do niej wargi. Wciągam gwałtownie powietrze, gdy przesuwam wzdłuż niej językiem, zaciskając mocniej rękę na moich nadgarstkach. Serce o mało nie wyskakuje mi z piersi. Zgrubiła tkanka na obojczyku jest wilgotna od jego śliny. W końcu St. James odsuwa się i prostuje.

– ...te piękne oczy mówią mi, że twoja cipka zrobiła się mokra – kończy.

Z trudem przełykam ślinę i zaciskam dłonie w pięści, chociaż on nie może tego zobaczyć, bo są za plecami.

– Czy mam... – Zawiesza głos i wolną dłonią zaczyna rozpinać mi spodnie.

– Przestań.

Nie słucha mnie, tylko przysuwa twarz do mojej i wciąga głęboko powietrze przez nos, jakby był zwierzęciem i chciał wyczuć moją woń. A potem robi to samo co rankiem. Wsuwa mi dłoń w majtki. Tylko że tym razem ja zachowuję się inaczej. Wyginam się w jego stronę, nogi nie zaciskają się instynktownie, a ciało reaguje podnieceniem. Na jego bliskość. Na jego dotyk. Jericho wydaje z siebie dziwny dźwięk, kiedy kciukiem dotyka łechtaczki. Jęczę, a on nie spuszcza ze mnie wzroku. Chcę mu powiedzieć, żeby przestał. Chcę wykrzyknąć mu to prosto w twarz. Powinnam to zrobić. O Boże! Muszę to zrobić. Nie robię jednak, tylko stoję, a on pieści mnie palcami, wsuwa je do środka, okrąża nimi nabrzmiąły guziczek. Jest mi tak dobrze, że nogi zaczynają mi drżeć.

– Wymów moje imię – nakazuje St. James, owiewając mnie gorącym oddechem.

– Ja...

– Wymów je, a sprawię, że dojdiesz.

Kręcę głową, ale usta same mi się otwierają. Jericho składa na nich delikatny pocałunek, ledwie muśnięcie, lekki dotyk języka. Po chwili odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć.

– Proszę... Ja... Przestań.

Jęczę głośno i aż się unoszę, gdy wsuwa we mnie dwa palce, po czym zaczyna nimi poruszać. Przerywa po kilku sekundach, a ja widzę, jak w mgnieniu oka zmienia się wyraz jego twarzy. Wypuszcza ze świstem powietrze i marszczy czoło.

– Isabelle.

Usta Jericha układają się w znaczący uśmiech, kciuk nadal kreśli kółka wokół łechtaczki. Gdy mężczyzna puszcza moje nadgarstki, kładę dłonie na jego ramionach i opieram się czołem o szeroką pierś, bo czuję, że to za dużo. Emocje są zbyt intensywne. Chcę dojsć. Chcę, by doprowadził mnie do orgazmu, chociaż powinnam pragnąć, żeby sobie poszedł. Powinnam czuć wstręt na samą myśl o jego dotyku. Jest moim wrogiem. Diabłem wcielonym, potworem. Okrutnym strażnikiem więziennym. Wszystko to wiem. Zaciskam mocno powieki i zmuszam się, by przestać czuć cokolwiek, a zacząć myśleć.

– Isabelle – powtarza i przysuwa wargi do mojego ucha. – Czyżbyś wciąż była dziewicą?

Słyszę w jego głosie drwinę. Gwałtownie podrywam głowę i widzę, że oczy mu pociemniały. Jedno stało się całkiem czarne, drugie okala wąska srebrna obwódka. Nie odpowiadam, a on cmoka językiem.

– Jesteś? – ponagla.

– Zamierzasz pozbawić mnie cnoty? Siłą rozewrzeć mi nogi i rozdziewiczyć?

Kciuk przestaje się poruszać.

– Do niczego cię teraz nie zmuszam, prawda? – pyta, a jego głos nie brzmi już bez troski.

Co najgorsze, ma rację. Wcale mnie nie trzyma, to ja przywarłam do niego.

– Zrobiłbyś to i powiedział, że należało mi się, ponieważ jestem z klanu Bishopów? – brnę dalej, bo muszę wiedzieć.

Jericho wyciąga dłoń z moich spodni, a jego oczy ciemnieją jeszcze bardziej, choć wydaje się to niemożliwe. Tym razem nie z pożądania, lecz przez coś innego. Dostrzegam w nich gniew, wręcz wściekłość. Mężczyzna boleśnie ściska mi ramię.

– Powinnaś poznać prawdziwą historię swojej rodziny zamiast wierzyć w piękne kłamstwa, Isabelle Bishop – wymawia moje imię i nazwisko w taki sposób, jakby rzucał obelgę. Jakby mnie przeklinał.

– Czy dzięki temu, że nazywam się Bishop, będzie ci łatwiej? Dasz sobie rozgrzeszenie? Prycha.

– Nie masz o niczym pojęcia, prawda?

Przysuwa twarz blisko mojej. Jego oczy przepelnia tak głęboka nienawiść, że cała zaczynam się trząść. Otwiera usta, by się odezwać, by mnie obrazić albo oświadczyć, jak bardzo mną gardzi. Właściwie nie wiem, co chce powiedzieć, jednak po chwili zmienia decyzję. Potrząsa głową, ciągnie mnie przez pokój, a potem popycha na łóżko. Przez ułamek sekundy czuję przerażenie, że wszystko przepadło. Że zaraz to zrobi. Że weźmie siłą to, czego nie chcę mu dać. Mam zamiar krzyknąć, ale Jericho pochyla się nade mną i zakrywa mi usta dłonią. Tłumi dźwięk, który wydostaje się spomiędzy warg.

– Nie masz o niczym pojęcia – powtarza, odwraca się na pięcie i wychodzi.



## 15 JERICHO

Siedzę przy narożnym stoliku w Domu Kocic należącym do kompleksu IVI. Zegar wybija godzinę. Gdy podnoszę wzrok, okazuje się, że jest już druga nad ranem, jednak lokal wciąż tętni życiem. Jak zawsze zresztą.

Możliwość korzystania z uciech oferowanych w Domu Kocic jest jedną z zalet bycia członkiem Socjety. To nasz prywatny burdel, aczkolwiek taki z górnej półki, gdzie mamy do dyspozycji najpiękniejsze kobiety do towarzystwa.

Obserwuję salę z mojego zacienionego kąta. Widzę wielu mężczyzn, niektórzy noszą maski, inni bez skrepowania odsłaniają twarze. Większość jest pijana, dziewczyny tańczą im na kolanach lub obciążają fiuta na oczach wszystkich. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego nie mogą pójść do jednego z prywatnych pokoi. Cóż, kobietom płaci się tu za spełnianie ich zachcianek. Sowiec zresztą. Każde życzenie jest dla nich rozkazem, więc skoro mężczyźni chcą sobie zaspokoić potrzebę ekshibicjonizmu, niech i tak będzie. Bywa gorzej.

Powinienem skorzystać z usług którejs z dziewczyn. Spuścić trochę pary. Zdarzało mi się to w przeszłości, ale dzisiejszej nocy żadna z tutejszych pracownic nie przykuwa mojej uwagi. Kelnerka podchodzi, by napełnić pusty już kieliszek.

– Nie – mówię.

Wstaję, kładę na stoliku banknot studolarowy, wychodzę na dziedziniec i opuszczam siedzibę IVI. Dex czeka w samochodzie za bramą. Nie jestem, co prawda, pijany, ale też nie na tyle trzeźwy, by usiąść za kółkiem. Chociaż moszczę się na przednim siedzeniu pasażera, tuż obok przyjaciela, on wie, że nie mam nastroju do rozmowy.

Przeraziłem się na widok Angelique leżącej na powierzchni wody. Instynktownie wskoczyłem do basenu, żeby ją uratować. Ale ona wcale się nie topiła, nie potrzebowała pomocy. Isabelle też nie, nawet kiedy poszła pod wodę. Właściwie to mój skok sprawił, że się zanurzyła, a córeczka zaczęła panikować. Chroniłem Angelique przez całe jej życie. O istnieniu dziecka nie wiedział nikt oprócz kilkorga pracowników i członków ochrony. Matka uważa, że w ten sposób wyrządziłem córce krzywdę. Że mała powinna dorastać wśród rówieśników, a nie siedzieć zamknięta w kolejnych domach, mając za towarzystwo wyłącznie dorosłych. Właściwie to większość czasu spędzała z babcią. I tu pojawia się kolejny problem. Za każdym razem, gdy wychodzę, Angelique jest przerażona, że już nie wrócę. Słowa Isabelle trafiły w czuły punkt.

Nie wierzę, że ktokolwiek może pamiętać moment swoich narodzin, ani na świadomym, ani na podświadomym poziomie. Nigdy w to nie wierzyłem. Ale narodziny córki, jej gwałtowne przyjście na świat, mogły pozostawić jakieś ślady w psychice. Może naznaczyły ją bardziej, niż mi się wydawało. Byłem zaręczony z Kimberly, jej matką. Mieliśmy się pobrać. Poprosiłem ją o rękę kilka miesięcy po tym, jak zaszła w ciążę. Przebywaliśmy wtedy w Meksyku. Zabrałem ją ze sobą w podróż w interesach, która przerodziła się w wakacje. Gdybym nie wziął narzeczonej ze sobą, dziś byłaby z nami. Angelique nie brakowałoby mamy. Może ja wówczas bym nie żył, ale Kimberly nie zeszlaby z tego świata. Nie mam wątpliwości, że stałaby się dla naszej córki lepszą matką, niż ja jestem ojcem.

Rankiem tego dnia, gdy mieliśmy wracać, jedliśmy śniadanie w kawiarence na plaży. Kimberly chciała po raz ostatni poczuć gorący piasek pod stopami. Wyglądała na szczęśliwą. Cała aż jaśniała z pięknie zaokrąglonym brzuchem, opaloną skórą i uśmiechem szerszym niż kiedykolwiek. Nigdy nie poznałem osoby, która byłaby radośniejsza niż ona podczas tych

ostatnich wspólnie spędzonych miesięcy.

Zostawiłem ją przy stoliku, a sam wszedłem do środka, by uregulować rachunek. Wewnątrz zorientowałem się, że zapomniałem zabrać portfela z blatu. Kiedy po niego wracałem, Kimberly zdażyła już zauważyć moje gapiostwo i szła mi naprzeciw. Dostrzegłem ich tuż przed tym, nim wszystko się zaczęło. Tak mi się przynajmniej wydaje. A może tę część zmyśliłem, wyobraziłem sobie, że wydarzenia mogły potoczyć się w taki sposób, i wplotłem tę myśl między prawdziwe wspomnienia. Ale z pewnością poczułem jakąś zmianę w powietrzu, nadchodzącą ku nam ciemność. Wroga, który miał pozbawić życia Kimberly, a moje zmienić na zawsze.

Naręczona uśmiechała się i wymachiwała portfelem. Może rozbawiło ją to, że oboje staliśmy się ostatnio wyjątkowo roztargnieni, jakbyśmy upili się radością. Szczęściem, którego – tak wówczas sądziliśmy – nic nie mogło nam odebrać. Może to było przyczyną tragedii. Nadmierna wiara w uśmiech losu. Więc bogowie spojrzeli na nas z góry i potrząsnęli z dezaprobatą głowami, rozgniewani tą idyllą.

Mężczyźni mieli na sobie czarne garnitury. Tylko tyle udało mi się zapamiętać. Wyróżniali się na tle plaży, błękitnego oceanu, jeszcze bardziej błękitnego nieba i złotego blasku słońca. Wtedy dostrzegłem broń. Zobaczyłem, jak jeden z nich wyciąga ją spod marynarki. Zanim zdażyłem cokolwiek pomyśleć, zanim zdażyłem rzucić się, by osłonić naręczoną własnym ciałem, było po wszystkim. Mężczyzna nacisnął spust, a Kimberly szarpnęło. Usłyszałem jej urwany oddech i ujrzałem, jak uśmiech znika z pięknej twarzy, zastąpiony wyrazem bezbrzeżnego zdumienia.

Oddano drugi strzał. Kula trafiła mnie w rękę w momencie, gdy padałem na kolana z ciałem ukochanej w ramionach. Chciałem ją złapać i nie pozwolić jej upaść. Po chwili napastników już nie było, a dokoła rozlegały się przerażone krzyki ludzi, wdzierając się w moje ostatnie minuty z naręczoną.

Kimberly zmarła, nim zabrano ją do karetki. Byłem pewien, że straciłem także dziecko. Pamiętam, jak zacząłem wrzeszczeć na ratownika medycznego, kiedy zobaczyłem, że skalpelem rozcina brzuch mojej naręczonej. Drugi z ratowników próbował mnie od nich odciągnąć. A potem usłyszałem cichutki, zduszony płacz.

Samochód zwalnia, a ja wracam do rzeczywistości. Mrugam, gdy podjeżdżamy pod główne wejście do rezydencji.

– Dasz radę? – pyta Dex.

Przeczesauję włosy palcami.

– Jasne. Dzięki.

Wysiadam z auta i idę w stronę domu. Panuje w nim martwa cisza. Przez minutę stoję w foyer i wsłuchuję się w nią, rozmyślając o płaczu córki tego ranka, kiedy się urodziła. O jego brzmieniu na tle wyjących syren. I zastanawiam się, dlaczego tak się stało. Dlaczego ktoś, kto w ogóle mnie nie znał, wyciągnął zza poły marynarki pistolet i strzelił. Kula nie trafiła w cel, przez co straciłem Kimberly. Rozmyślałem o Carltonie Bishopie. Zastanawiam się, co robił w chwili zabójstwa. Czy widział przekaz na żywo? Jaki miał wyraz twarzy, kiedy się zorientował, że wysłani przez niego mordercy zabili nie tę osobę co trzeba? Co pomyślał, gdy zdał sobie sprawę, że pozbawił życia matkę i jej nienarodzone dziecko? Bo wszyscy sądzili, że dziecko zmarło, nim zobaczyło światło dnia. A potem myślę o członkini rodu Bishopów, mieszkającej pod moim dachem, i o powodach, dla których się tu znalazła.

Carlton Bishop uważa, że na tym koniec. Że wszedłem w jej posiadanie, aby go ukarać i być może przy okazji upokorzyć przed Socjetą. Ale moje plany idą o wiele dalej. Jego kara dopiero się zaczęła. Kiedy skończę, po świecie będzie chodził przynajmniej jeszcze jeden Bishop. Mój umysł trzyma się kurczowo tej myśli, gdy wchodzę na górę. Sięgam do kieszeni, by

wyjąc klucz do sypialni Isabelle, i otwieram drzwi. Do pomieszczenia wpada światło z korytarza.

Przez szparę między zasłonami przesącza się blask księżyca. Rzuca srebrzystą poświatę na twarz dziewczyny. Podchodzę bliżej. Isabelle śpi na plecach, jest przykryta kocem, jedną rękę trzyma pod głową, drugą na klatce piersiowej. Czarne włosy rozlały się po białej poduszce niczym skrzydła kruk. Obok niej znajduje się otwarty notes, ten sam, który widziałem wcześniej. Krótka linijka, zużyta gumka i ołówek leżą na nim. Rzucam okiem na kartki, widzę nuty i rozmazane ślady ołówka, jakie pozostawiło za sobą ścieranie. Czyżby Isabelle komponowała własne utwory? Nic o niej nie wiem, zupełnie nic. Dziewczyna mamrocze coś przez sen, czym przyciąga moją uwagę do swojej twarzy. Mija dłuższa chwila, nim milknie. Patrzę, jak śpi. Słucham równego oddechu. Jest taka spokojna. Zazdroszczę jej, ale na taki spokój ducha nie zasługuje żaden z członków rodziny Bishopów.

Jakby wyczuwała zmianę w powietrzu, Isabelle zaczyna się wiercić i otwiera oczy. Mija kilka sekund, nim udaje jej się zorientować, że nie jest w sypialni sama. Kiedy rejestruje moją obecność, wciąga ze świstem powietrze, siada gwałtownie i przyciska koc do piersi.

– Wstawaj – nakazuję i przechodzę na bok łóżka.

Isabelle rozgląda się i sprawdza godzinę na zegarze.

– Kazałem ci wstawać.

Ściąga z siebie koc, spuszcza nogi na podłogę i pociera twarz. W końcu się podnosi. Koszulka, w której spała, sięga jej do połowy uda. Jest znoszona, a na przodzie widnieje wyblakłe zdjęcie jakiegoś zespołu. Dziewczyna ma bose nogi. Gdybym był lepszym człowiekiem, pozwoliłbym jej się ubrać.

– Zakładaj buty.

Wskazuję palcem parę, która stoi przy biurku. Czy to czyni ze mnie lepszego człowieka? Szczerze wątpię, biorąc pod uwagę to, co krąży mi po głowie. Isabelle nie bardzo wie, o co chodzi, ale wsuwa stopy w baleriny. Tenisówki byłyby lepsze, bardziej na miejscu. Ale nie kłopotczę się, by jej to powiedzieć.

– Bądź cicho.

Gestem ponaglam ją, żeby wyszła na korytarz i zeszła po schodach.

– Mogłabym przynajmniej się ubrać?

Chwytam Isabelle za włosy i odciągam głowę do tyłu.

– Kurwa, kazałem ci być cicho.

Przełyka z trudem ślinę, a kiedy ją puszczam, łapie barierkę oburącz i nie spuszczając ze mnie wzroku, pędzi po stopniach na dół. Zastanawiam się, czy boi się, że ją zepchnę. Do wyjścia na dwór prowadzi kilka różnych dróg, ale wybieram tę obok stalowych drzwi do piwnicy. Dziewczyna wzdryga się przed pójściem tamtędy, ale ją popycham.

– Nie chcę tam schodzić – zaczyna błagać, gdy się do nich zbliżamy. – Nie miałam zamiaru zrobić nic złego.

Nie odzywam się słowem. Kiedy mijamy drzwi i idziemy dalej, czuję na sobie jej długo wstrzymywany oddech, który dopiero teraz ośmiela się wypuścić. Zastanawiam się, czy jednak nie wolałaby, żebym zabrał ją do piwnicy niż tam, gdzie się udajemy. Jeszcze jeden zakręt i wchodzimy do kuchni. Otwieram drzwi wyjściowe i każę jej wyjść na dwór.

– Co będziemy robić? – pyta zdezorientowana.

Chwytam ją za ramię i ciągnę przez patio, obok basenu, na trawnik. Waha się, gdy widzi, że kierujemy się w stronę lasu. Cóż, nie ma wyboru. W żadnej kwestii. Do tej pory powinna się już do tego przyzwyczaić.

Podążamy ścieżką, którą oświetla tylko blask księżyca, a i to wyłącznie wtedy, kiedy chmury się rozstępują. Drzewa rosną gęsto, ale i bez światła odnalazłbym drogę. Jest mocno

wydeptana i zadbana, chociaż przez ostatnich pięć lat jedynie mój brat z niej korzystał. Aczkolwiek wątpię, by często to robił. Słysząc tylko odgłosy owadów i moich butów łamiących gałązki. Kroki Isabelle są niemal bezgłośne. Jej oddech staje się jednak coraz cięższy, w miarę jak stara się za mną nadażyć. Nie próbuje mi się wyrwać. Przy tempie, które narzuciłem, pewnie byłoby to niemożliwe. Ale usiłuje mnie spowolnić, dlatego trzymam ją mocno i ciągnę. Byłoby łatwiej, gdybym po prostu przerzucił ją sobie przez ramię i zaniósł na miejsce. Byłoby też szybciej. Lecz tego nie robię.

Zaczyna siąpić drobny deszcz, ale pod osłoną drzew nie grozi nam zmoknięcie. Spadające krople wydają cichy dźwięk. Isabelle, która ma na sobie tylko znoszoną koszulkę, drży i otula się wolnym ramieniem. Zwalniamy kroku, kiedy ścieżka się rozszerza.

– Gdzie jesteśmy? – pyta dziewczyna, przebijając wzrokiem ciemność, i się zatrzymuje. Zastanawiam się, czy czuje stąd zapach kadzidła. Ja czuję. A może to tylko wspomnienie. Może umysł płata mi figle i sprawia, że wyobrażam sobie coś, czego nie ma.

Powiew wiatru przegania chmury i odsłania księżyc. Deszcz ciągle mży, kropelki wody osiadają na włosach oraz ubraniach. Isabelle jest już przemoczona, koszulka klei jej się do ciała. Cała się trzęsie, a ja zachodzę w głowę, czy to z zimna czy ze strachu na widok, który się przed nią rozpościera. Podążam za jej spojrzeniem ku kaplicy i otaczającemu ją cmentarzowi. Kamienne nagrobki wznoszą się wysoko, a za nimi znajdują się marmurowe krypty, w których spoczywają przeszłe pokolenia St.

Jamesów. Spoglądam na dziewczynę, na jej zmarszczone czoło. Czuję, jak próbuje mi się wyrwać i uciec z tego miejsca. – Dlaczego tutaj przyszliśmy? – pyta, oderwawszy wzrok od grobów.

– Czyżbyś się bała kilku starych duchów?

Przeszywa ją dreszcz, a ja przypominam sobie, co powiedziała o piwnicy. O tym, że jest nawiedzona. Myślę o Zoë. Nawet to cmentarzysko byłoby weselszym miejscem do nawiedzania niż nasza piwnica.

– Dlaczego tutaj przyszliśmy? – Isabelle powtarza pytanie, a w jej głosie słyszę lęk.

– Przyszliśmy tu, żebyś zrozumiała, dlaczego przebywasz w moim domu. Żebyś mogła na własne oczy zobaczyć, czego dopuścili się Bishopowie. Do czego są zdolni. Do czego ty jesteś zdolna.

– Nie jestem...

– Nie to chciałaś wiedzieć? Pytałaś mnie przecież, dlaczego cię „porwałem”. Dlaczego cię nienawidzę.

Na dźwięk ostatniego słowa przeszywa ją kolejny dreszcz i przez chwilę waham się, czy powinienem to robić, ale rzut oka na jeden z nagrobków wystarcza, by odgonić niechciane myśli.

Ciągnąc Isabelle, przecinam polanę i idę w stronę żelaznej bramy. Dziewczyna się szarpie, ale w sumie nie liczyłem, że pójdzie dobrowolnie. Dochodzi do głosu jej podświadome poczucie winy odziedziczone w genetycznym spadku po przodkach. Otwieram bramę, która skrzypi jak w horrorze. Jestem zaskoczony, gdy Isabelle przysuwa się do mnie. Ciekawe, czy to świadomy gest. Przechodzimy obok nagrobków. Nie patrzę na nie, jeszcze nie, tylko podążam prosto do kaplicy. Została zbudowana na wzniesieniu. Dziewczyna za chwilę przekona się dlaczego. Milczy, ale oddycha szybko i podskakuje na każdy, najlżejszy nawet dźwięk. Włosy zwisają jej w mokrych strąkach, przyklejają się do twarzy. Przemokła na wskroś, a drżenie jest najpewniej wypadkową strachu i wychłodzenia.

Żeby dotrzeć do drzwi kaplicy, trzeba pokonać dwa stopnie, zniszczone i nierówne. Wchodzimy po nich i popycham ciężkie drewniane skrzydło, by je otworzyć. Zapach kadzidła wciąż jest obecny we wnętrzu, wgryzł się w kamienie. Palono je tutaj regularnie przez stulecia,

bo w kaplicy co tydzień odprawiano niedzielną mszę. Przeszto dopiero sześć lat temu. Ciekawe, czy matka ma zamiar wskrzesić tę tradycję.

Gdy jesteśmy już w środku, zamykam drzwi i rozglądam się dokoła. Nie przychodziłem tu od powrotu z Nowego Orleanu. To trochę tak, jakbym wraz z Isabelle patrzył na to miejsce po raz pierwszy. Przypatruję się wiekowym kamiennym ścianom, wysokim witrażom przedstawiającym sceny z Pisma Świętego. Witraże to nieco bardziej współczesny dodatek. Zeke musiał kazać wstawić nowe okna, bo zanim wyjechałem, powybiła je wichura. Sześć ławek w dwóch rzędach po trzy wzdłuż nawy oraz niewielka chrzcielnica stojąca w rogu zajmują większość przestrzeni. Wieczna lampka przy tabernakulum rzuca czerwone światło na prezbiterium, ale nie pali się żadna świeca, a na zdobnym drewnianym ołtarzu brakuje obrusa. Najwyraźniej Zeke nie korzystał z kaplicy. Ciekawe, kiedy zawitał tu po raz ostatni, by doglądnąć grobów. Przynajmniej tych, w których spoczywają Zoë i Kimberly. Jak go znam, to w ogóle. Ale wcale go za to nie winię.

Odwracam się w stronę Isabelle. Jest równie nieruchoma co figura Chrystusa nad ołtarzem. Przeszła się szarpać i rozgląda się z zaciekawieniem po wnętrzu. Patrzy na mnie, a ja nie jestem w stanie odczytać jej spojrzenia. Winą za to obarczam brak światła. Rozluźniam chwyt i oboje idziemy wzdłuż nawy. Zatrzymujemy się przed napisem wyrytym w dużym kamieniu pod naszymi stopami, tuż przed ołtarzem. To dlatego kaplicę zbudowano na wzniesieniu.

– Tutaj pochowano Dracę St. Jamesa, najstarszego znanego członka rodu St. Jamesów, tego samego, który odkupił kawałek ziemi od rodziny Bishopów i zbudował na nim swój dom. Pragnął spocząć wewnątrz kaplicy, obok doczesnych szczątków swojej żony. Tej pierwszej, nie drugiej czy trzeciej.

Isabelle patrzy na mnie z zainteresowaniem, gdy odczytuję daty. Draca St. James urodził się w roku 1682, zmarł w 1740. Jego żona Mary urodziła się w 1690, zmarła w 1709. Obserwuję Isabelle, gdy przygląda się wyrytym w kamieniu imionom, a także datom narodzin i śmierci. Przeszywa ją dreszcz.

– Miała tylko dziewiętnaście lat, kiedy umarła.

– Tak, była w twoim wieku. – Pozwalam sobie na odrobinę okrucieństwa, ale puszczam rękę dziewczyny. W nikłym świetle wiecznej lampki próbuje złapać wzrokiem moje spojrzenie. – Kupiliśmy te grunty od Bishopów, wiedziałaś o tym?

Przełyka ślinę i potrząsa przecząco głową.

– Brat nie uczył cię historii rodu? – pytam i robię kilka kroków w stronę ołtarza, na którym dostrzegam znajomy wolumin, biblię rodziny St. Jamesów, czyli dziennik jej założyciela. Zapis jego zmagania i zwycięstw. Kładę palce na zdobnej drewnianej okładce inkrustowanej srebrem, pieszczę ją, a potem otwieram, żeby zajrzeć do środka, poczuć zapach starości i rozkładu.

– Dowiedziałam się, że w połowie należę do rodziny zaledwie trzy lata temu. – Isabelle przerywa moją zadumę.

– Trzy lata to szmat czasu. No i to nazwisko. Nigdy cię nie ciekawiło, co za nim stoi? Nie chciałaś poznać sąsiadów?

– Między naszymi domami leżą kilometry gruntów. A ja musiałam poradzić sobie ze stratą rodziny.

– Carlton Bishop jest twoją rodziną.

– Nieprawda – mówi po dłuższej chwili.

Nachylam się ku niej.

– Genetyka twierdzi co innego.

Odwracamy się i wychodzimy w noc. Mżawka zmieniła się w deszcz, lecz księżyc wciąż



daje wystarczająco dużo światła, by ułatwić mi pracę. Dziewczyna milczy, kiedy prowadzę ją z powrotem, ale jej opór znów przybrał na sile, podobnie jak drzenie ciała.

– Zimno mi – skarży się.

– Im jest jeszcze zimniej. – Wskazuję na groby.

Kierujemy się w stronę najdalszego krańca cmentarza po zachodniej stronie kaplicy. Znajduje się tu tylko jeden nagrobek, a miejsca pochówku nikt nie dogląda. Otoczony własnym żelaznym płotem, dziś pordzewiałym, zarósł chwastami. W nienaruszonym stanie zachowały się jedynie imię oraz daty narodzin i śmierci jego lokatorki.

– Spójrz tutaj – mówię, wskazując na niego. Czuję, jak ciarki przechodzą mi po plecach, zupełnie jak wtedy, gdy w dzieciństwie uczono mnie historii naszej rodziny. – W tym grobie leży Nellie Bishop. Przeżyła Mary o dwa lata. Twierdzi się, że były przyjaciółkami. Tylko to sobie wyobraź, członkinie naszych rodzin przyjaciółkami.

– Przemarzałam do szpiku kości. Możemy wracać?

– Nie. – Puszczam ją, a ona próbuje się ogrzać, pocierając dłońmi nagie ramiona. – Widzisz, wy, Bishopowie, zawsze byliście chciwi. Mężczyźni z waszej rodziny pożąдали własności należącej do sąsiadów, a także ich żon. A jako jedni z założycieli IVI mieli władzę. Władzę, której nadużywali. Ale nie docenili Draki St. Jamesa. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Czy mówi ci coś nazwisko Reginald Bishop?

Kiwa głową, że tak.

– Widziałam w domu jego portret.

– Podobnie jak twój ojciec nie umiał trzymać fiuta w spodniach. Tyle że Mary do niego nie należała. Tylko u was pracowała, zanim weszła do rodziny St. Jamesów. Wyobraź to sobie. Dziewczyna, która była służącą w jednym domu, stała się królową w innym. Draca St. James z miejsca się w niej zakochał. Później pokażę ci jej portret, zobaczysz dlaczego.

Poślubił Mary po zaledwie kilku tygodniach od chwili, gdy ją ujrzał. Ale Reginald, jak większość mężczyzn w waszej rodzinie, był człowiekiem przekonanym o własnej wyższości. Jestem pewien, że konieczność sprzedania połowy ziemi, by nie pójść z torbami, nie pomogła jego rozbuchanemu ego. Może dlatego to zrobił, któż to wie? W każdym razie tajemnicą poliszynela było, że rościł sobie prawa do Mary. Nawet po tym, jak przestała pracować w jego domu. Nawet gdy została panią St. James, a tym samym członkinią IVI, stowarzyszenia, które wspólnie z innymi założyli Bishopowie. Ale Reginald uważał, że jest ponad prawem, i po prostu ją sobie wziął. A kiedy okazało się, że Mary go nie chce, że pragnie wrócić do męża, zgwałcił ją. – Na twarzy Isabelle maluje się wyraz przerażenia. – Gdy się nią znudził, odesłał ją do domu, bosą i ciężarną. Oczywiście czekał, aż brzuch stanie się widoczny. Sądzę, że czerpał z tego faktu chorą dumę. Zrobił dziecko kobiecie należącej do innego mężczyzny. Mężczyzny, którego uważał za gorszego od siebie.

Nie zdaję sobie sprawy, że przerwałem opowieść, aż do momentu, gdy dociera do mnie głos Isabelle.

– I co było dalej?

– Draca przyjął ją z powrotem. Kochał ją całym sercem. I to on odkrył jej ciało wiszące w piwnicy niecały tydzień później. Dziewczyna bierze gwałtowny wdech i zakrywa usta dłonią.

– Czy to właśnie czułam? Ducha Mary?

Przyglądam się jej uważnie, ale nie wspominam, że błąka się ich tam więcej. W historii mojej rodziny często przewijają się stryczki. Mamy na ich tle jakąś obsesję.

– Mary nie mogła znieść, że wyda na świat Bishopa – mówię, całkowicie ignorując jej pytanie. – Odczuwała wstyd z powodu tego, czego się wobec niej dopuścił ten skurwiel.

Wstydziła się, że została zgwałcona.

– Co zrobił Draca?

– Zainicjował Rytuał. – Uważnie przyglądam się Isabelle, gdy wypowiadam te słowa. Jej twarz blednie, ramiona ciasniej obejmują ciało. – Zabrał Nellie Bishop, córkę Reginalda, i ożenił się z nią. Całe szczęście, że nie doczekali się potomstwa. Dzięki temu nie zbrukał naszej krwi.

– Ale Rytuał ma zapobiegać nadużywaniu władzy, a zmuszenie do małżeństwa jest właśnie czymś takim – odpowiada dziewczyna, a ja odnoszę wrażenie, że mówi o sobie.

– Członkowie IVI poparli decyzję Draki. Tak jak poparli moją w tej samej kwestii.

– Ale...

– Widzisz, Bishop popełnił błąd. Uznał, że stoi ponad prawem, a to nigdy nie kończy się dobrze. Ale on był arogantem, członkowie stowarzyszenia za nim nie przepadali. Narobił sobie wrogów, podobnie jak twój brat – dodaję. – Co do Rytuału, Trybunał opowiedział się po stronie St. Jamesa również po to, by utrzyć Reginaldowi nosa. W tamtym czasie fortuna mojej rodziny znacznie przekraczała majątek Bishopów. Dziś jest podobnie.

Isabelle potrząsa głową.

– Czy Draca skrzywdził Nellie? – Przyglądam się jej w milczeniu. – Chcę wracać.

– Jak tylko skończymy naszą małą lekcję historii. – Odwracam się znów w stronę grobu.

– Nellie zmarła dwa lata po ślubie. Popelniła samobójstwo, topiąc się w studni. Przynajmniej tak mówią. Draca ożenił się po raz trzeci, ale tylko po to, żeby przedłużyć ród. Jego jedyną prawdziwą miłością była Mary.

Milknę i spoglądam na Isabelle, która wpatruje się w inskrypcję na nagrobku Nellie.

– W grobie zostało puste miejsce – oznajmiam. Patrzy na mnie zdezorientowana. – Czeka na kolejnego Bishopa, który dotrzyna jej towarzystwa.

Resztką krwi odpływa z twarzy dziewczyny. Chwytam ją za ramię i kieruję w stronę mauzoleum, by pokazać jej imiona moich przodków oraz bliższych i dalszych krewnych. Dostrzegam nagrobek Zoë i odczytuję z niego daty. Miała szesnaście lat. Była jeszcze młodsza niż Mary St. James. Widzę, że Isabelle patrzy w to samo miejsce. To jedyny nagrobek, przy którym leżą więdnące róże. Położono je tu jakiś tydzień temu. Ciągnę ją, nim zdąży cokolwiek powiedzieć na ten temat.

– A teraz dochodzimy do grobu, z powodu którego się tu znalazłaś. Z powodu którego zainicjowałem Rytuał.

Słyszę, jak przełyka ślinę. Jakby na zawołanie, deszcz nagle przybiera na sile. Po chwili oboje jesteśmy przemoczeni do suchej nitki, ale nie przyspieszam kroku. Podchodzę do nagrobka Kimberly. Nie spieszy mi się. Moja ukochana nie została pochowana w mauzoleum. Nie zdążyliśmy się pobrać, a tylko osoby noszące nazwisko St. James mogą tam spocząć.

Staję przed kamieniem nagrobnym, pod którym też leżą róże. Położono je mniej więcej w tym samym czasie co te przy grobie Zoë. Obraz Zeke'a ścinającego kwiaty i niosącego je na cmentarz tchnie takim smutkiem, że muszę kilka razy zaczerpnąć głęboko powietrza, aby go od siebie odsunąć.

– Tutaj leży matka Angelique – mówię głosem wypranym z emocji. – Kimberly Anders.

Isabelle odczytuje daty, a kiedy podnosi wzrok, w jej spojrzeniu czai się coś dziwnego. Jakby współczucie. Odczuwam nagłą chęć, by zetrzeć jej to z twarzy.

– Jak zmarła?

– Została zamordowana.

Twarz dziewczyny wykrzywia się z szoku. Nie mam pewności, czy zdaje sobie sprawę, że jej dłoń powędrowała wprost do blizny na obojczyku. Najbliźsi Isabelle także zginęli. Rodzice w wypadku samochodowym, brat podczas włamania. Czy to się kwalifikuje jako morderstwo?

Przypuszczam, że tak. Nawet jeśli złodziej nie działał z takim zamiarem. Uświadamiam sobie, że to podczas tego włamania musiały powstać jej blizny. Wcale nie upadła. Została zepchnięta.

Nagły powiew lodowatego wiatru wrywa mnie z zamyślenia. Mrugam i spoglądam na imię Kimberly wyryte w kamieniu. Była zbyt młoda na śmierć. Zbyt młoda, by pozostawić po sobie tylko gnijące w ziemi ciało. Otaczam się twardą skorupą. Moja matka się myli. Kimberly by tego chciała. Chciałaby, abym dokonał zemsty.

– Myślisz, że to Carlton? – odzywa się niespodziewanie Isabelle. – Nie byłby do tego zdolny. To nie leży w jego naturze. Brwi podjeżdżają mi aż pod linię włosów.

– Nie? Zdziwiłabyś się, do czego zdolny jest twój brat. I co leży w twojej naturze. – Dziewczyna patrzy na mnie, lecz nie próbuje się sprzeczać, a ja zastanawiam się, w co tak naprawdę wierzy. – Ale nie musisz się tym przejmować. Żadna różnica. Mam inne plany na tę noc.

– Jakie plany?

– Chodź, Isabelle. Najwyższy czas, by przelać pierwsze krople krwi kolejnego pokolenia Bishopów.

## 16 ISABELLE

Jego oświadczeniu towarzyszy kolejny podmuch. Nie wiem, czy to wiatr czy jego słowa sprawiają, że krew zamarza mi w żyłach. Kiedy na mnie spogląda, czuję, jak ciarki przebiegają mi po plecach. „Najwyższy czas, by przelać pierwsze krople krwi kolejnego pokolenia Bishopów”.

Cofam się o krok. Bolać mnie stopy. Baleriny nie zostały stworzone do spacerów po lesie, a już na pewno nie do takich wypraw jak ta.

– Zagramy w pewną grę, panno Bishop.

– Nie mam ochoty na żadne gry.

Jericho szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Pobiegniesz, a ja będę cię gonił.

– Powiedziałam, że nie mam ochoty.

– Musisz odszukać studnię, w której znaleziono ciało Nellie.

– Że co?! – „O mój Boże, niedobrze mi”.

– Jeśli uda ci się do niej dotrzeć, zanim cię dogonię, dzisiejszej nocy pozostaniesz bezpieczna, nie będziesz musiała się mnie obawiać. Ale jeśli cię złapię albo dobiegnę tam pierwszy – kontynuuję i przybliża się do mnie – upuszczę ci krwi.

Spogląda na zegarek i przekręca pokrętło z taką nonszalancją, jakbyśmy nie stali w środku nocy na cmentarzu, nie mokli w ulewnym deszczu i nie rozmawiali o jakiejś absurdalnej zabawie w berka po tym, jak padło zdanie o upuszczaniu krwi.

– Nie chcę w nic grać! Chcę wrócić do domu!

– Do domu?

Potrząsam głową.

– Do mojego domu! Z dała od ciebie!

Jericho wzrusza ramionami.

– Dam ci fory, pięć minut przewagi – oznajmia i wykręca nadgarstek, bym mogła zobaczyć tarczę zegarka, na której już rozpoczęło się odliczanie.

– To nie... Nie będę grać z tobą w podchody.

Wzrusza ramionami i podchodzi do grobu Kimberly, by zebrać zwiędłe róże. Po chwili spogląda ostentacyjnie na stoper.

– Cztery i pół minuty.

Wpatruję się w jego szerokie plecy i muskularne ramiona. Deszcz sprawił, że sweter przykleił mu się do ciała, a ciemne włosy wyglądają na czarne. Robię krok w tył i rozglądam się po tym nawiedzonym miejscu pełnym nagrobków. Patrzę na upiorną kaplicę. Na grób Nellie Bishop oddzielony od pozostałych rdzewiejącym płotem i trawą tak wysoką, że niemal nie widać nagrobka. A jednak o niej nie zapomniano. Chociaż nie sądzę, aby o to chodziło. Raczej o to, by o niej pamiętać. Rzuciła się do studni? A może została wrzucona? Może pozbawiono ją życia już wcześniej?

Odsuwam się od Jericha o kilka kolejnych kroków. Mężczyzna prostuje się, pociera dłonie. Rzuca spojrzenie najpierw na mnie, potem na zegarek. Nie potrzebuję przypomnienia, jak niewiele czasu mi zostało. Wiem, że gra się rozpoczęła, niezależnie od tego, czy wyraziłam na nią zgodę. Odwracam się więc na pięcie, rzucam do biegu i mijam bramę. Kusi mnie, by wrócić tą samą drogą, którą przyszliśmy, i zakopać się w łóżku pod kocem, ale wiem, że Jericho bez

trudu by mnie odnalazł. Poza tym to jego dom, ma klucz do mojej sypialni. Nie, nie mogę tam wrócić. Muszę znaleźć studnię.

Wybiegam z cmentarza prosto w gęsty las. Słyszę tylko szum deszczu i własne kroki, a jedyne światło daje księżyc przebijający się od czasu do czasu przez pokrywę chmur. Mam bardzo ograniczoną widoczność. Potykam się o leżące na ziemi gałęzie, kaleczę gołe nogi o cierniste krzewy. Wbiegam głębiej w las, starając się zwiększyć dystans między mną a St. Jamesem. Przypominam sobie, jak wygląda posiadłość z okna sypialni. Nie widziałam stamtąd ani cmentarza, ani nawet dachu kaplicy. Ścieżka, którą szliśmy, zakręcała, więc pewnie znajdowały się za zakrętem. Ale widziałam jakąś kamienną budowlę. Coś jak mniejszy krąg wewnątrz większego. Z mojego punktu obserwacyjnego wyglądało to na ruinę, ale drzewa nie rosły tam tak gęsto jak w innych częściach lasu. To miejsce leży na wschód od domu. Nie wiem, czy właśnie tam znajduje się studnia, o której mówił Jericho, ale to jedyny trop, jaki mam. Zwalniam więc kroku i próbuję zorientować się w terenie. Nie żebym miała w głowie wbudowany GPS, ale nie jestem też kompletną sierotą pod tym względem. Muszę tylko ustalić, gdzie znajduje się dom, a będę wiedziała, w którą stronę bieć.

Zatrzymuję się na kilka sekund i nasłuchuję, czy nie nadchodzi Jericho. Niestety deszcz tłumi wszelkie dźwięki. Jakaś część mojego umysłu rozważa, czy to nie sztuczka wymyślona przez St. Jamesa. Bez problemu mógł wrócić do domu, do ciepłego łóżka, a mnie zostawić samą na dworze, żebym całą noc szukała nieistniejącej studni. Chociaż wątpię, by to zrobił. Myślę, że naprawdę chce się zabawić w kotka i myszkę.

Patrzę na wąską ścieżkę, którą tu przybiegłam, a mój mózg pracuje na najwyższych obrotach. Cofam się po własnych śladach i kieruję w stronę, gdzie według mnie znajduje się dom. Gdybym tylko mogła zobaczyć choć jego fragment, wiedziałabym, co robić dalej. Ale jest środek nocy. Szary kamień będzie widać, wyłącznie gdy księżyc wyjdzie zza chmur.

Gdzieś niedaleko pęka z trzaskiem gałąź. Wciągam gwałtownie powietrze do płuc i rzucam się do biegu. Robię stanowczo za dużo hałasu. Spoglądam przez ramię i odczuwam ulgę, bo widzę, że za mną czai się tylko mrok. Kiedy wracam wzrokiem na ścieżkę, jest już za późno. W sumie nie jestem pewna, czy w tych ciemnościach dostrzegłabym niebezpieczeństwo wśród gęstego poszycia. Zaczepiam nogą o wystający korzeń i upadam. But zsuwa mi się ze stopy, a ja ląduję ciężko na ziemi. Siła uderzenia wyciska powietrze z mojej piersi. Ból jest tak silny, że nie mogę powstrzymać krzyku, który wyrывa mi się z gardła. Potrzebuję dłuższej chwili, by usiąść. Prawa piszczel zaczyna szczypać. Dotykam jej i czuję na palcach ciepłą wilgoć. Odpycham się mocno, aby wstać. Jestem wdzięczna losowi, że noga utrzymuje ciężar ciała. To tylko skaleczenie. Na szczęście nie skręciłam kostki. Zgubiłam za to but, ale kiedy krótkie przeszukiwanie miejsca upadku nie daje efektu, decyduję się kontynuować ucieczkę bez niego. Badam wzrokiem grunt na tyle, na ile pozwala mi brak światła.

Nie mam pojęcia, jak długo biegnę. W pewnym momencie odkrywam, że niechcący zawróciłam na cmentarz, co powoduje krótkotrwały napad paniki. Siłą woli zmuszam płuca do równomiernego oddechu. Udaje mi się uspokoić. Z tego miejsca mogę bez trudu odnaleźć drogę do domu i zorientować się w terenie. Przemykając pod osłoną drzew, wypatruję właściwej ścieżki i ruszam nią. Niedługo potem dostrzegam światło. Ktoś włączył lampę w jednej z sypialni na piętrze rezydencji. Zalewa mnie fala ulgi, dzięki której odnajduję w sobie nowe pokłady energii. Już wiem, gdzie znajduje się budynek, a biorąc pod uwagę położenie jego i cmentarza, chyba będę w stanie odnaleźć polanę, a razem z nią studnię.

Przyspieszam kroku, by w końcu znów rzucić się do biegu. Zauważam, że deszcz ponownie osłabł i zmienił się w mżawkę. Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, lecz nagle odnoszę wrażenie, że los zaczyna mi sprzyjać. Co prawda boli mnie noga, podobnie jak stopy, ale widzę

światło i wiem, że dam radę odnaleźć studnię. Czuję się nieco bardziej pewnie, przybyło mi sił. Ale wtedy w ciszy nocy nadeptuję na gałąź, która pęka z trzaskiem. Mogłabym przysiąc, że ten odgłos niesie się echem po terenie posiadłości, zdradzając tym samym moje położenie. Wydaje mi się, że słyszę, jak Jericho się zbliża, stawiając pewne, niespieszne kroki. Wie, że wygra.

Odwracam się w kierunku, z którego dobiegł dźwięk. Niedawno zapalone światło niespodziewanie gaśnie i w tej samej chwili gruba warstwa chmur zasłania księżyc, pogrążając mnie w całkowitej ciemności. Trzaska kolejna gałąź. Rozglądam się panicznie, próbuję wypatrzeć St. Jamesa, pewna, że stoi tuż za mną. Nie ma go jednak. Jest tylko ciemność. Przytłaczająca, niekończąca się ciemność. Otaczają mnie drzewa i mrok nocy. Tracę orientację. Nie widzę ani ścieżki, ani domu. Wiem tylko, że nie mogę się zatrzymywać, więc idę, a potem biegnę. Albo mam omamy słuchowe, albo naprawdę słyszę, jak Jericho podąża moimi śladami. Nie jestem pewna, czy nie kręcę się w kółko. Czuję przeszywający do szpiku kości chłód, obezwładniające wyczerpanie i przeraźliwy strach.

Nagle drzewa się przerzedzają, a księżyc wygląda zza chmur. Staję i je dostrzegam. Rozsypane kamienie, które widziałam z okna sypialni. Kiedy podchodzę bliżej, orientuję się, że wcale nie są rozsypane. Zostały ułożone we wzór. Mam wrażenie, że ziemia jest tutaj chłodniejsza, lecz gdy patrzę w dół, uzmysławiam sobie, że podczas biegu zgubiłam drugi but. Jednak to bez znaczenia. Udało mi się dotrzeć do celu. Znalazłam studnię i jestem bezpieczna.

Na moje nieszczęście, kiedy nabieram pewności, że wygrałam tę grę, kątem oka dostrzegam ruch. Wciągam ze świstem powietrze, bo z ciemności wyłania się Jericho. Ręce trzyma w kieszeniach spodni, a jego twarz ma złowieszczy wyraz. Nie wygląda na usatysfakcjonowanego rozwojem wypadków, ale nie potrafię rozgryźć jego miny.

– Buuu!

Krzyczę przestraszona i się cofam. W głowie słyszę słowa, które wypowiedział na cmentarzu: „Najwyższy czas, by przelać pierwsze krople krwi kolejnego pokolenia Bishopów”.

– Udało mi się. Znalazłam studnię – mówię, kiedy rusza w moją stronę. Powinam znów zacząć uciekać. Naprawdę powinienam. Lecz jest mi zimno, a stopy i zraniona noga bolą tak bardzo, że nie dają rady. – Jestem bezpieczna. Powiedzia...

– Nie jesteś bezpieczna, Isabelle. I już nigdy nie będziesz – przerywa mi. Nie wiem, czy chodzi o słowa, o ton ostrzeżenia, z jakim je wypowiada, czy fakt, że wiem, iż są prawdziwe, ale potrząsam gorączkowo głową. W uszach zaczyna mi dudnić jakiś dźwięk. To chyba bicie serca, szum pompowanej przez nie krwi. Melodia chaosu szalejącego w duszy.

Zaczynam się cofać.

– Ostrożnie! – krzyczy nagle Jericho.

Cofam się coraz bardziej, bo nie chcę, aby przelał moją krew. Nie chcę być kolejnym członkiem rodziny Bishopów pogrzebanym na cmentarzu St. Jamesów.

– Isabelle, stój!

Zaczyna biec, a ciężkie kroki zdradzają nagłą potrzebę. Na jego twarzy dostrzegam... strach? Nie mam czasu tego analizować, tylko przebieram nogami szybciej, bo jest coraz bliżej. Już chcę rzucić się do ucieczki, kiedy trafiam stopą w próżnię. Krzyczę, czując, że lecę bezwładnie w tył. Ostatnią rzeczą, którą widzę, jest ręka Jericha, wyciągnięta, by mnie złapać. Wymachuję ramionami, a pasma długich czarnych włosów unoszą się wokół mojej twarzy i spadają.

Ogarnia mnie nicość.

## 17 JERICHO

– Kurwa!

Padam na kolana przy krawędzi niewielkiego nasypu, pod którym leży bezwładne ciało Isabelle.

– Isabelle! – wołam, ale nie odpowiada.

Schodzę na dół i kucam obok niej. Na szczęście jej klatka piersiowa porusza się miarowo w górę i w dół. Dokładnie przyglądam się dziewczynie, nim stwierdzam, że mogę ją bezpiecznie dotknąć. Nasyp ma jakiś metr wysokości, ale upadek z niego na plecy stanowi zagrożenie. Ręce i nogi Isabelle są ułożone pod normalnym kątem, a kiedy je obmacuję, nie znajduję żadnych złamań. Krwi jest niewiele, odrobina sączy się z kilku zadrapań i rozcięcia na goleni, które już zaczęło się zasklepiać. Musiała zranić się w nią wcześniej.

– Isabelle, słyszysz mnie?

Delikatnie podnoszę jej głowę, żeby sprawdzić, czy nie jest rozbita. Klnę pod nosem, kiedy widzę na dłoni czerwoną plamę, ale dziewczyna nie krwawi mocno. Podnoszę ją do siadu i czuję ogromną ulgę na myśl, że upadła dość fartownie. Kilka centymetrów w bok i mogłaby z tego nie wyjść, trafiając głową w spory kamień. Przesuwam dłonią po jej kręgosłupie, a ciało opada w przód jak marionetka, której odcięto sznurki. Wypuszczam wstrzymywane w płucach powietrze, słysząc jęk bólu.

– Teraz cię podniosę – mówię, ale ani nie odpowiada, ani się nie porusza. Kładę jedną rękę na jej plecach, drugą wsuwam pod kolana. Głowa Isabelle opada na moją pierś, kończyny zwisają bezwładnie. Niosę dziewczynę do domu. Kurwa! Nie takie przelewanie krwi miałem na myśli.

Wchodzę do rezydencji, i wnoszę Isabelle na górę. Na dworze wciąż panują ciemności, więc wszyscy pewnie jeszcze śpią. Jestem za to wdzięczny. Angelique nie powinna widzieć, jak trzymam nieprzytomną, zakrwawioną i brudną Bishopównę. Zdążyła się do niej przywiązać. Tego nie wziąłem pod uwagę, a już na pewno nie możliwość, że stanie się to tak szybko.

Mijam drzwi do pokoju dziewczyny i zabieram ją do siebie. Odsuwam koce, po czym kładę na łóżku. Spoglądam na nią. Wydaje się taka drobna, taka delikatna. O wiele bardziej krucha, niż się spodziewałem. Wzdycham ciężko. Idę do łazienki, ściągam przemoczony sweter i wrzucam go do kosza na pranie. Zabieram kilka ręczników, apteczkę pierwszej pomocy i wracam do pokoju. Isabelle ani drgnie. Odkładam zgromadzone rzeczy i podnoszę ją do pozycji siedzącej, żeby zdjąć koszulkę. Ciskam ciuch na podłogę, a potem ściągam dziewczynie majtki. Przyglądam się jej przez chwilę i zabieram się do pracy. Skóra Isabelle jest zimna, wręcz lodowata. Osuszam ją dokładnie, ścierając przy okazji tyle brudu, ile zdołam. Upaprane ręczniki rzucam obok ubrań, a z komody wyciągam ciepły sweter. Ubieram w niego dziewczynę i przykrywam ją kocem. Gdy obmacuję tył jej głowy, czuję guza, ale palce mam całkiem suche. Co za ulga! Isabelle porusza się i jęczy na znak protestu. Nie wątpię, że guz jest bolesny.

– Ciii, spokojnie – mówię, kiedy mruga, a potem otwiera oczy. Powieki ma ciężkie i myślę, że zaraz znów zapadnie w sen, ale wtedy skupia wzrok na mojej twarzy. Przez chwilę wygląda, jakby mnie nie poznawała. Próbuje usiąść, lecz jej się to nie udaje. Patrzę na nią i widzę, ile wysiłku kosztuje ją, by utrzymać otwarte powieki.

– Zamknij oczy – nakazuję.

– Ty... – Usiłuje walczyć z nadchodzącym omdleniem. Udaje jej się położyć dłoń na

mojej piersi. Mam wrażenie, że chce mnie odepchnąć, ale ręka opada z powrotem na łóżko.

– Zaopiekuję się tobą. Jesteś bezpieczna – mówię odruchowo.

– Wcale nie jestem – mamrocze, ale nie otwiera oczu, a ja wpatruję się w jej śliczną twarz. Ma rozcięty policzek, lecz to tylko powierzchowne skaleczenie. Zajmę się nim, jednak najpierw muszę opatrzyć najpoważniejsze rozcięcie.

Odwracam delikatnie głowę Isabelle i starając się nie podrażniać rany, zmywam zaschniętą krew. Pozlepiła jej włosy, ale mogło być gorzej. Gdy kończę czyszczenie, zostawiam dziewczynę na łóżku i idę na dół po lód. Po powrocie zastaję ją w tej samej pozycji. Oddycha miarowo. Przykładam lód do jej głowy, a ona krzywi się i usiłuje mnie odepchnąć.

– Ciii – szepczę, kładąc dłoń na jej policzku. – Śpij.

Rzeczywiście zasypia, a ja zaczynam opatrywać pozostałe skaleczenia. Bandażuję te, które tego wymagają. Gdy kończę, czuję się zmęczony. Padam, kurwa, z nóg. Obchodzę łóżko – nie pomyślałem i położyłem Isabelle na swojej stronie materaca – po czym wsuwam się pod koc. Gaszę światło i wsłuchuję się w spokojny, równomierny oddech dziewczyny. Czuję ciepło, które emanuje z jej ciała. Zasypiam z myślą, że nie dane mi będzie zaznać spokojnego snu.



## 18 ISABELLE

Budzi mnie ćwierkanie ptaków na dworze. Znajomy dźwięk. Między gałęziami drzewa, które rośnie obok mojego okna, uwiły gniazdo zięby. Uwielbiam słuchać ich śpiewu z samego rana. Ze zdumieniem stwierdzam jednak, że nie jestem ani w swoim łóżku, ani w swojej sypialni. Nie muszę otwierać oczu, aby rozpoznać, że światło świeci inaczej, a zapach nie jest taki, jak powinien. Gdy przypominam sobie, gdzie się znajduję, siadam gwałtownie i natychmiast tego żałuję.

– O kurwa!

Ostrożnie dotykam potylicy. Syczę, trafiając palcami na guz.

– Boli cię głowa?

Odwracam się w stronę głosu. Jericho St. James. Stoi oparty całym ciężarem ciała o ścianę. Jedną rękę trzyma w kieszeni, w drugiej dzierży kubek z kawą, której zapach dociera do moich nozdrzy. Ma na sobie garnitur, czarny niczym jego dusza, ciemne włosy są wilgotne po prysznicu. Stoi i się gapi. Po prostu się we mnie wpatruje.

Powoli wszystko sobie przypominam. Odtwarzam w myślach, jak pojawił się w mojej sypialni, Bóg jeden wie, o której godzinie. Jak zabrał mnie do kaplicy i na cmentarz, żeby pokazać zapomniany grób Nellie Bishop. Jak opowiedział okropną historię waśni między naszymi rodami. Jak kazał grać w tę głupią grę z dotarciem do studni, w której znaleziono ciało mojej przodkini. Przypominam sobie też ciemności panujące w lesie i lodowaty deszcz.

I upadek.

– Ty cholerny sukinsynu!

Kiwa głową, jakby się ze mną zgadzał, i upija łyk kawy.

– Obok szklanki z wodą leży aspiryna. Ani jedno, ani drugie nie zostało zatrute.

Macam guza, który wyskoczył mi z tyłu głowy.

– Muszę iść do lekarza. Mogę mieć wstrząśnienie mózgu.

– Nie masz wstrząśnienia, to tylko guz.

– Ty palancie, mogłam się zabić!

– Przesadzasz, Isabelle. – Dopija kawę i odpycha się od ściany, żeby do mnie podejść. –

Pokaż.

Siada na krawędzi łóżka, a w mojej głowie kołocze się dziwne i niewyraźne wspomnienie, że coś takiego już się wydarzyło. Tyle że wtedy Jericho był nagi od pasa w górę, a ja dotykałam dłońmi jego piersi. Pod ciepłą skórą wyczuwałam wyraźnie zarysowane mięśnie.

Zamykam oczy i wyrzucam z myśli obraz półnagiego St. Jamesa, razem z tymi jego smoczymi tatuażami oplatającymi plecy i ramiona.

– Nie dotykaj mnie – warczę i uderzam go w ramię. Odsuwam się natychmiast, ale już po chwili przychodzi mi zapłacić za to wysoką cenę. – Auć, to boli. Cholera jasna!

– Trzymaj.

Podaje mi tabletki przeciwbólowe i wodę do popicia.

Spoglądam na nie, potem na niego.

– Opakowanie stoi tam, to tylko aspiryna.

Przenoszę wzrok na nocny stolik, na którym rzeczywiście dostrzegam buteleczkę z aspiryną. Wyciągam rękę, żeby wziąć od niego lekarstwo, wkładam pastylki do ust i połykam je, popijając jednym łykiem wody.

– Wypij wszystko, dobrze ci zrobi.

– O mało mnie w nocy nie zabiłeś, a teraz chcesz, abym uwierzyła, że troszczysz się o moje dobro?

– Nic takiego się nie stało, wszystko z tobą w porządku.

Dopijam wodę, lecz nie dlatego, że Jericho tak kazał. Po prostu bardzo chce mi się pić. Kiedy osuszam szklanke, odbiera ją ode mnie i odstawia, a potem chwyta mój podbródek. Jego dotyk jest jednak znacznie łagodniejszy niż poprzednio. Obchodzi się ze mną delikatnie. Czyżby miał wyrzuty sumienia?

Odwraca mi głowę, a po chwili czuję jego palce w pobliżu guza, lecz tylko muska skórę opuszkami.

– Opuchlizna się nie powiększyła, ale na twoim miejscu przez jakiś czas bym tego nie ruszał.

– Nie wiedziałam, że jesteś lekarzem – podkpiwam z niego, kiedy się prostuje.

– Jedynie zatroskanym obywatelem.

– Pierdol się.

– Ostrożnie. Pamiętaj o przykazaniach. Tym razem puszcę to płazem, bo uderzyłaś się w głowę, ale licz się ze słowami.

– Serio?! Bo uderzyłam się w głowę? Jakiś ty, kurwa, uprzejmy. Pierdol się.

Zaciska zęby, a ja wiem, że powinnam przystopować.

– Dlaczego to zrobiłeś? O co ci w ogóle chodziło? – pytam.

Odczuwam ból w podeszwach stóp oraz piszczelu. Właściwie boli mnie całe ciało. Pamiętam, że pogubiłam buty i że... spadałam. Nagle zdaję sobie sprawę, że mam na sobie cudzy sweter. Wącham rękaw i już wiem, do kogo należy. Kiedy podnoszę wzrok na Jericha, widzę, że obserwuje mnie z rozbawieniem.

– Czy to ty mnie rozebrałeś?

– Ja. I nie widziałem nic, czego bym wcześniej nie widział. – Puszcza oczko.

Co za kutas! Rozglądam się dokoła w poszukiwaniu moich ubrań. Choć ubrania to może za dużo powiedziane, raptem koszulka i majtki.

– Gdzie mój T-shirt?

– Chodzi o tę szmatę? Nie mów, że Bishopom powodzi się tak źle, że nie stać cię, aby sobie kupić porządną piżamę...

– Gdzie on jest?

Zrywam z siebie koc, przerzucam nogi przez krawędź łóżka i wstaję, ale robię to zbyt szybko. Ból i zawroty głowy sprawiają, że tracę równowagę. Lecę wprost na szeroką i bardzo umięśnioną klatkę St. Jamesa. Mężczyzna podtrzymuje mnie, a ja pragnę oderwać od niego dłonie i wyrwać się z jego uścisku, ale nie robię ani jednego, ani drugiego.

– Uspokój się, Isabelle. Wracaj do łóżka.

Łąduję z powrotem na materacu. Nim Jericho mnie przykrywa, widzę zadrapania na nogach, niektóre są zabandażowane.

– Gdzie moja koszulka? – ponawiam pytanie.

– Oddałem ją do prania.

– Ale po co?

– Była brudna po naszej zabawie.

– To wcale nie była zabawa. Przynajmniej nie dla mnie. – Głos mi się załamuje, gdy wraca cały strach, który odczuwałam w nocy. Grzbietem dłoni ocieram oczy. Nie rozplączę się, kurwa, nie przy nim. – Chcę ją odzyskać.

– Odzyskasz ją, jak będzie czysta. Daj spokój, przecież to tylko jakaś pieprzona

koszulka.

– To nie jest jakaś tam koszulka!

Ponownie otwieram usta, żeby mu powiedzieć, że należała do Christiana i że zaczęłam ją nosić po jego śmierci. Że minęło kilka miesięcy, nim w ogóle zdobyłam się na to, by ją wyprać. Ale nie mówię nic. Jericho nie zasługuje na tę wiedzę. Nie zasługuje na jakąkolwiek wiedzę o mnie.

Dotykam siniaka na goleni, który wystaje spod bandaża.

– Ty mnie opatrzyłeś? – Z powagą kiwa głową. Wyraz twarzy też ma poważny. – No co? Czyż nie tego właśnie chciałeś?

Przelania krwi Bishopów.

– Nie taką krew miałem na myśli. Planowałem coś o nieco bardziej intymnym charakterze.

Z początku nie rozumiem, o czym mówi, ale po chwili do mózgu dociera znaczenie jego słów. Chodzi mu o moją cnotę.

Rozdziwyczyłby mnie, gdybym nie uderzyła się w głowę i nie zemdląła. Czuję, jak płoną mi policzki. Jestem pewna, że skóra na twarzy zrobiła się całkiem czerwona.

– Cóż, w ogóle nie żałuję, że popsulałam ci wczorajszą „zabawę”, ty chory skurwielu. Mogłam się poważnie zranić.

– Ale się nie zraniłaś.

– A właśnie że tak!

– Teraz będę wiedział, jak się z tobą obchodzić, biorąc pod uwagę twoją... kruchość.

– Nie jestem krucha. Po prostu nie przywykłam do tego, żeby ktoś opowiadał mi straszne historie o rodzinie, a potem zmuszał do ucieczki w celu ratowania życia.

– Ani przez chwilę nie groziła ci utrata życia.

– Tylko dziewictwa?

Nie wiem, dlaczego go o to pytam, ale jak tylko słowa opuszczają moje usta, czuję, że skóra na twarzy pali jeszcze mocniej. Jericho obserwuje mnie bez słowa. Nie zaprzecza, nie próbuje się bronić. Odwracam wzrok, bo nie mogę znieść spojrzenia

St. Jamesa. Jego obecność to teraz za wiele. Wczoraj w nocy odniosłam wrażenie, że za wszystko obwinia mnie, że mnie nienawidzi. Teraz nie jestem tego taka pewna.

Biorę głęboki wdech i powoli wstaję z łóżka. Jericho czeka, gotowy, by mi pomóc, gdybym znów straciła równowagę. Przez chwilę się chwieję, ale udaje mi się utrzymać pion. Prostuję ramiona i patrzę mężczyźnie w oczy.

– Więc dlaczego mnie go nie pozbawiłeś, gdy leżałam nieprzytomna i nie mogłam się bronić? – Jego spojrzenie staje się intensywniejsze, jakby próbował rozłożyć to pytanie na czynniki pierwsze. – Przecież chciałeś mojej krwi. Czemu jej nie przelałeś? Miałeś ku temu okazję. Leżałam w twoim łóżku naga i bezbronna. – Wzruszam ramionami. Jego milczenie dodaje mi sił. – Całkowicie zdana na twoją łaskę.

Prycha, taksuje mnie wzrokiem, po czym wraca spojrzeniem do moich oczu.

– Pytasz dlaczego cię nie zgwałciłem?

Brutalne słowa sprawiają, że krew odpływa mi z twarzy, a głowa sama się pochyla. Jericho nawet nie próbuje wybawić mnie z opresji, niczego nie ułatwia. Jednym palcem unosi moją brodę, chcąc, żebym spojrzała mu w oczy. Uśmiecha się tym zimnym uśmiechem, do którego zaczęłam się już przyzwyczajać i którego tak nienawidzę. Tym, który mi unaocznia, jak bardzo St. James nienawidzi mnie.

– Nie zgwałciłem cię, bo nie jestem Bishopem.



## 19 JERICHO

Isabelle otwiera szeroko usta. Najwyraźniej nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

– Idź do siebie i weź prysznic – mówię. – Po śniadaniu pomożesz mojej mamie w opiece nad Angelique.

– Czekaj. Coś ty powiedział?

– Po incydencie na basenie była bardzo zasmucona.

– Iście zdumiewające!

– Uważaj, Isabelle.

– Czegoś tu nie rozumiem. Najpierw mnie oskarżasz o próbę utopienia twojej córki...

– Nigdy cię nie oskarżyłem, że chciałaś ją utopić.

– A teraz chcesz, żebym robiła za jej niańkę?

Czuję, jak brwi same podjeżdżają mi do góry.

– Za niańkę? Skądże znowu. Babcia się nią zajmie. W życiu nie zostawiłbym jej pod twoją opieką.

– Bo nazywam się Bishop?

– Tak, ale pomimo tego wydaje się, że Angelique cię polubiła. Sądzę, że w obecności mojej matki możecie popluskać się trochę w basenie. Jak nazywała się ta gra?

– Masz na myśli zabawę, którą przerwałeś, wskazując jak nawiedzony do basenu i wywołując tsunami?

Zaciskam usta.

– Rozgwiadza – odpowiada i przygląda mi się podejrzliwie.

– Skoro wróciliśmy do domu, to pewnie nie zaszkodzi, jeśli Angelique nabierze śmiałości do wody. Ale nie życzę sobie, żeby zostawała sama.

– Przecież nie zostawiłabym żadnego pięcioletniego dziecka samego w basenie ani w jego pobliżu!

– Cieszę się, że to słyszę.

– Czy twoja córka nie powinna chodzić do szkoły? Albo do przedszkola? Edukację chyba zaczyna się w jej wieku.

– Dziękuję za przedstawienie eksperckiej opinii, która nic dla mnie nie znaczy. Angelique pobiera nauki w domu. Lecz skoro jesteś ponad spędzanie czasu z...

– Nie dlatego o tym wspomniałam. To słodkie stworzenie, ale bardzo nerwowe. Może pomogłoby jej, gdyby...

– Nie mów mi, jak mam wychowywać córkę – przerywam.

– Po prostu myślę, że fajnie by było, gdyby miała możliwość pobawić się z dziećmi w jej wieku – odpowiada Isabelle poważnym tonem, w którym pobrzmiwają nuty zatroskania.

– Nie myśl, nie od tego tu jesteś. – Nie spuszczam wzroku z jej oczu. Po chwili dziewczyna mruga i odwraca głowę.

– Twoja mama jest chora – bardziej stwierdza, niż pyta.

– Była. Jej stan znacznie się poprawił, chociaż nie jest jeszcze tak silna, jak udaje, że jest.

– Chemioterapia?

– To nie twoja sprawa. Po prostu pobaw się z moją córką i na nią uważaj.

– Nie musisz mi tego mówić. I tak zachowałam ostrożność, jak zresztą przy każdym

dziecku.

Podchodzi do drzwi.

– Wyjdź tędy – mówię, otwierając drugie. Te, które łączą nasze sypialnie. Isabelle zagląda do swojego pokoju, a potem odwraca się do mnie z zaskoczoną miną.

– Łatwy dostęp, w razie gdyby się okazało, że jesteś mi do czegoś potrzebna.

– Palant – mruczy pod nosem i rusza do siebie.

– Coś mówiłaś?

– Skądże.

– Dobra dziewczynka. Szybko się uczysz.

Wciąga głęboko powietrze przez nos, dłonie zwija w pięści.

Uśmiecham się.

– Dziś wieczorem w siedzibie IVI odbędzie się przyjęcie. Przed siódmą masz być gotowa. Każę dostarczyć sukienkę do twojego pokoju.

– Przyjęcie? Jakie przyjęcie?

– Kolacja. Drinki.

– Wydawało mi się, że nie należysz do szczególnie towarzyskich osób. Sama o sobie też bym tego nie powiedziała. Czyżbyś chciał utrzec nosa mojemu bratu, chwając się przed wszystkimi nowym nabytkiem?

– Przeszkadzałoby ci to? Gdybym, oczywiście, miał taki zamiar, co nie jest prawdą.

– Fakt, że mieszkam w twoim domu, nie spędza Carltonowi snu z powiek. Przygarnął mnie tylko dlatego, że musiał. Nie było innego powodu. Nie obchodzi go, co ze mną robisz ani czy mnie krzywdzisz.

– Myślisz, że o tym nie wiem? On o ciebie nie dba, Isabelle. – Wyraz jej twarzy zmienia się odrobinę, mimo że nie mówię jej niczego nowego. Ale i tak zachowuję się jak ostatni kutas. Patrzę na zegarek. – Może mój brat ma rację.

– W jakiej sprawie?

Wracam do niej wzrokiem.

– Że nie jesteś dla mnie odpowiednią partnerką.

Wzdycha.

– Jeśli chodzi o twoje gierki, to z pewnością nie – mówi i odchodzi sztywnym krokiem do swojego pokoju.

– Siódma, Isabelle. Lepiej bądź gotowa do wyjścia.

Nie sili się na odpowiedź, tylko zatrząskuje za sobą drzwi.

\* \* \*

Punktualnie o siódmej wkraczam do sypialni Isabelle, korzystając z drzwi łączących nasze pokoje. Fryzjerka właśnie kończy swoją pracę. Dziewczyna siedzi przy toalecie plecami do mnie. Cieszę się, że założyła długą do ziemi obcisłą suknię w kolorze głębokiego fioletu. Stylistka wsuwa na miejsce ostatnią ozdobę, odsuwa się, a ja napotykam w lustrze błękitne oczy. Przez chwilę po prostu patrzymy na siebie. Dziewczyna świdruje mnie wzrokiem, początkowo z pewną dozą nieufności, potem z rosnącą irytacją.

Poprawiam spinkę przy mankiecie i odprawiam kobietę. Nie odrywam spojrzenia od Isabelle, gdy wstaje i odwraca się do mnie. Taksuję ją z góry na dół, a ona krzyżuje ręce na piersi. Wygląda pięknie. Makijaż jest co prawda mocniejszy, niż lubię, ale pasuje do okazji. Czarne kreski wokół oczu sprawiają, że tęczówki wydają się jeszcze bardziej błękitne. Włosy układają się miękkimi falami nad czołem i z boku głowy, dokładnie zasłaniając bliznę na obojczyku.

– Co chcesz zrobić? – pyta. – Wystawić mnie na pokaz?

– Jesteś wyjątkowo atrakcyjna, z pewnością przyzwyczaiłaś się do tego, że mężczyźni na ciebie patrzą.

Zaciska usta, a ja przyglądam się jej beczelnie. Dostrzegam zarys piersi pod cienkim materiałem, widzę, jak napierają na niego sutki. Mam ochotę je uszczypnąć, lecz się powstrzymuję. Wędruję wzrokiem niżej, po czym podchodzę kilka kroków i wdycham delikatny zapach perfum. Tych samych, których użyła tamtej nocy, gdy spotkałem ją w kościele. Przesuwam palcami po bliźnie schowanej pod włosami.

– Ukryłaś ją.

Układa wargi w coś, co ma być beztróskim uśmiechem, jednak nie bardzo jej się udaje.

– Tak jakoś wyszło.

– Nie sądzę – stwierdzam, jednak porzucam temat. Okrażam ją, lecz kiedy znajduję się za jej plecami, obraca się i nie spuszcza ze mnie oczu. Nie czuje się bezpiecznie. Rozumiem to. Przysuwam głowę do ucha Isabelle. – Wyglądasz pięknie – szepczę. – Ale jest pewien problem.

Zamiera. Nie dotykam jej, jednak stoimy na tyle blisko, że gdy owiewa ją mój oddech, podnoszą się włoski na karku dziewczyny. Kładę dłonie na jej udzie i zaczynam podciągać sukienkę. Wstrzymuje oddech, kiedy muskam nagą skórę na nodze, a potem chwytam pośladek. Nie robię tego delikatnie.

– Kazałem przynieść do twojego pokoju wszystko, co miałaś założyć, a ty włożyłaś coś jeszcze.

– Tylko majtki.

– Podjęcie tej decyzji nie należało do ciebie. Ściągnij je i mi podaj – nakazuję, muskając palcem zgięcie pod pośladkiem. Po chwili przesuwam dłoń w stronę złączenia ud. Isabelle wciąga ze świstem powietrze, zaciska dłoń na moim przedramieniu i spogląda na mnie spod przymrużonych powiek.

– Równie dobrze mogłabym założyć sukienkę z przezroczystego materiału.

– Zdejmuj je, Isabelle.

– A jak nie zdejmę, to co, Jericho?

– Natychmiast.

– Nie.

– Sprawdzasz moją cierpliwość?

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– Czuję się w obowiązku ostrzec cię, że jeśli mnie sprowokujesz, to nie będę miał wyboru i zrobię coś, dzięki czemu zapamiętasz, jak ważne jest posłuszeństwo.

Wypuszczam spomiędzy palców sukienkę, która natychmiast ześlizguje się po ciele. Przewiduję, że dziewczyna się odsunie, więc kiedy stoi nieruchomo, ostentacyjnie wpatruję się w jej dłoń na moim przedramieniu. Isabelle podąża wzrokiem za moim i, jakby dopiero do niej dotarło, że mnie trzyma, zwalnia gwałtownie uścisk.

– Nie testuj mnie, Isabelle.

Patrzy mi w oczy. Przez chwilę sądzę, że zmięknie, ale ona zbiera się w sobie i unosi wysoko głowę.

– Grozisz mi?

Przekrzywiam głowę.

– Rzucasz mi wyzwanie czy uraził cię mój wcześniejszy komentarz, że nie byłabyś dla mnie odpowiednią partnerką?

– Nie przywiązuję wagi do tego, co myślisz na mój temat.

To wierutne kłamstwo. Poznają to po sposobie, w jaki dziewczyna zaciska szczęki i

zmienia ułożenie ciała. – Czyżbyś przez cały dzień rozpamiętywała moje słowa?

– Jak już wspominałam, mam w nosie, co o mnie sądzisz.

– Jaaasne.

Znów spoglądam na sutki napierające na materiał sukienki. Dotykam jednego wierzchem dłoni. Isabelle odskakuje jak oparzona. Jej dekolt oblewa się rumieńcem, oczy ciemnieją, na szyi widać pulsującą szybko tętnicę. Wyczuwam zapach adrenaliny, strachu i buntu. A pod spodem – podniecenia. Wdycham go z rozkoszą.

– A teraz ściągnij majtki i mi je podaj.

– I co zrobisz, jak ich nie zdejmę? Zamkniesz mnie znowu w piwnicy? Wtedy nie pójdę z tobą na przyjęcie. Ale wiesz co... Chyba wolę tego ducha z dołu od...

– Isabelle...

Podchodzę do niej, a ona się cofa, aż plecami trafia na jeden ze słupków podtrzymujących baldachim, czym odcina sobie drogę ucieczki. Podnosi ręce, kładzie mi je na piersi i, jakby sprawdzała moją reakcję, popycha mnie. Ani drgnę. – Zrobię coś, co przypomni ci, jak powinnaś się zachowywać. A na przyjęcie, tak czy siak, pójdziesz. Ty decyduj.

Odchrząkuje i odchyła głowę, żeby spojrzeć mi w twarz.

– Nie mam zamiaru brać udziału w tych twoich dziwacznych gierkach.

– Zabawne. Wiesz, co myślę?

– Nie obchodzi mnie, co myślisz.

– Myślę, że moje dziwaczne gierki, jak to ujęłaś, cię podniecają. A teraz przedsmak – mówię i wyciągam rękę, żeby klepnąć ją w tyłek.

Tego się nie spodziewała. Odrywa ode mnie dłonie i lekko się chwiejąc, instynktownie zasłania nimi pośladki.

– Co robisz?

Przypieram ją piersią do słupka.

Zawstydzona umyka spojrzeniem w bok.

– Jak już mówiłem, to tylko przedsmak. Ale może wolałabyś jednak dostać prawdziwe przypomnienie, zanim wypełnisz mój rozkaz? Niezależnie od tego, co wybierzesz, i tak musisz się mnie słuchać. Piłeczka po twojej stronie.

Zaciska mocno usta, a jej szyja i policzki przybierają odcień szkarłatu.

Unoszę brwi, czekając na odpowiedź.

– Wolałabym gnić zamknięta w piwnicy niż ci się podporządkować.

– Cieszę się, że to powiedziałaś.

Chwytam dziewczynę w pasie, siadam na łóżku i kładę ją brzuchem na swoich kolanach. Szarpie się, ale nie ma ze mną szans. Patrzę na nią leżącą w tej upokarzającej pozycji, bezbronną, a jednak zdecydowaną, by nie poddać się bez walki. Gdy wyciąga szyję, żeby na mnie spojrzeć, przenoszę wzrok z jej pośladków na twarz.

– Gotowa?

Uśmiecham się, unoszę rękę i wymierzam klapsa.

– Czekaj! – krzyczy, kiedy dłoń opada.

Nie uderzam mocno. Isabelle skomle, chociaż podejrzewam, że bardziej ze wstydu niż bólu. Daję jej chwilę na ochłonięcie, a potem powtarzam uderzenie.

– Przestań!

– Mógłbym tak całą noc – mówię jakby od niechcienia.

– Nienawidzę cię.

– Jeszcze jeden czy...? – Zawieszam głos.

– Puszczaj!



– Zrobisz, co ci kazałem?

– Puść mnie, to zrobię – odpowiada i znów się wrywa.

– Tak dla pewności – oznajmiam i daję jej ostatniego klapsa, nim w końcu ją uwalniam.

Dziewczyna wstaje na chwiejnych nogach. Nie ruszam się z miejsca. Obserwuję, jak daje dwa kroki w tył i sięga pod sukienkę. Nie spuszcza ze mnie wzroku, jej oczy pałają żądzą mordu. Włosy ma w lekkim nieładzie. Zaczyna ściągać majtki, lecz te zaczepiają się o obcas. Isabelle podskakuje parokrotnie. Dla zachowania równowagi przytrzymuje się brzegu toaletki. Powstrzymuję się, by nie wybuchnąć śmiechem, gdy mamrocze coś pod nosem, ale w końcu udaje jej się z nich wyplątać i rzuca nimi we mnie. Obrywam prosto w twarz.

– Zadowolony, zboczeńcu?

Łapię niewielki skrawek czarnego materiału i wstaję.

– Bardzo. Dziękuję, że pytasz. – Kiedy ruszam w jej kierunku, cofa się, a oczy ma okrągłe jak spodki. Chwytam ją za włosy. Nie dbam o to, że mogę je bardziej potargać. – Ale rzuć czymś we mnie jeszcze raz, a odbędziemy kolejną miłą rozmowę na moich kolanach. Wyrażam się jasno?

Prycha w odpowiedzi.

– Wyrażam się jasno, Isabelle? – powtarzam pytanie i ciągnę ją za włosy.

– Tak – syczy przez zaciśnięte zęby.

– Grzeczna dziewczynka.

Uwalniam ją i daję nieco więcej przestrzeni, a potem podsuwam sobie majtki pod nos i ku jej przerażeniu wacham je. – Wiedziałem. Po naszym małym tête-à-tête jesteś gorąca i napalona.

– Straszny z ciebie dupek, Jerichu St. Jamesie.

– Zgadza się – przyznaję, tłumiąc śmiech. Wsuwam majtki do kieszeni i chwytam Isabelle pod ramię. – Idziemy? Już jesteśmy spóźnieni.



## 20 JERICHO

Gdy wchodzę do Czerwonego Pokoju z Isabelle uczeponą mojego ramienia, wszystkie głowy odwracają się w naszą stronę. Przyznaję, że efektowna z nas para. Młodziutka, śliczna panna Bishop pod rękę z takim diablem jak ja. W oczach Socjety jesteśmy dwojgiem mieszkańców. Mój ojciec wyłożył niemałą sumę, żeby wkupić się w szeregi Sprawiedliwych Synów, a jej matkę najprawdopodobniej zgwałcił jeden z Bishopów. Carlton ciska we mnie gromy z kąta, w którym bryluje wśród śmietanki stowarzyszenia. Wyszczierzam zęby i przyciągam bliżej moją towarzyszkę.

– Uśmiechnij się, kochanie. Inaczej ludzie mogliby pomyśleć, że nie czujesz się przy mnie szczęśliwa.

– Bo nie czuję się szczęśliwa.

Ktoś znajdujący się po drugiej stronie pokoju macha do nas i czuję ekscytację Isabelle, kiedy podnosi rękę, by odwzajemnić gest. Rzucam jej przelotne spojrzenie, ale szybko zapanowuje nad mimiką, więc przenoszę wzrok na kobietę, która właśnie przepycha się przez tłum w naszym kierunku. Julia Bishop, kuzynka Isabelle, samotnie wychowująca czteroletniego Matthew Bishopa. Mieszka w rodowej rezydencji. Kolejna zbłąkana dusza, którą Carlton przyjął pod swój dach. Już z daleka czuć zapach jej perfum. Ohydnie słodka woń sprawia, że przewraca mi się w żołądku. Kobieta jest trochę starsza od Isabelle. O ile mnie pamięć nie myli, ma dwadzieścia cztery lata. Wygląda atrakcyjnie, nie śmiałybym zaprzeczyć, ale odnoszę wrażenie, że to wyrachowana osoba. Nawet dłoń na powitanie podaje mi wystudowanym gestem.

– Cześć, jestem Julia, kuzynka Isabelle. Ty to zapewne Jericho St. James?

Patrzę na jej wyciągniętą rękę, potem na twarz, na której gości szeroki, promienny uśmiech. Starannie wyćwiczony. Też znam zasady tej gry i jestem w nią całkiem niezły. Uśmiecham się i ściskam dłoń Julii.

– Miło mi – odpowiadam, choć to nieprawda. Kątem oka dostrzegam zaciekawione spojrzenie, które posyła mi Isabelle. – Próbowałam skontaktować się z kuzynką, ale zorientowałam się, że jej telefon leży rozładowany na nocnym stoliku, a do ciebie nie mam numeru. Cieszę się zatem, że wypuściłeś ją dziś ze swojego łóżka.

Niezły z niej numer. Zanim udaje mi się rzucić jakąś ripostą, spostrzegam Zeke'a. Obok niego idzie Marco, prawa ręka człowieka, z którym przyszedłem się spotkać. Rozluźniam uścisk na ramieniu Isabelle.

– Na pewno macie wiele spraw do przedyskutowania – mówię, po czym nachylam się do mojej towarzyszki, by wyszeptać jej do ucha: – Nie znikaj mi z oczu, bo będę zmuszony powtórzyć naszą dzisiejszą lekcję.

Dziewczyna staje twarzą do mnie, kładzie mi ręce na ramionach, wspina się na palce i odszeptuje:

– Nie wal konia za mocno, gdy będziesz wachał moje majtki.

Otoczam ją ramieniem w talii i przyciągam do siebie.

– Później pozwolę ci odwalić za mnie całą robotę – odgryzam się i delikatnie kąsam płatek jej ucha.

– W twoich snach. – Uśmiecha się słodko.

Odwzajemniam uśmiech. Do diabła, coraz bardziej podoba mi się ta zabawa. Wypuszczam jednak dziewczynę z objęć, ponieważ ponad jej ramieniem dostrzegam paskudnie

wykrzywioną gębę Carltona Bishopa, co mi przypomina, że przyszedłem tutaj w interesach. Zostawiam Isabelle oraz jej kuzynkę same i gestem nakazuję Dexowi, który trzyma się dyskretnie na uboczu, by miał na nie oko. Potem wychodzę na dziedziniec, gdzie czekają na mnie Marco i Zeke.

Brat spogląda ostentacyjnie na zegarek.

– Nie byłem pewien, czy uda ci się stamtąd wyrwać.

– Odpierdol się – mówię i zwracam się do Marca: – Mam nadzieję, że nikt poza bratem nie musiał na mnie czekać.

– Dopiero przyjechali – odpowiada.

Zeke i ja podążamy za nim przez dziedziniec do jednego z małych prywatnych pomieszczeń. Gdy wchodzimy do środka, zamyka drzwi, a dwaj mężczyźni wstają, by nas powitać.

– Jericho – pozdrawia mnie Lawson Montgomery, znany również jako Sędzia, i wyciąga dłoń.

– Sędzio – odpowiadam i ściskam jego rękę. – Sżmat czasu.

– To prawda. Od Harvardu już trochę minęło. Jakoś to sobie odbijemy. Dobrze cię znowu widzieć, Ezekielu – zwraca się do mojego brata i potrząsa także jego dłonią.

Odwracam się do drugiego mężczyzny, którego znam jedynie z nazwiska, i przyglądam się, jak Zeke wita się z nim i wymienia uprzejmości. Przez ostatnich pięć lat mój brat dobrze sobie radził, jednak nie mam pojęcia, jak daleko sięgają jego znajomości.

– Santiago, to mój brat Jericho. Jericho, przedstawiam ci Santiaga De La Rosę. Opowiadałem ci o nim.

– Santiago. – Ściskam podaną dłoń. Przyglądam się mężczyźnie. Chociaż Zeke mnie ostrzegwał, tatuaż czaszki pokrywający połowę twarzy i tak robi ogromne wrażenie. – Miło cię w końcu poznać.

– Wzajemnie.

Siadamy na obitych pikowaną skórą kanapach. Na ławie dostrzegam kopertę.

– Jak mniemam, mój brat wprowadził was w szczegóły – zwracam się do De La Rosy i Sędziego.

– Historia twojej rodziny jest wyjątkowo interesująca.

– Równie interesująca co twojej.

Przyglądam się mu. Jest jednym ze Sprawiedliwych Synów, potęgą, z jaką trzeba się liczyć. Przez wiele lat po wybuchu, w wyniku którego zginęli jego brat i ojciec, a on sam został oszpecony, wiódł życie samotnika i obmyślał zemstę. Przybrała ona postać Ivy Moreno, córki człowieka, który według Santiaga zaaranżował morderstwa wielu Sprawiedliwych Synów. Sprawy potoczyły się jednak niezupełnie po jego myśli i kobieta niedawno urodziła ich drugie dziecko. Patrząc na niego, rozmyślałam o niej. Musi być niezwykła, skoro udało jej się zawrócić temu człowiekowi w głowie.

– Łączy nas wiele wspólnego – odpowiada, a mi przychodzi na myśl Isabelle. De La Rosa ma sporo racji, ale jednego jestem pewien. Nigdy nie pozwolę, by Bishopówna stała się dla mnie tym, kim Ivy stała się dla niego.

Santiago wyszczerza zęby w szerokim uśmiechu, jakby czytał mi w myślach.

– Jak się miewają twoja córka i matka? – pyta Sędzia. – Zeke wspominał, że sprowadziłeś je do domu.

– Adaptują się. Matka, jak wiecie, dochodzi do zdrowia.

– Ogromnie się cieszę.

– Dziękuję.

Długo myśleliśmy, że mamie nie uda się wyjść z choroby, że rak ją pokona. Ale nastąpiła remisja, a ona powoli odzyskuje nadwątlone siły.

– A Angelique?

– Cóż, minie trochę czasu, zanim zaczniesz nazywać Nowy Orlean domem.

– Dzieci są elastyczne i wytrzymałe zarazem – wtrąca się Santiago. Cały czas przygląda mi się z uwagą.

Kiwam głową na zgodę, chociaż martwię się o córeczkę. Isabelle nie pomyliła się w jej ocenie. To kruchotka istotka. Dopiero gdy Ezekiel klepie mnie w ramię, zdaję sobie sprawę, że zatonałem we własnych myślach.

– Nic jej nie będzie. Potrzebuje tylko czasu – dodaje.

– Zastanawiam się, czy obecność Isabelle Bishop w waszym domu pomoże małej – rzuca De La Rosa. – Wydaje mi się, że mężczyźni tacy jak my są pozbawieni... delikatniejszej strony, której potrzeba dzieciom.

Patrzę na niego, zdumiony jego komentarzem.

– Isabelle? Mylisz się. Nie wziąłem jej pod swój dach, żeby nawiązywała jakiegokolwiek relacje z moją córką. Nie taką wyznaczyłem jej rolę.

– Ma być naczyniem, prawda?

Znów kiwam głową.

– Na twoim miejscu nie byłbym taki pewien, że dasz radę kontrolować rozwój wydarzeń.

– Ależ poradzę sobie. Zapanuję nad sytuacją. I nad nią.

– Hmm... – Jeden z kącików ust Santiaga unosi się w pobłażliwym uśmiechu.

Przenoszę wzrok na Sędziego, który przygląda mi się z nieodgadniętym wyrazem twarzy. Siedzący obok mnie brat robi dokładnie to samo. Wciąż nie jestem pewien, czy w pełni popiera moje plany, ale odsuwam od siebie wątpliwości, ponieważ koniec końców nie ma to żadnego znaczenia.

– Co udało ci się ustalić? – pytam De La Rosę.

Mężczyzna dotyka zapieczętowaną kopertę.

– Carlton Bishop nie jest sympatycznym facetem, ale wydaje mi się, że żaden z tu obecnych nie ma co do tego wątpliwości. Chcę chwycić kopertę, lecz się powstrzymuję. Serce bije mi jak szalone, bo to, co znajduje się wewnątrz niej, może pogrozić tego skurwiela Bishopa. Ale wiem też, że będzie mnie słono kosztować.

Santiago, znów jakby czytając mi w myślach, mówi:

– Chociaż udało mi się dokopać do kilku spraw, o których wiedza może ci się przydać, nie ma żadnych dowodów na to, że maczał palce w śmierci twojego ojca.

Przenosi wzrok na Ezekiela.

– Nie? – pytam zdezorientowany.

Znów skupia uwagę na mnie i potrząsa głową.

– Nie.

Nie mogę wyjść z osłupienia. Przecież właśnie o tym mieliśmy rozmawiać.

– W takim razie co dla mnie masz?

– Młoda Bishopówna straciła brata rok po tym, jak zginęli jej rodzice.

– Isabelle? – pyta Zeke.

– Zaraz! Tu nie chodzi o nią! – protestuję.

Santiago wskazuje kopertę. Podnoszę ją po kilku sekundach i przełamuję pieczęć. Podczas gdy De La Rosa kontynuuje opowieść, sięgam do środka, by wyciągnąć stos dokumentów.

– Wygląda na to, że rodzice Isabelle ponieśli śmierć w wyniku wypadku, do którego nikt

nie przyłożył ręki. Ale włamanie do domu jej brata zostało starannie zaplanowane.

– Słucham?

– Próba gwał...

– Co?! – przerywam mu oniemiały.

Mężczyzna potakuje.

– Brat zaskoczył sprawcę i został zabity.

Wpatruję się w niego, a mój mózg potrzebuje dłuższej chwili, by zrozumieć to, co przed momentem usłyszałem. Przenoszę uwagę na dokumenty. Przeglądam policyjne notatki, karty szpitalne, akt zgonu Christiana Yorka, raport z sekcji zwłok. Liczne rany klute zadane nożem. Oglądam zdjęcia z miejsca zbrodni. A potem przechodzę do Isabelle.

– W dokumentach nie ma nic na temat gwałtu.

– Nie, bo ostatecznie do niego nie doszło, ale mogę cię zapewnić, że moje źródła się nie mylą. – Patrzę na zdjęcia dziewczyny. Spodnie ma rozpięte i ściągnięte poniżej bioder. A może pospiesznie wciągnięte z powrotem? – Uważam, że gwałt miał zatuszować prawdziwy zamiar sprawcy, czyli zabójstwo.

Patrzę na fotografię. Na twarz Isabelle. Na nienaturalny kąt, pod jakim jest wygięte jej ramię. Na krew pokrywającą klatkę piersiową. Dziewczyna leży na warstwie potłuczonego szkła, które wcześniej było blatem ławy. Ale gwałt?

– Celem był Christian York? – pytam w zamyśleniu.

– Nie. – De La Rosa zaskakuje mnie po raz kolejny. – Celem była Isabelle.

– Skąd ta pewność?

Santiago bierze ode mnie dokumenty i je przegląda. W końcu wyciąga jeden i kładzie na wierzchu. Na kartce widnieją same cyferki.

– To proste. Poszedłem tropem pieniędzy. Zacząłem od Bishopa – oznajmia i przesuwa palcem po ciągu cyfr, które nic mi nie mówią, ale najwyraźniej dla niego są niczym mapa. – A skończyłem o, tutaj, na koncie bankowym Danny’ego Gibsona. Do przelania na nie funduszy została wykorzystana fundacja charytatywna Bishopów.

– Kim jest Danny Gibson?

– Człowiekiem odsiadującym karę pozbawienia wolności za zabicie Christiana Yorka.

Umiem łączyć ze sobą fakty, ale na to nie byłem przygotowany. Jakiś czas temu Zeke zasugerował, żeby pogadać z Sędzią, który ma dojście do Santiaga De La Rosy. Jeśli ktokolwiek był w stanie dotrzeć do potrzebnych mi informacji, to tylko on. Poprosiłem więc Sędziego o pomoc w znalezieniu dowodów, że Carlton Bishop maczał palce w śmierci mojego ojca. Nie prosiłem o to, czego się właśnie dowiedziałem. Chociaż przelotnie zaciekawilem się włamaniem do domu Yorków, podczas którego zginął brat Isabelle, to w sumie niewiele mnie ta sprawa obeszła. Niewiele wносиła w realizację moich celów. Nadal tak uważam. Patrzę kolejno na Sędziego, Santiaga i brata. Zeke przejmuje zgromadzone dowody i zaczyna je przeglądać.

– Czyli co? Twierdzisz, że Carlton Bishop zlecił komuś zabicie Christiana Yorka i zostawienie jego siostry na pewną śmierć?

– Nie, twierdzą, że to Isabelle była celem, nie jej brat.

– Ale dlaczego? – pyta Zeke. Zrozumienie tej kwestii przychodzi mu chyba z równym trudem co mnie.

– Masz to w papierach. – Santiago wskazuje na dokumenty. – Dziewczyna w połowie należy do rodziny Bishopów. Ona i Carlton mają tego samego ojca. Jeśli uda jej się urodzić dziecko, a on swojego nie spłodzi, to straci prawo do spadku. Pieniądze przejdą mu koło nosa, a wszystko zgarnie Isabelle.

– A jak dotąd mu się to nie udało.

Żadna z żon Carltona nie donosiła ciąży. Przypuszczam, że produkuje uszkodzone plemniki. Zresztą takie kanale jak on powinno się sterylizować.

– W rzeczy samej – przyznaje De La Rosa.

– Pewnie mógłby jakoś załatwić, żeby jego żona zaszła w ciążę, ale biorąc pod uwagę zdobycze współczesnej nauki i badań DNA, to, no cóż... Jak by nie patrzeć, jeśli jakimś cudem nie pojawi się na świecie jego prawowity dziedzic, to Isabelle po urodzeniu dziecka odziedziczy fortunę Bishopów – podsumowuje Sędzia.

Tyle to i ja wiem. Lecz nie mieści mi się w głowie, by Carlton mógł zlecić zabicie Isabelle, kiedy ta miała szesnaście lat. Z drugiej strony czemu nie? Przyszedłem tutaj, żeby dowiedzieć się, jaki udział miał Bishop w śmierci mojego ojca, a tu taka petarda. Chociaż właśnie zdobyłem broń przeciw tej łajzie, to informacje, które usłyszałem, są, delikatnie mówiąc, niepokojące.

– A właściwie to, co z tej fortuny zostanie – dodaje jeszcze Sędzia. – W najgorszym wypadku sama posiadłość. No chyba że dziewczyna nie pożyje tak długo.

– Jesteście tego pewni? – dopytuję.

– Gibson próbował oczyścić się z zarzutów, opowiadając w sądzie dokładnie to, co właśnie usłyszałeś. Jednak nie znaleziono dowodów, które potwierdziłyby jego wersję. A wierz mi, zdobycie tych raportów nie było łatwe. – W takim razie jak ci się udało?

Wzrusza ramionami.

– Pieniądze zawsze zostawiają ślad. Są mapą, którą wystarczy umieć odczytać. A mnie znakomicie idzie czytanie map. – Bishop wiedział, że nikt nie uwierzy Gibsonowi, jeśli ten powie prawdę.

– No właśnie. To kryminalista, który wcześniej odsiedział kilka wyroków. Włamał się do mieszkania Yorków, żeby ich okraść, ale przypadkiem natknął się na domowników. Zrobił, co każdy recydywista zrobiłby w podobnej sytuacji. A przynajmniej tak to przedstawił prokurator, który go oskarżał. Ława przysięgłych łyknęła te oskarżenia bez mrugnięcia okiem. Facetów pokroju Gibsona ławnicy zamykaliby już za sam wygląd. Bishop wiedział, co robi, gdy go zatrudniał. Kiedy pieniądze, które Gibson twierdził, że dostał za tę robotę, zniknęły bez śladu, miał tylko swoje słowa przeciw słowom Bishopa. Teraz gnije w więzieniu i mówiąc szczerze, zasłużył na to. Ale jego zleceniodawca też powinien tam trafić.

Zeke odkłada plik dokumentów na ławę, na wierzchu zostawiając zdjęcie Isabelle. Patrzę na nie. Na dziewczynę, która leży nieprzytomna na potłuczonym stoliku, na jej posiniaczone, połamane ciało, opuchniętą twarz. To Carlton stoi za tym wszystkim. Zabił Kimberly i skrzywdził Isabelle.

– W takim razie po co ją przygarnął? – pytam De La Rosę. – I dlaczego nie dokończył sprawy przez tych kilka lat, gdy siostra mieszkała w rezydencji Bishopów?

– Ponieważ jakimś cudem, chociaż nie udało mi się ustalić, w jaki sposób, wieść o tym, kto był jej ojcem, dotarła do IVI. A nie muszę ci chyba mówić, jak poważana jest krew założycieli. Carlton nie miał innego wyjścia, musiał wziąć Isabelle do siebie. A dlaczego jej nie zabił, kiedy mieszkała pod jego dachem? Pojęcia nie mam. Podejrzewam, że chętnie by to zrobił, tylko coś mu stało na przeszkodzie. Co się zaś tyczy spadku, to chyba znalazł sposób na obejście prawa. Zdaje się, że gdy my tu sobie rozmawiamy, on spisuje kontrakt ślubny.

– Ale zainicjowałem Rytuał. Carlton nie może już decydować o losie siostry.

– Myślę, że zwrócił się do Hildebranda o pomoc w odzyskaniu prawa do opieki nad nią – wtrąca Sędzia. – Zastanawiam się tylko, czy wysunie argument, że sam nie ma szans na spłodzenie potomka i przedłużenie rodu.

– To bez znaczenia – mówię i uświadamiam sobie, że mój plan jest bardzo podobny.

Zeke odwraca się do mnie.

– Carlton ma niezłą wprawę w organizowaniu zamachów upozorowanych jako wypadki. Gdyby Isabelle urodziła dziecko, najprościej byłoby pozbyć się rodziców dziedzica rodu i przejąć nad nim opiekę, żeby zabezpieczyć swoją własną przyszłość.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta mnie Sędzia.

– Bishopowie od wieków nienawidzą St. Jamesów, zresztą z wzajemnością. Obydwu rodzinom zdarzało się działać brutalnie, ale to Bishopowie w tym celu.

– Oni powiedzieliby to samo o was – ripostuje Santiago.

– Carlton może sobie mówić, co mu się żywnie podoba. Angelique wychowuje się bez matki, ponieważ Bishop postanowił wyeliminować moją rodzinę, by odzyskać kawałek ziemi, który on i wszyscy jego przodkowie zawsze uważali za swój. Odebrał życie Kimberly, pozbawił najdroższej osoby moją córkę i mnie. Teraz ja zamierzam odebrać mu wszystko. Musi zapłacić za to, co zrobił. Informacje, które mi przekazałeś, niczego nie zmieniają – oznajmiam i wstaję. Chcę się znaleźć jak najdalej od tego pomieszczenia, bo nagle stało się w nim nieznośnie duszno.

– Dostałem wszystko, co potrzebne, żeby zrobić to, co konieczne.

– Nie pójdziesz z tym do Trybunału? – pyta Sędzia.

– Nie, sam to załatwię.

– Właśnie tak powinieneś zrobić – mówi De La Rosa.

Przyglądam się mu. Wygląda na to, że naprawdę wiele nas ze sobą łączy.

– Dziękuję, Santiago, mam wobec ciebie dług wdzięczności.

Mężczyzna wstaje i wyciąga do mnie rękę.

– Powodzenia. Gdybyś potrzebował czegoś jeszcze, drzwi mojego domu stoją dla ciebie otworem.

Kiwam głową i zwracam się do jego towarzysza:

– Dziękuję, Sędzio.

Ściska moją dłoń, po czym obaj opuszczają pokój. Zostaję sam na sam z bratem, własnymi myślami, nieszczęsnymi zdjęciami i dowodami obciążającymi Carltona Bishopa.

Przez trzy lata Isabelle mieszkała w domu człowieka, przez którego zginął jej brat. Człowieka, który zlecił zabicie jej. I nie ma o tym najmniejszego pojęcia.

– Planujesz to samo co on. Wykorzystasz ją w taki sam sposób – przerywa ciszę Zeke.

– Z tą drobną różnicą, że ja jej nie chcę zamordować.

– Szczęściara z niej.

Przyglądamy się sobie nawzajem.

– Lubisz Bishopów? – pytam w końcu.

– Przecież wiesz, że ich nienawidzę.

– Więc w czym problem?

Podchodzę do niego. Nie cofa się ani o centymetr.

– Problem polega na tym, że znam lepsze sposoby, żeby osiągnąć cel. Na przykład to, czym sam się zajmuję.

– Masz na myśli uszczuplanie po cichu jego majątku?

– Uderzam go w najczulsze miejsce.

– Tyle że on nie widzi, że to ty zadajesz cios.

– Tak czy owak, cierpi z tego powodu.

– Nie dość mocno – konstatuje. Wkładam dokumenty z powrotem do koperty, po czym podnoszę głowę, by znów popatrzeć na brata. – Chcę, aby wiedział, że to ja. Aby nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Niezależnie od kosztów.

– Isabelle jest jedną z Bishopów.

– To tylko bezbronna dziewczyna.

– Nasz ojciec postąpiłby tak samo – mówię z pełną świadomością, że te słowa wywołają gwałtowną reakcję. Związek Zeke’a z ojcem miał zupełnie inny charakter niż mój.

– A ty otaczasz tego sadystę bałwochwalczą czcią! – wykrzykuje jak na zawołanie.

Właściwie nie wiem, czemu wspomniałem o ojcu. Często nie zgadzałem się z jego postępowaniem wobec brata, ale to ja byłem pierworodnym synem, dziedzicem rodu. I pod wieloma względami bardzo go przypominałem. Ezekiel i Zoë wdali się w matkę. Czasem się zastanawiam, czy to przypadkiem nie pod wpływem siostry Zeke zaczął postrzegać ojca w innym świetle niż ja. Był bezwzględny człowiekiem i chociaż jego młodszy syn też taki jest, to trzeba przyznać, że nie brak mu poczucia sprawiedliwości.

– Wcale nie otaczam go...

– Och, Jericho!

Potrząsa głową, jakbym go srodze rozczerował. Wkurza mnie jego zachowanie.

– Jeśli nie czujesz się na siłach, by mi pomóc, po prostu odwróć wzrok. I jeszcze jedno. Nie musisz zostawiać kwiatów na grobie Kimberly. Wróciłem do domu i mogę sam się tym zająć.

– Pierdol się, dupku. – Popycha mnie tak mocno, że cofam się o kilka kroków. – Myślisz, że tylko ty opłakiwałeś jej śmierć?

Parskam śmiechem.

– I tu leży różnica między nami. Ty ją opłakiwałeś, ja nadal to robię.

– Uważasz, że tego właśnie by chciała? Nigdy nie pozwoliłaby, żeby ojciec jej dziecka tkwił w przeszłości, trawiony chęcią zemsty, podczas gdy jego córka wcale go nie zna. Przynajmniej nie naprawdę, bo tatuś jest zbyt zajęty planowaniem odwetu, żeby dostrzec to, co ma tuż przed oczami.

Ciskam kopertę na stojące obok krzesło i teraz ja popycham brata. Nie patyczkuję się.

– Nawet się, kurwa, nie waż! Rozumiesz?! Ona umarła na moich rękach!

– Wiem, ale jej śmierć była stratą nie tylko dla ciebie. Jej już nie ma, lecz Angelique żyje. I mimo młodego wieku boi się własnego cienia. Tego właśnie chcesz dla córki? Sądzisz, że Kim by tego chciała?

– Do diabła! Dbam o bezpieczeństwo córki. Zrobię wszystko, co będę musiał, żeby ją chronić, a ty nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia!

– A jak wytłumaczysz jej obecność Isabelle w naszym życiu? Swoje zamiary wobec dziewczyny? Angelique rozumie więcej, niż ci się wydaje, i wszystko widzi. Naprawdę chcesz, żeby dorastała w strachu przed własnym ojcem?

To mnie otrzeźwia.

– Dlaczego miałaby się mnie bać? Nie ma ku temu żadnego powodu. Zrobię wszyst...

– Jaaasne, Jericho! Zrobisz wszystko, żeby ją obronić, nawet jeżeli twoje czyny sprawią, że staniesz się potworem. Wcale nie jesteś lepszy od ojca. Nawet nie wiesz, do czego ten człowiek był zdolny.

Słowa brata uderzają mnie mocniej, niż zrobiłyby to jego pięści. Gapię się na niego tępo, jakbym oberwał prosto w splot słoneczny. W mojej duszy wrą wściekłość, żal i poczucie zdrady. Wiem, jak brutalny potrafił być ojciec. Widziałem tego dowody na ciele matki.

Zeke patrzy w bok i potrząsa głową. Wczepia palce we włosy.

– Kurwa, przepraszam, nie chciałem – mówi.

– Ależ chciałeś. – Sięgam po kopertę. – I wiesz co? Nie mylisz się. Mam coś wspólnego z ojcem. On nigdy nie zapomniał o nienawiści do wrogów i ja też nie zamierzam. – Mój głos



brzmi obco. Podchodzę do brata i przyglądam się człowiekowi, którym się stał. Zaczynam dostrzegać różnice między nami. – Zrobię, co muszę. Co przysięgłem zrobić. Jeśli nie potrafisz tego znieść, to przynajmniej zejdz mi z drogi.

Mijam go i idę do drzwi. Przemierzam dziedziniec, a potem wchodzę z powrotem do Czerwonego Pokoju. Straciłem apetyt na kolację, na zaprezentowanie się razem z Isabelle Bishop i pochwalenie faktem, że zainicjowałem Rytuał. Rozglądam się po pomieszczeniu w jej poszukiwaniu. Chcę stąd jak najszybciej wyjść, tyle że nigdzie nie widzę dziewczyny. Ja pierdołę! Zauważam, że jej brat prowadzi ożywioną dyskusję z Rajcą Hildebrandem. Czyżby tuż pod moim nosem chciał uzyskać pozwolenie na wydanie Isabelle za mąż? Cóż, nie zdąży. Te rozważania przerywa wibrowanie telefonu. Wydobywam go z kieszeni. Przyszedł SMS od Dexa. Na ekranie widnieje tylko jedno słowo: „Kaplica”. Potrząsam głową i ruszam w tamtym kierunku. Moja mała Isabelle może się modlić ile wlezie. Żadne bóstwo jej przede mną nie uratuje.

## 21 ISABELLE

Jak tylko Jericho znika nam z oczu, wymykamy się z Julią do kaplicy. Kuzynka wzdycha, gdy zamykają się za nami drzwi i nareszcie zostajemy same.

– Trzymasz się jakoś? – pyta, a ja potakuję.

– Jak na razie. A ty jak się miewasz? Co porabia Matty?

– U nas wszystko gra, ale mały strasznie za tobą tęskni.

– Ja też za nim tęsknię.

– Myślisz, że będziesz mogła nas odwiedzić?

– Nie mam pojęcia. Ja...

– W porządku, rozumiem. Trzymaj, nim zapomnę. – Otwiera torebkę i wyciąga z niej mój telefon oraz ładowarkę. – Weź, żebyśmy mogły się kontaktować.

Uśmiecham się i upycham przedmioty w kopertówce.

– Dziękuję, ratujesz mi życie.

Przytulam Julię, ale szybko sobie przypominam, że nie przepada za tym.

– Tak przy okazji, dzwonił Paul, żeby powiedzieć, że od teraz lekcje będą się odbywać u niego w domu. Poinformowałam go, że możesz się nie zjawić.

– Wątpię, żeby Jericho pozwolił mi kontynuować naukę.

Paul Hayes przez pół roku uczył mnie gry na skrzypcach. Zebraliśmy grupkę osób, których nie stać na prywatne zajęcia ani nie chodzą do szkoły muzycznej. Dzięki temu mogłam kontynuować naukę. Kiedy byłam jeszcze w liceum, nauczyciel muzyki dawał mi indywidualne lekcje, ale gdy skończyłam szkołę, Carlton odmówił finansowania, jak to nazwał, mojego niepoważnego hobby. A że ze względu na – przewróciłam oczami, kiedy podczas rozmowy użył tych słów – moją pozycję społeczną jako członkini rodziny Bishopów nie pozwolił mi iść do pracy, wszystkie potrzeby finansowe, których nie zaspokajał, musiałam pokrywać z zasiłku otrzymywanego po śmierci rodziców. Pieniądze wydawałam głównie na lekcje z Pauliem.

– Zadzwońię do Paula – dodałam.

– Daj znać, gdybyś chciała, żebym ja to zrobiła.

– Dzięki. Carlton ci powiedział, co zrobił Jericho? Zainicjował Rytuał.

– Wiem. Znam szczegóły. A przynajmniej te, którymi zechciał się ze mną podzielić twój brat. Skoro Rajca wyraził na to zgodę, St. James musi mieć na Carltona niezłego haka.

– Nie wiesz, o co może chodzić? – pytam, a kiedy Julia potrząsa głową, dodaje: – Jericho mówił, że nasze rodziny mają wspólną historię sięgającą kilku stuleci wstecz.

– No tak. Makabryczna opowieść o Nellie Bishop. Jej ciało pogrzebano na skradzionej ziemi. Co za dranie.

– Skradzionej? Sądziłam, że została kupiona.

– Nie do końca uczciwie, chociaż przypuszczam, że St. James twierdzi coś innego.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Wiesz, co zamierza?

– Uprzykrzyć mi życie.

– No cóż, Carlton stara się sprowadzić cię z powrotem do domu. Ma zamiar porozmawiać dziś wieczorem z Hildebrandem.

Minusem jest to, że aby uwolnić się od St. Jamesa, będziesz musiała wyjść za mąż.

– Dlaczego? Co to w ogóle ma do rzeczy?

Julia przygląda mi się przez dłuższą chwilę, po czym ściera coś opuszką kciuka z mojej górnej powieki. Pewnie tusz.

– Och, jesteś taka niewinna, Isabelle, i to w tobie lubię, ale błagam, nie przestawaj brać pigułek antykoncepcyjnych.

Powiedz, że je bierzesz. Kiwam głową na potwierdzenie, ale jej komentarz mnie zdumiewa. A może chodzi o to, w jaki sposób to powiedziała. Lecz nim udaje mi się o cokolwiek ją zapytać, drzwi kaplicy stają otworem i chociaż siedzę do nich tyłem, wiem, że to on.

Rozpoznaję jego obecność po dreszczu, który przebiega mi po plecach. Po tym, jak moje ciało na niego reaguje. Jakby płonęło.

Julia sztywnieje, ale w ułamku sekundy opanowuje grymas twarzy i uśmiecha się w sposób, który pokazuje ją z najlepszej strony. Jest piękna, wyrafinowana, wytworna, jak tylko ludzie z wyższych sfer mogą być. I chociaż ja także należę teraz do klanu Bishopów, nie pochodzę z bogatego domu. Wręcz przeciwnie. Jestem uzurpatorką i wszyscy tak o mnie myślą. Po chwili dochodzę do wniosku, że za uśmiechem kuzynki coś się kryje. Coś, czego zazwyczaj w nim nie ma. Jakaś dziwna zaciętość, pogarda. A może po prostu tak mi się tylko zdaje.

– Wiesz, że mówi o tobie całe miasto? – pyta Jericha i przeciska się obok mnie, żeby do niego podejść.

Odwracam głowę i przyglądam się im. Oczy St. Jamesa są zwrócone na moją twarz, chociaż wolałabym, aby patrzył gdzie indziej. W jego wzroku dostrzegam zbyt wiele zawziętości. Zbyt wiele okrucieństwa.

– Zniknąłeś w dramatycznych okolicznościach na wiele lat i nagle powracasz w wielkim stylu. Słyszałam, że zrobiłeś niezłe show. Jaka szkoda, że to przegapiłam.

Odstępuje od niego kilka kroków, a ja obserwuję jej ruchy. Nie kurczy się w sobie, nie kuli przy St. Jamesie. Nie dorastam jej do pięt. Kuzynka byłaby zdolna rzucić mu wyzwanie. Co więcej, miałyby szansę wygrać. Czy to dlatego wybrał mnie? Z jakiegoś powodu myśl o nich razem mną wstrząsa.

Jericho przenosi wzrok na Julię, jakby dopiero teraz zorientował się, że przy nim stoi.

– Przepraszam – mówi i wymija ją, żeby podejść do mnie.

Kuzynka odwraca się i widzę jej zdziwioną minę, choć jedynie przez moment, bo mężczyzna zdaje się zajmować całą przestrzeń niewielkiej kaplicy. Gdy do mnie dochodzi, Julii już nie ma. Słyszę tylko, jak zatrząskują się za nią ciężkie drzwi.

– Kazałem ci się nie oddalać. – Chwyta moje ramię. Widzę, że w drugiej ręce coś trzyma. – O czym rozmawialiście?

– O niczym szczególnym. Głównie o jej synku. Chciałabym go zobaczyć.

Taksuje mnie wzrokiem, a ja ściskam kurczowo torebkę. Gdy znajdę się w domu, będę mogła schować komórkę. Ale tylko jeśli Jericho nie przejrzy zawartości kopertówki.

– Gdzie byłeś? – pytam.

– Na spotkaniu.

Brzmi nieswojo. Czymś się przejął i nie bardzo potrafi to ukryć. Patrzy mi o oczy, jakby chciał mnie przejrzeć na wylot. W końcu jego wzrok ląduje na obojczyku. Dotykam blizny, by się upewnić, że jest dobrze ukryta pod włosami.

– Spotkanie w środku przyjęcia? Czy tylko dlatego się tutaj zjawiliśmy? Żebyś mógł wziąć udział w spotkaniu? – drążę, by odwrócić jego uwagę.

– Dlaczego ciągle tu przychodzisz? – odpowiada pytaniem i rozgląda się po kaplicy. – Już drugi raz cię tu znalazłem. Wzruszam ramionami i próbuję strząsnąć z siebie jego rękę. Rozluźnia nieco chwyt.

– Mama przyprowadzała mnie tutaj, gdy byłam mała, a ona sprzątała cały kompleks.

Dostawała za to niezłe pieniądze, dlatego chętnie podejmowała się tej pracy, ale kiedy ani taty, ani brata nie było w domu, nie miałam z kim zostać. Zabierała mnie więc, sadzała w jednej z ławek i kazała się stąd nie ruszać.

– Ile miałaś lat?

– Pierwszy raz przyszedłam tu w piątą urodziny.

Zapamiętałam to, ponieważ mama obiecała, że za zarobione pieniądze kupi mi prezent.

– Zostawiała pięcioletnią córkę samą w kościele?

– W przeciwieństwie do ciebie i pozostałych członków Socjety dorastałam w domu, w którym się nie przelewało. Rodziców nie stać było na opiekunkę.

– I dlatego twoja matka oddawała cię pod opiekę Jezusa?

Patrzę na niego spod zmrużonych powiek.

– Pewnie tak, kotle.

– Jaki znowu „kotle”?

– Chodzi mi o ten, który przyganiał garnkowi. Znasz to powiedzenie czy mam ci je wytłumaczyć?

– A jak to się niby ma do mnie?

– Zostawiasz córkę pod opieką obcych ludzi.

– Ja nie... Kurwa. Nie muszę ci się z niczego spowiadać, Isabelle Bishop.

Odkłada na ołtarz kopertę, którą cały czas miętosił w dłoni, i przygląda mi się z jeszcze dziwniejszym wyrazem twarzy niż zazwyczaj.

– O co chodzi? – pytam.

Zamiast odpowiedzieć kładzie mi dłoń na ramieniu i nią napiera. Czuję wzbierającą panikę. Nie wiem, czy bardziej przeraża mnie jego mina czy nacisk ręki.

– Co ty robisz, Jericho?

Gdy uderzam kolanami o podłogę, przekłada dłoń na moją głowę. Jego dotyk jest delikatny. Przynajmniej na początku.

– Dlaczego mi opowiedziałaś, że dorastałaś w biedzie?

– Słucham?

– Dlaczego opowiedziałaś mi o sobie?

– Ponieważ zapytałeś.

Chwyta garść włosów i ciągnie w taki sposób, bym spojrzała mu w oczy. Wypuszczam torebkę, aby złapać go za przedramię.

– Chciałaś wzbudzić moją litość?

– Nie! Powiedziałaś ci, bo zapytałeś. I tyle. Nie spodziewam się, że okażesz mi litość, ani o nią nie proszę, więc możesz się wypchać.

– A może chodziło o to, że bym przestał widzieć w tobie członkinię rodu Bishopów?

Zachowuje się tak, jakby w ogóle nie słyszał, co do niego mówię. Zaciska palce mocniej na moich włosach, chociaż nie jestem pewna, czy robi to świadomie.

– To boli!

– Odpowiedz.

– Wydaje mi się, że od samego początku postrzegasz mnie wyłącznie przez pryzmat nazwiska.

– Ponieważ tylko tym dla mnie jesteś. Jedną z nich.

– Puszczaj, Jericho.

– A jak nie, to co? Co mi zrobisz, mała Isabelle Bishop?

Nie odpowiadam na jego zaczepkę. Bo cóż mogłabym powiedzieć? I nic nie mogę zrobić. Nawet jeżeli zaczęłabym krzyczeć, to i tak nikt nie przyjdzie mi z pomocą. A nawet jeśli ktoś

by się zjawił, to jeden rzut oka wystarczy mu, żeby obrać stronę. Stronę Jericha St. Jamesa.

Dotyk mężczyzny staje się coraz bardziej brutalny.

– Wieść niesie, że bękart, którego Reginald Bishop zrobił Mary St. James, został poczęty dokładnie w miejscu, w którym teraz klęczysz. By sprofanować ją i Boga, do którego się modlisz.

Chwytam jego przedramię również drugą ręką, ale to bezcelowe. Jest za silny i ani drgnie. Kuca obok, tak że twarz ma zaledwie kilka centymetrów od mojej. Obserwując mnie, przekręca dłoń. Po moim policzku toczy się samotna łza. Po chwili Jericho rozmazuje mi się przed oczami, bo płyną za nią kolejne. Zastanawiam się, czy za moment nie zrobi tego, co mój przodek zrobił Mary.

– Błagam, puść mnie... To boli.

Mrużę oczy, a potem mruży powieki, aż widać zza nich tylko wąskie szparki. Nie mam pojęcia, co takiego wydarzyło się na tym spotkaniu, że wywołało u Jericha ten mroczny nastrój. W końcu rozluźnia chwyt na włosach, a drugą rękę kładzie mi na brzuchu i powoli przesuwają ją między nogi. Wzdycham z zaskoczenia, a on po prostu mi się przygląda.

– Proszę...

– O co? – podkpiwa, pracując wytrwale palcami, które od mojego ciała oddziela jedynie delikatna jak mgiełka tkanina. Cudowne uczucie. Muszę to przyznać, chociaż wcale nie mam ochoty. Nie przestając mnie pieścić, znów odchyła mi głowę, a jego wzrok niemal wypala dziury w moich oczach.

– Prosisz, żebym przestał czy żebym doprowadził cię do orgazmu, Isabelle?

– Nienawidzę cię – udaje mi się wykrztusić, chociaż płucom brakuje tlenu.

– A mimo to chciałabyś szczytować.

Jego dotyk powinien mnie obrzydzać, jednak podobnie jak poprzednim razem mogę tylko dyszeć z podniecenia. Zamiast odepchnąć rękę Jericha przywieram do niego, obejmuję jego ramiona.

– Nie jestem taki jak on.

– Jak kto?

– Jak Reginald Bishop. Jestem innym człowiekiem.

Nie nadążam za tokiem rozumowania St. Jamesa.

– Wymów moje imię – nakazuje.

Kręcę głową, ale gdy jego palce zbaczają z kursu, łapię się na tym, że napieram na męską dłoń.

– Wymów je, kiedy będziesz dochodziła.

Nie: „Wymów je, a sprawię, że dojdiesz”, tylko: „Wymów je, kiedy będziesz dochodziła”. Z trudem przełykam ślinę. Pragnę tego. Jericho przyciąga mnie do siebie i całuje. Nie oddaję pocałunku. Nie mogę. Ale nie walczę z St. Jamesem. Nie gryzę go. Tym razem chcę dojść.

– Ja... – zaczynam mówić z wargami wciąż przyciśniętymi do jego ust, a on połyka dźwięki. Nawet nie wiem, co chciałam powiedzieć.

– Moje imię, Isabelle. No dalej.

Sukienka musi być mokra między nogami. Ludzie to zobaczą. Dowiedzą się, co robiliśmy. Lecz w tym momencie mnie to nie obchodzi. Znika wszystko prócz Jericha, dotyku palców na moim ciele i wewnątrz niego, pieszczot. A gdy nie mogę już więcej znieść, wtulam głowę w zgięcie szyi mężczyzny i dysząc, wdycham jego zapach.

– Powiedz to – ponagla.

Przytykam otwarte usta do skóry Jericha. Ma słony, męski smak. Czuję, jak facet drży i

nagle znów zacieśnia chwyt na moich włosach, by odciągnąć mnie od siebie. Ale jego palce nie przerywają pracy. St. James doskonale wie, jak sprawić rozkosz. Jeszcze chwila i poddam się temu. Poddaję się jego dłoniom, ciepłu, zapachowi. A kiedy nadchodzi orgazm, odchylam głowę i robię to, co nakazał mi diabeł. Wymawiam jego imię. Nie jestem pewna, czy usłyszał mój szept, lecz na więcej brak mi sił. W życiu się tak nie czułam. Pieszcząc się sama, nigdy nie straciłam nad sobą kontroli.

– Jeszcze raz. Powtórz je – żąda, po czym przyciska wargi do mojej szyi, gorące i wilgotne.

– Jericho.

Mrugam, żeby zobaczyć go wyraźniej, bo obezwładniająca rozkosz zamgliła mój wzrok. Wnętrze pulsuje mi pod jego dłonią, palce wpijają się w męskie barki. Wokół nas unosi się aromat kadzidła, a ciszę przerywa tylko ciężki oddech.

Gdy w końcu wracam do rzeczywistości, przypominam sobie, gdzie i z kim jestem. Klęczę na podłodze kaplicy, unieruchomiona rękami mężczyzny, który mnie nienawidzi. Ale kiedy na niego spoglądam, to nie nienawiść widzę w jego oczach. Czai się w nich coś mrocznego i niebezpiecznego. Różnobarwne tęczęwki obiecują piekło.

St. James powoli wysuwa dłoń spomiędzy moich ud, rozluźnia chwyt na włosach i kładzie mi rękę na policzku. Jego palce są wilgotne. Pociera kciukiem moją twarz. Odnoszę wrażenie, że stara się zetrzeć z niej ślady łez.

– Od jutra – mówi i pomaga mi wstać. Całe szczęście, bo nogi mam jak z waty. – Od jutra będziesz nosić na sobie moje piętno. Jutro twoja krew splami moje prześcieradło. A wtedy będziesz moja. Na dobre i na złe. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

## 22 ISABELLE

„Na dobre i na złe. Dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

Niepokojąco brzmiące słowa kołaczą się w mojej głowie. Jericho zarzuca mi na ramiona swoją marynarkę i pospiesznie wyprowadza z kaplicy, a potem z siedziby IVI. Marynarka sięga połowy ud, więc nikt nie zauważa, w jakim stanie znajduje się moja sukienka. Nim wydostajemy się z dziedzińca, kątem oka dostrzegam twarz Julii. Wsiadamy do samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Za kierownicą siedzi Dex. Jericho nawet na mnie nie patrzy, gdy wracamy do rezydencji St. Jamesów. Jego twarz wygląda jak wykuta z kamienia, a na kolanach leży tajemnicza koperta.

Przez cały ten pospiech, a może przez chwilowe rozkojarzenie, mężczyzna nie zwraca uwagi na moją torebkę. Spodziewałam się, że ją przeszuka, ale nic takiego nie nastąpiło. Siedzi w milczeniu. Otulam się szczelniej jego marynarką i staram się na niego nie patrzeć. Czy myśli o tym, co się przed kilkoma minutami między nami wydarzyło? W samochodzie jest chłodno, klimatyzacja pracuje pełną parą. Wmawiam sobie, że to przez nią cała się trzęsę.

Kiedy przekraczamy próg rezydencji, słyszę rozmowę przyciszonymi głosami. To Leontine i Zeke. Stoją w salonie przed nierozpalonym kominkiem. Jericho zatrzymuje się na ich widok, ja też. Oni z kolei milkną.

„Na dobre i na złe. Dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

– Idź do swojego pokoju – nakazuje St. James i odchodzi korytarzem, a ja zostaję w foyer.

Bliscy Jericha patrzą, jak znika w oddali, a potem przenoszą wzrok na mnie. Zerkam w dół, a gdy dostrzegam ciemną plamę między nogami, zakrywam ją połami marynarki z nadzieją, że nie zdążyli jej zauważyć, i pędzę po schodach do sypialni. Zatrząskuję za sobą drzwi, po czym opieram się o nie plecami. Żałuję, że nie mogę ich zamknąć na klucz. Choć z drugiej strony nie jestem pewna, czy nadal chcę, by Jericho się do mnie nie zbliżał. Tłumaczę sobie, że tak czy inaczej znajdzie sposób, by się tu dostać. W końcu między naszymi pokojami jest bezpośrednie przejście. Co on takiego powiedział? Że ułatwi mu ono dostęp, w razie gdyby mnie potrzebował? Nie pamiętam, jakich dokładnie słów użył, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że zostałam potraktowana jak rzecz. Jak własność St. Jamesa.

Drzę. Zbyt obszerna marynarka zsuwa mi się z ramion. Materiał przesiąkł jego zapachem, który teraz przechodzi na mnie. Strząsam ją z siebie, pozwalam, by spadła na podłogę. Nie patrzę na sukienkę, na miejsce, gdzie podniecenie i rozkosz pozostawiły widoczny znak mojej hańby. Szczytowałam. Dopuszczałam do tego, by Jericho doprowadził mnie do orgazmu na podłodze kaplicy. I pragnęłam tego. Boże, co jest ze mną nie tak?!

Kładę torebkę na biurku i idę do łazienki, ściągając po drodze sukienkę. Wrzucam ją do kosza na śmieci. Pomijając wszystko inne, nie sądzę, żeby udało się sprać tę plamę. Wchodzę pod prysznic, odkręcam wodę tak gorącą, jak tylko jestem w stanie wytrzymać, i rozmyślam o tym, co powiedział mi Jericho. Czy Reginald Bishop naprawdę zgwałcił Mary St. James? I to w kościele? Czy ktokolwiek byłby zdolny do takiego okropieństwa? Ależ tak. Głupie pytanie. Oczywiście, że istnieją tacy ludzie. Julia ma rację, jestem naiwną gąską. Użyła słowa „niewinna”, ale po prostu starała się być uprzejma. Z drugiej strony Jericho mógł mnie okłamać. Co by go przed tym powstrzymało? Mógłby wymyślić dowolną historyjkę. Przecież i tak nic nie wygugluję. Nie zweryfikuję jego opowieści. Lecz nie tylko to mnie zdenerwowało. Chodzi o

fakt, że sama zapragnęłam dotyku tego diabła. Że wczepiłam się w jego ramiona i nie miałam zamiaru puszczać. I... doszłam.

– Cholera!

Rozcięcia, które zostały mi po zabawie w berka, szczypią pod strumieniem gorącej wody, ale w pokorze znoszę cierpienie. Zasłużyłam na nie. Wyciągam szpilki podtrzymujące fryzurę i upuszczam je na podłogę. Przy okazji wyrywam sobie trochę włosów, a to oznacza jeszcze więcej bólu. Gdy pasma są już rozplątane, nalewam szampon na dłoń i wcieram go energicznie, potem spłukuję i powtarzam proces od początku, zanim przejdę do dokładnego wyszorowania ciała. Mam nadzieję zmyć z siebie dotyk Jericha i moją hańbę. Ja pierdolę, szczytowałam.

Pozwoliłam, żeby doprowadził mnie do orgazmu. Nawet nie pozorowałam stawiania oporu. Co się ze mną, do kurwy nędzy, dzieje?

Stoję pod prysznicem tak długo, aż skóra robi się czerwona i tkliwa. Po wyjściu zaczynam się wycierać, lecz nagle przypominam sobie o telefonie w torebce. Muszę ukryć komórkę, zanim Jericho ją znajdzie. Wypadam z łazienki, zostawiając za sobą mokre ślady, i pędzę do sypialni. Jakaś część mnie spodziewa się, że St. James będzie stał przy biurku z dowodem mojego podstępu w dłoni. Nie ma go jednak. Pokój jest pusty, a kopertówka leży tam, gdzie ją zostawiłam. Wyciągam telefon ze środka i naciskam przycisk włączania, ale urządzenie nie reaguje. Bateria padła. Odsuwam stolik nocny od ściany, podłączam ładowarkę do gniazdka za łóżkiem i ukrywam komórkę w niewielkiej wnęcie. Rozczesując włosy, rozmyślam nad tym, o czym poinformowała mnie Julia. Powiedziała, że będę musiała wyjść za męża, aby się stąd wydostać. Aby uciec od Jericha. „Na dobre i na złe. Dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Przypominam sobie również enigmatyczny komentarz kuzynki na temat pigułek antykoncepcyjnych. Skąd ona wie, że je biorę? Czyżby Carlton omówił z Julią tę kwestię, zanim zabrał mnie do lekarza? Upokorzeniom nie ma końca.

Otwieram szufladę i znajduję w niej piżamę, a także swoją koszulkę. Koszulkę Christiana. To nieoczekiwane dobrodziejstwo, zwłaszcza dzisiejszej nocy. Została wyprana, wyprasowana i odłożona na miejsce, tak jak obiecał Jericho. W obecnej sytuacji daje mi chociaż odrobinę pociechy, więc szybko ją zakładam. Nie rozpoznaję jej zapachu. Właściwie to rozpoznaję, bo wydzielają go wszystkie ubrania Jericha. Po prostu T-shirt zawsze pachniał inaczej. Chociaż woń Christiana uleciała dawno temu, a ja prałam ją niejednokrotnie po jego śmierci, wciąż cieszę się, że ją mam.

Wracam do łazienki sprawdzić, czy niewielkie pudełeczko z tabletkami nadal leży bezpiecznie w kosmetyczce. Wszystko jest na swoim miejscu. Kładę dłonie na brzegu umywalki i podnoszę wzrok do lustra, by spojrzeć na swoje odbicie. Dostaję paranoi. Lśniącą powierzchnię pokrywa warstewka pary, ale nie na tyle, bym nie widziała, że skóra wciąż jest zaróżowiona po zbyt gorącym prysznicu, a grube kreski wokół oczu, które narysowała makijażystka, nie zmyły się całkowicie. Pod wpływem ciepłej wody tylko się rozmasały, dzięki czemu bardziej przypominam szopa pracza niż istotę ludzką. Zmywam pozostałości makijażu, a potem szczotkuję zęby, jakby to był najnormalniejszy na świecie wieczór. Idę do łóżka, choć dopiero minęła dziewiąta, a ja od południa nic nie jadłam.

Jakby na zawołanie, gdy wychodzę z łazienki, słyszę pukanie.

– Chwileczkę!

Sprawdzam, czy telefon leży poza zasięgiem wzroku, naciągam dzinsy i w końcu otwieram. Za drzwiami stoi uśmiechnięta Leontine. Trzyma w dłoniach talerz z kanapką i butelkę wody.

– Z tego, co zrozumiałam, nie dotarliście na kolację – mówi.



Odwzajemniam uśmiech i odsuwam się, by mogła wejść. Stawia przyniesiony posiłek na toaletce i siada na jednym z krzeseł. Zamykam drzwi, ponieważ nie wygląda, jakby miała zamiar zaraz mnie opuścić.

– To prawda, nie dotarliśmy – odpowiadam i zerkam łakomie na jedzenie.

– Musisz być głodna. – Gestem wskazuje kanapkę. – Zjedz.

– Dziękuję.

Siadam naprzeciw kobiety i kładę talerz na kolanach. Nim zaczynam jeść, odkręcam wodę i piję łąpczywie, a matka Jericha mi się przygląda. Nie potrafię jej rozgryźć. Jestem ciekawa, ile wie o swoim synalku. Jak dobrze zna jego plany wobec mnie. Z pewnością jest o wiele lepiej zorientowana niż ja. Ale po czyjej stoi stronie? Czy w razie czego pomogłaby mi i wystąpiła przeciwko członkowi własnej rodziny? Szczerze wątpię. – Został dotkliwie zraniony – odzywa się nagle, jakby czytała w moich myślach.

Nie odpowiadam od razu.

– Czy mam mu współczuć z tego powodu? – „Bo jeśli tak, to jakoś nie mogę się na to zdobyć”.

– Nie, po prostu chciałabym, żebyś go zrozumiała. Żebyś usłyszała prawdę od kogoś innego, bo syn jest zbyt zaangażowany emocjonalnie, jeśli chodzi o ciebie i o to, co musi zrobić.

– A co takiego musi zrobić?

– Co uważa za słuszne – mówi, jakby to wyczerpywało odpowiedź na moje pytanie.

– Czyli co dokładnie?

Kobieta wzdycha głęboko.

– Angelique cię polubiła, Isabelle. Nawet bardzo.

– Ja ją także. To słodkie stworzenie. W przeciwieństwie do ojca. – Ostatnie zdanie dodaję pod nosem i szybko wgrzazam się w kanapkę.

Leontine chichocze.

– Cóż, wiele rzeczy można powiedzieć o moim synu, ale z pewnością nikt nie nazwałby go słodkim stworzeniem. I raczej mu to już nie grozi.

– Co on planuje? Co się ze mną stanie?

Kobieta przypatruje mi się przez chwilę, potem wstaje i zaczyna krążyć po pokoju.

– Narzeczona Jericha, matka Angelique, umarła na jego rękach. Wiedziałaś o tym?

„O mój Boże”. Kręcę przecząco głową i odkładam kanapkę na talerz. Kęs, który odgryzłam, zaczyna mi rosnać w ustach. Mam wrażenie, że się uduszę, jeśli spróbuję go połknąć.

– Ale to on był celem zamachu – dodaje.

– Nie miałam pojęcia.

Skórę pokrywa mi gęsia skórka. Odstawiam talerz.

– Zabójców wynajął twój brat.

Mrugam z niedowierzaniem.

– Że co?! – Nie wiem, co zdumiewa mnie najbardziej. Słowa Leontine, ich znaczenie czy może swobodny ton, z jakim je wypowiedziała. Nie powtarza po raz drugi, tylko daje mi kilka chwil na przyswojenie treści. Obawiam się, że będę potrzebowała o wiele więcej czasu, żeby prawda w pełni do mnie dotarła.

– Waśń między naszymi rodami ciągnie się od pokoleń. Zaczęła się, gdy kupiliśmy tę ziemię. Nabyliśmy ją zgodnie z prawem. Rodzina Bishopów miała pieniądze właściwie od zawsze. Już pierwsze pisemne wzmianki o nich mówią także o ich bogactwie. Ale jak to często bywa u ludzi majątnych od pokoleń, im ktoś mniej musi zapracować na to, co ma, tym bardziej czuje się upoważniony do wyciągania rąk po cudze i tym szybciej roztrwania własną fortunę.

Upoważniony. Słowo klucz. Reginald Bishop także czuł się upoważniony do Mary St.

James. Przynajmniej według słów Jericha.

– Byli również jedną z rodzin założycielskich stowarzyszenia. Jak dużo wiesz o IVI, Isabelle?

– Niezbyt wiele. Szczerze mówiąc, nieszczególnie mnie to interesowało. Kilka lat temu dowiedziałam się, że mój ojciec, to znaczy biologiczny ojciec, należał do rodziny Bishopów. Osobiście nigdy nie uważałam się za jej członkinię. To mężczyznę, który mnie wychował i obdarzył bezgraniczną miłością, traktowałam jak tatę. Nic więcej mnie nie obchodziło.

– Ale zmieniłaś nazwisko – zauważa Leontine, a ja nie potrafię stwierdzić, czy jej ton brzmi oskarżycielsko czy nie.

– Miałam tylko szesnaście lat i właśnie straciłam brata w wyniku brutalnej napaści. – Oczy zachodzą mi mgłą. – Zostałam ciężko pobita. Pewnie też bym zmarła, gdyby sąsiad nie zadzwonił na policję. Więc kiedy zjawił się Carlton i poinformował mnie o moim prawdziwym pochodzeniu, przyjął pod swój dach, a potem kazał podpisać tony dokumentów napisanych niezrozumiałym dla nastolatki prawniczym językiem, nie zwracałam większej uwagi ani na zmianę nazwiska, ani na całą resztę. Byłam odrętwiała.

Wydaje mi się, że nikt nie przejmuje się tym, od czego to wszystko się zaczęło. Tym, że Christian, którego nawet nie miało być wtedy w mieszkaniu, wpadł, by sprawdzić, jak się miewam, i stracił przy tym życie. Wstaję i grzbietem dłoni ocieram łzy płynące obficie po policzkach.

– Jestem zmęczona – oznajmiam.

– Znam twoją historię – odpowiada kobieta. Podchodzi i kładzie mi dłonie na ramionach.

– I bardzo mi przykro z powodu twojej straty. Naprawdę. Wszyscy kogoś straciliśmy. A to, co robi Jericho, ma na celu zapewnienie bezpieczeństwa Angelique.

– Co wspólnego ma jej bezpieczeństwo z moim pobytom tutaj? O ile udało mi się zorientować, jemu chodzi o zemstę. Czym w takim razie jestem ja? Stratą uboczną?

– Gra toczy się o najwyższą stawkę. Wielu rzeczy nie wiesz, Isabelle. – Zabiera ręce i odsuwa się ode mnie. – W takim razie mi o nich powiedz. Może wtedy zrozumie i... spróbuję pomóc.

Kobieta podchodzi do drzwi.

– Muszę sprawdzić, jak się miewa moja wnuczka. Ciągłe się budzi i pyta, czy tatuś jest w domu. Czy przyjdzie ją odwiedzić. To dziecko spędziło swoje krótkie życie na ciągłej ucieczce, jak zbiegły więzień. Jericho postępuje z tobą tak, a nie inaczej, by ją chronić. Ona jest naszym jedynym zmartwieniem i dla niej zrobimy wszystko, co będzie konieczne.

– A co to oznacza dla mnie? Co Jericho zamierza mi zrobić?

– Co zamierza ci zrobić?

– Och, zapytam inaczej. Co zamierza zrobić ze mną? – Ton mojego głosu z każdym słowem jest twardszy. – Co według niego musi zrobić ze mną, by zapewnić córce bezpieczeństwo?

– Wszyscy coś poświęciliśmy. Nie zapominaj o tym. A o ciebie zadbamy. Nic ci nie grozi.

– Z czyjej strony? Bo z mojego punktu widzenia jedyną osobą, której muszę się obawiać, jest twój syn.

– To nie...

– Zdradź mi jego plany, Leontine!

Nie potrafię wykrzesać z siebie ani krzty łagodności.

– Jutro sam wszystko ci wyjaśni.

Schyła się, by podnieść marynarkę Jericha i przewiesza ją sobie przez ramię. Kładzie

dłoń na klamce. Podbiegam do niej i chwytam ją za rękę.

– Nie, powiedz mi teraz! – Spogląda w dół na moją dłoń. Podążam za jej wzrokiem i widzę, jak mocno ją ściskam. Rozluźniam palce. – Proszę.

– Jutro poślubisz mojego syna.

– Co?!

by ktoś walnął mnie pięścią w brzuch. – Będzie delikatniejszy niż większość z nich. Uwierz mi, Isabelle, to najlepsze wyjście.

Otwiera drzwi.

– Najlepsze wyjście? A jakie są inne? Że dacie mi odejść? Że on da mi odejść?

Mój głos jest nerwowy, pobrzmiwa w nim panika.

Leontine zatrzymuje się w pół kroku i odwraca do mnie, ale nie potrafię nic wyczytać z jej spojrzenia. Oczy kobiety zdają się płonąć, tak jak oczy Jericha, ale jest w nich też odrobina łagodności. Nie wiem tylko, czy przeznaczonej dla mnie.

– Dokąd chcesz odejść? Masz w ogóle pojęcie, czego dopuścił się twój brat? Co dla ciebie zaplanował? Czy kuzynka opowiedziała ci o jego zamiarach, gdy spotkałyście się w kaplicy?

Słowa Leontine zbijają mnie z tropu.

– Ja... Skąd...

– W siedzibie IVI nigdy nie jesteś tak naprawdę sam. Postaraj się o tym pamiętać. – Wchodzi z powrotem do pokoju i zamyka drzwi. – Jutro wyjdiesz za mąż za Jericha. Wtedy będziesz bezpieczna, a on zrobi, co musi. To wszystko.

– To wszystko?! Mówimy o mojej przyszłości!

– Przepadła, zanim mój syn wkroczył w twoje życie. Carlton Bishop się o to postarał.

– Co masz na myśli?

– A co niby robił twój brat tej nocy, gdy poznałaś Jericha? Czy aby nie kazał ci paradować w tej idiotycznej sukience przed tymi spośród Sprawiedliwych Synów, którzy szukają żony? Wiesz, ile niektórzy z nich mają lat? Wiesz, którego dla ciebie wybrał? Może obilo ci się o uszy nazwisko Manson.

– Joseph Manson?

Chodzi o tego oblecha, z którym Carlton kazał mi tańczyć na balu maskowym? To chyba żart. Staruch mógłby być moim dziadkiem. I wówczas przypominam sobie, jak na mnie patrzył, jak kładł mi ręce na plecach i zsuwał je nieco zbyt nisko. Jak jego skwaśniały oddech owiewał moją twarz, kiedy przysuwał się do mnie bliżej, niż było to konieczne. Wzdrygam się na to żywe wspomnienie i natychmiast nabieram ochoty na kolejny prysznic.

– Widzę, że ten człowiek nie jest ci obcy – kontynuuje Leontine. – Miał już trzy żony. Przy następnej okazji spytaj o niego kuzynkę. – Otwiera ponownie drzwi i zza progu posyła mi jeszcze jedno spojrzenie. – Mój syn będzie cię chronił. Pamiętaj o tym. I wiedz, że potrzebujesz ochrony, Isabelle Bishop. O wiele bardziej, niż przypuszczasz.

## 23 JERICHO

Noc spędzam w swoim gabinecie. W głowie rezonują mi słowa brata, a twarz dziewczyny raz za razem pojawia się w pamięci. Odnoszę wrażenie, że fotografia z miejsca zbrodni, w którą nie potrafię przestać się wpatrywać, hipnotyzuje mnie.

W jednym Zeke ma rację, Isabelle nie jest dla mnie dobrą partią. Nie została stworzona do życia w naszym świecie. A jednak się w nim znalazła. Czy Carlton naprawdę chce dobić targu z Mansonem? Ile lat może mieć ten pierdziel? Sześćdziesiąt? Więcej? Kurwa, ona ma dopiero dziewiętnaście.

Znów widzę przed oczami jej twarz. Tym razem to twarz szczytującej kobiety. Zamykające się z rozkoszy powieki. Odchylona głowa odsłaniająca bezbronne gardło. Czuję smak skóry. Słyszę brzmienie mojego imienia wyszeptanego między spazmatycznymi oddechami. Fiut mi twardnieje. Ja pierdolę! Nie wiem, co się ze mną dzieje. Ile kobiet zerznąłem w życiu? Sam nie zliczę. A ilu z nich, poza Kimberly oczywiście, poświęciłem więcej niż jedną przelotną myśl? Ile z nich kojarzę z imienia? Ile z twarzy? Ile głosów wykrzykujących moje imię zapadło mi w pamięć?

Tak to właśnie powinno wyglądać po śmierci narzeczonej. I przez długi czas ten schemat się sprawdzał. Pieprzyłem tylko po to, żeby spuścić z krzyża. Nic więcej. Ale teraz, o niej – ze wszystkich kobiet na świecie właśnie o niej – nie potrafię przestać myśleć, nie potrafię zapomnieć. Co chwilę unoszę palce do nosa, by poczuć jej słabnący zapach. Kurwa mać! Może za długo tego nie robiłem? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz kogoś zerznąłem. Czyżby wtedy w apartamencie? Tę dziewczynę w króciutkim fartuszkach pokojówki, która ciągle kręciła przede mną tyłkiem? Nie poznałbym jej na ulicy. Nawet nie wiem, jak miała na imię. To było tylko pieprzenie. Ale w przypadku Isabelle Bishop jest zupełnie inaczej. Każdy, najdrobniejszy nawet szczegół wrył mi się głęboko w pamięć.

Po powrocie do domu zdążyłem już sobie zwalić. Dwa razy. Włosy nadal mam mokre po prysznicu. Powinienem iść do jej pokoju i poczęstować się tym, co do mnie należy. Nie rozumiem, dlaczego tego nie robię. Co mnie obchodzi, czy pozostanie dziewicą do naszej nocy poślubnej. Równie dobrze mogę teraz upuścić jej krwi. Krew na prześcieradle to krew na prześcieradle. Ale z jakiegoś powodu się powstrzymuję. Wmawiam sobie, że to przez nawalną pracę. Cóż, naprawdę mam jej sporo.

Wkładam fotografię z powrotem do koperty i wyciągam z niej arkusz, dzięki któremu Santiago prześledził przepływ gotówki od Carltona Bishopa do Danny'ego Gibsona i z powrotem. Robię kartce zdjęcie telefonem. Tyle mi wystarczy. Piszę SMS-a: „Isabelle Bishop i Jericho St. James mają zaszczyt nie zapraszać pana na swój ślub”. Do wiadomości załączam przed chwilą cykniętą fotkę. Dlaczego? Bo Rytuał zapewnia Isabelle swego rodzaju ochronę. Aby opiekun, który zainicjował Rytuał, nie przekroczył swoich uprawnień ani nie wziął więcej, niż mu wolno, nie może on poślubić kobiety ani wejść z nią w jakąkolwiek relację bez zgody i błogosławieństwa jej ojca, brata, stryja lub wuja. W przypadku braku bliskich krewnych płci męskiej zgodę musi wyrazić Trybunał. Prawo to ustanowiono, żeby chronić kobiety dokładnie przed tym, co sam zamierzam zrobić. Szczerze mówiąc, ze względu na córkę cieszę się, że istnieje. Aż za dobrze wiem, do czego zdolni są mężczyźni.

Dzięki tej drobnej zachęcie Carlton Bishop pobłogosławi nasz związek. Wysłałam kolejnego SMS-a: „Budynek Trybunału. Jutro, 9.00 rano. W przeciwnym razie wręcę dowody

jego członkom. Będą wiedzieli, co z nimi zrobić”. Nie mam wątpliwości, że się zjawi. Przygna go tchórzostwo.

Zegar na korytarzu wybija północ. Ktoś puka do drzwi. Zbyt delikatnie, żeby mógł to być Zeke.

– Proszę. – Do gabinetu wchodzi matka. Wygląda na bardziej zmęczoną ode mnie. – Dlaczego jeszcze nie śpisz? – pytam.

– A ty?

Dłonią wskazuję barek z alkoholem, by zaproponować jej drinka, jednak potrząsa głową. Siadamy na kanapie.

– Nie darzę Bishopów miłością. Ani trochę...

– Ale? – przerywam jej, bo zawsze jest jakieś „ale”.

– Ale oczekuję, że będziesz ją traktował tak, jak mój syn powinien traktować kobietę.

Bez względu na jej pochodzenie.

– Czyli zupełnie inaczej niż ojciec? – wymyka mi się, nim zdążę ugryźć się w język. Matka krzywi się jak spoliczkowana, a mnie zalewa fala wyrzutów sumienia. Odwracam wzrok.

– Wierzę, że sprawisz się lepiej od niego – oznajmia głosem, w którym dźwięczy stal. – A przynajmniej taką mam nadzieję.

Nagle, jakby ktoś włączył płytę, zaczynam odtwarzać w głowie to, co Santiago mówił o śmierci ojca. Przypomina mi się wyraz jego twarzy. I chwila, gdy zawiesił wzrok na Ezekielu.

Ojciec zmarł sześć lat temu. Nie należał do ludzi łagodnych. Zdawałem sobie z tego sprawę już w dzieciństwie. Nie dopuszczał się przemocy fizycznej, nie bardziej niż inni rodzice, ale nie był też tatusiem, do którego biegło się z obtartym kolanem po całusa. Chociaż nadzwyczaj pragnął należeć do najwyższych warstw Socjety, żywił jakąś nienawiść do IVI. Czasem się zastanawiałem, czy to nie jego pragnienie ją napędzało. Musiał ciężko pracować na każdy ochłap, który raczyli mu rzucić. Wkupienie się w szeregi Sprawiedliwych Synów było dla niego niczym pokazanie reszcie środkowego palca. Bo jeżeli nasza rodzina w czymś osiągnęła najwyższy poziom wybitności, to w zarabianiu hajsu. Mnóstwa hajsu. Kwot tak ogromnych, że nawet tajne stowarzyszenie pokroju IVI nie mogło nimi wzgardzić, niezależnie od źródła, z którego pochodziły.

Ojciec miał kochanki. Całe tabuny. Nie jestem pewien, czy kochał matkę, ale ich małżeństwo przyniosło korzyść obydwu stronom. Oznaczało przyływ gotówki dla jej ojca i status dla mojego. Zgoda dziadka na ich związek była niczym więcej jak umową kupna-sprzedaży. Nie miałem pojęcia, jak brutalnie potrafił się wobec niej zachowywać, dopóki nie straciła włosów po chemioterapii i zobaczyłem zabliznione rany. Ciekawe, czy Zeke wiedział. Pewnie tak. A teraz i ja wiem, że była to tylko jedna z widocznych oznak tego, co matka musiała znosić za życia ojca. Dla Sprawiedliwych Synów poślubna ceremonia naznaczenia jest obrzędem równie ważnym jak sam ślub, jak zakrwawione prześcieradło, jak otrzymanie błogosławieństwa Trybunału. Tak to już jest w kręgach Socjety.

Naznaczenie to umieszczenie pieczęci Sprawiedliwych Synów, w naszym przypadku dwugłowego smoka, w sposób fizyczny na karku wybranki. Dla mężczyzny to oznaka posiadania, zaś dla kobiety – o ile wytrzyma cały proces – statusu. Współcześnie istnieją dwie akceptowane przez stowarzyszenie metody naznaczania kobiet: ogień i tusz. Wcześniej stosowano wyłącznie tę pierwszą. Podczas ceremonii mężczyźni proponuje się obydwie do wyboru, chociaż ta starsza pozostała właściwie wspomnieniem po dawnej tradycji. Wciąż symbolicznie rozpala się ogień na palenisku i grzeje żelazo w płomieniach, ale tylko garstka osób zdecydowała się z tego skorzystać. To przestarzały rytuał i nic więcej. A jednak nasz ojciec wybrał dawną metodę naznaczania.

Rzucam okiem na apaszkę, którą matka obwiązała szyję. Wypalenie piętna miało pokazać tak jej, jak i wszystkim zgromadzonym na ceremonii członkom IVI, że chociaż rodzina matki cieszyła się wyższym statusem niż rodzina ojca, w ich małżeństwie to on będzie górą. Matka miała znać swoje miejsce od chwili, kiedy rozżarzone żelazo zatopiło się z sykiem w jej skórze, pozostawiając tam znak St. Jamesów na wieki.

Myśl o tej drobnej kobiecie klęczącej przed postawnym facetem, znoszącej z jego ręki ból i poniżenie, sprawia, że robi mi się niedobrze. Matka przygląda się mojej twarzy. Wie, o czym rozmyślam. Nie potrafię wyrzucić tego obrazu z głowy za każdym razem, gdy widzę ją w apaszcze. A nigdy się z nimi nie rozstaje.

– Naznaczenie... – Milknie równie nagle, jak zaczęła mówić. Nie musi dodawać nic więcej.

– Tusz – odpowiadam.

Kiwa głową, a rysy jej twarzy rozluźniają się z ulgi. Przypominam sobie, co Zeke powiedział mi wcześniej. Czyżby uważali mnie za aż takiego potwora?

– Wszystko gotowe. – Wstaje. – Pójdę się położyć.

Ja także podnoszę się z miejsca.

– Odprowadzę cię.

Po powrocie do domu nie zająłem nawet do Angelique. Idziemy razem na górę i rozstajemy się pod drzwiami pokoju małej. Patrę za odchodzącą matką i rozmyślam o niej. To jedna z najsilniejszych kobiet, jakie znam. Rozumie, co zrobił Bishop, jaką rolę odegrał w śmierci Kimberly. I chociaż chce pomścić śmierć niedoszłej synowej, podobnie jak Zeke zmiękła na widok ślicznej buzi. Jebana Isabelle Bishop! Na samą myśl o niej w głowie pojawia mi się obraz jej twarzy, odchylonej głowy, zamkniętych oczu, obnażonej szyi. I orgazmu wywołanego moimi pieszczotami.

## 24 ISABELLE

Drzwi między naszymi sypialniami są zamknięte, ale i tak wiem, że Jericha nie ma u siebie. Po tym, jak Leontine ode mnie wyszła, nie słyszę ani jego, ani nikogo innego. Chodzę po pokoju tam i z powrotem, próbując ogarnąć sytuację. Ogarnąć nowe informacje. O tylu kwestiach nie miałam pojęcia.

Naręczona Jericha umarła mu na rękach. To straszne! Ale naprawdę Carlton odpowiada za jej śmierć? Nie, to bez sensu. Może i zrobił wiele okropnych rzeczy, ale nie jest mordercą. Tylko dlaczego St. James uważa inaczej? Myślę o tym, co powiedziała mi Julia. Dowody zgromadzone przez Jericha na mojego brata muszą być niepodważalne i świadczyć o poważnym występku, skoro Rajca Hildebrand pozwolił zainicjować Rytuał. Lecz czy Carlton popełniłby morderstwo? Nie, to po prostu niemożliwe.

I co Leontine powiedziała na temat mojej rzekomej ochrony? No bez jaj. To przed St. Jamesem ktoś powinien mnie chronić. Ale w końcu to jego matka, nie stanie po mojej stronie.

Sprawdzam, czy komórka się naładowała. W końcu mogę ją włączyć. To stary model, dość humorzasty. Przewijam króciutką listę kontaktów i znajduję numer kuzynki. Dzwonię i dzwonię. W końcu odzywa się poczta głosowa. Czy powinnam zadzwonić do Carltona? Ostrzec go? Błagać o pomoc? Tylko jakie on naprawdę ma wobec mnie plany? Wyswatać z tym obleśnym dziadym? Przecież by mi tego nie zrobił... Prawda?

Krażę dalej po pokoju, aż mój wzrok pada na kanapkę, którą ugryzłam ledwie ze trzy razy. Powinnam ją dokończyć, ale mam ściśnięty żołądek. Muszę znaleźć Jericha i zrozumieć, co tu się, do diabła, dzieje. Tylko czy od niego dowiem się czegokolwiek?

Słowa Leontine rozbrzmiewają mi w głowie. „Mój syn będzie cię chronił. Pamiętaj o tym. I wiedz, że potrzebujesz ochrony, Isabelle Bishop. O wiele bardziej, niż przypuszczasz”. Niby jakiej ochrony potrzebuję? Przed kim? Jedyna osoba, która przychodzi mi na myśl, to St. James. Po chwili przed oczami widzę siebie klęczącą w kaplicy, moją odchyloną głowę, jego usta wpijające się w wygiętą szyję. Orgazm. Cholera!

Postanawiam, że muszę odnaleźć Jericha i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Spodziewam się, że drzwi będą zamknięte na klucz, lecz kiedy naciskam klamkę, okazuje się, że nie, więc wychodzę na korytarz. Jak tylko daję krok za próg, widzę Jericha. I zamieram. Właśnie wyszedł z pokoju Angelique. Zatrzymuje się, gdy mnie zauważa. Sypialnia jego córki znajduje się na drugim końcu korytarza, więc nie widzę wyraźnie twarzy mężczyzny. Odchrząkuję, zamykam za sobą drzwi i czekam na niego. Nie stchórzę. Nie mogę stchórzyć.

Patrzę, jak idzie. Zamiast twarzy ma tę swoją zwyczajową kamienną maskę bez wyrazu. Kiedy jest kilka kroków ode mnie, przełykam ślinę i otwieram usta, żeby się odezwać, ale zamykam je z powrotem, bo Jericho przenosi spojrzenie na moją koszulkę. Nagle staję się boleśnie świadoma faktu, że nie włożyłam stanika. Ale jak on to ujął? Nie ma tam nic, czego by jeszcze nie widział. Nie żeby cokolwiek mógł zobaczyć, w końcu nie potrafi prześwieślać wzrokiem.

St. James unosi pytająco brew.

– Nie masz żadnego T-shirtu, który nie byłby dziurawy? Albo chociaż takiego w swoim rozmiarze?

– Ten należy, a właściwie należał, do mojego brata.

– Aha. – Przygląda mi się. – Co robisz na korytarzu?

– Odwiedziła mnie twoja matka.

– Wiem.

– I powiedziała coś dziwnego, co chciałabym potwierdzić – mówię, łapiąc za klamkę.

– Potwierdzić? Czyżby matka nie wyraziła się dość jasno?

Nogi się pode mną uginają. Więc to prawda. Niby dlaczego miałabym w to wątpić?

– Ale... Przecież Carlton w życiu nie zgodzi się na to małżeństwo. A ty nie możesz mnie zmusić. Stowarzyszenie ci na to nie pozwoli. Chroni mnie Rytuał.

– No cóż, jestem pewien, że twój brat wyrazi zgodę i da nam swoje błogosławieństwo. A teraz wybacz, jestem zmęczony.

Wymija mnie.

– Mam w tej sprawie coś do powiedzenia? – pytam i odwracam się w stronę, w którą poszedł.

Jericho zatrzymuje się i obraca na pięcie. Kurde! To nie moja liga. Przypomina mi się, jak Julia podeszła do niego – bez kompleksów, pewna siebie. A ja czuję się niczym podłotek w dziurawej koszulce oraz džinsach, bosa, sparaliżowana. Stoję naprzeciwko samca alfa, który wygląda doskonale w koszuli i spodniach od garnituru. Elegancki, ale jednocześnie wyluzowany. Może sobie na to pozwolić, bo ma wszystko pod kontrolą.

Jakby czytał w moich myślach, Jericho do mnie podchodzi. Muszę wyciągać szyję, żeby spojrzeć mu w oczy.

– W kaplicy jakoś nie narzekałaś.

Mrugam zawstydzona i spuszczam wzrok. O to właśnie mu chodzi. O upokorzenie. Na różne sposoby.

– Nie chcę wychodzić za ciebie za mąż – walę prosto z mostu.

– Wolałabyś Josepha Mansona?

– Nie. Po prostu w ogóle nie chcę wychodzić za mąż. Chciałabym kontynuować lekcje gry na skrzypcach, może iść na studia, sama nie wiem. Wieść normalne życie. Nie mam ochoty być czymś pionkiem. Ani twoim, ani mojego brata.

W oczach wzbierają mi łzy i czuję do siebie wstręt za to, że jestem taka słaba.

– Należysz do rodziny Bishopów. I jesteś pionkiem. Moim. Wcześniej byłaś pionkiem brata, ale to się zmieniło. Jeśli miałaś jakieś złudzenia co do tego, jeśli myślałaś, że zanim pojawiłem się w twoim życiu, byłaś wolna, to pozwól, że je rozwieję. Carlton nie darzy cię braterską miłością i nigdy nie darzył.

– Ja nie...

– Co się tyczy szkoły, nie mam nic przeciwko.

Odbiera mi mowę. Przygryzam nerwowo wargę.

– N-nie masz? – wykrztuszam w końcu.

– Jestem nowoczesnym mężczyzną. Jeśli chcesz kontynuować edukację, to nie ma najmniejszego problemu.

– A co z moimi lekcjami?

– Mówimy o dwóch różnych kwestiach?

– Miałam na myśli skrzypce. Raz w tygodniu uczęszczałam na zajęcia z niewielką grupką znajomych.

– Zobaczymy.

Jestem zaskoczona i zdezorientowana, a po chwili także na maksa zirytowana. Żebym musiała prosić go o pozwolenie na robienie normalnych rzeczy takich jak studiowanie czy chodzenie na lekcje gry na skrzypcach! Też coś!

– Kilka godzin już opuściłam. Muszę zadzwonić do Paula i...



– Kim jest Paul?  
– Paul Hayes to mój nauczyciel.  
– Hm...  
– Może mogłabym pójść w przyszłym tygodniu. Może...  
– Zobaczymy. Nie przeginaj.  
– Kto tu przeginaj? – pryham.  
– Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście.  
– Chciałabym też iść do pracy – mówię i prostuję się, żeby wyglądać na wyższą, jednak dłoń wciąż trzymam asekuracyjnie na klamce.  
Jericho tłumy śmiech.  
– Przecież już masz pracę. Zapomniałaś? – „Ach, no tak. Moim zadaniem jest sprawianie mu przyjemności”. – Idź spać, Isabelle. Jutro czeka cię ciężki dzień.  
Wyjmuje z kieszeni klucze. Znów chce mnie zamknąć.  
– Nie będę się z tobą pieprzyć.  
– Nie? No wiesz, miałaś wcześniej całkiem niezły orgazm, chociaż ledwie włożyłem w ciebie palec. Wyobraź sobie, co by było, gdybym wsadził fiuta. Jakbyś wtedy szczytowała.  
– Przestań, zboczeńcu!  
Kładę mu dłoń na piersi i popycham, ale ani drgnie.  
– Wyobraziłaś sobie? – naigrawa się.  
Na oślep próbuję wymacać klamkę. W końcu ją znajduję i otwieram drzwi.  
– Dobra dziewczynka. Wchodź do środka. Nie chciałbym, abyś mi uciekła przed wielkim dniem.  
– Nienawidzę cię.  
Wzrusza ramionami.  
– Zaczekam do jutra, by udowodnić, że to wierutne kłamstwo. Do końca życia będziesz nosić na plecach rodowy symbol St. Jamesów, a twoja krew splami moje prześcieradło. Tymczasem śpij dobrze.  
To rzekłszy, zamyka drzwi i przekręca klucz w zamku. Zastanawiam się nad tym, co powiedział. Wiem, że tylko Carlton mógłby powstrzymać to szaleństwo. Ale co potem? Nawet gdyby mu się udało, co stałoby się ze mną? Sprzedałby mnie temu staruchowi jak swoją własność? Na to też nie mogę pozwolić. Mam bardzo ograniczone możliwości. Nie, to nieprawda. Nie mam żadnych możliwości.

## 25 JERICHO

Gdy kilka minut po umówionym czasie spotkania Carlton Bishop wchodzi na salę rozpraw w budynku Trybunału, wygląda na, delikatnie mówiąc, zaniedbanego. Właściwie odnoszę wrażenie, że nie spał od tygodnia. Na jego widok w takim stanie moją twarz od razu rozpromienia uśmiech.

Hildebrand ostentacyjnie spogląda na zegarek.

– Panie Bishop – zaczyna, a dwóch mężczyzn pełniących tę samą funkcję co on obrzuca winowajcę surowymi spojrzeniami. – To niedopuszczalne, by stawiać się na posiedzenie Trybunału po tym, jak jego członkowie zajęli już miejsca. Pańskie lekceważenie zostanie wzięte pod uwagę podczas rozpatrywania tej niecodziennej sprawy. Sala rozpraw wygląda inaczej niż zazwyczaj. Trzej Rajcy siedzą na najwyższym poziomie i górują nad nami w staromodnych perukach i togach. Galeria pozostaje pusta, jeśli nie liczyć Sędziego. Pełni funkcję mojego doradcy, chociaż wcale tego nie potrzebuję. Podest, na którym oskarżony stawał przed sądem, zastąpiono prostokątnym stołem mającym pewnie kilkaset lat. Patrząc na ślady pozostawione na blacie w trakcie zawierania umów, łamania obietnic i mszczenia zdrad, rozmyślam o ludziach, których losy się przy nim ważyły.

– Najmocniej przepraszam, jednak nie mogłem temu zaradzić – ośmiela się powiedzieć spóźnialski. Poprawia płaszcz i patrzy na mnie wściekłym wzrokiem. Gdy zwraca się znów do Rajców, przywdziewa uśmiech. – Dziś odbywa się ślub mojej ukochanej siostry i mam wiele do zrobienia.

Wkurzam się, że udaje mu się zachować twarz. Że brzmi tak swobodnie, chociaż musi się w nim gotować. W zasadzie nie powinno mnie to obchodzić, bo przecież wygrałem. Jego słowa potwierdzają moje zwycięstwo.

Rajcy patrzą na siebie nawzajem. Hildebrand unosi brwi.

– Nie zamierza pan odrzucić prośby pana St. Jamesa o rękę siostry? Wziąwszy pod uwagę rozmowy, które ze sobą odbyliśmy, założyłem, że... Cóż, może byłby pan łaskaw to wyjaśnić?

– Proszę o wybaczenie, panowie Rajcy. Przyznaję, że miałem wobec mojej drogiej Isabelle inne plany, jednak nie da się zaprzeczyć, iż pan Manson jest w dość zaawansowanym wieku, a biorąc pod uwagę charakter siostry – robi przerwę i zerka na mnie – sędzę, że wymaga twardej ręki, której starszemu człowiekowi może już brakować.

– Hmm... – mruczy Hildebrand. – To naprawdę niecodzienna sytuacja.

Odchrząkuję i przemawiam do zgromadzonych:

– Codzienna czy też nie, skoro obie strony doszły do porozumienia, Trybunałowi nie pozostaje nic innego, jak dać błogosławieństwo mnie i mojej oblubienicy.

Hildebrand przygląda mi się z uwagą, po czym przenosi spojrzenie na Bishopa aż kipiącego ze złości. Zastanawiam się, czy mężczyźni potrafią wyczuć negatywne uczucia, które wobec mnie żywi.

– Panie Bishop, czy takie jest pańskie życzenie?

– Tak, Rajco – odpowiada Carlton przez zaciśnięte zęby.

– Daje pan narzeczonym swoje błogosławieństwo?

– Sądzę, że wyraził się w tej sprawie wystarczająco jasno – wtrącam, czym zasługuję na pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Daję swoje błogosławieństwo – potwierdza Bishop.

Patrzmy na siebie nawzajem. Usiłował zamordować przyrodną siostrę i jest świadom, że ja o tym wiem. Ponadto mam na to dowody. Dlatego się tutaj zjawił i zachował zgodnie z moimi oczekiwaniami. Uśmiecham się. Szantaż to broń stara jak świat, ale niezmiennie skuteczna.

Pomocnik przynosi orzeczenie Trybunału na piśmie, które najpierw podpisują Rajcy. Następnie dostaje je Bishop. Składa podpis, a potem nadchodzi moja kolej. Kiedy dokument zostaje przypieczętowany, przyszłość Isabelle jest zabezpieczona. Nim minie dzisiejszy dzień, dziewczyna będzie należała do mnie. Na dobre i na złe. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Pierwsi salę rozpraw opuszczają Hildebrand i jego koledzy. Gdy wychodzą, zwracam się w stronę Carltona, który bacznie mi się przygląda. Z pewnością obmyśla następne posunięcie.

– Jeśli prawda wyjdzie na jaw, Isabelle będzie skończona.

– Chciałeś chyba powiedzieć, że ty będziesz skończony.

Wściekłość sprawia, że jego błękitne oczy tracą blask.

– Ona również.

I tu muszę przyznać mu rację. Isabelle nie zniesienie ciężaru poczucia winy, gdy się dowie, że jej brat zginął, chociaż to ona była celem zamachu. Ileż nas łączy, mimo że dziewczyna nie ma o tym pojęcia.

Zbieram swoje rzeczy i zamierzam wyjść.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że z mojej siostrzyczki taka kurewka. Rozkłada nogi nawet w świętym miejscu! Mięśnie żuchwy zaciskają mi się bezwiednie.

– Znasz plotki, St. James. – Przysuwa się bliżej. – W siedzibie IVI ściany mają oczy. Ciekawe, kto jeszcze przyglądał się waszym harcom.

Chwytam go za gardło i przyciskam do stołu. W ułamku sekundy dopadają nas strażnicy Trybunału. Dwie pary rąk usiłują odciągnąć mnie od Bishopa.

– Och, czyżbym poruszył czułą strunę? – udaje mu się wykrztusić.

Rozluźniam palce zaciskające się na jego szyi, strząsam z siebie mężczyzn i się prostuję.

– Chory z ciebie skurwysyn, wiesz o tym?

Kpiący uśmiešek schodzi mu z twarzy, a ja podnoszę swoje rzeczy i odchodzę.

– Powiedz mojej siostrze, aby o sobie dbała. Wypadki chodzą po ludziach, a ona wydaje się na nie szczególnie podatna.

Mrużę oczy. Wiele mnie kosztuje, żeby kontynuować marsz w stronę drzwi. Zastanawiam się, czy Carlton dostrzeże ten wysiłek w moich krokach.

– I zabezpiecz dobrze wszystkie studnie na swoim terenie. Chyba nie chcesz, żeby kolejna Bishopówna wylądowała na dnie którejś z nich – dodaje, a ja trzaskam za sobą drzwiami.



## 26 ISABELLE

Cały następny dzień spędzam zamknięta w swoim pokoju. Pewnie Jericho nie chciał ryzykować, że mu ucieknę. Ciekawe tylko, dokąd bym poszła. Próbowałam skontaktować się z Julią, ale bez skutku. Nie przeczytała żadnego SMS-a, nie odpowiedziała na wiadomości głosowe, które nagrałam jej na pocztce. Niestety pomiędzy wizytami makijażystki, fryzjerki i krawcowej nie miałam dla siebie aż tyle czasu, ile bym chciała.

Już ubrana przyglądam się w lustrze, jak Leontine instruuje fryzjerkę, żeby upięła mi włosy wyżej i zebrała luźne pasma pozostawione na karku. Gdy jest w końcu usatysfakcjonowana, wstaję, by mogła obejść mnie wokół i dokładnie mi się przyjrzeć. Mam na sobie jej suknię ślubną, dopasowaną przez krawcową do mojej figury.

Przyszła teściowa jest ode mnie kilka centymetrów wyższa, ale poza skróceniem kreacja nie wymagała zbyt wielkich poprawek. To piękny, prosty, opinający ciało model sięgający ziemi i uszyty z białej tkaniny. Na karku, na końcu długiego rozcięcia, umieszczono w charakterze guzika pojedynczą perłę. Na szczęście suknia nie jest bardzo obcisła. Nie chciałabym powtórki z balu maskowego, podczas którego wybrana przez brata kreacja z piór nie dawała mi oddychać.

– Znasz słowa, które musisz wypowiedzieć? – pyta Leontine.

– Masz na myśli przysięgę małżeńską? – „Chyba nie sądzi, że napiszę własną?”

– Chodzi mi o to, co musisz powiedzieć po ceremonii naznaczenia. Dominus et Deuce. Pan mój i Bóg mój.

– O czym ty mówisz?

Już otwiera usta, by mi odpowiedzieć, ale w tym momencie słyszymy pukanie do drzwi. Leontine zaprasza gościa do środka, co niezmiernie mnie irytuje, bo to w końcu mój pokój. Ale kiedy do sypialni wpada Angelique w ślicznej żółtej sukience, w której wygląda jak najprawdziwsza księżniczka, ze wstążeczkami tego samego koloru powpinanymi we włosy i uśmiechem od ucha do ucha, nie mogę sama nie uśmiechnąć się na ten widok. Od incydentu na basenie widziałam ją tylko raz i odnoszę wrażenie, że było to całe wieki temu.

– Och, Belle! – wykrzykuje dziewczynka i zatrzymuje się gwałtownie. – Ślicznie wyglądasz!

Przykucam, żeby ją objąć i wziąć od niej kwiaty, które – jak przypuszczam – są moim ślubnym bukietem.

– Dziękuję. Wow, przepiękna sukienka!

Mała robi pirueta.

– Wyglądam jak księżniczka?

– Wyglądasz cudowniej niż wszystkie księżniczki, które kiedykolwiek widziałam, razem wzięte. – Puszczam do niej oczko.

Ezekiel, brat Jericha, odchrząkuje. Stoi w progu w czarnej ceremonialnej pelerynie. Pod nią dostrzegam smoking. Cieszę się, że nie założył na głowę tego niepokojąco wyglądającego kaptura. Widziałam Zeke'a jedynie parę razy, a i to ledwie przez kilka minut, więc przyglądam mu się z uwagą. Jest bardzo podobny do starszego brata, różni się tylko oczami. Zeke obydwie tęczęwki ma srebrne jak u wilka.

– Poproszono mnie, bym przyprowadził pannę młodą do samochodu – mówi. – Idziemy?

– Taaak! – Angelique doskakuje do wujka. Wygląda na tak podekscytowaną i szczęśliwą, że zaczynam się zastanawiać, czy nie kazali jej tu przyjść, ponieważ wiedzieli, że w

obecności małej nie będę się buntować. Zupełnie niepotrzebnie. Nie stawiałabym się ani Jerichowi, ani jego matce. Ezekiela nie znam zbyt dobrze, lecz wątpię, żeby w razie czego obrał moją stronę. Wychodzę więc z pokoju za Angelique, która nie przestaje szczebiotać przez całą drogę.

Widzę, że mała czuje się przy wujku swobodnie, podobnie jak on przy niej. Rozprawiają radośnie o wymaganych światach, a ja i Leontine się im przypatrujemy. Cieszę się, widząc dziewczynkę w dobrym nastroju. Tak powinny zachowywać się dzieci w jej wieku, a nie wszystkiego i wszystkich bać oraz zachowywać ciągłą czujności. Dzieciństwo to bez troski okres w życiu. Zazwyczaj.

Samochód rusza, a ja bezwiednie się uśmiecham. Na ten widok Ezekiel puszcza do mnie oczko. Mrugam, by wrócić do rzeczywistości. Rolls-royce skręca do siedziby IVI i się zatrzymuje. Drzwi pasażerów zostają otwarte. Przybieram stosowną minę. Zeke wysiada z auta pierwszy, zaraz za nim Angelique. Mężczyzna pomaga wygramolić się matce, po czym wyciąga dłoń w moją stronę. Rozważam właśnie porwanie samochodu, gdy lekko zniecierpliwiony wkłada głowę do kabiny.

– Co prawda mój brat lubi się bawić w kotka i myszkę – mówi tonem na tyle swobodnym, by w razie czego Angelique nie zorientowała się, o czym rozmawiamy. – Ale z pewnością nie znosi na nikogo czekać.

Ponownie wyciąga ku mnie rękę. Zastanawiam się, czy chce sprawić wrażenie, że mam cokolwiek do powiedzenia. Lecz to i tak bez znaczenia, ponieważ moja obecna sytuacja może rozwinąć się tylko w jednym kierunku. Wsuwam więc swoją dłoń w jego i pozwalam, żeby pomógł mi wysiąść. Kiedy bierze mnie pod ramię, spoglądam na niego z ukosa, ale się nie wyrywam. Zeke zatrzymuje się na chwilę, by posadzić sobie bratanicę na drugim ramieniu, i ruszamy przez dziedziniec w stronę kaplicy, w której wczorajszej nocy Jericho rzucił mnie na kolana.

Dziedziniec rozjaśnia blask setek świec. W paleniskach rozpalono ogień. Ze zdumieniem zauważam, że dokoła zgromadzili się wyłącznie mężczyźni. Wszyscy noszą ceremonialne peleryny, na głowy pozarzucają kaptury, na twarze pozakładali maski, sączą trzymane w dłoniach drinki.

Przyglądam się Angelique, która na ich widok zarzuca Ezekielowi ręce na szyję i mocno się do niego przytula. – To tylko taka przebieranka, kochanie – szepcze do niej wuj.

– Ale nie podobają mi się ich kostiumy – mówi mała, a ja w pełni się z nią zgadzam.

– W takim razie na nich nie patrz, głuptasie. Zobacz, jak ślicznie wygląda Isabelle – odpowiada Zeke i rzuca mi spojrzenie, którego nie potrafię rozszyfrować.

Kiedy mijamy mężczyzn, dziewczynka uwalnia się z objęć wuja, staje przy mnie i łapie moją rękę. W tej samej chwili słyszę znajomy głos.

– A oto i panna młoda.

No tak, Carlton. Sztywniej na dźwięk jego słów, choć nie wiem dlaczego. To mój brat, przyrodni bo przyrodni, ale zawsze. Przecież się go nie boję. A jeśli miałabym stwierdzić, gdzie będę bezpieczniejsza – u niego czy u St. Jamesów – to wybór powinien stać się oczywisty.

Leontine posyła mu nieufne spojrzenie, we wzroku Ezekiela dostrzegam mrok. Gdy się odwracam, widzę, że chociaż Carlton ma na sobie pelerynę, to maskę odsunął na czubek głowy. Angelique wpatruje się w niego okrągłymi oczami, w których czai się strach.

– Zabierz małą do środka – mówi Zeke do matki takim tonem, jakiego zazwyczaj używa Jericho.

– Chodź, Angelique, zaczekamy wewnątrz, a wujek wprowadzi Isabelle. – Leontine spełnia jego prośbę, ale dziewczynka kręci główką, przenosi spojrzenie z Carltona na mnie i

ciągnie moją rękę.

– No dalej, kochanie – ponagla ją Ezekiel. – Miałś rzucić przed panną młodą płatki róż w kaplicy, pamiętasz? – pyta i tym razem w jego głosie wyraźnie słychać napięcie.

– Ojej – odpowiada dziewczynka, zerkając niepewnie na swojego brata. – Zapomniałam – przyznaje i znów spogląda na mnie. – Czy potem wracasz z nami do domu, Belle? Będziemy razem mieszkać?

– Do domu? – wcina się Carlton. Widzę, że przygląda się naszej wymianie zdań z pewnym zaciekawieniem.

– Oczywiście, że tak – potwierdza Leontine i próbuje odciągnąć ode mnie Angelique, ale mała ani drgnie.

– Obiecujesz, Belle? – naciska. – Wróćcie razem z tatusiem do domu? Nie chcą pozwolić mi tutaj zostać z wami po ślubie.

– Jestem pewna, że to nie potrwa długo – odpowiadam, mając w pamięci fakt, że dziewczynka kładzie się spać o ósmej wieczorem. Jest kilka minut po szóstej. Przyszła teściowa rzuca mi spojrzenie pełne dezaprobaty, ale z opresji ratuje mnie Ezekiel.

– Po ślubie odbędzie się druga ceremonia, tylko dla dorosłych, po której oboje wrócą do domu – obiecuje bratanicy.

– Chodźmy – ponagla ją babcia.

– Obiecujesz, Belle?

Mała ponawia pytanie. W jej głosie pobrzmiewa szczere zainteresowanie, które przypomina mi, co powiedziała Leontine. Do tej pory Angelique żyła jak zbieg.

Zastanawiam się, jak coś takiego wpływa na poczucie zaufania u dziecka, szczególnie w tak młodym wieku. Przypominam sobie także, że St. Jamesowie sądzą, że Carlton maczał palce w zabójstwie jej matki. Ale przecież to nie ma sensu. No i dlaczego w takim razie pozwolili mu się do niej zbliżyć?

– Obiecuję. Jak już będę w domu... To znaczy jak wrócę, dam ci buziaka na dobranoc – dodaję i poprawiam się poniewczasie.

Myślę o tym, co zaplanował Jericho i jak destrukcyjnie wpłynie to na jego córkę, kiedy zemsta się dokona. Kiedy mnie zabraknie. W głowie pojawia mi się obraz starej studni, a zaraz po nim grobu Nellie Bishop, które przywołują nagły powiew lodowatego wiatru. „Kiedy mnie zabraknie”. Bicie kościelnych dzwonów odgania ponure myśli, a ja z wdzięcznością przyjmuję rozproszenie uwagi.

– Dasz jej buziaka na dobranoc? – szydzi Carlton, gdy patrzymy, jak Leontine prowadzi Angelique do kaplicy.

Kiedy mała znika bezpiecznie za drzwiami, Ezekiel zbliża się do mężczyzny. Podchodzi tak blisko, że stykają się brzuchami.

– Nie jesteś tu mile widziany, Bishop – oznajmia oschle, wyciąga w moją stronę ramię i odciąga mnie od brata.

– Och, przypuszczam, że nie, jednak to moja siostra, więc chciałem życzyć jej szczęścia na nowej drodze życia i tym podobnych bzdetów.

– Aleś ty troskliwy – ironizuje Zeke z kamienną twarzą. – Jeśli jeszcze raz ośmielisz się podejść tak blisko do mojej bratanicy, połamię ci obie nogi. Zrozumiałeś?

– A ty co? Biegasz na smyczy brata?

– Nie, sam jestem sobie panem. A teraz znikaj, Bishop, zanim ja sprawię, że znikniesz. Na amen.

– Cóż, w tym wasza rodzina zawsze była świetna. Najpierw Nellie, a potem Bóg jeden wie, ile kolejnych osób. – Carlton patrzy na mnie z ukosa. – Mam nadzieję, że nie zamierzacie

dodać mojej siostry do długiej listy dziewcząt z rodu Bishopów, które zaginęły w tajemniczych okolicznościach.

Nim Ezekiel ma szansę się odszczeknąć, drzwi kaplicy stają otworem, a zza nich wypada Jericho. Twarz mu płonie, oczy wydają się ciemniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Rusza w naszą stronę sztywnym krokiem, zatrzymuje się na moment, by otaksować mnie od stóp do głów, i podchodzi do mojego brata.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – cedzi przez zęby, chwyta Carltona za kołnierz i nim potrząsa. Liczę, że brat ma dość oleju w głowie, by zdawać sobie sprawę, że nie stanowi godnego przeciwnika dla Jericha, który jest większy, silniejszy, a teraz także napędzany ślepą furją.

Po chwili Carlton unosi dłonie w prześmiewczym geście poddania.

– Przyszedłem na ślub siostry, ale widzę, że nikt mnie tu nie chce.

Rajca Hildebrand idzie w kierunku naszej grupki w asyście dwóch goryli. Wystarcza, że unosi nonszalancko palce, a ochroniarze przyspieszają kroku i chwytają Jericha za ramiona. Jednak on ani drgnie.

– Isabelle, idź i zaczekaj na nas pod drzwiami kaplicy – prosi Zeke, nie spuszczać oka z rozgrywającej się tuż obok sceny.

– Odwołaj swoje psy! – nakazuje Hildebrandowi mój przyszły mąż. Jego głosu nie sposób rozpoznać. Wzrokiem przewierca Bishopa na wylot.

– Nie czas na to! – syczy Rajca.

– Trzymaj się z daleka od mojej rodziny – nakazuje Jericho Carltonowi i przesuwa jedną dłoń, by ścisnąć go za gardło.

– Ależ Isabelle jeszcze nie należy do twojej rodziny – drwi z niego głupekowato mój brat.

– A skoro nawet po ślubie w jej żyłach nadal będzie płynąć krew Bishopów, nie sądzę, by kiedykolwiek stała się pełnoprawnym członkiem rodu St. Jamesów – judzi, choć zaczyna brakować mu tchu.

– Ty cholerna zakłamana szujo!

– Odciągnijcie go! – rozkazuje Hildebrand.

Podbiegają dwaj kolejni goryle, ale nim łapią Jericha, Ezekiel przysuwa się do brata i odpycha jednego z trzymających go mężczyzn.

– Jericho, Rajca ma rację. To nie najlepsza chwila.

Nozdrza St. Jamesa drgają. Widzę, ile wysiłku kosztuje go, by nie udusić Carltona.

– Jericho! – powtarza Zeke twardszym tonem, a jego brat zamyka oczy i w końcu rozluźnia chwyt.

Jednak Carlton nie odpuszcza, jakby nie rozumiał, że właśnie cudem uniknął śmierci.

– Z drugiej strony bycie członkiem waszej rodziny wcale nie gwarantuje bezpieczeństwa. Spójrzmy chociażby na Zoë. Albo na waszego ojca. – Bishop zwraca spojrzenie na Zeke'a, a jego uśmiech jest paskudny i pełen nienawiści. Tym razem Jericho zaciska mocno pięść. Twarz mojego brata robi się czerwona, oczy wychodzą mu z orbit. Krzyczę, chwieję się do tyłu, a wiązanka upada na ziemię.

– Idź! – nakazuje mi Ezekiel i gestykuluje w stronę kaplicy.

– Gówno wiesz o mojej rodzinie – warczy Jericho.

Nie jestem w stanie się poruszyć. Scena wygląda jak odtwarzana w zwolnionym tempie. Jericho wciąż dusi Carltona, a twarz i oczy mojego brata wyglądają koszmarnie.

– Dość tego! – wrzeszczy Hildebrand.

Czterem ochroniarzom udaje się w końcu wspólnymi siłami odciągnąć Jericha. Czterem ochroniarzom gabarytów Jericha, dodajmy. Kiedy oni go trzymają, Carlton osuwa się na ziemię. Krztusi się, charczy i masuje szyję, na której już wykwitły siniaki w kształcie palców St. Jamesa.

Mija kilka minut, nim udaje mu się stanąć o własnych siłach, ale jak ostatni debil podchodzi do mojego przyszłego męża, który rzuca się wściekle w uścisku mężczyzn niczym dzikie zwierzę w klatce.

Znów krzyczę, a Carlton szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Wygląda na to, że język przemocy to jedyny, jaki zna twoja rodzinka. Tatuś dobrze cię wyszkolił, co? Wokół zebrał się spory tłum. Spoglądam na twarze zgromadzonych ludzi, niektóre zamaskowane, i wpatrujące się w nas z ciekawością oczy. Widzom wyraźnie podoba się spektakl, bo nikt nie ma zamiaru go przerywać.

– Panowie – syczy Rajca, próbując opanować sytuację. – To nie zoo, a my nie jesteśmy zwierzętami. Obydwu wam zostanie udzielona nagana za to gorszące przedstawienie, ale teraz nie czas na to. Bishop! – zwraca się bezpośrednio do Carltona, który natychmiast przenosi na niego wzrok. – Wynocha stąd!

– Ale ja tylko przyszedłem, żeby...

– Wynocha!

Ochroniarze ruszają w stronę mojego brata, który podnosi ręce do góry i wycofuje się teatralnymi ruchami. Gdy znika nam z pola widzenia, Hildebrand rzuca mi krótkie spojrzenie i zwraca się do Jericha:

– Możemy zaczynać, St. James? Jak wiesz, jestem świadkiem na ceremonii, a nie mam na to całej nocy.

Czego ma być świadkiem? Sposób, w jaki to wypowiada, wywołuje u mnie gęsią skórę.

Jericho bierze głęboki wdech, strząsa z siebie ręce ochroniarzy, po czym nawiązuje kontakt wzrokowy z Ezekelem. – Muszę zamienić słówko z bratem.

Hildebrand przygląda im się przez chwilę, a potem macha ręką i odpuszcza. Kiedy odchodzi, na placu boju zostają ja z braćmi St. James i grupką gapiów, którzy udają, że nic nie widzą.

– Po co przyprowadziłeś tu Angelique? Coś ty sobie, do cholery, myślał? – domaga się odpowiedzi Jericho.

Odnoszę wrażenie, że Zeke jest jedynym człowiekiem na świecie, który nie boi się tonu jego głosu. Pobrmiewającej w nim groźby. Energii wyładowującej się z trzaskiem na powierzchni ciała. Ja na miejscu Ezekiela wycofałabym się, ale on robi kilka kroków w stronę brata, jakby rzucał mu wyzwanie.

– Bierzesz dzisiaj ślub. Nie uważasz, że twoja córka powinna uczestniczyć w takim wydarzeniu?

Jak to? Jericho nie chciał, żeby Angelique przyszła na ślub? Chociaż, jak się głębiej zastanowić, ma to sens. – Nie tobie o tym decydować. A teraz muszę posprzątać bałagan, jaki narobiłeś.

Bracia stoją naprzeciwko i wpatrują się w siebie przez chwilę, która wydaje się ciągnąć w nieskończoność. W końcu Jericho odwraca się do mnie i lustruje od stóp do głów, a w jego spojrzeniu widać ogromne napięcie. Bez słowa łapie moje ramię i bezceremonialnie ciągnie w stronę kaplicy.

Nie mogę przestać myśleć o pojawieniu się Carltona. Okazał się mistrzem w sianiu zamętu. I zrobił to z premedytacją. Wie, jak zaleźć Jerichowi za skórę. Wie, że wystarczy zbliżyć się do jego najbliższych, a zwłaszcza do córki. Angelique to czuły punkt St. Jamesa, ale przecież mój brat nie skrzywdziłby dziewczynki, żeby ukarać jej ojca, prawda? Nie, nigdy w to nie uwierzę. I o co chodziło z tymi zaginionymi Bishopównami? No i ten komentarz, że nawet członkowie rodu St. Jamesów nie mogą czuć się bezpieczni. A najbardziej nie daje mi spokoju pytanie, dlaczego Jericho tak się wściekł. Gdyby nikt go dziś nie powstrzymał, Carlton byłby



martwy. Ta myśl jest przerażająca.

Jednak zanim udaje mi się wykombinować jakiegokolwiek odpowiedzi, Ezekiel otwiera drzwi do kaplicy, a Jericho ciągnie mnie przed ołtarz. Nie czeka przy nim w akompaniamencie muzyki organowej, aż mężczyzna z mojej rodziny w symbolicznym geście przekaże mu dłoń panny młodej. Niegdyś przynoszący ukojenie zapach kadzidła przytłacza mi zmysły, gdy zostaję pchnięta na kolana. Tym razem, na szczęście, upadek amortyzuje poduszka. Po kilku minutach z moich ust wydobywają się słowa, które zwiążują mnie z Jerichem St. Jamesem do końca życia. Jakkolwiek długo miałyby ono potrwać.

## 27 JERICHO

Wpatruję się w Isabelle przez całą ceremonię. Muszę podziękować Hildebrandowi za to, że nie trwała zbyt długo. Ojciec John nalegał na odprawienie pełnej mszy. Wysuwał argument, że to dla dobra naszych nieśmiertelnych dusz. Może się jebać. Rajca Hildebrand zresztą też, podobnie jak wszyscy ci krety, którzy z uciechą przyglądali się przedstawieniu perfekcyjnie wyreżyserowanemu przez Bishopa. Pierdolony kutas! Wkurwiam się, że razem z Ezekielem daliśmy się w nie wkręcić jako odtwórcy głównych ról.

Dlaczego, do kurwy nędzy, wspomniał o Zoë i ojcu? Powiniennem mu rozkwasić nos za sam fakt, że osmielił się wypowiedzieć jej imię. Co się zaś tyczy śmierci ojca, wcale nie zginął w wypadku. Jestem tego pewien. Bishop na bank przyłożył rękę do jego przedwczesnego odejścia. Wiem swoje. Nawet jeśli Santiagowi De La Rosie nie udało się znaleźć dowodów, czuję to w trzewiach. Ojciec został zamordowany. Że niby wpadł w poślizg na górskiej drodze i zjechał ze zbocza? Jakaż dogodna wersja wydarzeń! A wszystkie dowody szlag trafił. Z samochodu została sterta zwęglonej blachy, z kierowcy – skwarka. Nie, nie kupuję tego. To było zabójstwo na zlecenie, a cała sprawa śmierdzi Carltonem Bishopem.

Cichy głos Isabelle odmawiającej za kapłanem Ojczy nasz przywołuje mnie do rzeczywistości. Spoglądam na nią. Na moją piękną, niewinną oblubienicę. Jest ubrana w prostą, skromną suknię, którą miała na sobie matka w dniu ślubu z ojcem. Uszyto ją z białego jedwabiu, z myślą o ceremonii naznaczenia – rozcięcie na plecach zwieńczono pojedynczym guzikiem na karku. Suknia przywodzi mi na myśl matkę. Czy znała plany przyszłego małżonka? Czy wiedziała, że zamierzał odpiąć ten guzik i publicznie napiętnować ją rozpalonym żelazem? Czy z własnej woli skłoniła głowę i zalewając się łzami, przytknęła usta do jego buta, a potem wymówiła słowa, których od niej zażądano, tym samym czyniąc z niego swego pana i władcę?

Isabelle rzuca mi spojrzenie w momencie, gdy jej wargi zastygają w bezruchu. Modlitwa została zmówiona. W oczach dziewczyny dostrzegam nurtujące ją pytania, lecz zachowuje dziwny spokój, podobnie jak tamtej nocy, gdy się poznaliśmy. Znalazła wówczas schronienie w tej kaplicy, nim do środka wtargnęli dwaj mężczyźni, a ja wychyłałem z cienia, w którym się ukryłem, by ją obserwować. Czy to przeznaczenie skierowało tutaj jej kroki tamtej nocy? Piękna i bestia. Ona tak niewinna, choć odziana w absurdalną kreację, i ja w pelerynie oraz masce diabła z zakręconymi rogami.

Dziewczyna wpatruje się we mnie przez chwilę, w końcu mruga i spuszcza wzrok. Żegna się znakiem krzyża, gdy ojciec John podaje jej krucyfiks do ucałowania. Nie mogę oderwać od niej oczu. Czy zachowa spokój podczas następnej ceremonii?

Ksiądz odchrząkuje i oboje na niego spoglądamy. Czas wypowiedzieć słowa przysięgi. Obiecać sobie miłość, szacunek i posłuszeństwo. Cały ten cyrk to jedna wielka mistyfikacja. Miłość? Puste słowo. Szacunek? Mam go w dupie. Interesuje mnie wyłącznie jej posłuszeństwo. Słucham, jak Isabelle powtarza przysięgę za ojcem Johnem, i zastanawiam się, czy ma ona dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Oczy dziewczyny niczego nie zdradzają.

Kiedy nadchodzi moja kolej, mówię, co muszę, a potem chwytam drobną dłoń i wsuwam na palec prostą złotą obrączkę. Patrzy na nią zaskoczona. Czyżby spodziewała się diamentów? Potem wyciągam w stronę Isabelle obrączkę, którą ma założyć mnie. Wpatruje się w leżący we wnętrzu dłoni złoty krążek, po czym błędnym wzrokiem po twarzach nielicznych zebranych w świątyni ludzi. Większości nie zna. Z tej opresji nikt jej nie wyratuje. Czekam, aż spojrzenie

dziewczyny wróci do mnie, i gestem ponagliam ją, by się streszczała. W końcu bierze obrączkę, wsuwa ją na miejsce, a kapłan ogłasza nas mężem i żoną i pozwala mi pocałować pannę młodą.

Kładę dłoń na policzku Isabelle, schylam się i z otwartymi oczami składam symboliczny pocałunek na jej ustach. I jest po wszystkim. Wstaję, dziękuję ojcu Johnowi, a następnie pomagam świeżo poślubionej żonie podnieść się z klęczek. Trzymam ją za rękę, gdy odwracamy się do zgromadzonych gości. Jedyne kobiety poza Isabelle są moja matka i córka, chociaż zgodnie z panującymi w stowarzyszeniu zwyczajami nawet one nie powinny się tu pojawić. Angelique wyrывa się babci i podbiega do nas. Jako jedyna w całej kaplicy się uśmiecha. Podnoszę ją jedną ręką i rozmyślam o tym, że jej życie zależy od moich poczynań. I o tym, jak bardzo córka mnie potrzebuje.

– Tatusiu!

Obejmuje mi szyję jedną rączką, a potem nachyla się całym ciężarem ciała w stronę Isabelle. I chociaż nie waży zbyt wiele, nie mam innego wyboru, jak tylko pozwolić jej przytulić się do świeżo upieczonej pani St. James i włączyć w nasz prywatny, dwuosobowy krąg. Dziś po raz pierwszy od narodzin Angelique jest nas troje. Nie mogę przestać myśleć o tym fakcie, gdy czuję, jak drobne ramionka przyciskają nas do siebie coraz bardziej. Czego córka spodziewa się po naszym ślubie? Jak teraz zmieni się jej stosunek do Isabelle? Nie chciałem, by mała uczestniczyła w ceremonii. W ogóle nie chciałem wspominać jej o ślubie. Ta cała szopka nie ma z nią nic wspólnego, a moje małżeństwo to tylko środek do celu. A gdy już go osiągnę...

Angelique w końcu nas puszcza. Spoglądam na żonę. Nadszedł czas na kolejny punkt mojego planu. Potem stawię czoła konsekwencjom, a na koniec poukładam małej świat na nowo.

Całuję córeczkę w czubek głowy i przekazuję pod opiekę babci. Mała odwraca się do Isabelle.

– Ale wrócisz później do domu? Obiecałaś – upewnia się.

Dziewczyna kuca, by pocałować ją w policzek.

– Obiecałam, a ja zawsze dotrzymuję obietnic – zapewnia solennie.

Matka bierze małą za rękę, a gdy Isabelle się prostuje, patrzy jej znacząco w oczy, po czym kiwa głową. Dwa pokolenia kobiet, które zostały oddane mężczyznom należącym do Socjety. Jedna zdaje sobie sprawę, co się wkrótce wydarzy, druga wciąż żyje w błogiej nieświadomości. Ale już niedługo.

Nie wiem, jak mam rozumieć ten gest, a z twarzy żony nie potrafię nic wyczytać. Sądę, że matka chce w ten sposób dodać dziewczynie odwagi. No kurwa! Przecież nie użyję żelaza. Leontine St. James wycierpiała o wiele więcej, niż dzisiejszej nocy będzie musiała znieść Isabelle.

Żona rzuca ostatnie pełne czułości spojrzenie na Angelique, a potem jej wzrok pada na mnie i widzę, jak usztywnia mięśnie, jakby przywdziewała zbroję. Przypominam sobie, że to ja jestem tego przyczyną. To ja sprawiłem, że w ciągu kilku dni od naszego pierwszego spotkania zaczęła panicznie się mnie bać. Przyciągam ją do siebie.

– Co takiego przyrzekałaś mojej córce?

– Że dam jej buziaka na dobranoc.

– Ostrożnie z obietnicami, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi Angelique – przestrzegam.

Wpatruje mi się głęboko w oczy i usiłuje zrozumieć moje słowa, ale w naszą stronę ruszają goście, więc przenoszę uwagę na nich. Przyklejam na twarz neutralny wyraz, a mężczyźni, wszyscy wywodzący się z wyższych sfer Socjety, podchodzą i ustawiają się w szeregu, by mi pogratulować. Nie mam wątpliwości, że każdy z nich wolałby znajdować się teraz gdzieś indziej, zważywszy na moje „plebejskie” pochodzenie. Ta myśl nie daje mi spokoju, kiedy ściskam po kolei ich dłonie. Nie jestem jednym z nich i nigdy nie będę. Chociaż ojciec kupił nam

wejściówki do ich zamkniętego kręgu, błękitnej krwi nie da się podrobić. Jebać to! Ojcu zależało na ich akceptacji i widziałem, do czego go to doprowadziło. Człowiek nie powinien pragnąć przynależności do grupy, której nie jest częścią, w której nikt go po prostu nie chce.

Większość świadków ceremonii wychodzi, w kaplicy zostają tylko Zeke, Santiago, Sędzia i Hildebrand wraz ze swoimi dwoma osobistymi ochroniarzami. Czuję, jak Isabelle przysuwa się do mnie, gdy podchodzi Santiago. Uświadamiam sobie wówczas, że dziewczyna po raz pierwszy widzi mężczyznę z połową czaszki wytatuowaną po jednej stronie twarzy. U jego boku staje Sędzia, który przez swój wzrost i posturę wygląda nie mniej groźnie. Ledwie zaszczyca Isabelle skinieniem głowy, lecz De La Rosa przygląda się jej przez dłuższą chwilę.

– Gratulacje, pani St. James – zwraca się do niej.

– Dziękuję.

Nie mogę mieć pewności, ale wydaje mi się, że żona mruga, by nie gapić się na wpatrujące się w nią oblicze śmierci. Santiago wygląda, jakby go to bawiło. Pewnie czerpie przyjemność z faktu, że ludzie czują się w jego obecności niekomfortowo, co wzbudza we mnie jeszcze większy szacunek wobec niego.

– Panowie, idziemy na dół? Świadkowie czekają – odzywa się Hildebrand.

– Co jest na dole? – pyta mnie Isabelle, gdy maszerujemy w stronę drzwi znajdujących się naprzeciwko wejścia do kaplicy.

Właściwie nie udajemy się na żaden dół, tylko do wydrążonego w skale pomieszczenia pomiędzy kaplicą a budynkiem Trybunału. Można się z niego dostać do tunelu, który łączy ze sobą główne budynki siedziby IVI i wiedzie do cel pod komnatami Rajców. Mówi się, że kompleks został zaprojektowany w taki sposób, by dźwięki tortur lepiej się do nich niosły. Historia Rajców Trybunału jest długa i krwawa.

– Tam odbędzie się ceremonia naznaczenia.

– Naznaczenia? – pyta Isabelle i gwałtownie się zatrzymuje. Goryle Hildebranda trzymają drzwi w oczekiwaniu na nas. Odwraca

m się przodem do żony.

– Mówiłem ci wczoraj. Będiesz nosiła moje piętno.

– Ale co to dokładnie znaczy? – draży i odsuwa się ode mnie na tyle, na ile pozwala jej długość naszych rąk.

– Za chwilę przekonasz się na własnej skórze.

– Nie chcę – mówi, kiedy robię krok w jej stronę. Widzę, że cała drży. Wolną ręką otacza się w talii. – Jeśli wolisz, możemy to zrobić na dziedzińcu, przy wszystkich gościach. Wybieraj.

– Po prostu chcę wiedzieć, co zamierzasz mi zrobić.

– Czyżby brat w ogóle nie opowiadał ci o zwyczajach panujących w IVI? Wytatuuję mój znak na twoich plecach.

– Ty... Że co?!

– Istnieje druga opcja. Mogę wypalić go żelazem.

Krew odpływa jej z twarzy.

– Co wybierasz, Isabelle?

Powoli tracę cierpliwość. Najpierw Zeke przyprowadza na ślub moją córkę, a potem zjawia się Bishop i zaczyna wygadywać głupoty. Mam już tego wszystkiego dość.

– Bo osobiście wolałbym tatuaż. Zazwyczaj oznacza mniej wrzasków – kończę podniesionym głosem.

Z gardła dziewczyny dobiega zdławiony odgłos. Ciągnę ją za rękę w stronę ciężkich drzwi, a potem ku tunelowi, który oświetlają pochodnie.

– Jericho...

Isabelle przerywa chwilowe milczenie. Potyka się i chwyta moje przedramię drugą ręką, by przerwać nasz marsz ku nieuniknionemu. Wlokę ją za sobą. Trzeba już tylko przebrnąć przez ostatnią część. I chociaż wolałbym zrobić to bez widzów, musimy trzymać się pewnych zasad. Jednym z wymogów jest obecność świadków. Na szczęście będzie ich tylko kilku, i to wybranych przeze mnie.

Grota, w której odbywa się ceremonia, jest obszerna, lecz niska. Oświetla ją ogień. W jednej ze ścian wykuto niewielkie okienko, które – choć zakratowane – wpuszcza do pomieszczenia świeże powietrze. Czuję, że na dworze zrobiło się chłodniej.

Sama sala ma tak średniowieczny wygląd, że bardziej się już nie da. Dla gości ustawiono krzesła, by mogli spocząć w trakcie ceremonii. Dwaj kelnerzy stojący teraz w cieniu będą serwować napoje. W najdalszym kącie, nieopodal okna, mieści się palenisko, na którym płonie ogień. Między płomieniami dostrzegam rączkę narzędzia do znakowania. Napominam się, że to tylko symbolika. Nie mogę teraz roztrząsać tego, co ojciec zrobił matce tym pieprzonym kawałkiem żelaza.

W jednym rogu Sędzia i Zeke rozmawiają o czymś przyciszonymi głosami, śledząc nas wzrokiem. Hildebrand siedzi na swoim krześle przypominającym tron, a jego wierni żołnierze stoją mu za plecami. Santiago trzyma się na uboczu. – Co to jest? – pyta spanikowanym głosem Isabelle, gdy dostrzega prowizoryczny podest, na który będzie musiała wejść. Zatrzymuje się i nie chce ruszyć z miejsca.

– Tam zostaniesz naznaczona. Zdejmij buty.

– Słucham?

– Ściągaj buty.

Jest zdezorientowana, ale wypełnia rozkaz i zostawia szpilki przy wejściu. Podprowadzam ją do podestu. Leży na nim poduszka w jedwabnej poszewce. Z tyłu podwyższenia stoi krzesło i stolik ze sprzętem, którego będę potrzebował. Przed poduszką znajdują się misternie rzeźbione drewniane dyby. Służą wyłącznie podczas ceremonii naznaczenia, więc są stosunkowo niskie, bo przykute do nich kobiety klęczą. Myśl o tak unieruchomionej Isabelle okazuje się wyjątkowo podniecająca i jakaś część mnie chciałaby, żeby zgromadzeni świadkowie zniknęli. – Jericho... – szepcze moja żona zdławionym głosem.

Prowadzę ją na środek sali, a ona zaczyna się ze mną szamotać. Hildebrand wysłał mi na pomoc swoich żołnierzy, lecz gdy Isabelle ich zauważyła, szarpie się z całych sił, by uciec. Na jej nieszczęście mocno ją trzymam, więc po chwili wpada na mnie z impetem. Otaczam ją ręką, a drugą podnoszę, żeby powstrzymać nadchodzących goryli. Dziewczyna, wtulona twarzą w moją pierś, oddycha jak po długim biegu, jednak nie wykonuje żadnego ruchu, by mi się wyrwać. Nie wiem, czy w końcu zrozumiała, że stąd nie ma ucieczki, czy w moich ramionach szuka schronienia przed żołnierzami Rajcy. Pochylam głowę i zbliżam wargi do jej ucha.

– To tylko tusz, nie rozgrzane do czerwoności żelazo – uspokajam ją, lecz ona potrząsa głową i przyciska mocniej twarz do mojej koszuli. – Rozluźnij się, to nie będzie bolało.

Nie jestem całkiem pewien, czy to prawda. Osobiście nie uważam, żeby tatuowanie powodowało ból. Właściwie zawsze postrzegałem ten proces jako swego rodzaju medytację. Ale nie mam pojęcia, jak zareaguje na niego Isabelle.

– Nie chcę tego robić, nie chcę – łąka głośno i podnosi głowę. Twarz ma całą moką, maskara się rozmasowała. – Proszę, nie zmuszaj mnie.

– Nie masz w tej kwestii nic do powiedzenia. Możesz jedyne wybrać sposób, w jaki to się stanie. Albo poproszę tych osiłków, żeby przywiązali cię do dybów, albo uklęknieś przy nich dobrowolnie i poddasz się mojej woli. Co wolisz?

Dziewczyna bez słowa wpatruje się we mnie zapłakanymi oczami. Chwytam ją za nadgarstki. Ten rytuał aż kipi seksem, drzemie w nim coś mrocznego, a zarazem podniecającego.

– Uklęknij, Isabelle. Odwróć się twarzą do świadków ceremonii, a potem uklęknij.

Zerka przez ramię na zgromadzonych gości i na drewniane ustrojstwo, a ja odwracam ją, po czym doprowadzam do jedwabnej poduszki. Nie przestaje stawiać oporu. Podchodzi do nas Santiago i unosi ciężką górną część dybów.

– Na kolana – rozkazuję, gdy na niego spogląda. Cała się trzęsie. Wtula się we mnie i podnosi wzrok na moją twarz.

– Ty to zrobisz, Jericho? – pyta. Czyżby otuchy dodawała jej myśl, że to moja ręka ją napiętnuje? – Ty? Nie on? Ani oni?

– Ja – zapewniam ją skonsternowany.

Po twarzy dziewczyny spływają łzy. Kiwa głową i mentalnie przygotowuje się na nadejście nieuchronnego.

– I będzie po wszystkim?

Gdy mi się przypatruje w oczekiwaniu na odpowiedź, między jej brwiami pojawia się zmarszczka. Nie odpowiadam. – Wcale nie, prawda?

Stoję w milczeniu.

– Upuścisz mi krwi – mówi i prostuje się, by wyrazić sprzeciw, choć i tak oboje wiemy, że w końcu ulegnie. Realny wpływ ma tylko na jedną kwestię. – Sprawisz, że moja krew splami twoje prześcieradło.

Wciąż nie udzielam żadnej odpowiedzi, ograniczam się do patrzenia Isabelle głęboko w oczy. Cóż, ma całkowitą rację.

– Nie wybaczę ci tego, co mi zrobiłeś, Jerichu St. Jamesie. Do końca życia.

Stoimy tak naprzeciw siebie, sekundy mijają, a między nami zalega cisza, choć mamy sobie tak wiele do powiedzenia. W końcu wymawiam tylko jedno słowo. Jedyne, które w tej chwili ma jakiegokolwiek znaczenie.

– Uklęknij.

Isabelle opuszcza powieki, po czym odwraca się ode mnie i opada kolanami na poduszkę. Pochyla się, wkłada nadgarstki w wydrążone otwory i zgina szyję, by głowa trafiła na właściwe miejsce. Wygląda niczym skazaniec przy katowskim pieńku. Santiago opuszcza ciężką deskę, a dźwięk zamykanej kłódki odbija się echem od kamiennych ścian. Następnie De La Rosa przechodzi za plecami dziewczyny i staje u mego boku.

Patrzę na świeżo poślubioną żonę klęczącą w błagalnej pozycji, a potem rozglądam się po pomieszczeniu i po twarzach mężczyzn, którzy zgromadzili się, by obejrzeć widowisko. Żaden nawet nie szepcze, tak są pochłonięci sceną rozgrywającą się przed ich oczami. Chciałbym wyrzucić ich wszystkich z sali, ale nie mogę. Naznaczenie musi się odbyć, i to w taki właśnie sposób. Fakt, że Isabelle nigdy mi tego nie wybaczy, nie może mieć wpływu na przebieg ceremonii. A dziewczyna poddała się losowi z większą godnością, niż się spodziewałem. Ale to jeszcze nie koniec. To dopiero początek.

Santiago wyciąga dłoń i ktoś, nie zauważam kto, wkłada mu w nią skórzaną teczkę. To jego prezent ślubny dla mnie. Przysuwam krzesło bliżej dybów i siadam za Isabelle. Zauważam jej nagie stopy wystające spod sukienki, które w jakiś dziwny sposób dopełniają obrazu całości. Dwoma palcami uwalniam perłowy guzik z przytrzymującej go pętelki i rozchylam poły sukienki, odsłaniając całe plecy dziewczyny. Suknia została specjalnie zaprojektowana na ślub w stylu Socjety przez zatrudnionych przez nią krawców. Jedyne oni znają dokładnie wymagania członków stowarzyszenia. Ale w tym przypadku rozcięcie okazuje się niewystarczające i muszę rozerwać materiał kawałek dalej. Isabelle bierze głośny wdech, a jej ręce zaciskają się w pięści,

by po chwili się rozluźnić.

– Unieś się.

Dziewczyna, ku mojemu bezbrzeżnemu zdziwieniu, wykonuje rozkaz bez szemrania, więc mogę zawinąć pod spód gumkę majtek, by odsłonić wierzchołek rowka między pośladkami.

Santiago przykuca i dwoma palcami przesuwa po bliźnie biegnącej wzdłuż kręgosłupa. Isabelle cała się spina. Czy wyczuwa, że to obca dłoń? I czy De La Rosa czuje agresję wzbierającą we mnie na widok jego łapy dotykającej mojej żony?

Po kilku sekundach kładzie płasko dłoń na plecach dziewczyny. Domyślam się, co robi. Dokonuje pomiarów. Widocznie jest usatysfakcjonowany, bo kiwa głową i odchodzi. Nie pozostaje mi nic innego, jak zdezynfekować miejsce, które wytatuuję. Isabelle drży, gdy alkohol zaczyna parować, pozostawiając po sobie uczucie zimna.

– Odpręż się – szepczę.

– Idź do diabła – odpyskowuje, również szepcem.

Tym razem odpuszczę. Już za samo zmuszenie jej do wzięcia udziału w tej ceremonii zasługuję na miejsce w piekle. Santiago otwiera teczkę i mi ją wręcza. Wewnątrz znajduje się szablon. Bliźniacze smoki będące godłem rodu. Wzór wymyślony przez Dracę St. Jamesa ma reprezentować siłę i potęgę, lecz niekiedy także chaos i niegodziwość. Przez chwilę w mojej głowie pojawia się obraz brzydkich, poszarpanych blizn na karku matki, ale szybko go stamtąd wyrzucam i przykładam szablon do pleców Isabelle. W przeciwieństwie do ojca stworzę na ciele żony coś pięknego. Tatuaz zasłoni szramę, którą „podaował” jej własny brat. Co prawda nie swoimi rękami, lecz to akurat nieistotne. Dwa smoki, choć mniejsze, będą odzwierciedleniem tych, które sam noszę, i naznaczą ją one jako moją.

Zdejmuję marynarkę i podwijam rękawy koszuli. Chwilę później maszynka do tatuazu zaczyna buczeć, a ja zabieram się do pracy.

## 28 ISABELLE

Najpierw nadchodzi wstyd. Po nim ból. Maszynka do tatuażu brzęczy, a igły wbijają się w kark i plecy. Zaciskam zęby, żeby nie wrzeszczeć, ale krzyk sam wyrывa się z gardła, przynajmniej na początku. Cieszę się, że chociaż nie muszę oglądać twarzy zgromadzonych tu mężczyzn. Nie widzę, jak mi się przyglądają i obserwują przedstawienie. Moje poddanie. Moje publiczne upokorzenie.

Nie wiem, jak długo to trwa. Jest mi jednocześnie zimno i gorąco. Widzę, jak kropla potu z czoła uderza w kamienną posadzkę. W końcu, całą wieczność później, popadam w stan przypominający letarg. Igły na moment zamierają. Za plecami czuję, jak Jericho zmienia pozycję. Szepcze, że świetnie sobie radzę. Mam ochotę powiedzieć temu kutasowi, żeby się pierdolił, ale gdy tylko otwieram usta, maszynka znów zaczyna tworzyć swe dzieło na skórze. Dzieło? Nie, raczej certyfikat własności. Znak, który pozostanie na zawsze na moim ciele. Jego pieprzony znak. W dodatku tatuaż obejmuje nie tylko kark.

Przypominam sobie ogólnikową wzmiankę o naznaczaniu, kiedy Julia zdradzała mi mroczne sekrety Socjety. Chyba jej wtedy nie uwierzyłam. Ceremonia wydawała się zbyt archaiczna, by mogła być prawdziwa. Pamiętam jednak, że kuzynka wspominała, że znak umieszcza się na karku przy pomocy ognia lub tuszu. Na wzmiankę o ogniu w oczach Julii pojawił się błysk. Ciekawe, jak ona by się czuła, gdyby to ją naznaczano, przywiązaną w upokarzającej pozycji do dybów. Nie sądzę, by się wówczas uśmiechała.

Tatuaż, który wykonuje Jericho, ciągnie się wzdłuż całych pleców aż do linii pośladków. Kiedy minuty zmieniają się w godziny i zaczynam myśleć, że tortura potrwa całą wieczność, Jericho niepodziewanie kończy pracę.

Brzęczenie maszynki zamiera. Mąż musi być wykończony. Ja jestem.

Wokół nas zbierają się mężczyźni, by zobaczyć znak rodowy St. Jamesów i pogratulować Jerichowi. Nawet Hildebrand wstaje i podchodzi.

– Kończmy to – odzywa się. – Z pewnością wszyscy czujemy się zmęczeni.

Jak to „kończmy”? Czekają mnie jeszcze jakieś niespodzianki? Nie mam nawet siły, żeby podnieść głowę. I tak nie udałoby mi się spojrzeć tym ludziom w oczy, wyczytać z nich, czego mam się spodziewać. Widzę tylko czubki butów. Mężczyźni rozstępują się i przede mną staje Jericho. Kuca, ale nadal nie podnoszę wzroku. Gładzi mnie po głowie – tą samą ręką, która jeszcze przed chwilą dzierżyła okropną warcząca maszynę. Myśli, że poprawi mi to samopoczucie?

– Wypowiedz słowa, Isabelle.

Dotyka mojej brody i unosi mi głowę. Niewiele, tylko tyle, bym na niego spojrzała. Zastanawiam się przelotnie, jak wyglądam z rozmażanym makijażem. Tusz z pewnością spłynął, tworząc pionowe czarne linie od oczu aż po podbródek. Czuję też, że muszę wytrzeć nos. Ale mam to gdzieś.

– Uwolnij mnie z tego – wykrztuszam z siebie.

Jericho przesuwa kciukiem po mojej kości policzkowej, po czym przystawia mi do ust swój pierścień. Wszystko wraca. Emblemat na sygnecie. Bliźniacze smoki. Jego znak. Jego pierdolony znak.

– Wypowiedz słowa.

Dominus et Deuce. Pan mój i Bóg mój. Tego nauczyła mnie Leontine.



– Słowa? – cedzę napędzana wściekłością. – Chcesz, żebym wypowiedziała słowa?

Oczy Jericha zwięzają się niebezpiecznie, lecz ja spoglądam za niego, na pozostałych. Nie na ich twarze, nie zadreż głowy tak wysoko, ale niech wiedzą, że nimi gardzę. Po chwili przenoszę uwagę z powrotem na męża. Chce, bym wypowiedziała słowa, bym oznajmiła przy świadkach, że jest moim panem i Bogiem. Może się jebać! Zamiast tego wykrzywiam usta w uśmiechu, w który wkładam całą swoją nienawiść, a potem je otwieram i pluję St. Jamesowi na buty. A właściwie na podłogę tuż obok butów, bo pudłuję. Oboje wpatrujemy się w plwocinę. Niestety nie ma jej aż tyle, na ile liczyłam, ale wiadomość i tak jest czytelna. Mija sekunda, potem następna. Serce wali mi jak oszalałe.

Jericho prostuje się z udawanym spokojem i mówi:

– Panowie, proszę, żebyście opuścili salę. Muszę przeprowadzić z żoną rozmowę w cztery oczy.

Przenoszę ciężar ciała to na jedno, to na drugie kolano i próbuję się uwolnić, chociaż wiem, że moje wysiłki są skazane na niepowodzenie. Czuję niewyobrażalną ulgę, kiedy mężczyźni wychodzą i zamykają się za nimi drzwi, jednak gdy St. James staje za moim plecami, serce o mało nie wyskakuje mi z piersi. Nie podnoszę wzroku, wpatruję się w posadzkę i biały jedwab, na którym klęczę.

– Kiepski początek małżeństwa – słyszę za sobą głos Jericha.

Mężczyzna chwyta moje biodra i wysoko unosi tyłek. Natychmiast zaczynają boleć mnie nadgarstki i szyja, uwięzione w tych przeklętych średniowiecznych dybach. Potem jednym ruchem zadziera sukienkę, odsłaniając uda i pośladki. – Co robisz? – pytam. Nic więcej nie mogę zdziałać.

– Za brak szacunku, który mi okazałaś, mógłbym cię wywlec na dziedziniec, kazać przywiązać do pręgierza na środku, rozebrać i wychłostać.

– Co?!

Wsuwa palce pod gumkę białych jedwabnych majtek i mało delikatnie ściąga je aż do kolan.

– Mam do tego prawo.

Próbuję odwrócić głowę, żeby na niego spojrzeć, lecz nie mogę się ruszyć.

– Jericho?

Nie odzywa się, ale dobiegają mnie inne dźwięki. Brzęk odpinanej klamry. Świst paska wysuwanego szybkim ruchem ze szlufek.

– Nie!

Usiłuję się wyswobodzić albo chociaż usiąść na piętach, lecz Jericho jedną ręką chwyta mnie mocno za biodro, wpijając mi palce w ciało.

– Siadaj!

– Ja...

– Wolisz publiczną chłostę? Nie ma sprawy, ale ostrzegam, że to nie ja będę trzymał bat.

– Nie, błagam.

– Więc trzymaj tyłek w górze i rozchyl kolana.

Robię, co każe, a zaraz potem słyszę odgłos pasa uderzającego o ciało. Bezlitosny, przyprawiający o dreszcze dźwięk. Zaciskam powieki i krzyczę w oczekiwaniu na piekący ból, który jednak nie nadchodzi. Gdy Jericho się przesuwają, odwracam głowę na tyle, na ile mogę, a on robi to po raz drugi. Uderza złożonym wpół paskiem o... własne udo. Kolejny wrzask mimowolnie wyrwa się z mojego gardła. Po nim zapada cisza, a ja znów czekam. Czekam, aż sprawi mi tym pasem lanie. Łzy i krople potu kapią ze mnie na podłogę.

– Przepraszam – mamroczę. – Żałuję, że to zrobiłam.

– Czyżby? – Podciąga sukienkę jeszcze wyżej, odsłaniając dół pleców, ale stara się nie dotykać tatuażu. – Ślicznie wyglądasz w tej pozycji. Chyba każę skonstruować dla ciebie podobne dyby. Żebyś nigdy nie zapomniała. Powtórnie staje za moimi plecami, a do uszu znów dobiegają mi te dźwięki. Najpierw świst, potem uderzenie paska o ciało. Łkam, jakby to mnie bił.

– Przestań, proszę! Wypowiem je! Wypowiem słowa!

– Słucham.

– Do... – zaczynam, lecz nie kończę, bo Jericho wbija mi palce w pośladek. Pochyla się i przybliża twarz do mojej.

– Nie słyszę, co mówisz – oznajmia, po czym się prostuje.

Czuję delikatne poklepywanie paska na biodrze.

– Dominus et Deuce. Dominus et Deuce – wyrzucam z siebie.

– Chętnie usłyszałbym to jeszcze raz.

– Dominus et Deuce.

– Dobra dziewczynka. Powtórz.

– Dominus et Deuce.

– A co to znaczy?

– Pan mój i Bóg mój.

– Czyżbyś wcześniej zapomniała, co masz powiedzieć, Isabelle? – pyta i robi kilka kroków, by stanąć przede mną, a ja po raz kolejny wpatruję się w jego buty.

Potrząsam głową najmocniej, jak umiem, a chwilę później Jericho nachyla się i zdejmuje kłódkę. Czuję, jak oblewa mnie nagła fala ulgi. Mąż podnosi ciężką górną część dybów. Wysuwam się z nich powoli. Ciało mam sztywne i obolałe, z trudem siadam na piętach. Sukienka opada i zakrywa moją nagość. Podnoszę oczy na Jericha. On także mi się przygląda, przeciągając pasek przez szlufki spodni.

– Straż! – woła, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Ochroniarz musiał stać tuż za drzwiami, bo natychmiast otwiera drzwi i wpuszcza do środka Rajcę. Na szczęście nie pojawia się żaden z pozostałych mężczyzn. Hildebrand wpatruje się w moją twarz z taką miną, jakby żałował, że pozbawiono go okazji przywiązania mnie do tego cholernego słupa na dziedzińcu, zerwania mi z ciała sukni i publicznego upokorzenia.

Zerkam na męża, który wciąż bacznie mi się przygląda.

– Wiesz, co teraz masz zrobić – mówi autorytarnie, bez cienia wątpliwości co do mojego posłuszeństwa.

Użyczona ślubna kreacja zsuwa mi się z ramienia, gdy kieruję wzrok na buty Jericha i kładę dłonie na podłodze po obu stronach jego stóp. Staram się pamiętać, że wychłostał siebie, a nie mnie. Że Hildebrand cały czas stał pod drzwiami i podsłuchiwał. Zastanawiam się, czy pod ceremonialną szatą Rajcy kryje się erekcja wywołana myślą o laniu na goły tyłek, czy podnieciły go moje krzyki i płacz. Ten człowiek mnie obrzydza.

Po raz ostatni podnoszę wzrok na Jericha, nim spuszczam głowę i całuję jeden z jego butów.

– Wypowiedz słowa.

– Dominus et Deuce. Pan mój i Bóg mój – mówię tak cicho, że nie jestem pewna, czy którykolwiek z mężczyzn mnie słyszał, po czym zastygam w tej poniżającej pozycji, a słone łzy kapią na podłogę. Czekam.

Hildebrand i jego goryle wychodzą. Jericho chwyta mnie za ramię i szarpnięciem stawia na nogi. Zsunęta sukienka odsłania jedną pierś, a majtki, dotąd zaplątane w okolicy kolan, opadają na posadzkę. Mąż przygląda się przez chwilę gołej piersi, po czym okrywa ją białym jedwabiem, uważa jednak, żeby materiał nie dotykał wytatuowanych pleców. Potem prowadzi

mnie w stronę drzwi.

– Czekaj – mówię i spoglądam na leżące na podłodze majtki.

– Nie będziesz ich już potrzebować – odpowiada, nie przestając mnie ciągnąć do wyjścia.

Koło drzwi schyla się, żeby podnieść moje buty, ale nie pozwala mi ich założyć, więc idę boso przez kaplicę, a później przez dziedziniec. Na nasz widok cichną wszystkie rozmowy.

Zastanawiam się, jak wyglądam. Z pewnością nie jak większość panien młodych z radością i nadzieją w sercu opuszczających kościół po ceremonii zaślubin. Czuję, że pasma włosów powychodziły z ciasnego upięcia. Teraz rozumiem, dlaczego Leontine dała fryzjerce tak szczegółowe instrukcje, by żaden kosmyk nie opadał na plecy ani na kark. Ciekawe, co zgromadzony tłum myśli o mojej twarzy pokrytej zaciekami z makijażu.

Jericho prowadzi mnie przez dziedziniec, a ludzie rozstępują się przed nami. Słyszę, jak wzdychają na widok wzoru pokrywającego plecy. Nie pozostawia wątpliwości co do mojego statusu.

Własność St. Jamesa.

Najpierw nadchodzi wstyd. Po nim ból.

Maszynka do tatuażu brzęczy, a igły wbijają się w kark i plecy. Zaciskam zęby, żeby nie wrzeszczeć, ale krzyk sam wyrywa się z gardła, przynajmniej na początku. Cieszę się, że chociaż nie muszę oglądać twarzy zgromadzonych tu mężczyzn. Nie widzę, jak mi się przyglądają i obserwują przedstawienie. Moje poddanie. Moje publiczne upokorzenie.

Nie wiem, jak długo to trwa. Jest mi jednocześnie zimno i gorąco. Widzę, jak kropla potu z czoła uderza w kamienną posadzkę. W końcu, całą wieczność później, popadam w stan przypominający letarg. Igły na moment zamierają. Za plecami czuję, jak Jericho zmienia pozycję. Szepcze, że świetnie sobie radzę. Mam ochotę powiedzieć temu kutasowi, żeby się pierdolił, ale gdy tylko otwieram usta, maszynka znów zaczyna tworzyć swe dzieło na skórze. Dzieło? Nie, raczej certyfikat własności. Znak, który pozostanie na zawsze na moim ciele. Jego pieprzony znak. W dodatku tatuaż obejmuje nie tylko kark.

Przypominam sobie ogólnikową wzmiankę o naznaczaniu, kiedy Julia zdradzała mi mroczne sekrety Socjety. Chyba jej wtedy nie uwierzyłam. Ceremonia wydawała się zbyt archaiczna, by mogła być prawdziwa. Pamiętam jednak, że kuzynka wspominała, że znak umieszcza się na karku przy pomocy ognia lub tuszu. Na wzmiankę o ogniu w oczach Julii pojawił się błysk. Ciekawe, jak ona by się czuła, gdyby to ją naznaczano, przywiązana w upokarzającej pozie do dybów. Nie sądzę, by się wówczas uśmiechała.

Tatuaż, który wykonuje Jericho, ciągnie się wzdłuż całych pleców aż do linii pośladków. Kiedy minuty zmieniają się w godziny i zaczynam myśleć, że tortura potrwa całą wieczność, Jericho niepodziewanie kończy pracę.

Brzęczenie maszynki zamiera. Mąż musi być wykończony. Ja jestem.

Wokół nas zbierają się mężczyźni, by zobaczyć znak rodowy St. Jamesów i pogratulować Jerichowi. Nawet Hildebrand wstaje i podchodzi.

– Kończmy to – odzywa się. – Z pewnością wszyscy czujemy się zmęczeni.

Jak to „kończmy”? Czekają mnie jeszcze jakieś niespodzianki? Nie mam nawet siły, żeby podnieść głowę. I tak nie udałoby mi się spojrzeć tym ludziom w oczy, wyczytać z nich, czego mam się spodziewać. Widzę tylko czubki butów. Mężczyźni rozstępują się i przede mną staje Jericho. Kuca, ale nadal nie podnoszę wzroku. Gładzi mnie po głowie – tą samą ręką, która jeszcze przed chwilą dzierżyła okropną warcząca maszynę. Myśli, że poprawi mi to samopoczucie?

– Wypowiedz słowa, Isabelle.

Dotyka mojej brody i unosi mi głowę. Niewiele, tylko tyle, bym na niego spojrzeła. Zastanawiam się przelotnie, jak wyglądam z rozmazanym makijażem. Tusz z pewnością spłynął, tworząc pionowe czarne linie od oczu aż po podbródek. Czuję też, że muszę wytrzeć nos. Ale mam to gdzieś.

– Uwolnij mnie z tego – wykrztuszam z siebie.

Jericho przesuwając kciukiem po mojej kości policzkowej, po czym przystawia mi do ust swój pierścień. Wszystko wraca. Emblemat na sygnecie. Bliźniacze smoki. Jego znak. Jego pierdolony znak.

– Wypowiedz słowa.

Dominus et Deuce. Pan mój i Bóg mój. Tego nauczyła mnie Leontine.

– Słowa? – cedzę napędzana wściekłością. – Chcesz, żebym wypowiedziała słowa?

Oczy Jericha zwężają się niebezpiecznie, lecz ja spoglądam za niego, na pozostałych. Nie na ich twarze, nie zadrę głowy tak wysoko, ale niech wiedzą, że nimi gardzę. Po chwili przenoszę uwagę z powrotem na męża. Chce, bym wypowiedziała słowa, bym oznajmiła przy świadkach, że jest moim panem i Bogiem. Może się jebać! Zamiast tego wykrzywiam usta w uśmiechu, w który wkładam całą swoją nienawiść, a potem je otwieram i pluję St. Jamesowi na buty. A właściwie na podłogę tuż obok butów, bo pudłuję. Oboje wpatrujemy się w plwocinę. Niestety nie ma jej aż tyle, na ile liczyłam, ale wiadomość i tak jest czytelna. Mija sekunda, potem następna. Serce wali mi jak oszalałe.

Jericho prostuje się z udawanym spokojem i mówi:

– Panowie, proszę, żebyście opuścili salę. Muszę przeprowadzić z żoną rozmowę w cztery oczy.

Przenoszę ciężar ciała to na jedno, to na drugie kolano i próbuję się uwolnić, chociaż wiem, że moje wysiłki są skazane na niepowodzenie. Czuję niewyobrażalną ulgę, kiedy mężczyźni wychodzą i zamykają się za nimi drzwi, jednak gdy St. James staje za moim plecami, serce o mało nie wyskakuje mi z piersi. Nie podnoszę wzroku, wpatruję się w posadzkę i białe jedwab, na którym kłęczę.

– Kiepski początek małżeństwa – słyszę za sobą głos Jericha.

Mężczyzna chwyta moje biodra i wysoko unosi tyłek. Natychmiast zaczynają boleć mnie nadgarstki i szyja, uwięzione w tych przeklętych średniowiecznych dybach. Potem jednym ruchem zadziera sukienkę, odsłaniając uda i pośladki. – Co robisz? – pytam. Nic więcej nie mogę zdziałać.

– Za brak szacunku, który mi okazałaś, mógłbym cię wywlec na dziedziniec, kazać przywiązać do pręgierza na środku, rozebrać i wychłostać.

– Co?!

Wsuwa palce pod gumkę białych jedwabnych majtek i mało delikatnie ściąga je aż do kolan.

– Mam do tego prawo.

Próbuję odwrócić głowę, żeby na niego spojrzeć, lecz nie mogę się ruszyć.

– Jericho?

Nie odzywa się, ale dobiegają mnie inne dźwięki. Brzęk odpinanej klamry. Świst paska wysuwanego szybkim ruchem ze szlufek.

– Nie!

Usiłuję się wyswobodzić albo chociaż usiąść na piętach, lecz Jericho jedną ręką chwyta mnie mocno za biodro, wpijając mi palce w ciało.

– Siadaj!

– Ja...

– Wolisz publiczną chłostę? Nie ma sprawy, ale ostrzegam, że to nie ja będę trzymał bat.

– Nie, błagam.

– Więc trzymaj tyłek w górze i rozchyl kolana.

Robię, co każe, a zaraz potem słyszę odgłos pasa uderzającego o ciało. Bezlitosny, przyprawiający o dreszcze dźwięk. Zaciskam powieki i krzyczę w oczekiwaniu na piekący ból, który jednak nie nadchodzi. Gdy Jericho się przesuwają, odwracam głowę na tyle, na ile mogę, a on robi to po raz drugi. Uderza złożonym w pół paskiem o... własne udo. Kolejny wrzask mimowolnie wyrwa się z mojego gardła. Po nim zapada cisza, a ja znów czekam. Czekam, aż sprawi mi tym pasem lanie. Łzy i krople potu kapią ze mnie na podłogę.

– Przepraszam – mamrocę. – Żałuję, że to zrobiłam.

– Czyżby? – Podciąga sukienkę jeszcze wyżej, odsłaniając dół pleców, ale stara się nie dotykać tatuażu. – Ślicznie wyglądasz w tej pozycji. Chyba każę skonstruować dla ciebie podobne dyby. Żebyś nigdy nie zapomniała. Powtórnie staje za moimi plecami, a do uszu znów dobiegają mi te dźwięki. Najpierw świst, potem uderzenie paska o ciało. Łkam, jakby to mnie bił.

– Przestań, proszę! Wypowiem je! Wypowiem słowa!

– Słucham.

– Do... – zaczynam, lecz nie kończę, bo Jericho wbija mi palce w pośladek. Pochyla się i przybliża twarz do mojej.

– Nie słyszę, co mówisz – oznajmia, po czym się prostuje.

Czuję delikatne poklepywanie paska na biodrze.

– Dominus et Deuce. Dominus et Deuce – wyrzucam z siebie.

– Chętnie usłyszałbym to jeszcze raz.

– Dominus et Deuce.

– Dobra dziewczynka. Powtórz.

– Dominus et Deuce.

– A co to znaczy?

– Pan mój i Bóg mój.

– Czyżbyś wcześniej zapomniała, co masz powiedzieć, Isabelle? – pyta i robi kilka kroków, by stanąć przede mną, a ja po raz kolejny wpatruję się w jego buty.

Potrząsam głową najmocniej, jak umiem, a chwilę później Jericho nachyla się i zdejmuję kłódkę. Czuję, jak oblewa mnie nagła fala ulgi. Mąż podnosi ciężką górną część dybów. Wysuwam się z nich powoli. Ciało mam sztywne i obolałe, z trudem siadam na piętach. Sukienka opada i zakrywa moją nagość. Podnoszę oczy na Jericha. On także mi się przygląda, przeciągając pasek przez szlufki spodni.

– Straż! – woła, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Ochroniarz musiał stać tuż za drzwiami, bo natychmiast otwiera drzwi i wpuszcza do środka Rajcę. Na szczęście nie pojawia się żaden z pozostałych mężczyzn. Hildebrand wpatruje się w moją twarz z taką miną, jakby żałował, że pozbawiono go okazji przywiązania mnie do tego cholernego słupa na dziedzińcu, zerwania mi z ciała sukni i publicznego upokorzenia.

Zerkam na męża, który wciąż bacznie mi się przygląda.

– Wiesz, co teraz masz zrobić – mówi autorytarnie, bez cienia wątpliwości co do mojego posłuszeństwa.

Użyczona ślubna kreacja zsuwa mi się z ramienia, gdy kieruję wzrok na buty Jericha i kładę dłonie na podłodze po obu stronach jego stóp. Staram się pamiętać, że wychłostał siebie, a nie mnie. Że Hildebrand cały czas stał pod drzwiami i podsłuchiwał. Zastanawiam się, czy pod ceremonialną szatą Rajcy kryje się erekcja wywołana myślą o laniu na goły tyłek, czy podnieciły go moje krzyki i płacz. Ten człowiek mnie obrzydza.

Po raz ostatni podnoszę wzrok na Jericha, nim spuszczam głowę i całuję jeden z jego butów.

– Wypowiedz słowa.

– Dominus et Deuce. Pan mój i Bóg mój – mówię tak cicho, że nie jestem pewna, czy którykolwiek z mężczyzn mnie słyszał, po czym zastygam w tej poniżającej pozycji, a słone łzy kapią na podłogę. Czekam.

Hildebrand i jego goryle wychodzą. Jericho chwyta mnie za ramię i szarpnięciem stawia na nogi. Zsunięta sukienka odsłania jedną pierś, a majtki, dotąd zaplątane w okolicy kolan, opadają na posadzkę. Mąż przygląda się przez chwilę gołej piersi, po czym okrywa ją białym jedwabiem, uważa jednak, żeby materiał nie dotykał wytatuowanych pleców. Potem prowadzi mnie w stronę drzwi.

– Czekaj – mówię i spoglądam na leżące na podłodze majtki.

– Nie będziesz ich już potrzebować – odpowiada, nie przestając mnie ciągnąć do wyjścia.

Koło drzwi schyla się, żeby podnieść moje buty, ale nie pozwala mi ich założyć, więc idę boso przez kaplicę, a później przez dziedziniec. Na nasz widok cichną wszystkie rozmowy.

Zastanawiam się, jak wyglądam. Z pewnością nie jak większość panien młodych z radością i nadzieją w sercu opuszczających kościół po ceremonii zaślubin. Czuję, że pasma włosów powychodziły z ciasnego upięcia. Teraz rozumiem, dlaczego Leontine dała fryzjerce tak szczegółowe instrukcje, by żaden kosmyk nie opadał na plecy ani na kark. Ciekawe, co zgromadzony tłum myśli o mojej twarzy pokrytej zaciekami z makijażu.

Jericho prowadzi mnie przez dziedziniec, a ludzie rozstępują się przed nami. Słyszę, jak wzdychają na widok wzoru pokrywającego plecy. Nie pozostawia wątpliwości co do mojego statusu.

Własność St. Jamesa.

## 29 JERICHO

Muszę zerznąć tę kobietę. I to szybko.

Dex przywozi nas do domu. Wsiadam z samochodu, biorę żonę na ręce i wnoszę do środka. W foyer stawiam ją na nogi, a szpilki upuszczam na podłogę. Odwracam Isabelle w swoją stronę, kiedy prowadzi przegraną walkę z utrzymaniem sukienki na ramionach. Z rozpiętym guzikiem materiał usiłuje ześlizgnąć się aż do pasa, tak jak to zostało zaprojektowane.

Chwytam dziewczynę w tali i przyciągam do siebie. Drugą ręką rozplątuje jej włosy i nawijam pojedyncze pasma na palce. Ciągnę za nie, by odchylić głowę Isabelle i ją pocałować. W odpowiedzi przyciska mi dłoń do piersi i wydaje z siebie zduszony dźwięk, który natychmiast połykam. Usta ma otwarte, język gorący. Przyciskam kutasa do jej brzucha, twarde do miękkiego, po czym ją podnoszę. Uważając na tatuaż, przrzucam dziewczynę przez ramię i niosę do swojej sypialni. Po przekroczeniu progu przekręcam klucz w zamku, a potem stawiam Isabelle na podłodze. Chwieje się i robi dwa kroki do tyłu.

Patrzę na nią przez cały czas, gdy rozpinam i ściągam koszulę. Jej wzrok błądzi po mojej klacie, barkach, ramionach. Podchodzi do niej powoli, a ona rozgląda się za drogą ucieczki. Nie ma żadnej.

Chwytam za dekolt sukienki i ciągnę. Jedwab pęka z trzaskiem i osuwa się na podłogę. Pod spodem Isabelle jest naga. Napawam się jej widokiem, małymi, krągłymi piersiami, pomarszczonymi sutkami, wygoloną cipką.

Podchodzi do łóżka i ściągam kołdrę, by odsłonić nieskazitelnie białe prześcieradło, na którym pięknie odznaczy się dziewicza krew. Wysuwam spod materaca przedmioty służące do krępowania.

– Podejdź tutaj – nakazuję.

Wzrok Isabelle pada na skórzane pasy. Z lękiem w oczach spełnia prośbę.

– Uklęknij na środku łóżka, twarzą do zagłówka.

– Jericho...

– Rób, co mówię.

Waha się przez moment, po czym niechętnie wdrapuje na materac. Nie pomagam jej. Ograniczam się do patrzenia. Kiedy jest już tam, gdzie sobie życzyłem, chwytam ją za nadgarstek, przyciągam go do pierwszego pasa i przypinam. Okrążam mebel i to samo robię z drugim. Następnie przechodzę na tył łóżka, żeby przyjrzeć się, jak klęczy z rozpostartymi ramionami, i po kolei krępuję kostki.

– Rozstaw szerzej kolana, głowa na materac, tyłek do góry. – Wykręca szyję, żeby rzucić mi spojrzenie. – Zrób to, Isabelle.

Jej twarz płonie szkarłatem, ale dziewczyna wykonuje polecenie. Dotyka czołem prześcieradła i unosi wysoko pośladki. W tej pozycji mam doskonały widok na najintymniejsze zakamarki jej ciała. Na moich oczach cipka zaczyna lśnić. Kusi mnie, by usiąść i po prostu się poprzyglądać, lecz jestem tak twardy, że ledwie nad sobą panuję.

– Zostań w tej pozycji.

Zdejmuję resztę ubrań, po czym wchodzę na łóżko, pochylam się, zaciskam dłoń na szczupłych udach i przysuwam nos do miejsca, gdzie się łączą. Isabelle wydaje z siebie głośne westchnienie. Wciągam jej zapach głęboko w nozdrza, a potem liżę szparkę od łechtaczki aż po odbyty i z powrotem.

Dziewczyna kwili. Klękam za nią i przyglądam się wykonanemu własnoręcznie tatuazowi na wygiętych w łuk plecach. Splecione ogony bliźniaczych smoków dotykają rowka między pośladkami. Ja pierdołę! To najbardziej podniecający widok, jaki w życiu widziałem. Powinienem przedłużyć rysunek aż do odbytu. Może kiedyś to zrobię.

– Pragniesz mnie – zauważam, wkładając w nią dwa palce. Po chwili je wyciągam i przesuwam w stronę łechtaczki.

– Nie, ja...

Pochylam się i wsłuchuję w urywany oddech, gdy okrężnymi ruchami masuję twarde, nabrzniały guziczek.

– Doprawdy?

Dziewczyna zamyka oczy. Chciałaby nie czuć tego, co czuje. Chciałaby mieć stłumić pożądanie.

– Chcesz dojść? – Poruszam palcami coraz szybciej. Jęczy i kiwa głową. – Powiedz to na głos. Muszę to usłyszeć.

– Proszę.

– O co prosisz? – Prostuję się i przeciągam kutasem po wilgotnych fałdkach. – O co mnie prosisz, Isabelle?

– Proszę... Chciałabym...

Trzymając palce na łechtaczce, napieram na cipkę. Wejście jest ciasne. Dziewczyna spina się, gdy próbuję ją rozciągnąć, by wsunąć się głębiej.

– Jest... Jest za duży – rzuca i się odsuwa, ale kiedy palce wznawiają taniec, mocniej wygina plecy.

– Powiedz to! – żądam.

Mój głos jest ochrypliwy z podniecenia. Muszę się dostać na to dziewicze terytorium, muszę upuścić jej krwi. – Chcę dojść! – krzyczę.

W nagrodę poruszam palcami szybciej i wchodzę w nią całą żołądźką. Gdy słyszę, jak Isabelle wciąga ze świstem powietrze, i czuję, jak ściany wagi zaczynają pulsować z rozkoszy, chwytam dziewczynę w pasie i jednym ruchem bioder przebijam się przez stojącą mi na drodze barierę. Isabelle wydaje z siebie przeciągły jęk, a ja delectuję się ciasną cipką.

Poruszam się rytmicznie, bez pospiechu. Przykładam kciuk do drugiej dziurki i wsuwam go, wsłuchując się w podniecające dźwięki dziewczyny. Biorę ją w całkowite posiadanie. Po niedługim czasie czuję, jak ściany pochwy ponownie pulsują i Isabelle szczytuje po raz drugi. Sam także dochodzę. Orgazm jest gwałtowny. Wstrząsa ciałem. Wyrzywa zwierzęcy skowyt z piersi, gdy napełniam żonę nasieniem. Świadomość, że należy do mnie, tylko do mnie, że jest cała moja, uderza mi do głowy o wiele mocniej, niż przypuszczałem.

Kiedy w końcu się z niej wysuwam, Isabelle pada na materac, a spomiędzy jej nóg wypływa sperma zmieszana z krwią. Prześcieradło przestało być śnieżnobiałe. Splamiła je jej dziewicza krew i dowody naszego czystego, pierwotnego pożądania. W głowie kołacze mi się tylko jedno słowo, które w kółko powtarzam. Jedyne, które ma jakikolwiek sens.

„Moja”.

„Moja”.

„Moja”.



### 30 ISABELLE

Po wszystkim Jericho wyciera mnie ciepłym, wilgotnym ręcznikiem, a sam idzie pod prysznic. Nic dziwnego. Kiedy padłam po orgazmie, a właściwie dwóch orgazmach, nasze ciała nosiły ślady krwi.

Leżę w łóżku męża. Po części spodziewam się, że mnie odeśle, po części chcę, by to zrobił. Słyszę, jak woda pod prysznicem przestaje lecieć, a niedługo później Jericho wraca do sypialni w ręczniku okręconym wokół bioder. Kropelki wody połyskują na jego piersi, brzuchu i ramionach, włosy są mokre. Zatrzymuje się gwałtownie, jakby zaskoczony moim widokiem, a ja z trudem odrywam spojrzenie od jego oczu.

Leżę na boku twarzą do niego. Jestem zbyt wyczerpana, by się poruszyć, gdy do mnie podchodzi. Upuszcza ręcznik na podłogę i zanim gasi lampkę nocną, dostrzegam czerwone pręgi na zewnętrznej stronie jego uda.

Odwracam się plecami, kiedy wślizguje się na materac. Rozluźniam się, dopiero gdy okrywa moje biodro jedwabiącą miękkim kocem. Przez dłuższą chwilę panuje między nami cisza.

– Wszystko w porządku? – pyta w końcu.

Dopada mnie nagły smutek, a po policzku stacza mi się łza. Nic z tego nie rozumiem. Powinnam nienawidzić tego faceta. To jedyna emocja, jaką powinnam do niego czuć. Ale potem przypominam sobie ślady paska.

– Dlaczego to zrobiłeś? – odpowiadam pytaniem.

– Co konkretnie masz na myśli?

– Dlaczego wychłostałeś siebie zamiast mnie.

– Ach, to.

Blask księżycy przedziera się przez częściowo rozsunięte zasłony, oświetlając mi ramię, kawałek łóżka i pasek podłogi. Kiedy Jericho obrysowuje palcami zewnętrzne krawędzie tatuażu na moich plecach, domyślam się, że widzi go w srebrzystej poświacie.

– Powiesz mi dlaczego?

– Nie wiem – odpowiada po dłuższej chwili. – Śpij, Isabelle.

– Nie wierzyłam, że to może być prawda. – Ocieram kolejną zbłąkaną łzę. – Tatuaż. Naznaczanie. Obcy mężczyźni przyglądający się temu.

– Ciii, już po wszystkim. Śpij.

– To nie jest normalne.

Pociągam nosem. Jeśli do tej pory Jericho nie zorientował się, że płaczę, to teraz wie.

– Tak wygląda życie wśród Socjety i chociaż nikt nie traktuje ani mnie, ani ciebie jak członków czystej krwi, stanowimy jej część i musimy podporządkować się pewnym zasadom.

Zerkam na niego przez ramię.

– Myślałam, że żyjesz według własnych zasad.

– Zazwyczaj tak, jednak kiedy zasady ustanowione przez stowarzyszenie są mi na rękę, a w tym przypadku posłużyły mi, żeby wyrwać cię z łap brata, robię to, czego się ode mnie oczekuje.

– Prawie go zabiłeś.

Jericho nie odpowiada, ale widzę, że zaciska mocno szczęki.

– Nie rozumiem, co ci da włączenie mnie do rodziny. Carlton nie będzie za mną tęsknił

ani rwał sobie włosów z głowy na myśl, że śpię w twoim łóżku. Nic go nie obchodzi i oboje dobrze o tym wiemy. Co w takim razie planujesz? Co jeszcze będę musiała znieść?

Mężczyzna unosi kącik ust w uśmiechu, lecz zamiast odpowiedzieć zrywa okrywający mnie koc. To chyba jakiś obłąd, ale moje ciało natychmiast reaguje podnieceniem. Czuję, jak gdzieś w środku robi mi się gorąco. Mięśnie przygotowują się na to, co za chwilę nadejdzie.

Jericho klęka i chwytając moją nogę, by ułożyć mnie w odpowiedniej pozycji. Leżę teraz twarzą w dół, brzuch spoczywa na udach męża, a nogi po bokach jego ciała. Podpieram się na przedramionach i zbieram w sobie. Jestem obolała, ale jakaś część mnie pragnie więcej. Nagle biodra się unoszą i ku mojemu zdziwieniu czuję ugryzienie w prawy pośladek.

– Auuu! – krzyczę, ale kiedy Jericho rozchyła mi szerzej nogi i liże wzdłuż szparki, krzyk zmienia się w przeciągły jęk.

Mąż wsuwa głowę między moje nogi. Zaciskam dłonie na prześcieradle i zamykam oczy. Zaciskam zęby, gdy czuję jego język na łechtaczce, wargach sromowych, wsuwający się do środka, liżący mnie od jednej dziurki do drugiej.

– Mógłbym to robić przez całą noc – mówi, po czym wraca do lizania, ssania i odkrywania moich najskrytszych zakamarków. Odrastający zarost jest szorstki i drapiący, w przeciwieństwie do miękkich, delikatnych ust i języka. – Ale odczuwam palącą potrzebę, by znów się w tobie znaleźć.

Podnosi mnie i obraca. Teraz siedzę na nim okrakiem. Wpatrując się w moje oczy, nasuwa mnie na siebie. Działa powoli, ostrożnie. Wie, że jestem obolała, a rozmiar jego członka to najwyższa liga. Zaciskam dłonie na barkach Jericha, gdy podnosi i opuszcza moje biodra. Nadwrażliwe sutki ocierają się o szeroką klatkę piersiową i wysyłają impulsy przyjemności wprost do cipki. Dyszę i spuszcza głowę. Ciało pragnie więcej, chociaż odczuwam niewielki dyskomfort po wcześniejszych uniesieniach. Dochodząc, wykrzykuję imię Jericha, a on chwytając moje włosy i za nie ciągnie.

– Patrz na mnie – nakazuje, kiedy zaciskam powieki w poczuciu spełnienia. – Chcę widzieć twoje oczy.

Otwieram je więc. Słyszę jego krótki, urywany oddech i czuję, jak wewnątrz mnie rośnie. Po chwili zacieśnia chwyt na moich biodrach, wbija się głęboko i zaczyna pulsować. Jego oczy wyglądają zbyt pięknie, bym mogła oderwać od nich wzrok, gdy szczytuje.

Tym razem nie wstaje, by mnie umyć ani wziąć prysznic. Wsuwa się tylko i po prostu się kładziemy. Moszczę głowę na poduszce, zbyt wyczerpana, obolała i pusta w środku, żeby się poruszyć. Powieki same mi się zamykają, chociaż wiem, że mężczyzna mnie obserwuje i że zasypianie przy nim może być ryzykowne. Mężczyzna, który – tak się składa – został moim mężem. Grozę całej sytuacji, bardziej niż cokolwiek innego, uświadamia mi fakt, z jaką łatwością Jericho potrafi sprawić, że go pragnę. Jak biegły jest w doprowadzaniu mnie do orgazmu. Nawet jeśli Leontine miała rację i naprawdę potrzebuję ochrony przed tajemniczym niebezpieczeństwem z zewnątrz, to mam prawo się zastanawiać, kto obroni mnie przed własnym małżonkiem.



## 31 JERICHO

Wkrótce po tym, jak zasypiamy, budzi mnie jakiś dźwięk. To Isabelle mamrocze coś przez sen i rzuca się na łożku. Otwieram oczy i zapalam lampkę nocną. Przyglądam się dziewczynie. Powieki ma zamknięte, ale usta się poruszają. Części słów nie potrafię rozróżnić, jednak inne nie pozostawiają wątpliwości, czego dotyczy koszmar.

– Christian! – wykrzykuje i marszczy czoło, a skóra wokół oczu robi się wilgotna. Ramię wystrzeliwuje do przodu, jakby Isabelle chciała coś chwycić, a potem opada wzdłuż boku i zapada cisza.

Przez chwilę wydaje mi się, że spokojny sen powrócił, lecz wtedy znów wszystko się powtarza. Tym razem panika sięga zenitu. Z głębi gardła dziewczyny wydobywa się niski jęk, jak gdyby chciała wrzasnąć, ale coś ścisnęło jej krtań. Znam takie koszmary. Wiem, jak przerażające potrafią być.

– Isabelle – mówię cicho. Staram się jej nie ruszać.

– Nie! Nie! – Młóci rękami powietrze. – Nie dotykaj mnie!

Przed oczami pojawia mi się obraz pokrwawionej żony leżącej wśród odłamków szkła. Widzę rozpięte dzinsy i wystający spod nich kawałek majtek. Według policyjnego raportu nie była to napaść na tle seksualnym.

Dziewczyna kwili jak przerażone dziecko.

– Isabelle, obudź się.

Kładę dłoń na jej brzuchu w – mam nadzieję – uspokajającym geście. Jednak nie powinienem był tego robić, bo mój dotyk wywołuje reakcję odwrotną do zamierzonej. Isabelle łapie mnie oburącz za ramię i wbija paznokcie głęboko w skórę.

– Nie! Nie! Nie!

Siadam, a ona zaczyna okładać mnie po klatce piersiowej i twarzy.

– Obudź się, to tylko zły sen. Obudź się.

Kiedy przeciąga paznokciami po skórze na mojej piersi, z zadrapań sączy się krew. Chwytam ją jedną ręką za nadgarstki, przyciągam do siebie i mocno przytulam.

– Obudź się. To tylko koszmar, nic więcej.

– Christian? – wypala i odsuwa się ode mnie. Jej powieki otwierają się gwałtownie, a błękitne oczy rozglądają się gorączkowo dokoła. – Christian!

Nie wypuszczam żony z objęć. Nadal woła brata.

– Przyśniło ci się coś złego, ale tutaj jesteś bezpieczna.

W miarę jak mówię, wzrok Isabelle skupia się na mojej twarzy, a potem dziewczyna usiłuje rozpoznać otoczenie. Po chwili jej ciało wiotczeje.

– Puść mnie.

Kiwam głową i powoli zwalniam uścisk.

– Wszystko w porządku?

– W najlepszym.

Odwraca spojrzenie i wyciera oczy. Zrzuca koc z nóg.

– Gdzie idziesz?

– Do swojego pokoju.

Kiedy wykonuje ruch, jakby chciała wstać, kładę dłoń na jej ramieniu, by ją zatrzymać.

– Przyniosę ci coś do picia.

– Nic mi nie jest. Puszczaj. – Nie patrzy na mnie.

Wstaję z łóżka.

– Zostań – mówię i idę do łazienki, by przynieść jej wody.

Kiedy wracam, nadal siedzi na miejscu. Oczy ma zaczerwienione, ale stara się ukryć fakt, że płakała.

– Trzymaj.

Wyciągam w jej stronę szklankę. Bierze ją ode mnie, upija łyk i wręcza mi z powrotem. Odstawiam szkło na stolik. – Mogę już iść? – pyta, wciąż omijając mnie wzrokiem.

– Dzisiejszej nocy śpisz w moim łóżku.

Rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Sądziłam, że wspólne spanie cię nie interesuje.

Uśmiecham się. Ma dobrą pamięć.

– Połóż się.

Spełnia prośbę. Kładzie się na boku, uważając, by nie urazić pleców. Przykłada policzek do złożonych dłoni i zamyka oczy. Okrywam ją i wślizguję się na swoją stronę łóżka. Otaczam żonę ramieniem z nadzieją, że będę dla niej oparciem.

– Śniła ci się noc włamania? – pytam po kilku minutach.

– Nie pamiętam.

Kłamie.

– Często miewasz ten koszmar?

– Przestań udawać, że się o mnie troszczysz.

Usiłuje mi się wyrwać, ale przyciągam ją bliżej.

– Powiedz. Często?

– A co? Martwisz się, że zaburzy ci to rytm snu?

– Nie. Po prostu znam to przerażające uczucie całkowitej bezradności.

– Czyżby?

– Tak.

– Jestem pewna, że koszmar wywołała twoja bliskość, więc jeżeli naprawdę się przejmujesz, to...

– Jasne. – Potrząsam głową. – Dobranoc, Isabelle. Gdybyś mnie jednak potrzebowała...

– Nie będę.

– No pewnie.

\* \* \*

Kiedy budzę się rankiem, żona wciąż śpi. Leży odwrócona do mnie plecami, dzięki czemu mogę obserwować pięknie zarysowaną linię jej ciała. Dłonie wciąż ma wciśnięte pod policzek, włosy spływają czarną kaskadą po poduszce. Biodro okrywa koc, lecz długie nogi widać w całej okazałości.

Staram się nie poruszać. Napawam się widokiem. Przyglądam się tatuażowi. Mojemu dziełu. Mojemu znakowi na jej skórze. Wzór zaprojektował Santiago. Jest w tym świetny. Bliźniacze smoki patrzą na siebie z otwartymi paszczami, zwarte w walce i jednocześnie splecione w uścisku. Ich wzrok zdradza, jak silnie są ze sobą związane. Potężne cielska rozdzielają się i oplatają kręgosłup Isabelle, by zasłonić bliźnę, a diabelskie ogony wiją się w dół pleców aż do pośladków.

Ja pierdolę! Staje mi na sam widok. Na myśl o tym, co działo się w nocy, jak dziewczyna wyglądała na klęczkach z wypiętym w moją stronę tyłkiem, jak na mnie reagowała, jaka była ciepła, wilgotna i ciasna. Och, kurwa!

A potem przypominam sobie koszmar, który jej się przyśnił, i jak rzucała się na łóżku. Zapamiętuję, żeby poznać szczegóły tamtej nocy. Dowiedzieć się, czy w raporcie policyjnym czegoś nie pominięto. Ale teraz nie czas na to. Mam dużo rzeczy do zrobienia. Pieprzenie świeżo poślubionej żony nie znajduje się na liście. No, może gdzieś pod koniec.

Isabelle nie budzi się, ani jak wymykam się z łóżka, ani kiedy wracam spod prysznic. Najwyraźniej jest wyczerpana tym, co jej ciało musiało znieść. Nie mówiąc o psychice. Ubierając się, popatruję, jak śpi. Przyglądam się miękkim rysom twarzy, długim, gęstym rzęsom, delikatnie rozchylonym ustom. Przysłuchuję głębokiemu oddechowi. Na kawałku papieru skreślam kilka słów i kładę go na nocnym stoliku.

Gdy schodzę na dół, mama i Angelique jedzą śniadanie.

– Tatusiu! – Córka rozpromienia się na mój widok.

– Dzień dobry, kochanie.

Uświadamiam sobie, że zeszłej nocy nie pocałowałem jej na dobranoc. Isabelle też nie. Złamała obietnicę. Ja również. Nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żebym nie dał córce buziaka przed snem, kiedy byłem w domu.

Podchodzę do niej i kiedy unosi główkę, całuję ją w czoło.

– Gdzie Belle? – pyta słodkim głosikiem.

Irytuje mnie zdrobnienie, które nadała żonie, ale upominam się, że to tylko mała dziewczynka zauroczona księżniczkami z bajek. – Jeszcze śpi. Bardzo się wczoraj zmęczyła.

– Mogę ją obudzić, jak zjem śniadanie?

Zerkam na matkę.

– Po lekcjach, dobrze? – mówi. – Dajmy Isabelle trochę czasu na odpoczynek. Pobawisz się z nią po południu.

Mała garbi ramionka.

– Nie chcę chodzić na lekcje z tą wstrętną panią Strand – mruczy pod nosem.

– To nie było miłe z twojej strony – napomina ją babcia.

– Chcę, żeby Belle uczyła mnie muzyki – oznajmia.

– Słucham?

– Tatusiu, w jej zeszytach muzyka wygląda tak ładnie. I zagra dla mnie coś na skrzypcach.

– Naprawdę?

Angelique potakuje.

– Może mnie uczyć?

– Zobaczymy.

Córka wzdycha. Wie, co oznacza taka odpowiedź. A ja jestem ciekaw, co też naopowiadała jej Isabelle.

– Będiesz teraz pracował? – pyta mała.

Często się zastanawiam, jak według niej zarabiam na życie. I czy inne pięciolatki są równie spostrzegawcze. Lecz przypominam sobie, że Angelique nie jest jak inne dzieci w jej wieku. Życie córki znacznie się różni od ich życia.

– Mam kilka spotkań.

– Nauczysz mnie później pływać? Powiedziałaś, że nauczysz.

Rzeczywiście jej to obiecałem tamtego popołudnia, kiedy po powrocie do domu zastałem Isabelle i małą w basenie i mi odjechało.

– Tak. Jak wrócę do domu.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Przrzekam.

Córka uśmiecha się szeroko i udaje, że karmi misia płatkami z mlekiem.

Biorę kubek i napełniam go kawą.

– Zeke już wstał? – pytam matkę.

– Jest w swoim gabinecie.

– Życzę obu paniom udanego poranka.

Całuję Angelique w czubek głowy i kieruję się w stronę gabinetu brata. Pukam, po czym czekam na zaproszenie.

– Dzień dobry. – Lustruje mnie od stóp do głów.

– Dzień dobry – odpowiadam i zamykam drzwi.

Zeke odchyła się w swoim fotelu, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Jak ona się miewa?

Czy irytuje mnie to, że o nią pyta? Może.

– Śpi.

Kiedy sączę kawę i przyglądamy się sobie nawzajem, napięcie sięga zenitu.

– Wiesz, że nie chcę, by Angelique zbliżała się do siedziby IVI ani do jego członków – przerywam ciszę.

– Ale sam należysz do stowarzyszenia, więc ona także jest jego częścią, czy tego chcesz, czy nie. Naprawdę sądziłeś, że uda ci się utrzymać własny ślub w tajemnicy przed córką?

Biorę głęboki wdech i siadam na jednym z krzeseł po drugiej stronie biurka. Odstawiam kawę na blat.

– Sam, kurwa, nie wiem, co myślałem – przyznaję niechętnie. – Może za wcześnie przywiozłem małą do domu.

– Nie, nie za wcześnie. Jeśli już, to spóźniłeś się o pięć lat. Od początku powinna się tutaj wychowywać. Najważniejsze, że jest tu teraz. Bezpieczna. Musisz dać jej trochę luzu. Nie możesz wszystkiego kontrolować.

– Kurwa, oczywiście, że mogę.

– Dopytuje o szkołę. Od jakiegoś czasu jada podwieczorki z Niną, wnuczką Catherine. Nina jest w jej wieku i opowiada małej o zajęciach w przedszkolu. Angelique pytała cię już o to?

Patrzę na niego tępo. Nie, nie pytała.

– Mnie pytała. Chciałaby wiedzieć, kiedy pójdzie do szkoły.

Podnoszę kubek i upijam łyk kawy.

– Dlaczego wnuczka Catherine przychodzi tu popołudniami? Robi to regularnie?

– Ty tak na poważnie? – Zeke nie spuszcza ze mnie wzroku. – Może i jesteś moim starszym bratem, ale to ja wszystkim zarządzam od czasu twojego wyjazdu. Catherine nie zaniedbuje swoich obowiązków, więc nie mam nic przeciwko, żeby jej wnuczka spędzała tutaj czas codziennie po przedszkolu. Wiesz, że prędzej czy później Angelique zacznie spotykać się z innymi ludźmi. Nie możesz trzymać jej zamkniętej w wieży z kości słoniowej przez całe życie.

– Nie zamierzam tego robić przez całą jej życie, tylko dopóki Carlton Bishop nie przestanie stanowić zagrożenia. – Upijam kolejny łyk kawy i przyglądam się bratu. Wyraźnie nie zgadza się z moimi planami. Odstawiam kubek. – Bishop spojrział wczoraj na ciebie, kiedy wspominał o Zoë i ojcu.

– Naprawdę? – pyta ze zdziwieniem Ezekiel, jednak dostrzegam, jak po jego twarzy przemyka cień napięcia. – I co w związku z tym?

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego patrzył akurat na ciebie. Santiago rzucił ci takie samo znaczące spojrzenie, kiedy informował mnie, że nie znalazł żadnych dowodów na to, że Bishop był zamieszany w śmierć ojca.

– Nie zwróciłem uwagi.

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu.

– Czy jest coś, o czym nie wiem, Zeke?

– Na przykład?

Wzruszam ramionami i czekam.

– Muszę jechać do biura – oznajmia w końcu brat i wstaje.

Obserwuję go. Kiedy ojciec zginął, Zeke przejął zarządzanie firmą inwestycyjną, którą założył nasz pradziadek. To jedno z przedsiębiorstw należących do imperium St. Jamesów.

– Bracie? – Choć brzmi to jak pytanie, wiem, że w ten subtelny sposób Ezekiel ponagla mnie do wyjścia.

– Zobaczymy się później.

Wstaję i z kubkiem w dłoni wychodzę na korytarz, gdzie w nonszalanckiej pozie czeka na mnie Dex.

– Sprawdź, czy Carlton Bishop je dziś śniadanie tam, gdzie zawsze – wydaję mu polecenie.

– Robi się.

– I przyprowadź mój samochód.

Kiwa głową i odchodzi w swoją stronę. Wracam do jadalni, żeby odstawić kubek. Wszyscy już wyszli. Angelique i matka skończyły jeść śniadanie, stół uprzątnięto. Kieruję się więc do kuchni, gdzie zastaję Catherine. Wlewa różową masę na ciasto do formy. – Dzień dobry, Jericho – wita się, przerywając pracę i wycierając dłonie w fartuch.

– Czy ten kolor jest naturalny?

Kobieta uśmiecha się z dumą.

– Niezupełnie – przyznaje. – Jadłeś już śniadanie?

– Nie jestem głodny. Zeke mówił mi, że twoja wnuczka przychodzi tu po przedszkolu.

Zbijam ją z tropu. Zazwyczaj nie mieszam się w życie prywatne służby.

– Zgadza się. Jej matka znalazła nową pracę i kończy o piątej, więc Nina codziennie spędza ze mną dwie godziny w kuchni. Nie sprawia kłopotów, a ja nie zaniedbuję obowiązków.

Kręcę głową.

– Nie dlatego zacząłem tę rozmowę. Nie mam nic przeciwko. Chciałem tylko zapytać, czy ona i Angelique się dogadują.

Catherine się uśmiecha.

– O tak.

Na jej czole pojawiają się zmarszczki i mam wrażenie, że chciałaby powiedzieć coś więcej, ale milczy.

– Cieszę się. To dobrze, że Angelique ma koleżankę w swoim wieku. Pamiętaj tylko, żeby nie bawiły się same na dworze.

– Nie chodzą tam, gdzie nie powinny. Dziewczynki znają zasady.

– Wiem, ale i tak wolałbym, żeby ktoś ich pilnował. Lepiej dmuchać na zimne.

Kobieta waha się przez chwilę, lecz w końcu potakuje.

– Oczywiście, proszę pana.

Wychodzę z kuchni. W trakcie naszej wymiany zdań czułem się jakoś niezręcznie. Znam Catherine od dziecka, ale dużo się od tego czasu zmieniło. Opuściłem to miejsce na wiele lat. Teraz wszystko wydaje się inne. Jakby to już nie był mój dom ani moja służba. Po chwili przypominam sobie, dlaczego tu jestem i dlaczego sprawy przybrały taki obrót.

Kiedy wychodzę głównymi drzwiami i widzę Dexa stojącego obok lamborghini, skupiam się na tym, co muszę dzisiaj zrobić. Nie mam wątpliwości, że wczoraj Carlton posłał mojemu bratu znaczące spojrzenie. I to nie przypadek, że Santiago De La Rosa patrzył na niego

w ten sam sposób podczas rozmowy na temat ojca. Muszę zrozumieć, o co chodziło.



## 32 ISABELLE

Nie jestem ani trochę zdziwiona, gdy budzę się cała obolała. Uważam, by nie przekreślić się na plecy. Boję się, że także będą tkliwe, ale kiedy siadam, krzywię się, ponieważ piekący ból odzywa się w zupełnie innym, bardziej intymnym miejscu.

Jericha nie ma. Na stoliku nocnym leży karteczka. W krótkich żołnierskich słowach mąż przekazał mi za jej pomocą, że ma nadzieję, iż czuję się lepiej, że później porozmawiamy o koszmarze i że prosi mnie, bym nie wchodziła pod prysznic, aby nie zmoczyła tatuażu.

Przewracam oczami. Nie będę dyskutować z nim ani o moich snach, ani o Christianie, ani o tamtej nocy. Nigdy. Ale potem przypominam sobie, jak mnie tulił. Jak łagodnie się zachował, chociaż podrapałam mu klatkę piersiową do krwi. Z drugiej strony zasłużył sobie na to, biorąc pod uwagę pamiątkę, jaką zostawił na mojej skórze.

Zwlekam się z łóżka. Idę do łazienki, aby przyjrzeć się tatuażowi. Odwracam się tyłem do lustra i wyciągam szyję. Z wrażenia wciągam głośno powietrze. Kolorowy wzór ciągnie się wzdłuż całego kręgosłupa. Jest węższy i smuklejszy niż ten na plecach Jericha, bardziej kobiecy. Co prawda nie widzę dokładnie szczegółów, ale wydaje mi się piękny. Pokrywa go folia, więc go nie dotykam. Owijam się ostrożnie ręcznikiem i kieruję się do swojego pokoju. Z uwagi na „strój” mam zamiar skorzystać z drzwi między sypialniami. Angélique nie musi widzieć, jak wychodzę półnaga z sypialni jej ojca.

Nim wychodzę, mój wzrok pada na niegdyś bielutkie prześcieradło przykrywające materac. Biorę gwałtowny wdech. Jest poplamione krwią, nie mówiąc o innych wydzielinach. Na sam widok czuję, że lepię się między nogami. Rzucam się w stronę łóżka i pospiesznie zaczynam ściągać pościel. Gdy zwijam ją w kulkę, niespodziewanie otwierają się drzwi. Gosposia, którą spotkałam w kuchni, przykrywa uśmiechem zaskoczenie na mój widok w pokoju Jericha.

– Dzień dobry, proszę pani – mówi i przenosi wzrok na trzymany przeze mnie tobiół.

– Dzień dobry. Catherine, prawda? – Odkładam prześcieradło na łóżko, staję na baczność i próbuję udawać, że wcale nie zostałam przyłapana na próbie zniszczenia dowodu upojnej dziewiczej nocy.

– Zgadza się. A tym nie musi się pani przejmować. Zajmę się praniem. Swoje ubrania też proszę mi zostawić.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby to prac.

– Och, dobrze. Dziękuję. Czy... Jericho jest w domu?

– Nie, proszę pani. Wszedł kilka godzin temu.

– Rozumiem, dziękuję. I, proszę, mów mi Isabelle.

Kobieta uśmiecha się słodko.

– Dobrze, Isabelle.

– To ja... Pójdę się ubrać – oznajmiam z zakłopotaniem i czmycham do swojego pokoju. Twarz pali mnie na samą myśl o tym, co Catherine zobaczy, gdy rozwinie tobołek.

Myję się ostrożnie pod prysznicem, by nie zmoczyła tatuażu, i zakładam szorty oraz luźny top, który zakrywa plecy, ale nie podrażnia skóry. Po wyjściu z łazienki słyszę brzęczenie telefonu. Podbiegam do łóżka, żeby wygrzebać komórkę spod poduszki, gdzie ją ukryłam. Wyciszyłam dźwięk, ale wibracja jest na tyle głośna, że słychać połączenia przychodzące. Kiedy widzę, kto dzwoni, natychmiast odbieram.

– Halo? Julia?

– Cześć, śpiąca królewno. Od kilku godzin próbuję się do ciebie dodzwonić.  
Patrzę na zegar. Dochodzi południe. Zazwyczaj nie śpię do późna, ale ostatnich kilkanaście godzin odcisnęło na mnie swoje piętno na wiele różnych sposobów.

– To była długa noc – mówię, siadając na krawędzi łóżka.

– Nie wątpię.

– Nie o to chodzi. Mam na myśli ceremonię.

„Awanturę, w trakcie której Jericho o mało nie zabił mojego brata, ślub, naznaczenie”, precyzuję w myślach.

– Carlton napomknął, że poszedł do siedziby stowarzyszenia, aby wam pogratulować i złożyć życzenia, lecz twój mąż nie chciał go do ciebie dopuścić.

– Nie chodziło o mnie. Jericho bywa nieco nadopiekuńczy wobec córki – wyjaśniam ku własnemu zdziwieniu. Czyżbym broniła St. Jamesa?

– Szkoda, że nie widziałaś siniaków na szyi Carltona. Chyba nie uważasz, że to, co mu zrobił Jericho, jest w porządku?

– Nie – odpowiadam i zdejmuję kłaczek z prześcieradła.

– A jak ty się dzisiaj czujesz? – zmienia temat. W jej głosie słychać szczere zainteresowanie.

– W porządku.

– Chciałabym cię odwiedzić. Matty też.

– Nie wiem, czy wpuszczą was nawet za bramę. Co powiedziałaś małemu?

– Że wyszłaś za mąż. Najchętniej w ogóle bym o tym nie wspominała, ale Carlton poruszył temat.

Wzdycham.

– Jak to przyjął?

– Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby się przejął. Ma tylko cztery lata. Ale bardzo za tobą tęskni.

– Ja za nim też.

– Opowiedz mi o naznaczeniu. Ceremonia wciąż owiana jest tajemnicą. Pewnie dlatego, że zabrania się uczestniczyć w niej kobietom. Oczywiście poza tą, która ma zostać naznaczona.

– Twoja fascynacja tematem przyprawia mnie o gęsią skórę.

– Wiesz, że mogę przeżyć to wydarzenie tylko za twoim pośrednictwem.

– Wcale się o to nie prosiłam – mówię oschle, bo wydaje mi się, że kuzynka wykazuje nadmierny entuzjazm.

– Opowiadaj.

– Mam tatuaż z dwoma smokami, który ciągnie się przez całe plecy.

– Nie na samym karku? Dziwne. Ciekawe, dlaczego się na to zdecydował. Zresztą twój mąż pogwałcił tradycję jeszcze w jednej kwestii. Naznaczenie zazwyczaj odbywa się na dziedzińcu.

– Skąd wiesz?

– Poczta pantoflowa. Wieści szybko się rozchodzą, szczególnie te, które dotyczą tajemniczego Jericha St. Jamesa i jego młodziutkiej oblubienicy.

Wydaję z siebie głośny jęk.

– Zastanawia mnie, dlaczego Hildebrand pozwolił, by ceremonia odbyła się w tak kameralnym gronie.

– Wcale nie była kameralna.

Kocham Julię, ale czasem przychodzą jej do głowy dziwaczne pomysły. No i ta obsesja na punkcie IVI. Ciekawe, czy byłaby równie zafascynowana stowarzyszeniem, gdyby poznała o

nim całą prawdę.

– Przyszli świadkowie, no i...

Milknę, zbyt zawstydzona, by wspomnieć o dybach. Cieszę się, że nie spotkałyśmy się twarzą w twarz, bo wtedy musiałabym pokazać jej ten cholerny tatuaż. Znak Jericha.

– I co? No mów! Umieram z ciekawości.

– Och, nic takiego.

– Uprawialiście seks? – pyta kuzynka zniecka, a ja czuję, że cała się czerwienię. Wzdycha, gdy zwlekam z odpowiedzią. – Może udałoby ci się wyrwać do siedziby IVI, co? Mogłybyśmy się tam spotkać. W końcu jesteś teraz panią St. James. Z pewnością nikt nie miałby nic przeciwko, żebyś wpadła na lunch.

– Szczerze mówiąc, niczego nie jestem pewna. A już najmniej tego, jakie Jericho ma wobec mnie plany.

– Też się nad tym zastanawiałam.

W słuchawce słychać odległy gwar rozmów.

– Gdzie jesteś?

– Wysłałam na śniadanie, nic szczególnego. A co do zamiarów twojego męża, to tylko jedno wytłumaczenie ma sens.

– Tak?

– Wiesz, na jakich zasadach odbywa się dziedziczenie w rodzie Bishopów?

– Chodzi o spadek? Jakie to ma znaczenie?

– Ale wiesz?

– Pewnie spisuje się testament.

– Niezupełnie. Jak tylko rodzina dorobiła się majątku, ustalono szczegółowe zasady dziedziczenia.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Nie zaprzętałam sobie głowy takimi kwestiami, ponieważ nie sądziłam, że mogą mnie w ogóle dotyczyć.

– Na chwilę obecną Carlton jest jedynym spadkobiercą rodowego majątku. I jako jedyny bezpośredni potomek dziedziczącej gałęzi rodziny, to znaczy jedyny, zanim pojawiłaś się ty, pozostanie nim do dnia swoich czterdziestych urodzin.

– Czyli do przyszłego roku.

– Zgadza się.

– Ale jakie znaczenie ma jego wiek? Oczywiście poza tym, że oznacza, iż jest pierwotnym potomkiem naszego ojca.

– Cóż, jest pewien haczyk.

– Haczyk?

Jestem ogromnie zdumiona rozległą wiedzą kuzynki w tym temacie.

– Otóż to. Aby Carlton mógł odziedziczyć rodową fortunę, musi spłodzić dziedzica, nim skończy czterdzieści lat.

– Słucham?

– W przeciwnym wypadku spadek przejdzie na ciebie. To znaczy, o ile urodzisz dziecko.

– O czym ty mówisz?

– Skup się, Isabelle. Ty i Carlton jesteście potomkami Mariusa Bishopa w prostej linii, a co za tym idzie, de facto jedynymi jego spadkobiercami.

– Ale o co chodzi z tym płodzeniem dziedzica?

– Tak brzmi jedna z zasad. Oczywiście, jak zapewne wiesz, preferuje się potomków płci męskiej. Zarówno Bishopowie, jak i reszta członków IVI niechętnie zostawia kobietom majątki

w spadku, jednak w tym wypadku nie będzie wyboru. No chyba że Carlton weźmie się do roboty.

– Przecież są z Monique w separacji.

– No właśnie.

– W dodatku ona wyjechała do Francji.

– Aha.

Po krótkim rozważeniu tej kwestii w mojej głowie rodzi się pytanie.

– A gdybym ja nie wkroczyła na scenę, gdyby nikt nie odkrył, kto był moim biologicznym ojcem, a Carlton nie spłodziłby potomka, co wtedy?

– Cóż, wtedy majątek przeszedłby na inną gałąź rodu.

– To znaczy?

– Spadek przejąłby potomek Leonarda.

– Czyli potomek twojego taty.

– Zgadza się.

– A po nim dziedziczysz ty. W takim razie w przypadku bezdzietności Carltona i nieodkryciu mojego istnienia rodowy majątek trafiłby w twoje ręce, tak?

– Ale weszłaś do rodziny i masz dopiero dziewiętnaście lat. Twój zegar biologiczny dopiero zaczął tykać.

– Czy to dlatego wspominałaś o tabletkach antykoncepcyjnych? Myślisz, że taki właśnie jest plan Jericha?

– To jedyne sensowne wytłumaczenie, kuzynko.

– Czyli co? Zapłodni mnie, żeby przejąć rodowy majątek Carltona?

– Nie tylko Carltona, całej rodziny Bishopów.

– Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Jericho jest głową rodu, do którego od wczoraj należysz, więc wszystko przypadłoby jemu, nawet jeżeli to w twoich żyłach płynie krew Bishopów. Musisz jedynie urodzić dziecko.

– Na szczęście mam zapas pigułek na trzy miesiące. Jestem pewna, że zabrałby je, gdyby zaplanował coś takiego. W końcu to on zorganizował przewiezienie moich rzeczy.

– Niby tak, ale nigdy nic nie wiadomo.

W ciszy próbuję przetrwać usłyszane od kuzynki informacje. Czy teoria o dziecku jest prawdopodobna? Nie. Nie ma mowy. Gdyby była, Jericho zabrałby mi tabletki.

– Isabelle, muszę lecieć. Spróbuj wyrwać się z domu, żeby zjeść ze mną i z Mattym lunch. Wtedy pogadamy.

– Postaram się.

– I nie zapominaj o antykoncepcji. Ale ciesz się seksem, bo szczerze mówiąc, mogłaś trafić o wiele gorzej. A jak już o tym mowa – ścisza głos – zapomniałam zapytać, jak było.

Cisnie mi się na usta, że krwawo, lecz zamiast tego mówię:

– Do zobaczenia, Julio.

– Nudziara.

– Rozłączam się.

– W porządku. Do zobaczenia. Uważaj na siebie.

### 33 JERICHO

Podjeżdżam pod wejście do hotelu Savoy i razem z Dexem wysiadamy z samochodu. Rzucam kluczyki parkingowemu, który stoi przy jezdni i gapi się na samochód z rozdziawionymi ustami. – Tylko w nic nie walnij – instruuje go Dex.

– Oczywiście, proszę pana – odpowiada chłopak z taką miną, jakby chciał zaszalutować.

– Przez ciebie dzieciak nabawi się nerwicy.

Wchodzimy podwójnymi drzwiami do wnętrza ekskluzywnego hotelu i kierujemy się w stronę sali jadalnej, w której serwuje się śniadania. Zatrzymujemy się przy stoisku hostessy. Rozglądam się po pomieszczeniu. Mimo jego ogromnych rozmiarów wygląda wyjątkowo kameralnie.

– W czym mogę panom pomóc? – pyta dziewczyna, dokładnie w chwili, gdy rzuca mi się w oczy łysiejąca głowa Bishopa. Ciekawe, czy wie, że z daleka widać przeredzające się włosy.

– Dziękuję. Już znalazłem to, czego szukałem.

Dex zostaje, a ja lawiruję między wymyślnie zastawionymi stołami i kelnerami niosącymi tace z aromatyczną kawą w porcelanowych dzbankach. Dziwię się, że Carlton siedzi plecami do drzwi. Kiedy się zbliżam, jego towarzyszką wkłada telefon do torebki. Czyżby Julia Bishop zauważyła mnie, zanim ja wypatrzyłem ich?

Carlton wstaje i udaje, że uchyla się przed ciosem.

– Hola, hola, osiłku! Czyżbyś przyszedł tutaj, żeby dokończyć dzieło? Powinienem wezwać ochronę?

– Siadaj, Bishop. Nie rób przedstawienia.

– Gdzieżbym śmiał.

Nie mogę go rozgryźć. Może i jest głupi, ale chyba nie aż tak. To jakaś gra. Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie powinienem opuszczać gardy.

Julia przypatruje mi się oczami czujnymi jak u jastrzębia. Gdy kieruję na nią wzrok, obdarza mnie szerokim uśmiechem. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że od dawna jest przyzwyczajona do gapiących się na nią mężczyzn. Do facetów, którzy pozabijaliby się, byle tylko ją zadowolić. Zerkam na Carltona i zastanawiam się, czy należy do grona jej wielbicieli. Czy adoruje kuzyneczkę. W Socjocie to nie takie rzadkie.

– Słyszałem, że można się tu napić dobrej kawy.

Przysuwam sobie wolne krzesło stojące przy sąsiednim stoliku. Siadam, nie czekając na zaproszenie, a Bishop wpatruje się we mnie z niedowierzaniem. Po chwili zajmuje z powrotem swoje miejsce i nie spuszczać wzroku z mojej twarzy, podnosi łapę i pstryka palcami. Kurwa, to nie przydrożny bar!

– Kawy – rozkazuje kelnerowi, gdy ten do nas podchodzi.

– Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia – zwraca się do mnie Julia, podnosi widelec, nadziewa na niego truskawkę i wsuwa ją między nazbyt czerwone usta.

– Dziękuję – odpowiadam i mówię do Carltona: – Chciałbym zamienić z tobą słówko.

– Teraz nagle prosisz o pozwolenie? Och, nie krępuj się. – Odsuwa talerz z niedojedzonym śniadaniem. – Wybacz, ale przez twoją obecność straciłem apetyt.

– Jestem pewien, że jedna kiełbasa mniej wyjdzie ci na zdrowie. Chciałbym porozmawiać na osobności.

Bishop zwięża oczy w wąskie szparki, jakby próbował przejrzeć na wylot moje myśli. Daje Julii znak głową.

– Nie skończyłam jeść.

– Skończyłaś. Idź już.

Obserwuję ich wzajemną relację. Nie powiedziałbym, że się lubią, jednak z całą pewnością coś między nimi jest.

Kobieta się dąsa, ale wstaje i wsuwa markową torebkę pod pachę. Odchodzi w butach na niebotycznie wysokich obcasach, kręcąc tyłkiem.

– Wygląda na to, że przygarniasz wszystkich zabłąkanych członków rodziny – zauważam.

– Mam gest.

– Jasne. A jak tam twoja żona?

– Moja żona nie powinna cię obchodzić.

Kelner przynosi kawę. Podnoszę filiżankę i upijam łyk.

– Czego ode mnie chcesz, St. James?

– Chciałbym się dowiedzieć, co insynuowałeś, kiedy wspomniałeś o moim ojcu i siostrze.

Bishop podnosi serwetkę z kolan i ociera nią kąciki ust, które chwilę później wędrują do góry. Nie podoba mi się ta sytuacja. Nie podoba mi się, że musiałem tu przyjść, aby go wypytywać. Nienawidzę być na gorszej pozycji.

– Powinieneś porozmawiać z Ezekielem. A tak przy okazji – mówi i kładzie łokcie na stole, by nachylić się w moją stronę. – Kto wymyślił imiona dla waszej trójki?

– Coś sugerujesz, Bishop?

Odchyła się z powrotem na oparcie i przygląda mi się ostentacyjnie z przekrzywioną głową.

– Wiesz, założyłem, że wy dwaj zawarlicie pakt.

Zaciskam szczęki, ale siedzę bez ruchu.

– No wiesz, aby bronić honoru siostry i w ogóle.

Nie wytrzymuję i rzucam się na niego. Chwytam leżący na jego talerzu nóż i wbijam go w wypolerowane drewno stolika, jakiś milimetr od małego palca tego skurwiela.

– Uważaj, Bishop.

Spogląda w dół. Nie potrafi ukryć strachu. Pomimo wszystkich krzywd, które wyrządził innym, jest śmierzącym tchórzem. Ale chyba wszystkim mężczyznom jego pokroju brak jaj. Potrafią wydawać rozkazy, lecz nie są w stanie ubrudzić sobie rąk krwią. Może wydaje się im, że to ich w jakiś sposób usprawiedliwia. Zmniejsza ciężar win.

Carlton wyciąga z chichotem nóż z blatu i obraca go w dłoni. Przez moment przygląda się kawałkowi metalu.

– Być może ty i ja mamy ze sobą więcej wspólnego, niż chcielibyśmy przyznać – mówi w końcu.

– Wątpię.

Milczy przez dłuższą chwilę.

– Przeleciałaś ją już?

Nie wiem, czy samo pytanie, czy sposób, w jaki zostało zadane, sprawia, że podnosi mi się ciśnienie.

– Nie twój interes.

– Jej matka była kurwą. A wiadomo, jaka matka...

– Mówisz o mojej żonie, łajzo!

Na jego twarzy pojawia się zacięty wyraz, ale nie kończy obelgi pod adresem Isabelle. Zamiast tego zmienia temat.

– Ile jesteś gotów poświęcić, by pomścić śmierć narzeczonej St. James?

Dłonie same zwijają mi się w pięści, a serce wali o żebra. Zabiję gnoja!

– Byłoby szkoda, gdyby twoja śliczna córeczka została sierotą. Czekaj! Czy wtedy Isabelle przejęłaby rolę jej mamusi? – Co chciałeś mi zasugerować na ślubie? – pytam jeszcze raz, zaciskając palce na blacie stolika. Nakazuję sobie spokój. Muszę pamiętać, po co tu przyszedłem. Nie mogę pozwolić, żeby Bishop wyprowadził mnie z równowagi. Bo do tego właśnie dąży. Carlton ciska serwetkę na talerz i odsuwa krzesło od stołu, ale zamiast wstać nachyla się w moją stronę.

– Czasami lepiej przycupnąć w kącie i dać sobie czas na wylizanie ran. Przyznać, że zwyciężył lepszy. I odejść, kiedy się jeszcze ma coś do stracenia.

Ja także nachylam się w jego kierunku. Wbrew moim oczekiwaniom nie odsuwa się.

– Co chciałeś mi, do cholery, zasugerować przed kościołem?

Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Chciałbyś dowiedzieć się prawdy o ukochanym tatku i siostruni? Pozwól, że o coś zapytam. Jak bardzo ci na tym zależy? Co jesteś gotów poświęcić, aby zdobyć odpowiedzi? Jak to mówią? Niewiedza jest błogosławieństwem? Chyba tak to idzie. – Wstaje. – Naprawdę masz aż tak wielką ochotę dowiedzieć się, jakie gówno płynie w twoich żyłach? Ależ ty jesteś podobny do ojca, jak dwie krople wody. Odziedziczyłeś po nim nawet te paskudne oczy. Mam tylko nadzieję, że nie popełnisz tych samych grzechów, nie wskrzesisz okropnej przeszłości.

Odchodzi kilka kroków, ale nagle zatrzymuje się i odwraca z powrotem w moją stronę.

– A jak nie wiesz, o czym mówię, zapytaj Ezekiela.

### 34 ISABELLE

Kiedy wychodzę na korytarz, przypominam sobie o obietnicy złożonej Angelique. Miałam dać jej buziaka na dobranoc po powrocie. Z poczuciem winy ruszam do pokoju małej, choć nie mam pewności, czy ją tam zastanę. Ze zdziwieniem zauważam, że drzwi są uchylone, a w środku dziewczynka siedzi z babcią i jakąś starszą kobietą, której nie znam.

– Dzień dobry. – Leontine patrzy znacząco na zegarek.

Rumienię się.

– Dzień dobry – odpowiadam. Angelique spogląda na mnie zza niewielkiego biurka i macha rączką. Dochodzę do wniosku, że nieznamą musi być jej nauczycielką. – Wrócę później, jeśli przeszkadzam.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiada teściowa. – Chodź, poznasz panią Strand, nauczycielkę Angelique.

Potrząsam podaną mi dłoń. Kobieta niby się uśmiecha, ale robi to z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę. Zaczynam się zastanawiać, czy nie mogli zatrudnić dla małej kogoś, kto wyglądałby sympatyczniej. Po chwili reflektuję się i sama sobie udzielam nagany. Nie powinnam oceniać innych po pozorach.

– Dzień dobry – wita się ze mną pani Strand. – Miło panią poznać. Co prawda zazwyczaj nie pozwalam, by przerywano mi lekcje, ale rozumiem, że wczorajszy wieczór był wyjątkowy.

– Przepraszam, nie miałam zamiaru przeszkadzać. Chciałam tylko sprawdzić, jak się miewa Angelique. Co u ciebie, kochanie? – pytam i okrążam biurko, żeby przyjrzeć się książce, nad którą siedzi. – Och, jakie śliczne obrazki – mówię i kucam obok krzesła dziewczynki.

– Wolę moją książkę o księżniczkach. Ta jest za łatwa.

– Nauczenie się tekstu na pamięć to nie to samo, co nauczenie się czytać, dziecko – mówi pani Strand tonem, który mnie niepokoi.

– Nie nauczyłam się go na pamięć – odpowiada Angelique i spuszcza wzrok. Gładzę ją po plecach.

– Później możemy razem poczytać książkę o księżniczkach, dobrze? – szepczę jej do ucha.

Kiwa główką, lecz widzę, że oczy małej są wypełnione łzami, kiedy w końcu na mnie spogląda. To takie wrażliwe dziecko. Wystarczył jeden komentarz ponurego babsztyla, żeby zranić jej uczucia. Robię zabawną minę, aby pokazać, że jestem po stronie Angelique, a ona chichocze.

– Po południu tatuś będzie uczył mnie pływać – mówi.

– Naprawdę? To cudownie.

– Ale potem możemy poczytać.

– Brzmi świetnie – zapewniam ją i wstaję, gdy nauczycielka odchrząkuje. Niezbyt subtelny sygnał. – Zobaczymy się, jak skończysz lekcje.

Dziewczynka niechętnie przytakuje. Wychodzę z pokoju i zostawiam ją w towarzystwie kobiet. Idę na dół, by zrobić sobie kawę oraz coś do jedzenia. W kuchni zastaję May. Myje naczynia, a z piekarnika unosi się aromat pieczonego ciasta. – Pachnie smakowicie – zagaduję.

– Catherine zrobiła placek. – May zakręca wodę, wyciera ręce ściereczką i odwraca się do mnie. – Mogę w czymś pomóc, proszę pani?

„Proszę pani?!”



– Mów mi Isabelle.

Dziwnie się czuję, gdy ktoś zwraca się do mnie tak oficjalnie. Kobieta się uśmiecha.

– Coś podać?

– Nie chcę sprawiać kłopotu, przygotuję sobie coś do jedzenia. Mam ochotę na kawę i kanapkę.

– To żaden kłopot – odpowiada i podchodzi do ekspresu, którego nie powstydziałaby się żadna kawiarnia. – Jaką zrobić?

– Poproszę cappuccino.

May zabiera się za przygotowywanie wybornie pachnącego napoju. Następnie idzie do chlebaka. Kiedy otwiera pokrywę, w środku dostrzegam bochenek domowego chleba. Kobieta kroi dla mnie dwie kromki i kładzie je na talerzu, który umieszcza na tacy pełnej słoiczków z dżemem, serów i masła.

– Nie trzeba – mówię, widząc, że sięga do lodówki po coś jeszcze. – To w zupełności wystarczy.

– Jestem pewna, że pan St. James chciałby, aby jego żona dobrze się odżywiła – oświadcza.

– Bez dwóch zdań – zgadza się z koleżanką Catherine, która dokładnie w tym momencie wchodzi do kuchni. – Zapraszam do jadalni, zaraz nakryjemy do stołu.

– Naprawdę nie chcę sprawiać kłopotu. Mogę zabrać tacę na dwór.

– Zrobiło się już gorąco i w każdej chwili może lunąć.

– Upał mi nie przeszkadza, a skoro ma padać, to lepiej wyjdę, dopóki jeszcze mogę.

– W takim razie jak sobie życzysz.

Młodsza z kobiet wynosi tacę na dwór, a ja drepczę za nią z poczuciem winy, że ktoś mnie obsługuje. Siadam przy stoliku nieopodal basenu, pod parasolem, który świetnie osłania przed słońcem. Cieszę się, gdy w końcu zostaję sama i mogę w spokoju zjeść śniadanie, rozmyślając o tym, co Angelique powiedziała o obiecanej przez ojca lekcji pływania. Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić. Za nic w świecie.

Kiedy kończę posiłek, nie mam pojęcia, czym się zająć. Dowiedziałam się, że lekcje Angelique potrwać jeszcze kilka godzin. Wydaje mi się to trochę zbyt dużym obciążeniem jak na takiego malucha, ale co ja tam wiem.

Przez jakiś czas błąkam się bez celu po domu i zaglądam do pomieszczeń, które są niezamieszkałe, ale utrzymane w nienagannym porządku i bogato udekorowane. W końcu przebieram się w ubrania sportowe i idę pobiegać. Chcę się rozejrzeć po posiadłości, a przy okazji trochę rozciągnąć mięśnie.

Słońce stoi wysoko. Jestem wdzięczna, że częściowo przesłaniają je chmury. Biegnę do lasu tą samą ścieżką, którą Jericho ciągnął mnie tamtej nocy, gdy zarządził swoją głupią zabawę w berka. Jak miło sobie pobiegać. Dzięki temu znów czuję się sobą. A może to tylko złudne wrażenie, że kontroluję sytuację. Zresztą nieważne. Liczy się fakt, że wysiłek fizyczny sprawia mi przyjemność. Po trzydziestu minutach jestem jak nowo narodzona, choć nieco spocona.

Zatrzymuję się, dopiero kiedy docieram do granicy posiadłości, gdzie stoi mur oddzielający ziemie Bishopów i St. Jamesów. Nieprzystępny jak mężczyźni, którzy mieszkają po obu jego stronach. Kamienną ścianę porasta bluszcz, a u jej podnóża dostrzegam kępki delikatnych żółtych kwiatków. Przywołują mi na myśl Angelique. Na pewno chętnie by je zobaczyła, więc zapamiętuję, by zerwać dla niej kilka. Oczywiście o ile dostanę zezwolenie na wręczenie jej takiego prezentu. Mur otacza szczelnie całą posiadłość. Przypominam sobie, że zdarzało mi się stawać po jego drugiej stronie. Przebiegam palcami po kamieniach i myślę o tym, jak zmieniło się moje życie, odkąd poznałam Jericha St. Jamesa. Jakby ściana stanowiła fizyczną

granicę między moją przeszłością a teraźniejszością i przyszłością.

Rozważania schodzą na temat tego, co powiedziała kuzynka o zamiarach Jericha wobec mnie. Jednak jej teoria jest tak abstrakcyjna, że trudno mi ją przetrwać. Jak można spłodzić dziecko, żeby się na kimś zemścić i odebrać tej osobie coś, co do niej należy? A los tej małej istotki? Nowego niewinnego człowieczka. Ma zostać powołany do życia nie z miłości, tylko po to, aby odegrać rolę pionka? Nie! To nie do pomyślenia. Jericho nie byłby do tego zdolny. Julia musi się mylić. To zbyt straszne, nieludzkie. Nawet St. James nie jest aż takim potworem. Właściwie mam wątpliwości, czy to potwór. Wciąż pamiętam, że w grocie przysporzył bólu sobie, nie mnie. Żaden potwór nie zdobyłby się na taką wspaniałomyślność, gdyby jego wróg klęczał przed nim związany, obnażony i bezbronny.

Nagle ciszę rozdziera huk gromu. Podnoszę wzrok na pociemniałe niebo. Chwilę później na ziemię spadają strugi wody. Deszcz jest potrzebny, dzięki niemu zelżeje nieznośny upał, lecz muszę się pospieszyć i znaleźć schronienie przed ulewą. Dopiero gdy ponad drzewami dostrzegam szczyt kamiennego budynku, zdaję sobie sprawę, gdzie się znajduję. Nieopodal kaplicy. I cmentarza. Błyskawica rozświetla otoczenie, a kilka sekund później grom wstrząsa ziemią pod moim stopami. Nie podejmuję świadomej decyzji, instynktownie gnam przed siebie, aby schować się w starej kaplicy. Zwalniam ledwie na moment, by otworzyć bramę cmentarza. Grube krople wody tłumią skrzywienie zawiasów. Jednym susem pokonuję schodki, pcham ciężkie drzwi i wślizguję się do środka. Zamykam za sobą skrzydło i opieram się o nie plecami. Klatka piersiowa faluje gwałtownie. Przemokłam do suchej nitki i zrobiło mi się zimno, więc otulam się ramionami.

W świetle dnia wnętrze kaplicy sprawia tylko nieco mniej upiorne wrażenie. Wmawiam sobie, że duchy nie istnieją, ale nie jestem co do tego przekonana. Podchodzę do ołtarza, na którym znajduję pudełko zapalek, i zapalam kilka świec, by trochę rozjaśnić ponure miejsce. Zauważam, że ołtarz pokrywa warstwa kurzu, ale w powietrzu czuć kadzidło. Zapach jest świeży. Tamtej nocy, gdy Jericho mnie tu przyprowadził, powietrze było zatęchłe, kaplicy dawno nie otwierano. Odniosłam wrażenie, że nikt do niej nie zaglądał przez wieki. Lecz niedawno ktoś tu zawitał. Czyżby Jericho?

Blask rozświetla wnętrze i przykuwa moją uwagę do misternie rzeźbionej drewnianej okładki księgi. Na pierwszy rzut oka wygląda na Pismo Święte. Dotykam palcami kunsztownych srebrnych zdobień i podnoszę ciężkie tomiszczce, by lepiej mu się przyjrzeć.

Niestety światło kilku świec nie wystarczy do czytania. Otwieram księgę i dostrzegam wymyślny krój pisma. Przypominam sobie nabożne skupienie, z jakim mój mąż patrzył na nią tamtej nocy, gdy mnie tu przyprowadził. Zastanawiam się, czy została spisana ręcznie, czy tylko ma tak wyglądać. Kiedy przerzucam kartki, zdaję sobie sprawę, że to pierwsze. Kolejna błyskawica rozcina niebo, a mój wzrok pada na grób autora księgi. Odskakuję od niego jak oparzona, ledwie mogę złapać oddech. Nakazuję sobie spokój. Nie ma żadnych duchów. A przynajmniej nie tutaj.

Siadam w pierwszej ławce, żeby przeczekać burzę. Czuję, jak spływa na mnie taki sam spokój, jakiego doświadczałam jako dziewczynka w kaplicy w siedzibie IVI. Jericho żartował z mojej mamy, że zostawiała mnie Jezusowi do popilnowania, ale może naprawdę Bóg wtedy nade mną czuwał. Cokolwiek poprawia mi samopoczucie, ważne, że działa. Opieram się plecami o drewniane oparcie ławki i wsłuchuję w odgłos deszczu na zewnątrz. Nie wiem, ile mija czasu, ale kiedy ulewa ustaje, a słońce wychodzi zza chmur, wstaję, zdmuchuję świece, przelotnie zauważam, że wieczna lampka wciąż się pali, i wychodzę z kaplicy.

Przejaśniło się, muszę mrużyć oczy przed oslepiającym blaskiem. Przez chwilę rozkoszuję się otaczającym mnie pięknem. Deszcz sprawił, że zieleń stała się bardziej soczysta.

Kropelki pobłyskujące na liściach odbijają złote promienie słońca.

Rozglądam się dokoła i podziwiam, jak dobrze utrzymany jest cmentarz. Cóż, w większości. Zatrzymuję wzrok na grobie Nellie Bishop i ruszam w jego stronę. Otwieram furtkę w przerdzewiałym płocie, który go otacza. Jericho powiedział, że ona i Mary się przyjaźniły. Obie kobiety były niewinne, czuję to w głębi serca. Klękam w wybujałej trawie i rękami zgarniam błoto z pomnika. Przepelnia mnie współczucie dla dawno zmarłych ludzi: dla Nellie, dla Mary, nawet dla Draki St. Jamesa. Lecz nie dla Reginalda Bishopa. Na myśl o nim przeszywa mnie chłód. Taki sam, jaki czułam za każdym razem, gdy mijałam jego portret zawieszony nad kominkiem w salonie w rezydencji Bishopów. Hmm, Bishopów. Muszę pamiętać, że ja również należę do rodziny i że rezydencja była moim domem przez ostatnie trzy lata.

Odrzucam od siebie myśli o rodowej przynależności i skupiam się na Nellie. Na tym, jak ukarano ją w zastępstwie prawdziwego winowajcy. Jak widać mam ze swoją przodkinią wiele wspólnego. Na tę myśl dostaję dreszczy. Czy Jericho pogrzebie mnie obok Nellie, kiedy już ze mną skończy? Czy pozwoli, bym została zapomniana przez wszystkich, tak jak jego rodzina pozwoliła, by zapomniano o tej nieszczęśnicy? Nie, gorzej. Pozwolili, żeby posłużyła za przykład, co dzieje się z Bishopami, którzy wchodzi w drogę St. Jamesom.

Bezwiednie zaczynam wrywać rosnące wokół pomnika chwasty. Staram się go oczyścić najlepiej, jak umiem. Gdy kończę pracę, wstaję, usiłuję zetrzeć błoto z kolan i wracam na miejsce, gdzie rosną żółte kwiaty. Zrywam tyle, ile zmieści mi się w dłoniach, po czym zanoszę je na grób, żeby uczcić pamięć Nellie Bishop. Nie mam zamiaru wspominać, co jej się przydarzyło, a przynajmniej tej okropnej historii, jaką opowiedział mi mąż. Zapamiętam ją jako dziewczynę, która nie zasłużyła na swój los. Dekoruję grób kwiatami i cieszę się, że teraz wygląda tak pięknie. Że w końcu przestał być zaniedbaną mogiłą ofiary zemsty.

## 35 JERICHO

Dlaczego pozwoliłem, by słowa tego skurwiela tak mnie ubodły? Czego się w ogóle spodziewałem po spotkaniu z nim? Po co pytałem o coś, o co powinienem zapytać własnego brata? „Naprawdę masz aż tak wielką ochotę dowiedzieć się, jakie gówno płynie w twoich żyłach? Ależ ty jesteś podobny do ojca, jak dwie krople wody. Odziedziczyłeś po nim nawet te paskudne oczy. Mam tylko nadzieję, że nie popełnisz tych samych grzechów, nie wskrzesisz okropnej przeszłości”.

Wychodzę na miękką trawę i podnoszę butelkę whiskey do ust. Nawet nie zauważyłem, że zacząłem się nad sobą użalać. Nie pamiętam, o której Dex odwiózł mnie do domu z baru, gdzie zawitałem o zbyt wczesnej godzinie.

Rezydencję pogrążyła ciemność. Wszystkie światła są pogaszone. Ulewa sprawiła, że powietrze jest parne. Idę w stronę ścieżki prowadzącej na cmentarz, wdzięczny za światło księżyca, choć przecież znam drogę jak własną kieszeń. Pięć lat życia na wygnaniu nie zatarło jej w mojej pamięci.

Pogrzeb taty był ostatnim, w którym wziąłem udział. Od tamtego czasu minęło sześć lat. Nie przyjechałem, by pogrzebać Kimberly. Poprosiłem Zeke'a, żeby zadbał o pochówek, a sam poświęciłem się opiece nad córką. Fakt, że Angelique przeżyła, wciąż napawa mnie zdumieniem. Istnienie mojego dziecka to cud. A może raczej uznałbym je za cud, gdybym w nie wierzył. Przed tatą pochowaliśmy Zoë. To było straszne przeżycie. I choć domyślam się, że generalnie pogrzeby są trudne dla bliskich zmarłego, to gdy w wieku osiemnastu lat żegna się na zawsze młodszą o dwa lata siostrę, można oszaleć z żalu.

Zoë nie zostawiła listu. Wydawało mi się, że wszyscy samobójcy go piszą. Jego brak sprawił, że było nam jeszcze ciężej. Nie poznaliśmy powodu jej przedwczesnego odejścia. Nie potrafiliśmy zrozumieć podjętej decyzji. Nasza trójka zawsze trzymała się razem, a przynajmniej tak sądziłem aż do śmierci siostry. Myślę, że dla Zeke'a jej odejście stanowiło ogromny cios, w końcu byli bliźniętami. Źle to przyjął, bardzo źle. A mama... Kurwa, prawie umarła. Tylko dzięki ojcu jakoś przetrwaliśmy. Nigdy nie wspominał o śmierci córki, ale czasem słyszałem, jak schodził do piwnicy. Kazał wstawić stalowe drzwi, by żadne z nas tam nie zabłądziło. Po tym, co zrobiła Zoë, nie miał zamiaru więcej ryzykować. Osobiście uważam, że dostęp na dół powinien zostać odcięty kilka stuleci wcześniej, zaraz po śmierci Mary. Siostra powiesiła się dokładnie w tym samym miejscu, na tej samej belce. Na belce wisielców.

Ja pierdolę!

„A jak nie wiesz, o czym mówię, zapytaj Ezekiela”.

Pociągam kolejny łyk whiskey i pokonuję zakręt, za którym znajduje się cmentarz. Słowa Carltona ciągle wybrzmiewają mi w głowie, gdy dostrzegam coś, co najpierw budzi moje zaskoczenie, a potem wściekłość.

Butelka wypada mi z dłoni, kiedy podchodzę sztywnym krokiem do grobu Nellie Bishop. Ktoś go, kurwa, uprzętnął! Oczyszczył płytę nagrobną z błota oraz mchu, które nie pozwalały odczytać jej nazwiska. Wypielił chwasty i powyrywał trawę. Ułożył w prostokąt, niczym całun przykrywający szczątki, polne kwiaty. Żółte kwiaty. Ulubiony kolor Angelique. Ich jaskrawa barwa lśni w blasku księżyca, jakby się ze mnie naigrawała. Czuję gorejący płomień gniewu. Tylko jedna osoba mogła to zrobić. W moim własnym domu czai się wróg, którego sam sprowadziłem. Którego wpuściłem pod swój dach i do łóżka.

Przestaję myśleć. Na autopilocie pokonuję trasę powrotną do rezydencji. Nie potrafię sobie nawet przypomnieć, jak do niej dotarłem ani jak wszedłem na górę do swojej sypialni. Za to doskonale pamiętam irytację na widok pustego łóżka. Chociaż, jeśli mam być szczery, chyba nie mówiłem Isabelle, że ma w nim na mnie czekać.

Otwieram gwałtownie drzwi łączące nasze pokoje, a gdy widzę ją spokojnie śpiącą, kompletnie mi odpierdala. Ryk, jaki wydobywa się z głębi mojej piersi, sprawia, że żona zrywa się przerażona, gotowa do ucieczki. Nie jestem pewien, czy widzi moją twarz, lecz bez wątpienia czuje emanujący ze mnie gniew i rozumie, że w tej chwili stanowią dla niej zagrożenie.

Kiedy stawiam krok w jej stronę, Isabelle wydaje z siebie zduszony krzyk i próbuje zeskoczyć z drugiej strony, ale noga zaplątuje jej się w koc i dziewczyna spada na podłogę.

– Coś ty zrobiła? – pytam, a z każdym kolejnym słowem przybliżam się do niej.

Isabelle niezgrabnie podnosi się na czworaka. Wygląda jak krab, który próbuje schować się pod łóżkiem. Ale nie da rady przede mną umknąć. Nie dzisiejszej nocy.

Dopadam do niej, chwytam za ramię, po czym stawiam na nogi. Widzę, że chce wrzasnąć, więc przyciągam ją plecami do siebie i zakrywam jej usta ręką.

– Zamknij się.

Wrywa się i kręci głową. Dźwięki, które wydaje, są zduszone. Kiedy gryzie mnie w palec, zatykam jej nos, nie odrywając dłoni od ust. Drapie mi przedramię do krwi, bo nie może oddychać. Otaczam ją mocniej ramieniem w pasie i syczę wprost do ucha:

– Zamknij się. Słyszysz?

Kiwa głową i łka. Puszczam moją rękę. Zdaję sobie sprawę, że nie zrobiła tego z dobrej woli. Po prostu zaczęło brakować jej powietrza. Puszczam nos dziewczyny i zdejmuję dłoń z ust. Isabelle bierze kilka łapczywych oddechów. Podnoszę ją i taszczę do drzwi. Dociskam brutalnie piersiami do skrzydła, chwytam garść włosów i przekręcam jej głowę tak, by policzek wbijał się w drewno.

– Ani piśnij, bo pożałujesz. Rozumiesz?

Nie otwiera ust, tylko znów kiwa głową. Oczy ma rozszerzone z przerażenia.

Odciągam ją za włosy od drzwi, otwieram je i wlokę żonę w dół po schodach. Ponownie złapała mnie za rękę, ale jest na tyle cicho, na ile pozwalają jej okoliczności. Jedyne dźwiękami, jakie wydaje, są popłakiwanie i pociąganie nosem. Nie mam wątpliwości, że szarpaniem za włosy sprawiam dziewczynie ból. Niebawem, lecz udaje jej się pokonać schody i się nie przewrócić. Przecinamy kuchnię i wychodzimy drzwiami, które w pośpiechu zostawiłem otwarte. Teraz je zamykam.

Jak zwykle nocą powietrze jest przesycone wilgocią, ale nie pada. W ciszy słyhać tylko cykanie owadów, odgłosy nocnych zwierząt i ciężki oddech Isabelle. Puszczam jej włosy i chwytam za ramię, by zaprowadzić na cmentarz. Mamrocze coś niezrozumiale, może prosi mnie, żebym zwolnił. Nie wiem. Nie słyszę jej wyraźnie. Krew dudni mi w uszach, a im bliżej cmentarza jesteśmy, tym bardziej rośnie moja wściekłość. Jak ona śmiała?! Jak śmiała dopuścić się wobec mnie zdrady pod moim własnym dachem?!

Wie, dokąd idziemy. Wie, o co chodzi. Kiedy docieramy do kwietnego dywanu okrywającego grób Nellie Bishop, rzucam Isabelle na kolana. Ląduje na czworakach. Jest tak oszołomiona, że dopiero po dłuższej chwili udaje jej się usiąść na piętach. Rozgląda się dokoła, a potem podnosi wzrok na mnie. Cała się trzęsie. Na sobie znów ma ten jebany T-shirt. Ale to nie koszulka rozpala mój gniew do czerwoności, tylko wyraz buntu, który widzę w oczach żony – Coś ty, kurwa, zrobiła? – domagam się odpowiedzi.

Isabelle wstaje. Stopy grzęzną jej w błocie, do kolan przyklepiały się żółte płatki i zielone żdźbła trawy.

– Uprzątnęłam grób Nellie Bishop. Już dawno należało to zrobić, nie wydaje ci się, gnoju?

Popycha mnie. Nie wiem, czy naprawdę sądziła, że uda jej się coś w ten sposób osiągnąć. Ani drgnę, więc naciera ponownie.

– Kogo nazywasz gnojem? – cedzę przez zęby i ruszam do przodu, zmuszając ją, by się cofnęła. W końcu uderza tyłkiem o płytę nagrobną. Pochylam się nad nią, aż wygina się mocno do tyłu i chwytam mnie za koszulę na piersi. – I kim w takim razie jesteś ty, Bishop?

– Upiłeś się, Jericho. Wali od ciebie whiskey. Weź się odpieprz. – Znów czuję pchnięcie. „Jericho”. Po raz pierwszy z własnej woli zwróciła się do mnie po imieniu. Po raz pierwszy jej tego nie nakazałem. Z jakiegoś powodu fakt ten sprawia, że się prostuję. Spoglądam na twarz Isabelle. W mroku nocy błękitne oczy wydają się czarne.

Przesuwam wzrok niżej, na fragment klatki piersiowej, który wystaje zza rozciągniętego dekoltu. T-shirt musi być naprawdę wiekowy. Przyglądam się jej udom, bosym stopom. Otaczam dziewczynę ramieniem w talii, a drugą ręką sięgam pod koszulkę i szybkim ruchem ściągam majtki do kostek.

– Co ty wyprawiasz?!

Nie zwracam uwagi na protesty. Nadeptuję na skrawek białego jedwabiu, który zsuwa się jej ze stóp, gdy podnoszę ją i sadzam na nagrobku.

– Pokazuję ci, gdzie jest miejsce Bishopów w moim domu – oznajmiam, po czym rozpinam pasek, potem guzik, na końcu suwak spodni. – Pokazuję ci, do czego jedynie się nadajesz.

Chwytam dłonią tył szyi Isabelle, a wolną ręką unoszę jej nogę. Uginam lekko kolana i wsuwam się do środka jednym ruchem bioder. Dziewczyna wzdycha głośno. Zaczynam pchać. Mógłbym przysiąc, że gdy zanurzam się w jej ciepłym, ciasnym wnętrzu, czuję, jakbym wracał do domu po długiej nieobecności. Nie powinno tak być.

„To tylko naczynie. Członkini rodziny Bishopów. Ruchadło. Rzecz, którą się używa, a potem wyrzuca. Środek do celu.” Tak właśnie powinienem myśleć, ale kiedy trzymam ją mocno i wsuwam się w nią rytmicznie, zupełnie inne myśli kołaczą się w mojej głowie.

– Ja... Ja... – jąka się. Kolejne pchnięcie sprawia, że słowa zamierają jej na ustach, a palce wpijają się mocno w moje ramiona.

– Robisz się mokra, Isabelle – mówię i uśmiecham się złośliwie. Po moim następnym ruchu odchyła głowę. – Czyżbyś nie mogła się doczekać mojego kutasa?

Oddycha z trudem. Ciągnę ją za włosy, żeby mocniej wygięła szyję. Chcę patrzeć na twarz żony, kiedy ją pieprzę. Isabelle dyszy coraz głośniej. Usta ma na wpół otwarte. Czuję, jak cipka zaciska się bardziej i bardziej, jakby chciała zatrzymać mnie w wilgotnym wnętrzu.

– Och... musisz... przestać... – udaje jej się wysapać między pchnięciami.

– Wymów moje imię. Wymów je, gdy będziesz dochodzić.

– Nienawidzę cię. – Nadal próbuje się opierać, zaprzeczyć temu, co oczywiste, ale oczy same jej się zamykają. Czuję pulsowanie wokół członka.

– Wymów je!

Powieki Isabelle unoszą się gwałtownie. Zaraz będzie szczytować i, ja pierdołę, na ten widok robię się jeszcze twardszy. – Nienawidzę cię, Jerichu St. Jamesie! – rzuca mi w twarz, nim jej głowa wtula się w moją dłoń, która nie jest już zwinięta w pięść na włosach dziewczyny. Następny skurcz wydiera z gardła dziewczyny krzyk. Ja także dochodzę. Orgazm jest tak cholernie intensywny, że przez dobrą minutę nie widzę nic poza twarzą Isabelle. Reszta świata to tylko ciemne plamy. Ekstaza, która nadchodzi, jest silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Nigdy nie przeżyłem czegoś podobnego.

Gdy jest już po wszystkim, nogi żony zwisają bezwładnie, a ręce ledwie się o mnie opierają. Robię krok w tył, trzymając ją w uścisku. Wychodzę z niej i stawiam na ziemi. Z cipki wypływa sperma i kapie jej na uda. Isabelle dotyka stopami podłóża, lecz kolana się pod nią uginają i muszę ją podtrzymać. Stoimy tak przez dłuższą chwilę i po prostu na siebie patrzymy.

Jak wrogowie.

„Kochankowie”.

Kiedy tylko to słowo formuje się w mojej głowie, gniew znów bucha takim płomieniem, że nie wiem, czy uda mi się go powstrzymać.

„Nie! Nie kochankowie! Nigdy!”

Myślenie o niej w tych kategoriach to zdrada wobec wyznawanych wartości, wobec własnego nazwiska.

Popycham żonę tak, by upadła na kolana, co nie okazuje się zbyt trudne. Chwytam ją za włosy. Skomle, ale nie ma dość siły, żeby się wyrwać.

– Teraz mnie wyczyść – nakazuję. W odpowiedzi patrzy mi w oczy. Zacieśniam chwyt.

– Ustami i językiem. Wyliz mnie do czysta w miejscu, gdzie nasienie St. Jamesa wypływa z ciebie wprost na grób twojej przodkini.

Zaciska mocno usta i odpycha się dłońmi od moich ud. Nachylam się i odciągam jej głowę do tyłu.

– Zrób to albo każę ci wypiąć dupę i wychłoszczę pasem. Powiniennem był to zrobić podczas ceremonii. Najwyraźniej za bardzo ci pobłażam.

Żona mruga kilkakrotnie i ociera oczy wierzchem dłoni.

– No dalej, Isabelle.

– Nienawidzę cię.

– Jebie mnie to. – Uśmiecham się złośliwie i prostuję plecy. – Jeśli spróbujesz mnie ugryźć, złożę ci skórę. Wyrażam się jasno?

– Pierdol się!

– Wyrażam się, kurwa, jasno?!

– Tak!

Przyciągam jej głowę do fiuta, który nie zdążył jeszcze całkiem zmięknąć po ostrym rżnięciu i wciąż jest pokryty naszymi zmieszanyymi sokami. Usta Isabelle rozchylają się i... O ja pierdołę! Ciepły, wilgotny język przesuwa się wzdłuż kutasa. Kurwa! Zaraz znów zrobię się twardy jak stal. Jej dotyk, widok klęczącej przede mną sylwetki, sposób, w jaki mnie liże i ssie, sprawiają, że ledwie mogę ustać na nogach. Przyglądam się, jak porusza rytmicznie głowę, a ona wpatruje mi się w twarz. Oczy ma wielkie, okrągłe i z każdym pchnięciem coraz bardziej wilgotne. Zaczyna się dławić.

– Oddychaj przez nos.

Brak jej doświadczenia, jednak zupełnie mi to nie przeszkadza. Kieruję głowę dziewczyny, rytmicznie pompując. A potem wchodzę po same jaja i czuję, jak na znak protestu zaciska się jej gardło. W ułamku sekundy powtórnie szczytuję. Kutas pulsuje, wtłaczając spermę. Patrzę, jak Isabelle przełyka. Uwalniam ją, dopiero kiedy kończę. Pada w przód, lądując na rękach. Dyszy i pluje. Kucam przy niej, łapię ją za szczękę, by zacisnąć jej usta i zmusić, by na mnie spojrzała.

– Nie marnuj mojego nasienia. Połknij wszystko.

Trzymam ją, dopóki tego nie robi. Łzy ciekną jej po policzkach. Gdy zwalniam uścisk, wyciera twarz ubłoconymi dłońmi. Upycham fiuta w spodniach i patrzę na nią. Wydaje się taka drobna, taka cholernie krucha i bezbronna, kiedy otacza się ramionami i za czymś rozgląda.

Nagle jej widok, widok klęczącej przede mną, pociągającej nosem, kompletnie

zagubionej żony, otrzeźwia mnie. A może to pieprzenie sprawiło, że wytrzeźwiałem. Zresztą niezależnie od powodu nie podoba mi się obraz, który mam przed sobą. I gdy Isabelle zwraca na mnie wielkie, wypełnione łzami oczy, czuję się jak sukinsyn roku.

– Mogę iść? Na dziś skończyłeś mnie upokarzać? – pyta. Próbuje przybrać oburzony ton, lecz w jej głosie pobrzmiewają żal i uraza.

„Kurwa mać!”

Nie odpowiadam. Nie potrafię. Nie mam pojęcia, co mógłbym jej powiedzieć.

Robię krok w tył i natrafiam na butelkę, która wcześniej wypadła mi z ręki. Leży na boku. Podnoszę ją i wypijam resztki zawartości. Łyk whiskey zmieszanej z błotem. Odwracam się od dziewczyny klęczącej pośrodku pierdolonego cmentarza. Od dziewczyny, którą niszczę kawałek po kawałku.

– Idź stąd – mówię ochrypłym głosem i ruszam w stronę kaplicy. Nie jestem w stanie spojrzeć Isabelle w twarz.

– Czekala na ciebie, gnoju! – krzyczy za mną, kiedy docieram do schodków. Zatrzymuję się zaskoczony. – Całe popołudnie! Wiedziałeś o tym?! Pomyślałeś o niej chociaż raz?!

Odwracam się, żeby na nią popatrzeć. Robi kilka niepewnych kroków w moim kierunku.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – pytam i ruszam ku niej.

Cofa się chwiejnie.

– O Angelique! Założyła ulubiony kostium kąpielowy, zebrała wszystkie zabawki i czekała na ciebie. W końcu ze zmęczenia usnęła na podłodze pod frontowymi drzwiami, kutasie. Ty jebany, samolubny kutasie! Obiecałeś jej, że nauczysz ją pływać. Ale chyba o tym zapomniałeś, bo byłeś zbyt zajęty chlaniem! – rzuca, wskazując na butelkę.

„Kurwa mać!”

Gdy się nie odzywam, głos Isabelle nabiera mocy, jakby czerpał ją z mojego milczenia.

– Rozumiem, że mnie nienawidzisz. Chociaż nie, właściwie nie potrafię tego pojąć. Nienawidzisz mojego brata i w twoim chorym, pokręconym umyśle jawię się jako środek do jego zniszczenia. Ale własna córka? Wyrządzasz jej krzywdę. Przeszło ci to w ogóle przez głowę? Może czas przestać myśleć o sobie i zacząć myśleć o niej? A odkąd tu jestem, jeszcze ci się to nie zdarzyło! – Odwraca się, by odejść, lecz po chwili rusza w moją stronę. – Wiesz co? Lepiej by jej było bez ciebie.

Jej słowa uderzają mnie jak pięść. Celnie. Mam wrażenie, że mózg obija mi się o czaszkę. Robię chwiejny krok do tyłu, potykam się i upadam tyłkiem na stopień. Pusta butelka toczy się po ziemi. Spodziewam się, że Isabelle nie skończyła. Że skrupulatnie wymieni, jak jeszcze zawiodłem córkę. I ma rację. Nie jestem dobrym ojcem. Angelique byłoby lepiej beze mnie. Kurwa, dobrze to wiem. Zawsze wiedziałem.

Lecz Isabelle milczy. Stoi w miejscu i pociera oburącz twarz.

– Cholera – mruczy do wnętrza dłoni. – Jericho... Ja nie... Nie chciałam tego powiedzieć.

Wciąż myślę, że córce byłoby lepiej beze mnie. I choć to najszczerza prawda, jak dotąd nikt nie okazał się na tyle odważny, żeby powiedzieć mi to prosto w twarz. Gdy Kimberly nosiła pod sercem nasze dziecko, uważałem, że będzie na tyle dobrą matką, by wystarczyć za nas oboje. Ale jej nie ma, a po tych wszystkich latach spędzonych wyłącznie ze mną jako opiekunem moja córka zasługuje na kogoś lepszego.

– Jericho?

„Na kogoś znacznie lepszego niż ja”.

– Jericho, zimno mi.

Isabelle przyciska ramiona do ciała i mocno się trzęsie.



Podnoszę na nią wzrok.

– Idź.

Przygląda mi się i przez moment się waha.

– Chodź ze mną.

Potrząsam głową i zerkam na pustą butelkę. Ileż bym dał, żeby była pełna.

– Potrzebuję cię, Jericho.

Wpatruję się w jej twarz, usiłując coś z niej wyczytać.

– Wcale mnie nie potrzebujesz.

– Proszę.

Patrzę, jak stoi na bosaka w tej swojej znoszonej koszulce i ściska w ręce majtki. Stopy ma pewnie całe poranione. To przeze mnie. Jej także wyrządziłem krzywdę. Tylko to umiem robić.

Zostawiam butelkę tam, gdzie leży, i wstaję. Isabelle wciąż się mnie boi, bo cofa się kilka kroków. Dopiero po chwili się zatrzymuje. Kiedy do niej podchodzę, przyglądam się jej. Jest mokra i ubłocona, a mimo to czeka na mnie, chociaż już dawno mogła sobie pójść. Przecież jej kazałem. Z jakiegoś powodu nie potrafię spojrzeć żonie w oczy. Podnoszę ją, przytulam zimne, drżące ciało do swojej piersi i niosę Isabelle do domu.

Sadzam dziewczynę na brzegu wanny i oglądam jej stopy, łydki pokryte błotem, zniszczony T-shirt.

– Zdejmij koszulkę.

Przenoszę uwagę na obszerną wannę. Kiedy Isabelle wykonuje polecenie, odkręcam wodę i sprawdzam jej temperaturę, po czym wracam wzrokiem do żony. Stoi naga, jednym ramieniem zakrywa piersi, drugą rękę położyła na trójkącie między nogami.

Powstrzymuję się od komentarza.

– Wskakuj.

Czuję się jak skończony kutas. Skończony, samolubny kutas. Oskarżenia Isabelle nie były bezpodstawne. Przyglądam się, jak wchodzi do wanny i siada. Przyciąga kolana do brody i czeka, aż zbiornik napelni się wodą.

Bez słowa używam słuchawki prysznicowej i myjki, by zmyć z niej błoto. Wypuszczam brudną wodę i nalewam czystą. Zakręcam kran, dopiero gdy woda sięga jej niemal do ramion. Dziewczyna rzuca mi ukradkowe spojrzenia, ale ja nie mogę oderwać od niej wzroku. Ściągam koszulkę i siadam na brzegu wanny, za plecami żony. Nie chcę, by widziała moją twarz. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Gdy ona przyciska ramionami kolana do klatki piersiowej, biorę słuchawkę i płuczę jej włosy.

– Masz rację – mówię w końcu.

Odgarniam długie pasma z pleców i przerzucam je przez ramię. Wpatruję się w tatuaż. Wygląda dobrze. Nie pozostawia wątpliwości, do kogo należy Isabelle. Zastanawiam się nad karmą. Nad tym, dlaczego dziewczyna trafiła w moje ręce.

Żona odwraca się, by spojrzeć mi w oczy, a ja zmuszam się, by odwzajemnić spojrzenie.

– Kimberly byłaby dla niej dobrą matką. Byłaby lepszą matką, niż ja jestem ojcem.

Wiem o tym. Zawsze wiedziałem.

– Nie chciałam powiedzieć, że Angelique byłoby lepiej bez...

Podnoszę dłoń, by ją uciszyć.

– To prawda.

Nigdy wcześniej nie wypowiedziałem tego na głos. Ani razu przez pięć lat. Chociaż zawsze zdawałem sobie z tego sprawę. Isabelle siada przodem do mnie.

– W takim razie napraw to.

– Już za późno.

– Wcale nie. Napraw to.

Naprawdę jest za późno. A może jednak nie?

– Jak?

– Spędzaj z nią czas. Ona nic więcej nie potrzebuje. Po prostu bądź jej tatą i poświęć Angelique swój czas.

– Nie mogę...

– Możesz, Jericho. To kwestia wyboru. Tak jak mi kiedyś powiedziałaś, wszystko jest kwestią wyboru. A ty musisz wybrać Angelique.

Zaciskam szczęki. Isabelle ma rację. Wstaję, biorę z półki szampon oraz odżywkę – chyba Catherine je tutaj postawiła – i wracam do żony.

– Odwróć się.

Dziewczyna patrzy na butelki i posłusznie spełnia prośbę. Siedzimy w milczeniu, gdy myję jej włosy. Ciszę przerywa jedynie kapanie wody do wypełnionej niemal po brzegi wanny i odgłos moich palców wmasowujących szampon w skórę głowy. Staram się być ostrożny. W końcu jakąś godzinę wcześniej prawie powyrywałem Isabelle całe pasma.

W międzyczasie rozmyślam o tym, co zamierzam z nią zrobić. O jej przeznaczeniu. Nie zasłużyła na nie. Nie zasłużyła ani na mnie, ani na Carltona Bishopa, ani na to wszystko, co przytrafiło jej się w życiu. O połowie rzeczy nie ma bladego pojęcia. A jednak jesteśmy tutaj oboje.

Kiedy kończę, wyciągam dziewczynę z wanny, wycieram i zanoszę do łóżka.

– Uklęknij. Plecami w moją stronę.

Przygląda się podejrzliwie, jak wyciągam z szuflady nocnego stolika tubkę maści. Po chwili orientuje się, co zamierzam zrobić. Siada na piętach tyłem do mnie i przerzuca włosy przez ramię, żeby odsłonić plecy. Przyglądam się jej przez dłuższy moment. Jest piękna. Taka piękna. I taka młoda. Naprawdę nie zasługuje na to wszystko.

Wcieram maść w tatuaż, a potem odwracam Isabelle do siebie i pieprzę. Tym razem robię to delikatnie, smakując ją, podniecając, nim wsuwam się na całą długość. Nie spieszę się, chcę wszystko dokładnie poczuć. Wpatruję się w twarz żony, starając się zapamiętać jej rysy. Pcham głęboko, ale z wyczuciem. Nie mam zamiaru sprawić bólu, jedynie rozkosz. Gdy dziewczyna szczytuje, odchylam się nieco, by móc się temu przyglądać. Wiem, że to ulotna chwila, minie, nim się obejrzymy. I wiem też, że pełne nadziei spojrzenie w oczach Isabelle zgaśnie, gdy pozna moje dalsze plany. Lecz nie mam innego wyjścia. Cóż, myliłem się. Nie wszystko zależy od naszych wyborów. Niektórymi decyzjami rządzi przeznaczenie. A moim przeznaczeniem jest zniszczyć jej przyszłość.



### 36 ISABELLE

Budzę się sama w łóżku Jericha. Zerkam na zegarek. Jest kilka minut po dziewiątej. Ciekawe, kiedy się wymknął. Powinnam to zauważyć, poczuć ruch materaca albo nagłą utratę ciepła. Przecież trzymał mnie w objęciach całą noc. Zasnęłam wtulona w jego pierś.

Siadam i przecieram twarz. Co jest ze mną nie tak? To, co zrobił wczorajszej nocy, było przerażające. On był przerażający. A kiedy powiedziałam to, co powiedziałam, gdy rzuciłam mu w twarz bolesne słowa, ledwie poznałam samą siebie. Nie jestem taka. Nie sypię ludziom soli na mentalne rany, niezależnie od tego, kogo mam przed sobą.

Ale w tym przypadku nie chodziło o to, by zranić Jericha. Wszystko, co powiedziałam, było prawdą. Patrzyłam, jak słodka dziewczynka zasypia oparta o drzwi wyjściowe, w oczekiwaniu aż tatuś wróci i zgodnie z obietnicą nauczy ją pływać. Nawet nie chciała zdjąć żółtego, falbaniastego kostiumu kąpielowego. Wciąż pęka mi serce, gdy przypominam sobie ten widok.

Kiedy w końcu poszła do łóżka i zapytałam ją, czy wszystko gra, szybko odwróciła ode mnie wzrok, bym nie zobaczyła, że płacze. A ja, jak głupia, wymyśliłam dla męża wymówkę. Powiedziałam Angelique, że niespodziewanie wypadło mu ważne spotkanie. Co za popieprzona sytuacja. Ale jedno wiem na pewno. Lepiej mieć jakiegoś rodzica, nawet tak niedostępnego jak Jericho St. James, niż żadnego.

Wstaję i idę do siebie, żeby wziąć prysznic. Pamiętam, by połknąć tabletkę antykoncepcyjną, nim wychodzę z łazienki. Zakładam luźną sukienkę, bo choć noce są już dość chłodne, w dzień wciąż możemy cieszyć się ciepłem. Idę na dół.

W jadalni zastaję Ezekiela pijącego kawę i czytającego gazetę. Nie widziałam go od ślubu, a właściwie od ceremonii naznaczenia. Czuję, jak moja twarz płonie żywym ogniem na samo wspomnienie wydarzeń, których był świadkiem. Zmuszenia mnie, żebym uklękła, przykucia do dybów, obnażenia pleców przed ich wytatuowaniem.

Zeke odkłada gazetę na stół i przygląda mi się. Uśmiecham się półgębkiem i spuszczam wzrok. Okrażam stół, by podejść do jedyne miejsce, które nie zostało uprzątnięte po śniadaniu. Chyba zostawiono je dla mnie. Biorę do ręki kubek.

– Kawy czy herbaty? – pyta mężczyzna i wstaje.

– Kawy poproszę.

Kiwa głową, podnosi dzbanek i nalewa napar.

– Usiądź i zjedz coś – mówi, nim realizuję plan czmychnięcia z powrotem do swojej sypialni. – No siadaj, Isabelle, nie gryzę. – Twój brat też tak twierdził – odpowiadam nie wiedząc czemu. Nie czekam na komentarz z jego strony, tylko nakładam do miseczki owoców i zalewam je jogurtem.

– Nie jestem moim bratem. Jednak co do niego masz rację. Bez wątplenia umie pokąsać.

Podnoszę na niego wzrok i widzę, że się uśmiecha. Nie potrafię się odwzajemnić.

Zeke do mnie podchodzi. Siedzę niczym trusia i cała się spinam, kiedy czuję, jak muska palcami moje ramię.

– Mogę? – pyta.

Odwracam się i patrzę na niego pytająco.

– Tatuaż – wyjaśnia. – Chciałbym go zobaczyć.

Waham się. Nie mam wątpliwości, że Jericho nie chciałby, żebym odsłaniała plecy przed

jego bratem. Poza tym nie jestem pewna, czy mnie samej podoba się pomysł pokazywania znaku komukolwiek poza mężem, pokazywania swojego ciała. Lecz zrobiło się ciut niezręcznie, więc przerzucam włosy przez ramię. Sukienka kończy się tuż nad łopatkami.

Ezekiel gwizdże i palcem śledzi kontur jednego ze smoków. Przez moment odnoszę wrażenie, że zaraz odepnie suwak, by zobaczyć więcej. Po chwili zdaję sobie sprawę, że dotyka blizny biegnącej wzdłuż kręgosłupa.

– Jericho kazał tak zaprojektować wzór, by zakrył szramę. Ale pewnie ci o tym nie wspomniał.

– Słucham?

– To dlatego tatuaż ciągnie się przez całe plecy.

Czuję się zdezorientowana, jednak zaraz uświadamiam sobie motywację męża. Kręcę głową na własną głupotę.

– Aż tak mu się nie podobała? Nie mógł znieść jej widoku? – Blizna rzeczywiście jest paskudna, ale Jericho może się walić.

Zeke kładzie jedną rękę na stole i nachyla się do mojego ucha.

– Jeśli cię skrzywdzi, zawsze możesz przyjść do mnie.

Jego szept wywołuje dreszcz.

– Bracie. – Głos dobiega z korytarza. Przypomina dźwięk wydawany przez grzechotnika. Niesie ze sobą ostrzeżenie.

Wzdycham głośno i się odwracam. Choć ja jestem zdziwiona widokiem męża stojącego w progu, Zeke uśmiecha się bez skrępowania, jakby od początku wiedział, że zostanie nakryty.

– Bracie – powtarza.

Jericho trzyma na ramieniu Angelique ubraną w kostium kąpielowy. Mała jedną ręką otacza szyję taty, w drugiej trzyma ulubioną maskotkę. Jeszcze nigdy nie widziałam St. Jamesa w tak niezobowiązującym stroju. Ma na sobie kąpielówki i T-shirt. Ale wyraz jego twarzy jest groźniejszy niż kiedykolwiek. Gdyby nie obecność córki, chwyciłby brata za gardło.

– Wujku Zeke, popływasz z nami?

– Chętnie bym to zrobił, królowno, ale niestety mam spotkanie. Zobaczymy się później.

– Chwileczkę – mówi Jericho i podnosi rękę, by go zatrzymać, po czym stawia córkę na podłodze. – Kochanie, idź do kuchni i poproś Catherine, żeby zrobiła nam lemoniady. Zaraz do ciebie dołączę.

Angelique waha się i wpatruje w ojca. Ten uśmiecha się do niej, ale widzę, że to wymuszony uśmiech.

– Pomogę ci – mówię i wstaję.

Mąż rzuca mi spojrzenie.

– Ty zostań.

Siadam z powrotem.

– Tatusiu?

– Leć, Angelique. Muszę porozmawiać z wujkiem. Zajmie mi to minutkę.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– No dobrze – zgadza się w końcu niechętnie.

Jericho odprowadza córkę wzrokiem. Przyglądam mu się uważnie. Gdy dziewczynka znika za drzwiami, odwraca się w stronę brata. Ma mord w oczach.

– Czyżbym wam w coś przeszkodził? – syczy i podchodzi do Zeke'a.

– Chciałem tylko rzucić okiem na tatuaż.

– Nie dość się napatrzyłeś podczas ceremonii?

- Znasz zasady. Moja obecność była konieczna.
- Ale nie odwracałeś wzroku, gdy tatuowałem wzór.
- A po co miałbym to robić?

Trafiła kosa na kamień. Bracia są do siebie podobni pod wieloma względami. Ten sam wzrost, ta sama budowa ciała. Lecz Jericho pała gniewem, a Ezekiel w swoim zwyczajowym swobodnym stylu pochyla się w kierunku brata, aby mu pokazać, że nic a nic się go nie boi.

- Spokojnie. Isabelle jest twoja – mówi w końcu Zeke.
- Nie zapominaj o tym.

Przez dobrą minutę po prostu się w siebie wpatrują. Zastanawiam się, co oznaczają ich spojrzenia. Wyczuwam napięcie między mężczyznami i bezwiednie zaczynam myśleć o Kimberly.

– Ależ pamiętam. O niewielu rzeczach zapominam. – Ezekiel odwraca się do mnie i rozciąga wargi w uśmiechu. – Isabelle, moje słowa pozostają w mocy.

Wychodzi, nie czekając na odpowiedź. I całe szczęście, ponieważ nie wiem, jak miałabym zareagować. Jericho staje za moim krzesłem, a ciało natychmiast reaguje na jego bliskość. Każdy włoszek się unosi.

- Co ci powiedział?
- Nie pamiętam.
- Czyżby?

Kiwam głową ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Mąż pochyla się i opiera brodę w miejscu, gdzie mój bark łączy się z szyją. Po kręgosłupie przebiegają mi ciarki.

- Dotknął cię?
- Nie.
- Na pewno?
- Na pewno – odpowiadam piskliwym głosem.
- Należysz do mnie, Isabelle. Rozumiesz?
- Odwracam głowę na tyle, by widzieć jego oczy.
- Rozumiesz?
- Tak.

– To dobrze. – Całuje mnie w szyję. Kiedy odsuwa usta od skóry, czuję dreszcz. – Bo jeśli kiedykolwiek ktoś cię tknie, poucinam mu łapy.

Wciągam ze świstem powietrze, a Jericho robi kilka kroków w tył. Patrzę na niego, zszokowana tym oświadczeniem oraz okrucieństwem w nim zawartym.

- Dokończ śniadanie i przebierz się w bikini. Czekam na ciebie na basenie.
- Zeke nie miał na myśli nic zdrożnego.
- Doprawdy? – Mąż sięga ręką, żeby capnąć kawałek bekonu z półmiska. – Nie znasz naszej historii, Isabelle. Lepiej trzymaj się od niego z daleka.

– Lemoniada gotowa! – oznajmia Angelique, która właśnie wyszła zza rogu, i wymachuje plastikową butelką.

- Jericho nie spuszcza ze mnie wzroku.
- To świetnie – mówi. – Bo bardzo chce mi się pić.

Wsuwa plasterek bekonu do ust, wyciera palce w moją serwetkę i rzuca ją na stół, po czym odwraca się do dziewczynki i wychodzi z nią z jadalni, jakby nagle stał się zupełnie innym człowiekiem. Jakby nie był już tym facetem, który przed momentem groził, że obetnie ręce własnemu bratu. Nie tym, który tak upokarzająco potraktował mnie w nocy. Patrząc na jego plecy, zaczynam się zastanawiać, który z nich dwóch to prawdziwy Jericho St. James.



## 37 ISABELLE

Tak. Przy córce mąż jest zupełnie innym człowiekiem. Obserwuję, jak baraszkują, ale trzymam się na uboczu. Moczę nogi w wodzie i pilnuję Misi, gdy oni pluskają się i śmieją. Jericho udaje rekina, a mała aż piszczy z radości, kiedy podgryza jej paluszki u stóp. Uczy ją, jak położyć się plecami na wodzie, jak pływać pieskiem. Napomina, by nigdy nie wchodziła sama do basenu. Słowem: świetnie się bawią. To dziwny widok. I słodki. To, co mam przed oczami, kłóci się z tym, czego byłam świadkiem kwadrans temu. Gdzie się podział facet, który odgrażał się każdemu, kto ośmieliłby się mnie tknąć? Nie wiem, jak pogodzić ze sobą dwa tak różne oblicza tego samego mężczyzny. Angelique uwielbia ojca, a ciesząc się jego pełną uwagą, lśni wewnętrznym blaskiem.

– Isabelle! – woła Jericho z drugiego krańca basenu. – Dołącz do nas!

Odkładam Misię, wślizguję się do wody i sunę w ich stronę.

– Belle, popatrz!

Zatrzymuję się jakiś metr od Angelique. Jericho niechętnie wypuszcza ją na chwilę. Mała idzie pod wodę, ale w mgnieniu oka jej głowa wynurza się i dziewczynka płynie do mnie z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Wow!

Klaszczę i wyciągam ręce, żeby ją złapać. Udaje jej się utrzymać na wodzie zaledwie przez parę sekund, lecz świetnie sobie radzi jak na początek. Pływa ode mnie do ojca i z powrotem, dopóki nie dopada jej zmęczenie.

Do basenu podchodzi Leontine i posyła nam pełen ciepła uśmiech.

– Proszę, proszę – mówi do uradowanej Angelique.

– Babuniu, umiem pływać!

– Właśnie widzę, kochanie – odpowiada teściowa i rozwija żółty ręcznik, który pasuje kolorem do kostiumu kąpielowego wnuczki.

– Może tatuś popływa jeszcze z tobą trochę później, ale teraz musisz się przebrać i przygotować do lekcji. Pani Strand niedługo się zjawi.

Na wzmiankę o kobiecie Angelique wygląda, jakby uszło z niej powietrze.

– Nie chcę jej.

– Nie wygaduj głupstw, to twoja nauczycielka – upomina ją babcia.

– Dlaczego nie mogę chodzić do przedszkola tak jak Nina?

Twarz Jericha zasnuwa mrok, lecz Leontine odzywa się, nim udaje mu się odpowiedzieć na pytanie córki.

– Chodź, kochanie. Catherine przygotowała dla ciebie przekąskę. A później będziecie mogły z Niną zjeść po kawałku ciasta.

Teraz się pospieszmy. Mała wydyma usta, ale Jericho wynosi ją z basenu i stawia na brzegu, gdzie babcia owija ją ręcznikiem i bierze na ręce.

– Nie lubię jej – mamrocze Angelique pod nosem. – Jest naprawdę niemiła.

– Nie przesadzaj, wcale nie jest taka zła. Po prostu musicie się do siebie przyzwyczaić – mówi Leontine, gdy Jericho przewiązuje się w pasie ręcznikiem.

Podpływam do krawędzi i wspinam się po drabince.

– Nie zapomnij o Misi! – wołam do małej.

– Pójdiesz ze mną na lekcje? – pyta, odbierając ode mnie pluszaka.

Chociaż nie mam pewności, czy pani Strand spodoba się ten pomysł, kiwam głową, ponieważ po pierwszym, przelotnym wprawdzie, spotkaniu z tą kobietą doskonale rozumiem Angelique. Na mnie też nie wywarła dobrego wrażenia.

– Przyjdę, jak tylko wezmę prysznic.

– Dobrze – odpowiada i pozwala się odprowadzić Leontine, która na odchodnym piorunuje mnie wzrokiem.

Jericho odwraca się w moją stronę i mi się przygląda. Założyłam jedno z bikini znalezionych w komodzie. Ciekawe, czy wybrał je osobiście. Owijam się leżącym nieopodal ręcznikiem. Na mojej twarzy wykwita rumieniec, gdy napotykam jego wzrok.

– Poznałaś tę kobietę?

– Przelotnie.

– Jaka ona jest?

– Nie wiem.

– Pierwsze wrażenie.

– Naprawdę chcesz znać moją opinię?

– Myślę, że leży ci na sercu dobro Angelique. Niezależnie od tego, jakie uczucia żywisz wobec mnie.

Cóż, ma rację.

– Spędziłam na lekcji tylko kilka minut.

– No i?

– Twoja córka to bardzo wrażliwe dziecko, a pani Strand chyba nie jest do takich przyzwyczajona.

– Nie lubisz jej.

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś. Angelique myśli, że będziesz ją uczyć muzyki. Obiecałaś jej to?

– Nie do końca. Obiecałam, że dla niej zagram.

– Czyli powinienem zatrudnić jeszcze nauczycielkę muzyki.

– Nie ma takiej potrzeby. Mogę nauczyć ją podstaw.

– Nie słyszałem, jak grasz.

Przyglądam mu się przez moment.

– Jak się nad tym zastanowić, to wiesz... Ostatnio jakoś nie jestem w odpowiednim nastroju.

Jericho bierze głęboki wdech, a potem wypuszcza wolno powietrze. Ale kiedy otwiera usta, żeby coś powiedzieć, na patio wychodzi Dex. Mężczyzna patrzy na mnie, potem na szefa.

– Mam informacje, o które prosiłeś.

St. James wpatruje mu się w oczy i kiwa głową.

– Daj mi chwilę. Muszę wziąć prysznic.

Dex wraca do domu, a mąż kładzie mi rękę na plecach i kieruje mnie na górę.

– Jeśli chcesz, żebym rozważył twoją prośbę o wznowienie lekcji gry na skrzypcach, to zacznij uczyć Angelique. I nastrój się odpowiednio, cokolwiek to, kurwa, znaczy.

Wchodzimy do jego sypialni.

– Mówisz poważnie? Pozwoliłbyś mi na znów brać lekcje?

– Nie rzucam słów na wiatr, Isabelle.

– Jasne.

Zamyka za nami drzwi na klucz.

– Jeśli mała będzie chciała później popływać, to idź z nią. Tylko nie spuszczaaj z niej



OCZU.

– Przecież wiem. Żadnego dziecka nie zostawiłabym w basenie bez nadzoru.

– Przypomniało ci się już, co powiedział mój brat? – pyta niespodziewanie i przewierca mnie wzrokiem na wylot, jakby miał w oczach lasery.

– Nie – odpowiadam po kilku sekundach wahania.

– Nic a nic?

Potrząsam energicznie głową.

– Kłamczuszka.

Przesuwa po mnie spojrzeniem i kładzie rękę na moim karku. Chwilę później stanik od kostiumu ląduje na podłodze, a krawędź łóżka wbija mi się w zgięcia pod kolanami, ale daję radę ustać na nogach. Jericho wsuwa palce w moje włosy, a wolną dłoń kładzie na piersi i kciukiem trąca twardej skóry sutek. Schyla się, by go polizać, potem possać. Wciągam głośno powietrze, gdy przygryza brodawkę i ją ciągnie. Doznanie balansuje na granicy bólu i natychmiast sprawia, że czuję rozchodzącą się między nogami falę ciepła.

Mąż wypuszcza brodawkę spomiędzy zębów i prostuje się, by mnie pocałować. Ręka, którą dotąd pieścił piersi, sunie teraz w dół pleców. Po kilku sekundach majtki od kostiumu dzielą los stanika. Jericho kładzie mi dłonie na pośladkach. Źrenice mężczyzny są rozszerzone, oddech nierówny, napiera brzuchem na mój brzuch. Skórę ma chłodną, a przez mokre kąpielówki czuję, jak bardzo jest podniecony.

Przesuwa ręce z tyłka na biodra i lekko mnie popycha. Tylko tyle trzeba, żebym wylądowała plecami na materacu. Wtedy staje nade mną, rozchyła mi nogi swoimi i ściąga spodnie. Nie pierwszy raz widzę jego kutasa, chociaż właściwie częściej go w sobie czułam. Jednak patrzenie na nagiego Jericha w świetle dnia to zupełnie co innego. I nowego. Zachłannie sycę wzrok widokiem męskiego ciała, szerokich ramion, muskularnej piersi, tatuażu wijącego się wokół silnych ramion. Gdy chwyta członek i zaczyna poruszać ręką w przód i w tył, czuję rosnące podniecenie. Jakiż on wielki! Och, przecież wiedziałam to już wcześniej.

Pochyla się nade mną, każe unieść nogi i oprzeć stopy na materacu, by mieć lepszy widok. Sam klęka na łóżku jednym kolanem, nie przestając się pieścić. Przez głowę przemyka mi myśl, że chciałabym zobaczyć, jak szczytuje. Obserwować, jak sam doprowadza się do orgazmu. Ta wizja sprawia, że twarz oblewa mi się rumieńcem. Jericho wolną ręką chwyta mnie za udo i rozwiera szeroko nogi. Jego kutas czeka przy moim wejściu. Jestem na niego gotowa. I wyglodniała.

Kiedy wchodzi, wydaję głośny jęk. Co za cudowne uczucie! Zakrywam usta dłonią, ponieważ boję się, że mogłabym narobić hałasu. – Sypialnia jest wytłumiona – mówi mąż i pochyla się nade mną, by polizać sutek, który zaniedbał poprzednim razem. – Możesz krzyczeć do woli, nikt cię nie usłyszy.

Patrzy na mnie z wilczym uśmiechem na twarzy. Jego słowa mają podwójne znaczenie. Doskonale o tym wiem. Ale kiedy wysuwa się całkowicie, by znów mocno pchnąć, wylatują mi z głowy. Panuje w niej całkowita pustka. Nie jestem w stanie myśleć o niczym, kiedy porusza się w ten sposób, częściowo opierając na mnie ciężar ciała. Wpadamy we wspólny rytm. Wszystko inne się rozmywa, zostają tylko złączone ciała. Oplatam go nogami i unoszę biodra, bo chcę więcej. Chcę czuć go bliżej. Głębiej. Chcę dojść. Zarzucam mu ramiona na szyję.

– Popatrz na mnie – nakazuje.

Nie spieszę się z wykonaniem polecenia.

– Isabelle...

Robię to, dopiero gdy wymawia moje imię.

– Co masz mówić, kiedy szczytujesz?

Wsuwa pomiędzy nas dłonie. Wodzi nią od cipki do drugiej dziurki. Brakuje mi czasu, by zareagować, by stawić opór. Gdy wciska wilgotny palec do odbytu, jestem zgubiona.

– Co masz mówić? – ponawia pytanie, dodając drugi palec.

Dochodzę. I mówię, co mi każe. Mówię to, co chce usłyszeć. Wymawiam jego imię. Tylko tyle daję radę zrobić, gdy czuję, jak pcha jeszcze kilka razy, nim zamiera, napierając mocno na ściany pochwy. Doznania, które odczuwam, gdy jest w środku, a jednocześnie przygniata mnie swoim ciałem, w niczym nie przypominają moich wcześniejszych doświadczeń. Mogę jedynie przylgnąć do niego i wbić paznokcie w jego plecy. Z piersi wrywają mi się jęki, które brzmią obco w moich uszach.

Po wszystkim się wysuwa. Wracam do rzeczywistości, kiedy czuję, jak wypływa ze mnie nasienie Jericha. Jestem tym zażenowana. Mąż leży na boku i trzyma rozcapierzoną dłoń na moim brzuchu. Przyglądam się jego twarzy, gdy błądzi po nim wzrokiem. Zastanawiam się, co chodzi mu po głowie. Znów myślę o dwóch wcieleniach tego człowieka. Jedno należy do okrutnego, bezlitosnego diabła, drugie ma oblicze oswojonej bestii. Ale potwór zawsze będzie potworem.

Najwyraźniej Jericho czuje na sobie mój wzrok, bo patrzy mi w oczy. Zaczynają piec mnie policzki.

– Zawsze wymawiaj moje imię, kiedy dochodzisz. Chcę je słyszeć za każdym razem. Zrozumiałas?

Kiwam głową. Cóż miałabym odpowiedzieć?

Mąż wstaje, rzuca mi przelotne spojrzenie i idzie do łazienki. Kiedy słyszę, jak odkręca wodę, nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić, ale po chwili Jericho wraca z wilgotną myjką w dłoni. Siada obok i rozchyła mi nogi, żeby mnie oczyścić. – Sama mogę to zrobić – mówię szybko i chwytam go za nadgarstek. Moje zażenowanie sięga zenitu.

W milczeniu uwalnia swoją rękę i ostentacyjnie rozsuwa mi szerzej nogi. Kiedy zaczyna mnie myć, spogląda mi w oczy. Jest bardzo dokładny. Choćbym chciała, nie mogę oderwać wzroku od jego dłoni, mimo że muszę być cała czerwona ze wstydu. – Zajmę się tobą, Isabelle. Jesteś moja – mówi, gdy kończy pracę. – I nawet jeśli naprawdę nie pamiętasz, co powiedział ci Zeke, nie zapominaj o jednym. Jeżeli ktokolwiek cię dotknie, poucynam mu łapy. Nie wyłączając brata.

Po tym oświadczeniu podnosi się i jakby nigdy nic, idzie do łazienki. Słyszę, że odkręca wodę pod prysznicem. Szybciutko wstaję i zbieram rozrzucony kostium. Jestem taka wdzięczna za te drzwi między naszymi pokojami! Czmycham do swojej sypialni niczym przestraszona myszka, niepewna, jak mam się zachowywać przy Jerichu, jak reagować na jego zachowanie. Nie potrafię pogodzić w głowie dwóch wcieleń tego mężczyzny. Brutalnego furiata i łagodnego ojca. Świetnego kochanka z człowiekiem, który nie wahałby się skrzywdzić własnego brata, gdyby ten śmiał mnie dotknąć.

Najgorsze jest to, że nawet moje własne uczucia wobec męża nie mają sensu. W nocy na cmentarzu żywiłam do niego nienawiść. Jednak kiedy wyrzuciłam z siebie obelgi, gdy wykrzyczałam mu prawdę prosto w oczy i zobaczyłam jego twarz, coś się zmieniło. Nie rozumiem tego. Moje uczucia odwróciły się o sto osiemdziesiąt stopni. A potem wziął mnie na rękę, zaniósł do domu, delikatnie umył, po czym zapytał, jak może naprawić krzywdy, które wyrządził córce. W mojej głowie przeskoczyła wtedy jakaś zapadka i teraz sama już nie wiem, co czuję.

## 38 JERICHO

Przejeżdżam przez bramę wiodącą do posiadłości De La Rosów, rodzinnego domu Santiaga, parkuję auto i kieruję się w stronę frontowych drzwi, które stoją otworem. Tuż za nimi natykam się na jakąś kobietę.

– Dzień dobry, panie St. James – mówi. – Proszę za mną.

Wchodzę i przyglądam się wnętrzu. Rezydencja jest ogromna i wiekowa, ale utrzymana w doskonałym stanie, choć nieco zbyt ciemna jak na mój gust. Cóż, słyszałem pogłoski o właścicielu posiadłości. Nie przez przypadek panuje tutaj mrok. Albo przynajmniej panował przez wiele lat. Po wybuchu, w którym zginęli jego ojciec i brat, a z którego on sam wyszedł z oszpeconą twarzą, Santiago stał się odludkiem. Ale nie schował się w kącie, żeby wylizać rany. O nie! Jak każdy Sprawiedliwy Syn zaplanował zemstę na rodzinie Moreno.

– Elena!

Słyszę damski głos, a chwilę później kątem oka widzę dziewczynkę. Biegnie i chichocze. Zaraz za nią szybkim krokiem podąża kobieta, najwyraźniej ta sama, która nawoływała małą. Nie widzi mnie, uwagę skupia na trzymanym na ręku niemowlęciu i na uciekinierce. Dziewczynka wygląda na niespełna dwa lata. Kobieta musi być Ivy Moreno, a właściwie Ivy De La Rosa. Twarz zemsty, którą obmyślił Santiago.

Myślni wracam do pierwszego spotkania z tym mężczyzną. Zastanawiałem się wówczas, jaka osoba mogła sprawić, by człowiek jego pokroju stał się przykładnym mężem i ojcem.

– Tatuś pracuje, ty niegrzeczna dziewczynko – mówi kobieta do dwulatki, kiedy w końcu ją dogania. Mała chichocze, gdy Ivy pociera nosem jej szyję.

– Tatuś znajdzie kilka minut dla rodziny – odzywa się niespodziewanie Santiago, wychodząc z cienia. Nie spuszczać ze mnie wzroku, jedną ręką podnosi ruchliwego brzdąca, drugą zaborczo otacza talię żony i całuje czubek główki niemowlaka.

– Och, nie wiedziałam, że ktoś tu jest – mówi Ivy, przestraszona moim widokiem.

– Miałaś ręce pełne roboty – odpowiada De La Rosa.

Idę w ich stronę. Nie mogę przestać myśleć o tej kobiecie i o tym, że udało jej się obłaskawić bestię. Widzę, jak mocno Santiago jest oddany żonie, choć nie porzucił całkowicie myśli o zemście. Czy dziewczyna wybaczyła mu to, co zrobił?

– Jericho – mówi mężczyzna, kiedy dzieli nas już tylko kilka kroków. – Witaj w moim domu.

Muszę dowiedzieć się czegoś więcej na temat animozji między rodami De La Rosów i Morenow. Chciałbym zrozumieć, jak relacja tych dwojga ewoluowała od nienawiści do – co widać gołym okiem – głębokiej, wzajemnej miłości.

Uśmiecham się do Ivy.

– Dzień dobry. Przepraszam panią za najście. – Naprawdę nie chciałem im przeszkadzać. Właściwie na widok tej rodziny czuję się trochę zбитy z tropu. – Jestem Jericho St. James – przedstawiam się i wyciągam dłoń.

Ivy rzuca spojrzenie mężowi, który cały czas mi się przygląda, ale niemal niezauważalnie kiwa głową w odpowiedzi na niezadane na głos pytanie. Kobieta podaje mi rękę.

– Ivy De La Rosa, a to Elena i mały Santi – odpowiada tonem przepełnionym miłością do tych dwóch małych istotek.

Dziewuszka przypatruje mi się bez skrępowania, oczy odziedziczyła po ojcu. Nie ma w niej cienia nieśmiałości i odnoszę wrażenie, że owinęła sobie tatusia wokół palca. Ta obserwacja sprawia, że myślami wędruję do własnej córki, która jest całkowitym przeciwieństwem Eleny. Cicha i nieśmiała. Wracam pamięcią do tego, co powiedziała Isabelle, i zaczynam się zastanawiać, czy Angelique nie zachowuje się w ten sposób, bo się boi. I czy to ja wywołałem ten strach usilnymi próbami chronienia jej przed wszystkim i wszystkimi.

– Miło mi was poznać – oznajmiam i zwracam się do Santiaga: – Zdaję sobie sprawę, że jesteś bardzo zajęty, ale byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyś mógł poświęcić mi chwilę.

Mężczyzna kiwa głową i zwraca się do dziewczynki:

– Eleno, pomóż mamie w opiece nad bratem. Pobawimy się, jak skończę.

Mała rzuca mi niezadowolone spojrzenie i wzdycha.

– Santi jest taki nudny. Cały czas tylko śpi i robi kupę. Robi kupę i śpi.

De La Rosa tłumy śmiech i kuca, żeby odstawić małą. Szepcze jej do ucha coś, co sprawia, że Elena klaszcze podekscytowana.

– Obiecujesz?

Ojciec puszcza do niej oczko.

– Obiecuję.

– No dobrze. – Dziewczynka odwraca się do kobiety i bierze ją za rękę. – Chodź, mamusiu – mówi i gdzieś ją prowadzi.

Ivy wzrusza ramionami.

– Miło było pana poznać, panie St. James – oświadcza, nim znikają za rogiem.

Gdy odwracam się z powrotem do Santiaga, ten przegląda mi się badawczo.

– Wygląda na to, że macie co robić – zagajam.

– Ale to przyjemna i satysfakcjonująca praca – odpowiada i podąża wzrokiem do miejsca, w którym zniknęła jego rodzina. – Nie mam zamiaru odciągać cię od bliskich na zbyt długo.

Kiwa głową.

– Tędy.

Idę za nim korytarzem do gabinetu. Santiago zamyka za nami drzwi i siada za olbrzymim biurkiem. W pokoju znajduje się mnóstwo ekranów komputerowych, na każdym migają rzędy cyferek, na które gospodarz raz po raz zerka. Intryguje mnie, na jakiej zasadzie działa jego mózg. Jakim sposobem udaje mu się dostrzec sens w tym chaosie. Dzięki umiejętnościom De La Rosy wielu członków stowarzyszenia, w tym także moja rodzina, dorobiło się przez lata ogromnych pieniędzy. To prawdziwy geniusz. I siła, której nie należy lekceważyć.

Ręką wskazuje stojące naprzeciwko siebie krzesło. Siadam.

– W czym mogę ci pomóc, Jericho?

Przyglądam się, jak składa dłonie w piramidkę, gdy patrzy na mnie z niewzruszoną miną. Wpatruję się w pokrywający połowę twarzy tatuaż przedstawiający czaszkę i uwidaczniający mroczniejszą stronę mężczyzny, który na co dzień jest mężem i ojcem. Mamy ze sobą wiele wspólnego. Zdarzało mi się zabijać, żeby zapewnić bezpieczeństwo rodzinie. Santiago robił dokładnie to samo.

– Jakie interesy łączą cię z moim bratem?

Walę prosto z mostu. Stwierdziłem, że w tym przypadku szczerść będzie najlepszą strategią.

Santiago szczyrzy zęby. Spodziewał się, że takie pytanie padnie. Prawdopodobnie oczekiwał tej wizyty.

– Moje interesy z Ezekelem są sprawą pomiędzy mną a nim. Tak jak moje interesy z

tobą są sprawą pomiędzy mną a tobą.

– Podejrzywałem, że tak powiesz, jednak zdecydowałem się przyjść, ponieważ sądzę, że te interesy się zazębiają.

– W przypadku braci to dość prawdopodobne.

Żaden z nas nie ucieka wzrokiem.

– Carlton Bishop powiedział coś, co wzbudziło moje zainteresowanie.

– Co takiego?

– Właściwie bardziej zastanawia mnie nie tyle sam komentarz, co spojrzenie, jakim przy okazji obdarzył Zeke'a. Bardzo podobne do tego, które ty mu rzuciłeś podczas naszego spotkania w siedzibie IVI. Wtedy, gdy wspomniałeś o wypadku mojego ojca.

– Hmm...

– Tyle że Bishop poszedł o krok dalej i zasugerował, że jego wypadek i śmierć mojej siostry są ze sobą powiązane.

Santiago odchyła się na oparcie fotela. Mija dobra chwila, nim odpowiada. Widzę, że nad czymś się zastanawia.

– Przecież umarli w odstępie kilku lat.

– To o niczym nie świadczy.

Mężczyzna spogląda w dół, a na jego czole pojawiają się bruzdy. Zęby ma zaciśnięte. Znów podnosi na mnie wzrok i opiera łokcie na biurku.

– Zostaw tę sprawę – mówi zupełnie innym tonem.

Czuję, jak tężeją mi mięśnie twarzy, a w gardle staje gula.

– Jaką sprawę?

– Nie zdradzę ci nic na temat moich rozmów z twoim bratem, Jericho.

– A jednak najwyraźniej mają one coś wspólnego ze mną.

– Ale dam ci dobrą radę – dodaje, ignorując moje słowa.

– Nie szukam dobrych rad. Szukam prawdy.

– Nie sądzę, by Ezekiel cię okłamał.

– Lecz nie powiedział mi wszystkiego, zgadza się?

Santiago wstaje, podchodzi do okna i odsuwa zasłonę, żeby popatrzeć na zewnątrz. Ivy buja córkę na huśtawce, a w stojącej tuż obok spacerówce śpi niemowlę.

Mężczyzna odwraca się z powrotem do mnie.

– Czy chcesz, czy nie, i tak dam ci dobrą radę. Zostaw tę sprawę w spokoju. To nie ma nic wspólnego z Carltonem Bishopem ani z tym, co zrobił tobie i matce twojego dziecka. Powiedziałbym ci, gdyby było inaczej.

– Czy te dwa wydarzenia są ze sobą powiązane? – wyrzucam z siebie, choć nie wiedzieć czemu coś w trzewiach mówi mi, że powinienem posłuchać rady Santiaga. Zostawić to w cholerę i pozwolić bliskim spoczywać w spokoju. – Śmierć siostry. – A raczej jej samobójstwo, chociaż to słowo nie chce mi przejść przez gardło. – I wypadek ojca.

De La Rosa nie udziela odpowiedzi na moje pytanie, tylko patrzy na mnie przeciągle. Zdecydowanie zbyt długo.

– Brat nie jest twoim wrogiem. Tyle mogę ci powiedzieć. A teraz, jeśli pozwolisz, zakończę nasze spotkanie. Złożyłem córce obietnicę, a nie mam w zwyczaju ich łamać.

Wstaję. Ostatnie zdanie Santiaga zabolalo, choć wiem, że nie chciał mnie zranić. Myślę o Angelique. O tym, jak zasnęła na podłodze, czekając, aż wrócę do domu i spełnię przyrzeczenie. Muszę wyrzucić z głowy ten obraz, więc przypominam sobie słowa Isabelle. Kazała mi wszystko naprawić, dokonać świadomego wyboru. Wybieram rodzinę. Zawsze wybierałem. Lecz tak długo skupiałem się na Angelique, na zabójstwie Kimberly i na zemście, że

zaniedbałem pozostałych jej członków. Czy brat pogodził się z faktem, że jego siostra bliźniaczka popełniła samobójstwo? Jakie życie wiódł przez te wszystkie lata?

– Będziesz na aukcji? – Słowa Santiaga przywołują mnie do rzeczywistości.

No tak, aukcja. Ma się odbyć za kilka tygodni w siedzibie IVI. Ostrzę sobie zęby na jeden z przedmiotów, które będą wystawione.

– Tak.

– Weźmiesz żonę ze sobą?

Kiwam głową.

– Poznaj ją z Ivy. Sądzę, że mają ze sobą wiele wspólnego.

Ponownie przytakuję. Myśli nadal zaprzęta mi powód mojego przybycia do rezydencji De La Rosów. To, co Santiago powiedział, i to, co przemilczał. I to, co mogę z tego wywnioskować. Wszystko sprowokowało moje pytanie o związek między samobójstwem Zoë a śmiercią ojca. Zeke wie coś, o czym ja nie mam pojęcia. I niezależnie od tego, czy jest to jakoś powiązane z Carltonem Bishopem, zamierzam poznać prawdę.

## 39 ISABELLE

Przez parę kolejnych tygodni Jericho przebywa niewiele czasu w domu, a gdy w nim jest, wydaje się nieobecny. Coś się dzieje między nim a Ezekielem i wprawia ich obydwu w paskudny nastrój.

Dnie spędzam z Angelique, nocę w łóżku męża. W tej ostatniej kwestii nic się nie zmienia, jego apetyt nie maleje. I coś rodzi się między nami, przynajmniej w chwilach bliskości. Jakaś dziwna jedność. Lecz może doszukuję się czegoś, czego nie ma. W końcu to tylko seks. I nie powinnam o tym zapominać, nawet jeśli w ramionach Jericha śpi mi się lepiej niż przez trzy lata we własnym łóżku w posiadłości Bishopów. Tylko seks, nic więcej. Niezależnie od tego, jak dobrze się czuję, kiedy mąż mnie po nim przytula.

Prowadzę teraz regularne rozmowy z Julią, choć nie widziałyśmy się od czasu naszej krótkiej wizyty w siedzibie stowarzyszenia. Ciekawi mnie, jak płynie życie w domu i jak się miewa Carlton. Zastanawiam się nad relacją łączącą brata z kuzynką. Nigdy nie potrafiłam jej rozgryźć. Julia wprowadziła się do posiadłości przede mną. Monique, żona Carltona, wyniosła się wkrótce potem, ale pojawiała się na różnych eventach organizowanych przez IVI. Wiem, że Carlton płaci jej co miesiąc alimenty, a po tym, jak podsłuchałam kilka ich kłótni, zaczęłam się zastanawiać, czy wypłaty nie są uzależnione od obecności kobiety na oficjalnych imprezach stowarzyszenia. Od tego, że oboje udają, że wciąż są razem.

Zaskoczyła mnie siła niechęci Monique wobec Julii, a nawet Matty'ego. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby darzyć negatywnymi uczuciami dziecko? Z drugiej strony może to kwestia zazdrości. Monique i Carlton nie doczekali się potomstwa. Lecz jeśli Julia mówiła prawdę na temat spadku, to dlaczego Carlton wciąż zachowuje pozory trwania tego małżeństwa? Przecież to oczywiste, że nie darzą się miłością. Czemu nie mogą się rozwieść i związać z kimś innym? Brat mógłby wtedy splodzić dziecko, a tym samym zapewnić sobie spadek. Choć nie raz już próbował. Monique nie jest jego pierwszą żoną.

Rozmyślałam nad tym wszystkim, kiedy rozdzwania się moja komórka. Na wyświetlaczu pojawia się imię kuzynki. Wślizguję się do łazienki, mimo że Jericha nie ma w domu. Nie będę jednak ryzykować. Jestem więcej niż pewna, że gdyby wrócił wcześniej i zastał mnie z telefonem, odebrałyby mi go i ukarał za jego posiadanie.

– Słyszałam ostatnio bardzo ciekawą historię na temat twojego męża i jego brata – oznajmia Julia podekscytowanym tonem. Odkąd jej powiedziałam, że Jericho zagroził, że poucina łapy każdemu, kto ośmieli się mnie tknąć, łącznie z własnym bratem, kuzynka zachowuje się jak pies, który wywęszył trop.

– Jaką?

– Udało mi się skontaktować z kobietą, która kiedyś pracowała w posiadłości St. Jamesów. Nazywa się Rose Smithson.

– Nic mi to nazwisko nie mówi.

– Nie, oczywiście, że nie. Zwolniono ją prawie sześć lat temu. Ją, a także większość służby, z wyjątkiem jakiejś Catherine.

– Catherine prowadzi dom St. Jamesów. Mam wrażenie, że zna Jericha od dziecka.

– No to babka nie kłamała.

– Powiedz mi w takim razie, co się stało, że wszyscy wylecieli na bruk.

Niemal słyszę, jak Julii poruszają się mięśnie wokół ust, kiedy uśmiecha się od ucha do

ucha.

– Wybuchł skandal z udziałem braci St. Jamesów i pewnej kobiety – mówi.

– Kimberly?

– W rzeczy samej.

– Co się wydarzyło?

– Wiedziałaś, że Kimberly i Ezekiel byli parą? Poznali się na imprezie, na którą on został zaproszony, a ona ją obsługiwała.

– Obsługiwała?

– Jako kelnerka. Jakiś firmowy event, nic związanego z IVI. Spotykali się przez kilka miesięcy. W końcu przyprowadził ją do domu, aby przedstawić rodzinie, i chyba coś poszło nie tak. – W głosie Julii słychać triumf.

– Sugerujesz, że poznała Jericha i...

– Wylądowali razem w łóżku.

– W czasie, gdy spotykała się z jego bratem?

– Dlatego Leontine zwolniła niektórych pracowników, chociaż początkowo nie Rose. Ona została do momentu, aż Kimberly zaczął rosnąć brzuch.

– Czekaj. Sugerujesz, że to Ezekiel i Kimberly byli parą, dopóki Jericho nie ukradł bratu dziewczyny i nie zrobił jej dziecka?

– Tak słyszałam.

– A Leontine pozwaliała służbę, żeby to zatuszować?

– Musi być z niej straszna wiedźma.

– Wcale nie. Przynajmniej nic takiego nie zauważyłam. Ale opowiadasz o czymś, co miało miejsce kilka lat temu, więc może się przez ten czas zmieniła. Wiem tylko, że przeszła poważną chorobę.

– Rak piersi. Z tego, co mówił Carlton, wynika, że przez jakiś czas jej życie wisiało na włosku. Teraz choroba jest w remisji.

– Coś takiego każdego potrafi zmienić.

– Prawda. Ale wróćmy do pikantnych szczegółów. Kiedy Kimberly zaszła w ciążę, Jericho jej się oświadczył. Wydaje się dość staroświecki pod tym względem – stwierdza Julia, a ja wyobrażam sobie, jak przewraca przy tym oczami. – Zgodnie z relacją Rose, jak tylko bracia znaleźli się w tym samym pomieszczeniu, atmosfera gęstniała, jakby zaraz miała wybuchnąć bomba.

Dochodziło między nimi do rękoczynów. Ponoć Ezekiel był w kiepskim stanie. No i nie jestem pewna, czy Leontine w ogóle lubiła przyszłą synową. Pewnie uważała, że nie dorasta St. Jamesom do pięt. Czara goryczy się przelała, kiedy zaczęli iść na noże.

– Trochę dużo rewelacji jak na jeden raz. Jesteś pewna, że ta kobieta mówiła prawdę?

– No wiesz, nie mam jak tego sprawdzić.

– A w jaki sposób ją znalazłaś?

– To akurat nie było trudne. Po prostu szukałam kogoś, kto zechciałby ze mną porozmawiać na temat St. Jamesów, i trafiłam na nią. Inni nie chcieli się wychylać, ale Rose nie pogardziła gotówką. Nie znosi Leontine, więc może przy okazji chciała się na niej odegrać.

– Dlaczego jej nie cierpi?

– Powiedziała, że babsztyl zachowywał się wobec niej jak skończona suka.

Czuję, że zbliża się migrena. Przyciskam dłoń do czoła.

– Słuchaj, muszę lecieć – oświadcza Julia i jeśli mam być szczerą, kamień spada mi z serca. – Odbieram Matty'ego przed obiadem i jedziemy do sklepu z zabawkami, żeby kupić małemu prezent na urodziny. Carlton powiedział, że będzie mógł wybrać, cokolwiek mu się



spodoba.

– Carlton wybiera się do sklepu z zabawkami?

– No wiem. Szok. Ale skoro on stawia, to ja nie mam nic przeciwko.

Julia nie pracowała, odkąd wprowadziła się do rezydencji Bishopów. Niejednokrotnie opowiadała mi, jak bardzo ciąży jej fakt, że jest zależna finansowo od innych, lecz jak dotąd niewiele zrobiła, żeby to zmienić. Z drugiej strony nie mam pojęcia, ile można zdziałać, opiekując się czterolatkiem.

– W takim razie baw się dobrze. I chyba muszę ci podziękować za plotki.

– Jak się trzymasz?

– W porządku. Aklimatyzuję się do nowego środowiska.

– Ale nie jesteś przypadkiem przy nadziei? – pyta kuzynka z niepokojem w głosie.

– Nie. Wciąż biorę pigułki. Nie zajdę w ciążę. Nie sądzę, żeby Jerichowi o to chodziło, Julio. Z pewnością zabrałby mi tabletki, gdyby było inaczej. Lubi mieć wszystko pod kontrolą.

– Obyś się nie myliła. Odezwę się niebawem, Isabelle.

– Każ Matty’emu wybrać coś drogiego – zmieniam temat. – I życz mu ode mnie wszystkiego najlepszego. – To okropne, że nie będę mogła się z nim zobaczyć w jego urodziny, pierwszy raz od czasu, gdy zamieszkałam u Bishopów.

Rozłączam się i wciskam telefon do kryjówki za łóżkiem. Kiedy wychodzę na korytarz i ruszam w stronę schodów, dostrzegam na dole Zeke’a i Angelique. Rozmawiają z ożywieniem. Z przyjemnością się na nich patrzy. Wyglądają razem tak słodko. Wuj ją kocha, bez dwóch zdań. Zresztą z wzajemnością.

Chwilę później Ezekiel podnosi głowę i mnie dostrzega. Czuję się lekko spłoszona faktem, że właśnie zostałam nakryta na podglądaniu.

– Belle! – woła Angelique, która podążyła wzrokiem za spojrzeniem mężczyzny. – Wujek Zeke zabrał mnie na wyprawę. Zobacz, co znalazłam! – chwali się i podnosi wiązkę żółtych kwiatków. Takich samych, jakimi przyozdobiłam grób Nellie Bishop.

Odchrząkuję i schodzę. Mam nadzieję, że gorąco, które czuję na policzkach, nie objawiło się czerwonymi plamami. Zastanawiam się, czy Ezekiel od początku wiedział, że stoję na górze.

– Są śliczne.

– Nie pachną za bardzo, ale i tak je lubię. Mogę ci pokazać, gdzie rosną, żebyś sobie nzbierała.

– Pamiętaj, co ustaliliśmy, Angelique – napomina ją Zeke. – Do lasu możesz chodzić tylko z tatą albo ze mną.

– Oj, wujku, przecież Belle też jest dorosła.

– Ale Isabelle nie zna lasu tak dobrze jak my.

Angelique patrzy na mnie pytająco. Napotykam wzrok Ezekiela i kiwam głową.

– Kochanie, wujek ma rację. Nie chciałabym, żebyśmy się zgubiły.

– Tutaj jesteś. – Zza rogu dobiega głos Leontine. – Nina przyszła. Zje dzisiaj z nami kolację, co ty na to?

– Och! Założę się, że jej też spodobają się kwiatki. Dam jej kilka – mówi Angelique i chwyta babcię za rękę.

Leontine przygląda nam się przez chwilę.

– A wy dwoje idziecie?

Odwracam się do Zeke’a i widzę, że wciąż na mnie patrzy.

– Za minutkę – odpowiada, jakby czytał mi w myślach.

– Czekaemy – odpowiada teściowa i odchodzi.

Ciekawe, czy z którymś z synów jest bardziej zżyta niż z drugim. I co sobie pomyślała, gdy Jericho odbił bratu dziewczynę. – Mogę cię o coś spytać? – rzucam, nim stracę odwagę.

– Czy mąż udzielił ci pozwolenia na rozmowy ze mną? – Zaskakuje mnie, ale już po chwili uśmiecha się szeroko. – Jeśli nie, tym lepiej.

Otwiera drzwi do swojego gabinetu i gestem dłoni zaprasza do środka.

## 40 ISABELLE

Ezekiel siada za biurkiem i przygląda mi się, kiedy przechodzę przez pokój i zajmuję miejsce na krześle naprzeciwko. Pochyla się w moją stronę i składa dłonie w piramidkę.

– Dlaczego mi to wtedy powiedziałeś?

W odpowiedzi unosi brwi. Czyżby zapomniał?

– Że jeśli Jericho mnie skrzywdzi, mogę przyjść do ciebie.

Wzrusza ramionami i odchyła się z powrotem na oparcie.

– Pomyślałem, że przyda ci się przyjaciel.

Wpatruję się w niego i próbuję rozgryźć relację między nim a jego bratem. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie próbuje mnie wykorzystać, użyć jako pionka we własnej grze.

– Czy to prawda, że spotykałeś się z Kimberly, zanim Jericho się z nią związał? – wypalam.

– Od kogo to usłyszałaś?

Teraz moja kolej, by wzruszyć ramionami. Siedzę i czekam na odpowiedź. Zeke szczyrzy się, wstaje i obchodzi biurko dokoła. Przysiada na blacie i spogląda na mnie. Dopiero teraz zauważam prawdziwe podobieństwo między nim a moim mężem. Oczywiście łączy ich podobieństwo fizyczne, ale chodzi przede wszystkim o sposób bycia. Dwa samce alfa, dla których liczy się wyłącznie dominacja.

– Isabelle, a gdybym ci powiedział, że dzieliliśmy się nią przez jakiś czas?

Z początku nie dociera do mnie sens jego słów, a gdy w końcu udaje mi się je zrozumieć, gardło mam wyschnięte na wiór. – Obaj z nią sypialiśmy – dodaje tonem wyjaśnienia. Najwyraźniej robię jakąś dziwną minę, bo Zeke uśmiecha się szerzej. – Nie tego spodziewałaś się usłyszeć?

– Ja...

– Nie przejmuj się. Wydaje mi się, że tobą Jericho nie ma zamiaru się z nikim dzielić.

Zrywam się z miejsca, lecz Ezekiel kręci głową.

– Siadaj.

– Powinnam już iść.

– Usiądź.

Podchodzi do barku na kółkach i nalewa sobie drinka.

– Napijesz się czegoś? – pyta, a gdy nie odpowiadam, podejmuje decyzję za mnie i przynosi mi whiskey. – Możesz tego potrzebować, zważywszy na atrakcje, jakie czekają cię wieczorem.

– Co masz na myśli?

Biorę od niego szklaneczkę, jednak unoszący się z niej zapach sprawia, że mój żołądek się buntuje, więc odstawiam ją na blat. Ostatnio często miewam mdłości. To pewnie przez życie w ciągłym stresie.

– Dziś wieczorem odbywa się aukcja.

Kiwam głową na znak, że o tym wiem.

– Cóż, nie będę psuł bratu niespodzianki.

Chociaż czuję się nieco zdezorientowana jego odpowiedzią, moje myśli nadal krążą wokół innego tematu.

– Dzieliliście się nią?

– Wiem, że to dość niekonwencjonalne rozwiązanie, ale wiele osób się na nie decyduje, Isabelle. Najwyraźniej żyłaś pod kloszem, skoro pierwszy raz słyszysz o takim układzie. Zdarzało nam się dzielić kobietami jeszcze przed Kimberly. Jednak to był pierwszy raz, kiedy jeden z nas się zakochał. Cóż, w zasadzie to dwoje z nas zakochało się w sobie z wzajemnością. Zakochali się w sobie. A więc Jericho ją kochał. Oczywiście, że tak. O to właśnie w tym wszystkim chodzi.

– Wycofałem się. Nasz związek przestał być... właściwy.

– Masz na myśli wasz trójkąt?

Kiwa głową, lecz w jego oczach czai się coś, co sprawia, że nie do końca wierzę w szczerść tego wyznania. Czyżby on także zakochał się w Kimberly?

– Obwiniasz go? To znaczy o jej śmierć?

– Jej morderstwo.

– Tak, jej morderstwo – powtarzam z trudem.

– Ciekawskie z ciebie stworzenie, co?

– Po prostu chciałabym dobrze zrozumieć sytuację.

– I co ci to da?

– Nie wiem. Na razie jestem pewna tylko tego, że twój brat przetrzymuje mnie w rezydencji jak więźniarkę. Nie wolno mi wychodzić. Nie wolno mieć telefonu. – Cóż, technicznie rzecz biorąc, to prawda. – Nic mi nie wolno.

– A gdybyś miała sobie stąd iść, to gdzie byś poszła?

– Do domu.

– Czyli do rezydencji Bishopów?

– No tak.

Zeke przekrzywia głowę i przypatruje mi się uważnie.

– Jesteś pewna, że przyjęliby cię z otwartymi ramionami?

– O co ci chodzi?

Zamiast odpowiedzi uśmiecha się tylko.

– A co do telefonu – mówi i wskazuje dłonią komórkę leżącą na biurku. – Chcesz do kogoś zadzwonić?

– Nie o to chodzi. Dobrze wiesz, że Jericho mnie kontroluje.

– A ty przysłałaś tutaj ze względu na to, co powiedziałem. Szukasz u mnie ochrony.

Teraz to ja przyglądam się jemu i próbuję rozgryźć zasady gry, którą toczymy. Czyżbym popełniła błąd?

– Isabelle, nie przyszło ci do głowy, że to mąż cię ochrania?

– Niby przed czym? To on stanowi dla mnie zagrożenie.

– Widziałem, jak cię traktuje, i sędzę, że się mylisz. Mój brat bywa szorstki w obejściu, ale nie można odmówić mu lojalności. – Przede wszystkim jest kompletnie nieprzewidywalny.

– To też, jednak, jak wspomniałem, jest lojalny. I wie o tobie znacznie więcej, niż ci się wydaje.

– Słucham?

– Po prostu staram się powiedzieć, że tutaj będzie ci lepiej niż w domu przyrodniego brata.

– Nie rozumiem. Sugerujesz, że ze strony Carltona coś mi grozi? To jakiś absurd.

Ezekiel krzyżuje ręce na piersi.

– On ją kochał nad życie, Isabelle.

Nagła zmiana tematu zbija mnie z tropu. Słyszac te słowa wypowiedziane na głos, czuję bolesne ukłucie w piersi, chociaż już wcześniej zdawałam sobie z tego sprawę. Wiedziałam, że

Jericho kochał Kimberly.

– Lecz wróćmy do twojego pytania. Nikt nie musi go obwiniać za jej śmierć. Robi to sam.

– Carlton nie zabił Kimberly. Nie byłby w stanie.

– Zdziwiłabyś się, do czego zdolny jest twój brat, Isabelle. I chociaż nie chcesz przyjąć tego do wiadomości, mieszkanie pod naszym dachem gwarantuje ci bezpieczeństwo.

– Wasza matka powiedziała coś podobnego w przeddzień ślubu. Że potrzebuję ochrony i że Jericho mi ją zapewni. Chyba rozumiesz, czemu nie potrafię wam zaufać w tej kwestii?

– Nie okłamujemy cię.

– Ale i nie mówicie całej prawdy.

– Po co tu przysłałaś, Isabelle? Dlaczego zwróciłaś się do mnie? Jesteś żoną Jericha, nie moją.

– Powiedziałaś...

– Powiedziałem, że możesz przyjść, gdyby cię skrzywdził. Nie zapraszałem cię na plotki.

– Wcale nie plotkuję.

– Powinnaś porozmawiać z mężem, Isabelle. Zadać mu te same pytania.

– On mnie nienawidzi.

– Może by chciał, jednak tak nie jest.

Mam mętlik w głowie, lecz zanim udaje mi się wymyślić sensowną odpowiedź, ktoś puka do drzwi i zaraz je otwiera. W progu stoi Leontine.

– Kolacja gotowa. Dziewczynki się niecierpliwą.

– Więc nie pozwólmy im dłużej czekać – mówi Ezekiel i gestem nakazuje, bym wstała.

Najwidoczniej uznał rozmowę za zakończoną.



## 41 JERICHO

Wchodzę do sypialni Isabelle, ale okazuje się, że jest pusta. Z drugiej strony korytarza dobiega chichot. Zerkam przez uchylone drzwi do pokoju córki, gdzie zastaję żonę siedzącą na łóżku. Ma na sobie granatową suknię wieczorową odkrywającą plecy, a włosy misternie upięte na czubku głowy. Angeliqne stoi za nią i ze skupioną miną wodzi paluszkami po krawędziach tatuażu.

– Jest taki sam jak tatusia, tylko mniejszy.

Ani jedna, ani druga nie słyszała moich kroków. Stoję w cieniu za drzwiami i w milczeniu przyglądam się scenie.

– Też mogę sobie taki zrobić? – pyta córka.

Isabelle zamyka trzymaną na kolanach książkę i przyciąga do siebie Angeliqne, by móc spojrzeć jej w oczy.

– Jeśli nie zmienisz zdania do czasu, jak dorośniesz, to decyzja będzie należeć wyłącznie do ciebie, ale na razie jesteś za mała. Po za tym pomyśl. Co się z nim stanie, gdy zrobisz się wyższa i nabierzesz ciała?

– Porozciąga się i zrobi brzydki – odpowiada Angeliqne i układa palce w szpony.

Kobieta robi to samo, a po chwili zaczynają się przytulać. Matka mówiła mi, że bardzo się do siebie zbliżyły i że Isabelle stała się dla małej oparciem. Że zrodziło się między nimi uczucie. Nie jestem pewien, co o tym myśleć, więc po prostu stoję i się im przyglądam. Bez wątpienia żona troszczy się o moją córkę, a ich sympatia wydaje się wzajemna.

– Wyglądasz ślicznie, Belle.

No tak, Belle. Angeliqne traktuje ją, jakby była jeszcze jedną księżniczką z książki z bajkami. Działa mi to na nerwy, chociaż nie powinno. Przy Isabelle mała ożywia się jak przy nikim innym. Teraz kobieta bawi się jednym z loczków na jej głowie.

– Brzuszek już cię nie boli? Prawie nic nie zjadłaś na kolację. Babunia mówi, że musisz więcej jeść.

– Nie byłam głodna – odpowiada żona i sięga po coś z nocnego stolika. Spinam się, gdy zdaję sobie sprawę, co to takiego. Nie sądziłem, że ktoś to w ogóle rozpakował po przeprowadzce. – To twoja mama?

Angeliqne kiwa główką.

– Tak mówi babunia, ale ja jej nie pamiętam.

Czuję ucisk w piersi.

– Była bardzo ładna. A ty jesteś do niej podobna, wiesz?

Angeliqne wzrusza ramionkami, najwyraźniej nie jest zainteresowana zdjęciem.

– Chciałabym wyglądać tak jak ty – stwierdza.

– Słucham?

– Teraz to ty jesteś moją mamusią, więc chciałabym być podobna do ciebie.

– Angeliqne, ja...

– Wyszłaś za mąż za mojego tatusia, więc jesteś moją mamusią, Belle.

Popycham drzwi zbyt mocno, przez co odbijają się z hukiem od ściany i płoszą je obie. Isabelle spogląda na mnie z przestachem i zrywa się na nogi, a książka zsuwa się na podłogę.

– O nie! – wykrzykuje Angeliqne i zeskakuje z łóżka.

Wpatrujemy się w siebie z żoną jeszcze przez chwilę, a potem kobieta dołącza do mojej córki i oglądają pogięty zamek w jednej z rozkładanych książeczek o księżniczkach. Wchodzę do pokoju i podnoszę książkę. Angélique i Isabelle wstają.

– Jest zniszczona – oznajmia dziewczynka pełnym wyrzutu głosem.

– Przepraszam – mówi Isabelle, a córka bierze ją za rękę.

– To nie twoja wina, Belle – odpowiada słodkim głosem, odwraca się do mnie i rzuca mi gniewne spojrzenie.

Aha, czyli to moja wina. Własna córka, krew z mojej krwi, stanęła po stronie wroga.

– Chyba uda nam się ją naprawić. – Żona stara się ratować sytuację. – Zobacz, tylko się trochę zgięła. Spróbujemy?

– Kupię ci nową – proponuję dziwnie defensywnym tonem. We własnym domu czuję się jak outsider.

– Nie chcę nowej, chcę moją! – Angélique przypuszcza atak, a ja odnoszę wrażenie, że w końcu zaczęła wyrażać uczucia, które tłumiała w sobie przez dłuższy czas.

– Nie powinnaś być już w łóżku? – mówię ostro. Zbyt ostro. Co prawda mała ma na sobie piżamę, ale dochodzi dziewiąta, a ona jeszcze nie śpi.

– To moja wina – wtrąca się Isabelle, gdy córka obiema rączkami chwyta jej dłoń. – Przysłałam dać Angélique buziaka na dobranoc i niechcący ją obudziłam.

Przenoszę wzrok na intruzkę, którą sam sprowadziłem pod nasz dach.

– Wszystko w porządku?

Jak na komendę odwracamy się w stronę stojącego w wejściu Ezekiela.

– W najlepszym – odpowiadam. Biorę Isabelle pod ramię i podprowadzam do brata. – Dotrzymaj towarzystwa mojej żonie, a ja położę córkę do łóżka.

Dziewczyna wygląda, jakby chciała kazać mi się odpierdolić, ale na szczęście ma dość rozumu, by trzymać język za zębami. – Idziemy? – ponagla Zeke.

– Jutro naprawimy książeczkę. Oczywiście o ile tatuś nie będzie miał nic przeciwko. Dobranoc, kochanie – mówi Isabelle, nim odwraca się na pięcie i wychodzi z pokoju, mijając w progu mojego brata.

Ręce zwijają mi się w pięści, szczęki zaciskają.

– A może ja położę Angélique? I tak mam zaległości w czytaniu jej bajek na dobranoc – proponuje niespodziewanie Zeke. Przytakuję i schylam się, by pocałować córeczkę w czubek głowy, lecz ona nie oplata mi szyi ramionkami, jak zazwyczaj. Krzyżuje je na piersi i demonstracyjnie odwraca główkę, aby dać mi do zrozumienia, że się gniewa.

– Idź, już jesteś spóźniony – ponagla mnie brat.

Delikatnie unoszę palcami podbródek Angélique.

– Jutro ją naprawimy.

Mała patrzy spode łba, a ja nie bardzo wiem, co zrobić, więc wychodzę. Zaraz za progiem wściekłość powraca. Znajduję Isabelle na dole przy drzwiach wyjściowych. Stoi z rękami założonymi na piersi i wygląda na nie mniej nadąsaną niż Angélique. – Ona ma tylko pięć lat, ty dziewiętnaście – mówię i zdejmuję z wieszaka lekką wełnianą pelerynę, by narzucić ją na ramiona żony. – Przestań strzelać focha.

– Nie strzelam żadnego focha. Zachowałeś się jak palant. Przeprosiłeś ją chociaż?

– Za co niby miałbym przepraszać?

– Za to, że napędziłeś nam obu niezłego stracha swoim wtargnięciem!

– Dlaczego nie zjadłaś kolacji? – zmieniam temat.

Isabelle przewraca oczami.

– Jak długo tam stałeś?

– Pytasz, czy dość długo, by usłyszeć, jak wypytyjesz moją córkę o Kimberly, a ona chce wiedzieć, czy jesteś jej mamusią?

– Nie zdaję sobie sprawy, że zmuszam dziewczynę, by się cofała, dopóki nie trafia plecami na ścianę. Pochylam się nad nią złowieszczo.

– Nigdy nie miałam zamiaru uzurpować sobie tej roli.

– Czyżby? Przez cały czas bawisz się w dom. Zdążyłaś się poczuć tutaj swobodnie. Chyba zbyt swobodnie. – Kładę rękę na ścianie i przybliżam swoją twarz do twarzy Isabelle. – Zapomniałaś, gdzie twoje miejsce. Trochę w tym mojej winy, bo ci na to pozwoliłem. Jednak dzisiejszej nocy to naprawimy.

– Chwytam żonę za ramię, wyprowadzam na zewnątrz i wsadzam do czekającego na podjeździe rolls-royce'a. Jak tylko ją puszczam, a Dex rusza w stronę siedziby IVI, szybko odsuwa się ode mnie, krzyżuje ręce na piersi i patrzy przez okno. Dziś w nocy nauczę ją posłuszeństwa tak, jak wcześniej planowałem. Do tej pory najwyraźniej byłem wobec niej zbyt miękki.



## 42 ISABELLE

Aukcja cieszy się ogromną popularnością i gdy docieramy na miejsce, sala balowa o barokowym wystroju pęka w szwach od elegancko ubranych kobiet i mężczyzn popijających szampana z wysokich kryształowych kieliszków. Jericho ściąga mi pelerynę z ramion i wręcza ją szatniarce. Chowa numerki do kieszeni, po czym kładzie dłoń u dołu moich pleców, by poprowadzić mnie w sam środek tłumu. Ludzie zaczynają odwracać głowy w naszą stronę. Wiem, dlaczego mąż wybrał akurat tę suknię. I dlaczego domagał się, by fryzjerka upięła mi wysoko włosy. Za naszymi plecami rozlegają się westchnienia i szepty. Odnoszę wrażenie, jakbym nagle się skurczyła, stała rzeczą, przedmiotem należącym do Jericha St. Jamesa. I właśnie to mąż chce udowodnić dzisiejszej nocy. Ten pokaz dominacji jest karą, która ma mnie nauczyć, gdzie moje miejsce. Co za dupek!

– O to ci chodziło? Wszyscy muszą zobaczyć, że jestem twoją własnością? – pytam, kiedy bierze od kelnera dwa kieliszki i podaje mi jeden. Aż kusi, by chlusnąć mu szampanem w twarz, ale siłą woli utrzymuję emocje na wodzy.

Mąż się do mnie uśmiecha. Nie, to nie do końca uśmiech. Raczej mina łakomego, pewnego siebie drapieznika, który za chwilę dopadnie ofiarę.

– Ci ludzie nic mnie nie obchodzą. Chcę tylko, żebyś ty pamiętała, że jesteś moją własnością. Jedno mogę ci obiecać. Zanim minie dzisiejsza noc, pozbędziesz się co do tego wszelkich wątpliwości.

– Jericho.

Za naszymi plecami rozlega się głos. Zamieram, ponieważ go rozpoznaję. Kiedy udaje mi się rozluźnić mięśnie na tyle, by się odwrócić, staję twarzą w twarz z mężczyzną, który na połowie twarzy ma wytatuowaną czaszkę. Towarzyszy mu piękna kobieta, uśmiecha się przyjaźnie.

Jericho obejmuje moją talię zaborczym gestem.

– Santiago. Ivy.

Choć mężczyzna się uśmiecha, to jego towarzyszka sprawia, że w pomieszczeniu robi się jakby jaśniej i cieplej.

– Cześć – mówi i wyciąga do mnie rękę. – Jestem Ivy De La Rosa. Spotkałaś już mojego męża, ale my jeszcze nie miałyśmy okazji się poznać.

Chwytam jej dłoń i czuję mocny uścisk. To świadomy gest, swego rodzaju wiadomość. Nie mam ochoty puszczać tej ręki. – Isabelle Bishop.

– St. James – poprawia mnie Jericho.

Obie zerkamy na niego w milczeniu, po czym odchrząkuję i zwracam spojrzenie z powrotem na kobietę.

– Bardzo mi miło, Ivy.

Koło nas materializuje się kelner z tacą, lecz moja nowa znajoma potrząsa głową.

– Pójdę napić się soku – informuje męża, nadal trzymając mnie za rękę.

– Ja też – oznajmiam.

Odstawiam na tacę kieliszek, z którego nie upiłam ani łyka, i wyslizguję się poza zasięg rąk Jericha.

– Na samą myśl o alkoholu robi mi się niedobrze – dodaję i patrzę na męża. – Zresztą nie tylko na myśl o alkoholu.

Gdy ruszamy w stronę baru, Jericho mruży powieki, a Santiago chichocze pod nosem.

– Tatuaż wygląda pięknie. Może kiedyś przedłużę ten na karku Ivy – stwierdza.

Odpowiedzi St. Jamesa już nie słyszę.

– Faceci. – Ivy przewraca oczami, chociaż w krótkim spojrzeniu, które rzuca mężowi przez ramię, nim skupia uwagę z powrotem na mnie, dostrzegam ogromne pokłady czułości. – Karmię piersią, więc szampan odpada. Wielka szkoda, bo, słowo daję, imprezy organizowane przez stowarzyszenie łatwiej znieść po wypiciu drinka lub dwóch.

– Jak długo jesteście po ślubie?

Moja towarzyszka to piękna, pewna siebie kobieta. Wygląda na kilka lat starszą ode mnie. To dziwne, ale może właśnie niewielka różnica wieku sprawia, że tak wyraźnie dostrzegam, jak jesteśmy odmienne. Moja pewność siebie przeminęła z wiatrem, a ja sama przełączyłam się w tryb przetrwania. Lecz muszę oddać Jerichowi sprawiedliwość, że to nie przez niego. Zmieniłam się w dniu, gdy zginął Christian.

– Prawie trzy lata. W zasadzie poznałam Santiaga w podobnych okolicznościach co ty Jericha – odpowiada, kiedy docieramy do baru. – Poproszę sok pomarańczowy – zamawia i zwraca się do mnie: – Dla ciebie to samo?

– Tak, poproszę.

Ivy unosi w górę dwa palce, a barman realizuje zamówienie. Otrzymujemy sok w najbardziej wymyślnych szklankach, jakie w życiu widziałam. Później lawirujemy przez tłum, żeby zaszyć się w kącie. Siadamy na kanapie obitej aksamitem w kolorze burgunda, która jest równie piękna, co twarda i niewygodna.

– Mogłabyś rozwinąć myśl? Co to znaczy, że poznaliście się w podobnych okolicznościach? – pytam, po części dlatego, że nie mam pojęcia, ile kto wie na nasz temat.

– Santiago wziął mnie za żonę, żeby ukarać mojego ojca.

– Twojego ojca?

Ivy kiwa głową.

– Sądził, że tata zrobił coś złego jego rodzinie, lecz był w błędzie. – Jej twarz zasnuwa mrok, ale po chwili zmusza się, by znów się do mnie uśmiechnąć. – A mówię ci o tym, ponieważ wiem, jak to bywa na początku, i chciałabym cię zapewnić, że nie jesteś sama. Zawsze możesz ze mną pogadać.

– Jericho uważa, że mój brat... – Nie mogę się zmusić do wypowiedzenia tych słów na głos. – Uważa, że Carlton zrobił coś, do czego według mnie nie byłby zdolny. Rodziny Bishopów i St. Jamesów mają wspólną historię. Niezbyt chlubną. Krwawa waśń pomiędzy nimi trwa od pokoleń. Carlton nie jest aniołem, jednak nie wierzę, że mógłby dopuścić się czynów, o które oskarża go mąż. Czuję się jak ryba wyrzucona na brzeg. Nie umiem się odnaleźć w tej sytuacji. Nie wiem, co robić.

Słowa wylewają się z moich ust, zaskakując mnie samą chyba bardziej niż Ivy.

– Cóż, widząc, jak Jericho na ciebie patrzy, mogę stwierdzić, że cokolwiek robisz, obrałaś dobrą strategię.

Odwracam głowę. Stojący na drugim końcu sali St. James wpatruje się we mnie intensywnie.

– Coś ty, Ivy, on po prostu pilnuje swojej własności.

Uśmiecham się smutno i w duchu żałuję, że w szklance jest tylko sok. Przydałoby się coś mocniejszego.

– Nie sądzę. Mogę zobaczyć tatuaż?

Odwracam się na tyle, żeby mogła się przyjrzeć.

– Och, jest przepiękny – chwali i wodzi palcem po krawędziach. – Santiago

zaprojektował wzór. Jericho kazał mu się postarać, by tatuaż zakrył bliznę.

Patrzę na nią.

– Jego brat Ezekiel powiedział mi to samo. Pewnie mąż uważa, że jest okropna. Mam jeszcze jedną – dotykam obojczyka. – Ciekawe, czy tutaj też mnie wytatuje. Czy będzie chciał zakryć brzydotę tuszem.

– Myślę, że nie chodziło mu o kwestie estetyczne – zaprzecza Ivy. – Z tego, co mówił Santiago, a uwierz, jest bardzo oszczędny w słowach, wywnioskowałam, że Jericho chciał przykryć ją swoim znakiem, by wymazać złe wspomnienie.

– Wymazać złe wspomnienie? Masz na myśli moje wspomnienie?

Kobieta kiwa głową.

– Takie odniosłam wrażenie. Twój mąż powiedział, że przeżyłaś straszną noc, która nie powinna się w ogóle wydarzyć.

– Chodzi o noc, gdy zginął mój brat – mówię i zastanawiam się, ile Jericho wie na ten temat. No i dlaczego go to obchodzi.

Ivy przykrywa moją dłoń swoją.

– W takim razie rozumiem, dlaczego twój mąż chciałby, żebyś o niej zapomniała.

Informacje, które usłyszałam od Ivy, stawiają sprawę w nowym świetle. Wcześniej nie myślałam o tatuażu w ten sposób. Czy naprawdę Jericho kazał zaprojektować taki wzór, by pomóc mi zapomnieć o traumatycznej przeszłości? Nie, niemożliwe.

Nagle rozbrzmiewa gong. Obie spoglądamy w kierunku, z którego dobiega dźwięk. Ludzie ruszają ku krzesłom ustawionym po drugiej stronie sali, a do nas podchodzą mężowie.

– No i koniec rozmowy – mówi Ivy, po czym wstaje, wciąż trzymając mnie za rękę. – Pamiętaj, że gdybyś czegokolwiek potrzebowała, dzwoń.

Wyciąga z torebki notes i pióro. Szybko kreśli numer telefonu i wciska karteczkę w moją dłoń.

– Zapisałam ci komórkę i domowy.

– Dziękuję ci, Ivy. Jestem naprawdę wdzięczna.

– Nie ma sprawy.

Przytula mnie przez chwilę, nim Santiago chwyta ją za rękę, kiwa mi na pożegnanie głową i ciągnie żonę w stronę krzeseł. – Jak tam wasze małe tête-à-tête? – pyta Jericho i znów kładzie mi swoje zaborcze łapsko na talii.

– Rozmowa z Ivy była o wiele bardziej interesująca niż jakakolwiek z tych, które przeprowadziłam z tobą – pyskuję.

Mąż uśmiecha się i zaciska mocniej rękę.

– Och, najdroższa, ciężko pracujesz na to, co czeka cię dzisiejszej nocy.

Nie mam cienia szansy, żeby zapytać, o co mu chodzi, bo od razu ciągnie mnie przez tłum na nasze miejsca na samym przodzie sali. Jestem zaskoczona. Jericho zazwyczaj nie szuka zainteresowania innych. Zachowuje się raczej jak kot, który obserwuje wszystkich ze swojej kryjówki na drzewie. Nic nie umyka jego uwadze, choć sam pozostaje niewidzialny, przyczajony, gotowy do ataku.

Mija kilka minut, nim wszyscy zajmują przypisane im miejsca, potem następuje powitanie i pada wzmianka o fundacji dobroczynnej, której zostaną przekazane fundusze zebrane tego wieczora. Potem rozpoczyna się aukcja. Pierwszym licytowanym przedmiotem jest obraz. Piękny krajobraz sprzed trzech wieków w złotej ramie, namalowany przez niderlandzkiego artystę. Cena wywoławcza zapiera dech w piersi.

Początkowo Jericho nie jest zainteresowany udziałem w licytacji. Pierwsze cztery okazy zostają wniesione na scenę, sprzedane i wyniesione, a on tylko przegląda folder.

– Nareszcie – mówi w końcu, rozpiera się na krześle i kładzie mi dłoń na kolanie. Gdy dwóch mężczyzn taszczy na podwyższenie tajemniczy przedmiot przykryty czerwonym aksamitem, najwyraźniej bardzo ciężki, nachyla się do mnie i szepcze: – Po to tu przyjechaliśmy. Mój prezent dla ciebie.

Rzucam mu przelotne spojrzenie, nim mężczyźni stawiają ładunek na podłodze i ściągają z niego materiał. W ciszy, jaka nagle zapada, wszyscy pewnie słyszą, jak wciągam ze świstem powietrze. Na scenie stoją dyby, bliźniaczo podobne do tych, których użyto podczas ceremonii naznaczenia.

## 43 JERICHO

Aż do chwili, gdy wsiadamy do samochodu, Isabelle nie odzywa się do mnie ani słowem. Przyglądam się jej i jestem bardzo z siebie zadowolony. Kiedy dojeżdżamy do rezydencji, próbuje uciec z auta, ale przytrzymuję ją za nadgarstek.

– Puszczaj. Jestem głodna i zmęczona.

Przypomina mi się, że Angelique pytała ją o samopoczucie.

– Nie jadłaś kolacji?

– Nie jadłam, bo nie czułam się zbyt dobrze.

– Zrobię ci kanapkę.

Prowadzę ją do kuchni.

– Sama umiem zrobić sobie kanapkę. Ty możesz iść do łóżka albo pobawić się swoją nową zabawką. Wszystko mi jedno, bylebyś zostawił mnie w spokoju.

– Nic z tego. – Włączam światło i wysuwam krzesło spod blatu. – Nowa zabaweczka nie jest moja, tylko nasza – mówię i puszczam oczko do żony. – Siadaj.

– Po jaką cholere to kupiłeś? – pyta, gdy wyciągam masło i sery z lodówki. Rzucam przelotne spojrzenie na wędliny, ale przypominam sobie, że przecież jest wegetarianką.

– Podobało mi się, jak wyglądałaś zakuta w dyby.

– Ale mnie się nie podobało, jak się wtedy czułam.

– Teraz będzie inaczej. Tylko ty i ja. Bez widowni.

Kiedy odpakowuję jeden z serów, Isabelle się krzywi.

– Ten nie. – Teatralnym gestem zatyka sobie nos. – Aż mnie mdli od tego smrodu.

Przyglądam się jej, po czym wacham ser, który ma nikły, dość neutralny zapach.

– Moim zdaniem pachnie w porządku.

– Tylko masło, dobrze? Zjem kanapkę z samym masłem.

Odkładam ser i smaruję grubą pajdę chleba. Stawiam przed żoną talerz, a ona sięga po solniczkę, oprósza kanapkę białymi kryształkami, podnosi ją do ust i wgryza się w nią łapczywie.

– Skoro jesteś taka głodna, jedna kanapka to za mało. Potrzebujesz białka.

– Od kiedy się martwisz o ilość białka w mojej diecie?

– Co dzisiaj zjadłaś?

– Tę kanapkę. I jabłko. Napiłam się też trochę soku.

– I to wszystko?

– Mówiłam, że źle się czułam. Ale co cię to obchodzi? Martwisz się, że popsuję ci plany na wieczór? Że nie będziesz mógł mnie zakuć w tym średniowiecznym narzędziu tortur?

Isabelle wpycha sobie ostatni kawałek chleba do ust, a ja smaruję masłem kolejne dwie kromki. Bez wahania łapie jedną z nich, soli i zaczyna jeść. Nalewam jej szklankę soku pomarańczowego, patrzę na dziewczynę i zastanawiam się, ile czasu tu mieszka. Mniej więcej dwa miesiące.

– Rozmawiałam dzisiaj z twoim bratem.

Jej głos wyrywa mnie z rozmyślań. Czuję, jak cały się spinam. Żona przekrzywia głowę, dzięki czemu widzę, jak gwałtownie pulsuje jej krew. Przymykam powieki.

„A więc dlatego jest zdenerwowana”.

– Powiedział mi, że żyliście w trójkącie.

– Słucham?

Odkłada chleb na talerz.

– Ty, Ezekiel i matka Angelique. Żyliście w trójkącie.

Nie odpowiadam. Isabelle przeżuwa jedzenie ze wzrokiem utkwionym we mnie. Czekam na moją reakcję.

– Po prostu jedz.

Marszczy czoło, jakby próbowała się skoncentrować.

– To prawda?

– Kończ jedzenie, żebym mógł przykuć cię do dybów.

– Nie chcę...

– Nie ma znaczenia, czego chcesz, Isabelle. Liczy się tylko to, czego chcę ja. A teraz jedz.

Wpatruje mi się w oczy, kończy drugą kromkę, wyciera ręce i pozostawia ostatnią pajdę nietkniętą. Widzę, jak jej sterczące sutki ocierają się o wewnętrzną stronę sukienki. Zauważam rumieniec na policzkach. Nie takiej reakcji się spodziewałem.

– Skończyłaś?

Potakuje.

– Więc chodźmy. – Gestem wskazuję drzwi.

Chyba się spodziewałem, że ucieknie, lecz tego nie robi. Posłusznie zsuwa się ze stołka. Bez słowa wychodzimy z domu i kierujemy się w stronę kościółka. Isabelle zwalnia kroku, gdy otwieram przed nią bramę prowadzącą na cmentarz. Biorę ją za rękę i ruszamy na tył budynku. Dziś w nocy to nie kaplica jest celem naszej wędrówki. Dziewczyna się waha. Panuje tutaj większy mrok, bo drzewa rosną gęściej.

– No chodź – popędzam ją. Nie żeby miała wybór.

Otwieram zasuwę w ciężkich drewnianych drzwiach i szarpnięciem mocno, żeby je otworzyć. Wewnątrz palą się świece, setki świec, w powietrzu unosi się zapach stopionego wosku i dawno niewietrzonego pomieszczenia.

– Co to jest?

Isabelle robi krok w tył i opiera się o mnie plecami. Jej wzrok pada na powód, dla którego ją tu przyprowadziłem. Kładę ręce na ramionach dziewczyny.

– W czasach, kiedy w tym kościele odprawiano msze, tego pomieszczenia używali księża, by się przebrać. Tamtędy można przejść do kaplicy. – Palcem wskazuję wąskie, niskie drzwi.

Przy jednej ze ścian stoi skórzana kanapa. Jest tu, odkąd pamiętam. Skóra dawno popękiała i wyblakła. Poza tym w salce znajdują się jeszcze dwa kufry. W jednym leżą przeżarte przez mole szaty liturgiczne, w drugim – rekwizyty, których będę potrzebować dzisiejszej nocy. Kamienna podłoga nie grzeszy czystością, mimo że kazałem ją zamieść. Sufit jest równie wysoko jak w kaplicy, choć pod tym pomieszczeniem nie ma żadnego wzniesienia. Nikogo pod nim nie pogrzebano. Przynajmniej o ile mi wiadomo. Jedyne okno zostało z zewnątrz zabite deskami. Gdyby nie świece, panowałby tu mrok. Poustawiano je na podłodze wzdłuż ścian i w niewielkich niszach wykutych na kształt półek, wszędzie dokoła. W głębi pomieszczenia stoi dumnie powód naszego przybycia. Świeżo zakupione dyby stanowią główną ozdobę sali. Dex wraz z dwoma mężczyznami, którzy je wnieśli w czasie aukcji na scenę, przywieźli dyby tutaj zaraz po zakończeniu licytacji. Teraz stoją otwarte, w oczekiwaniu na moją żonę.

– Jericho? – mówi Isabelle pytającym tonem i odwraca się, by spojrzeć mi w oczy.

Przyglądam się jej, zsuwam pelerynę z ramion i pozwalam, by spadła na brudną podłogę. Następnie przychodzi kolej na suknię. Nietrudno ją zdjąć, wystarczy rozpiąć krótki suwak na plecach i jednym pociągnięciem rozwiązać tasiemkę na karku, która pomaga utrzymać szerokie

ramiączka na miejscu. Jedwab gładko ześlizguje się z ciała. Dziewczyna stoi przede mną w samych majtkach i szpilkach. Nie ma na sobie stanika.

– Chcę wracać.

Chwytam ją za nadgarstki i prowadzę tyłem do dybów.

– Jak skończymy.

Schylam głowę, przyciągam Isabelle i całuję w usta. Pocałunek jest inny niż zazwyczaj. Delikatniejszy. Bardziej zmysłowy. W miarę jak się pogłębia, czuję, że ciało dziewczyny się odpręża. Słyszę cichutkie jęknięcie. Chwytam dolną wargę zębami i lekko przygryzam. Przeciągam porośniętą odrastającym zarostem szczęką po zaróżowionym policzku, aż moje usta znajdują się tuż przy uchu.

– Jesteś gotowa?

Rzuca przez ramię spojrzenie na średniowieczne narzędzie tortur, a jej ciałem wstrząsa dreszcz.

– Tylko ty i ja, Isabelle.

Widzę, jak poruszają się mięśnie szyi, gdy przetyka ślinę. Kiwa nieznacznie głową. Unoszę jej ramiona i ustawiam twarzą do dybów. Nie są to te same, których użyłem podczas ceremonii naznaczenia, choć bardzo je przypominają. Te są nieco wyższe, więc zakuta osoba musi stać mocno pochylona. Druga sprawa, że nie są tak wiekowe jak tamte, a tylko postarzone.

Zginam Isabelle w pasie i umieszczam jej nadgarstki oraz szyję w wyłobieniach. Odsuwam się o kilka kroków, żeby móc się przyjrzeć i podziwiać idealne ciało żony.

– Wyglądasz pięknie – mówię i przesuwam palcem po konturach tatuażu, który w świetle świec zdaje się lśnić czernią.

Umieszczam górną część dybów na właściwym miejscu i zamykam kłódkę. Pochylam się, by pocałować Isabelle w ramię.

Cofam się o krok i wsłuchuję w oddech żony. Jestem już twardy. Ściągam Isabelle majtki z bioder i upuszczam je na podłogę. Dziewczyna zgina i rozprostowuje palce, a ja spoglądam w zabytkowe lustro w złoconej ramie, które zawieszono na ścianie naprzeciwko dybów. Nasze oczy spotykają się w lśniącej tafli. Pragnę posiąść Isabelle, wziąć ją natychmiast, ale najpierw musimy ustalić kilka rzeczy.

Okrażam dyby, staję przed żoną i odgarniam jej zbłąkany kosmyk z twarzy. Unosi głowę na tyle, na ile to możliwe, i patrzy na mnie spod gęstej zasłony rzęs. Kiedy wracam na tył, kolanem rozchyłam szeroko jej nogi i przyciskam ręką dół pleców, żeby się wygięła. Stoi pochylona i obscenicznie otwarta. Nie mogę przestać się zastanawiać, skąd się bierze władza, jaką ma nade mną, dzięki której sprawia, że tak bardzo jej pragnę. Czym się różni od innych kobiet? Owszem, jest piękna, ale nie ona jedna. Lecz to właśnie jej pragnę. Dziewczyny od Bishopów. Nie potrafię tego pojąć.

Isabelle przygląda się w lustrze, jak podciągam rękawy koszuli. Oblizuje usta i przestępuje z nogi na nogę. Jej cipka lśni od soków. Ale dzisiaj nie będziemy się tak po prostu pieprzyć. Nie po to ją tu przyprowadziłem.

Podchodzę do jednego z kufrów i go otwieram. Ze środka wyciągam czarną pelerynę, zarzucam ją na ramiona i zapinam sprzączkę pod szyją. Pozwalam, żeby kaptur zwisał luźno na plecach.

– Jericho?

Następnie wyjmuję maskę. To kopia tej, którą miałem na sobie, gdy poznaliśmy się w kaplicy. Ma takie same rogi. Zakładam ją na twarz i wracam do żony, przyglądając się, jak podąża za mną wzrokiem.

– Przerażasz mnie – mówi Isabelle, kiedy za nią staję.

Kładę obie dłonie na jej pośladkach i je rozchylam. Kładę kciuk na odbycie.

– Gdybyśmy obaj z Ezekielem założyli peleryny i maski, wątpię, byś potrafiła nas odróżnić. Wiedziałaś, że ma na plecach taki sam tatuaż jak ja?

Kręci głową. Wkładam dłoń między nogi dziewczyny i masuję lechtaczkę, a potem wsuwam w nią dwa palce, by przenieść trochę wilgoci do drugiej dziurki.

– Umiałabym was odróżnić. – Szarpie rękami, by sprawdzić, jak mocno trzyma kłódka. – Jestem tego pewna.

– Mam co do tego wątpliwości.

– Zamierzasz się mną z nim podzielić?

Wpatruję się w odbicie jej twarzy w lustrze i wpycham palec w odbyt. Widzę, jak powstrzymuje nagły przypływ paniki.

– Dotknął cię?

Potrząsa przecząco głową.

– To dobrze. W przeciwnym wypadku musiałbym uciąć mu łapska. – Przenoszę wzrok na jej tyłek. – Pamiętasz, co powiedziałem tamtej nocy, gdy zamknąłem cię w piwnicy?

Isabelle wypuszcza głośno powietrze. Jej mięśnie zaciskają się pod wpływem niechcianego dotyku. W lustrze widzę okrągłe ze strachu oczy.

– Na temat Kimberly. Pamiętasz? – ponawiam pytanie. Rytmicznie wsuwam i wysuwam palec. Drugą ręką rozpinam pasek, potem rozporek i wpycham kutasa do cipki. Dziewczyna jęczy i bardziej wygina plecy w łuk.

Uśmiecham się, wyciągam palec i daję jej otwartą dłońią klapsa w biodro. Wciąga głośno powietrze. Udało mi się znów przykuć jej uwagę.

– Skup się. Przypominasz sobie?

Potakuje i przesuwając językiem po ustach.

– Kazałeś mi nigdy więcej o niej nie wspominać. Pod żadnym pozorem. Powiedziałeś...

Ach... Powiedziałeś...

– A jednak nie uszanowałaś jej pamięci.

Uderzam ją w tyłek.

– Nieprawda!

Rozchylam jej pośladki i przyglądam się, jak cipka zachłannie przyjmuje mojego fiuta. Oczy Isabelle zachodzą mgłą. Po paru pchnięciach, kiedy kutas aż ocieka od soków, wychodzę z niej i wpatrując się w lustrze w twarz żony, przysuwam go do odbytu.

– Jericho... – Potrząsa gwałtownie głową, gdy zdaje sobie sprawę, co się za chwilę stanie. – Proszę... Nie tam.

– Dopilnuję, żebyś doszła. Ale najpierw należy ci się kara. Bo mówiłem coś jeszcze. Pamiętasz, co powiedziałem o Zeke'u?

Napieram na ciasną dziurkę. Isabelle zamyka oczy i dyszy, jej mięśnie zaciskają się mocno, by nie wpuścić mnie do środka.

– Zrobię to tak czy inaczej. Będzie ci łatwiej, jak przestaniesz się opierać.

– Proszę, Jericho. Czego ty chcesz?

– Czy to nie oczywiste? Chcę zerznąć twój tyłek.

– Nie! Błagam!

– Co mówiłem o Ezekielu?

Żona skamle, gdy ciasny otwór rozszerza się na tyle, bym wsunął czubek penisa.

– Żebym trzymała się od niego z daleka! – krzyczy. – To boli! Proszę! To boli!

– I jaki mamy wynik? Zero do dwóch. Nie jesteś zbyt dobra w wykonywaniu poleceń,

co?



Chwytam ją mocno za biodro, drugą ręką zaczynam pieścić łechtaczkę i jednocześnie wpycham kutasa. Jest taka ciasna! Taka cholernie ciasna!

– Będę posłuszna – mówi, kiedy masuję mokry od soków, nabrzmiąły guziczek. – Poprawię się.

– Och, nie mam co do tego wątpliwości – przytakuje. – Bo wiesz, rżnięcie w dupę za karę to zupełnie co innego niż rżnięcie w dupę dla przyjemności.

Powoli wsuwam się na całą długość. Nie chcę jej skrzywdzić, tylko ostrzec. Stoję nieruchomo, ale nie przestaję pieścić łechtaczki. Obserwuję twarz dziewczyny w lustrze. W końcu rozluźnia mięśnie i przestaje się opierać.

– Świetnie, Isabelle. Właśnie tak. A teraz spójrz na mnie.

Pochyliam się, by pocałować ją między łopatkami. Dziewczyna kiwa głową i podnosi wzrok.

– Tak dobrze?

Potakuje.

– Chcesz, żebym zerznął cię w tyłek za karę czy dla przyjemności?

– Dla przyjemności – dyszy.

Zaczynam się poruszać.

– Podoba ci się?

– Tak, tak, w ten sposób. Proszę.

Uśmiecham się.

– Grzeczna dziewczynka. To wcale nie musi być niemiłe doświadczenie.

Choć znów kiwa głową, nie jestem pewien, czy rozumie, co do niej mówię. Pręży się jak kotka, a z jej szparki wyciekają soki.

– Obiecujesz, że się poprawisz?

– Tak.

– Powiedziałaś teraz wszystko, byle tylko dojść, prawda?

Daje się podejść i nie przestaje potakiwać. Chce, żebym doprowadził ją do orgazmu. Tłumię śmiech.

– Powiedz, jak bardzo lubisz, kiedy ci wsadzam.

– Kocham... Kocham cię... – Milknie i potrzęsa głową. – To znaczy... Lubię twojego penisa.

Te słowa sprawiają, że zatrzymuję się w połowie ruchu, lecz gdy zerkam na jej twarz w lustrze, Isabelle błądzi wzrokiem. Wydaje się zagubiona. Z pewnością nie chciała tego powiedzieć. Wyrwało się jej, bo nowe doznania spowodowały, że nie od razu zrozumiała pytanie. To wszystko.

Spoglądam na nasze złączone ciała. Na moją męskość we wnętrzu dziewczyny, na rozciągniętą dziurkę, bym mógł się zmieścić. I kiedy pcham kolejny raz, Isabelle głośno jęczy. Ścisza nogi, głowa opada jej bezwładnie, a ścianki zaciskają się wokół mnie rytmicznie. Dochodzi. Zaczynam poruszać się tak, jak chcę. Tak, jak potrzebuję. Wpizam palce w biodra żony, by utrzymać ją w pionie, bo kolana się pod nią uginają. Sapie i non stop powtarza moje imię, choć wcale jej nie każe. Mięśnie zaciskają się mocno na kutasie, kiedy dziewczyna szczytuje raz za razem, aż zaczyna błagać, bym przestał. Nie jest w stanie znieść więcej przyjemności. Dopiero wtedy pozwalam sobie osiąść ją naprawdę. Poddaję się najbardziej pierwotnym instynktom i pieprzę mocno, aż wyrwam z jej piersi ostatni krzyk orgazmu.

Dochodzę ze świadomością, że nawet gdyby prawdą było, że mnie kocha, ta miłość nie potrwa długo. Za kilka dni, kiedy zorientuje się, co zrobiłem, zapala do mnie jedynie nienawiścią.

## 44 JERICHO

Gdy wysiadam z windy w budynku przy St. Charles Avenue 2500, starsza recepcjonistka wydaje z siebie zaskoczony okrzyk.

– Dzień dobry, Noro – witam się. Kobieta pracowała tutaj już w czasach mojego dzieciństwa.

– Jericho... Panie St. James. My... Pański brat nie wspominał, że...

– Ezekiel jest w swoim biurze?

Zatrzymuję się na chwilę i zerkam na drugą stronę korytarza, na duże pomieszczenie na rogu, które Zeke przywłaszczył sobie, kiedy opuściłem firmę.

– Tak, proszę pana. Wydaje mi się, że on... – Nora zapowietrza się, po czym odchrząkuje. – Ma właśnie spotkanie ze swoją sekretarką, ale mogę do niego zadzwonić.

Uśmiecham się szeroko, bo domyślam się, jak przebiega owo „spotkanie”.

– Nie ma takiej potrzeby – mówię i ruszam w stronę biura.

Budynek jest własnością rodziny od trzydziestu lat. To jeden z nowszych nabytków. Z tego piętra brat zarządza firmą inwestycyjną. Gdybym nie wyjechał z Nowego Orleanu, to ja stałbym na jej czele. Jednak Zeke lepiej ode mnie razi sobie z inwestycjami, więc się cieszę, że są na jego głowie.

Gdy docieram do ciężkich dębowych drzwi, nie przejmuję się takimi drobiazgami jak dobre maniere. Wchodzę bez pukania.

– Bracie – witam się.

Zeke podnosi wzrok znad zadania, które właśnie wykonuje. Najwyraźniej wymierza karę sekretarce. Kobieta leży brzuchem na biurku z zadartą na plecy spódnicą i majtkami ściągniętymi do kolan. Słyszę świst dyscypliny i głośne westchnienie, gdy trzcinka ląduje na poślądkach. Na mój widok kobieta próbuje się podnieść, lecz Ezekiel kładzie rękę na jej plecach, by zatrzymać ją w miejscu, i uśmiecha się szeroko.

– Dzień dobry, braciszku. Dość wcześnie jak na ciebie – zauważa, niezrażony moim niezapowiedzianym wtargnięciem, i bez skrępowania przygląda się poślądkom podwładnej. Jestem pewien, że właśnie wykwita na nich kolejna czerwona pręga.

– To prawda.

Podchodzę do barku, by nalać sobie kubek kawy ze srebrnego termosu. W międzyczasie brat odprawia sekretarkę.

– Dokończymy po lunchu, Selene. Przypomnij mi, ile ci jeszcze zostało? Sześć?

– Tak, proszę pana.

– Możesz odejść.

– Dziękuję.

Odwracam się, by zobaczyć, jak schyla się niezdarnie, żeby podciągnąć majtki, i poprawia spódnicę. Jej policzki pałają taką samą czerwienią jak tyłek, który mignął mi przez sekundę. Niezgrabnie zbiera teczki z biurka szefa i czmycha z gabinetu.

– Nie miałem zamiaru ci przeszkadzać – przepraszam Ezekuela, który wsuwa długą, cienką trzcinkę pod biurko i siada na swoim miejscu.

– Mogę dokończyć później – odpowiada. Rozsiada się w fotelu i opiera kostkę jednej nogi o kolano drugiej. – Jestem pewien, że Selene z chęcią odwzięczyłaby ci się za tę chwilę wytchnienia. Jej znajomość ortografii woła o pomstę do nieba.

- Lecz jest na tyle atrakcyjna, że zachowuje posadę.
- Cóż, staram się nie powierzać jej odpowiedzialnych zadań.
- Słusznie.

Siadam na kanapie i patrzę przez okno na tętniącą życiem ulicę w dole. Nagle zdaję sobie sprawę, jak bardzo tęskniłem za Nowym Orleanem.

- Co cię tu sprowadza? – pyta Zeke.
- Twoja rozmowa z moją żoną.
- Aha.
- Co dokładnie powiedziałeś jej o Kimberly?

- Prawdę.
- Całą?
- Dość, by chciała dowiedzieć się więcej.
- Czy to jakaś zemsta?

– Słucham?

– Za Kimberly, a raczej za to, co się między nami wydarzyło.

– Zakochałeś się w niej. Ona zakochała się w tobie. Koniec opowieści. – Brat wzrusza ramionami, ale w jego oczach widzę kłębiące się emocje. – Jakiej zemsty się po mnie spodziewasz?

- Odebrałem ci ją, a teraz ty chcesz odebrać mi Isabelle.
- Zaoferowałem jedynie ochronę swojej bratowej.
- Ona nie potrzebuje twojej ochrony. Może liczyć na moją.
- Widzisz, ona szuka kogoś, kto obroniłby ją przed tobą.
- To już nie twój problem. Trzymaj się od Isabelle z daleka.
- Nie ja przyszedłem do niej, lecz ona do mnie. I zadawała mnóstwo pytań.
- Na które ty z radością odpowiedziałeś.

– A nie zastanawia cię, skąd zdobyła informacje? Na twoim miejscu, bracie, tym zacząłbym się przejmować.

– Co masz na myśli?

– Trzymasz ją pod kluczem. Do dnia, w którym odebrałeś ją Carltonowi, nie miała pojęcia o twoim istnieniu, o istnieniu kogokolwiek z naszej rodziny. Więc niby skąd dowiedziała się o Kimberly? A dokładniej: o Kimberly i o mnie?

Muszę mieć zdziwioną minę, bo Zeke kontynuuje:

– Właśnie to chciała wiedzieć. Czy ukradłeś mi kobietę.

Krzywię się na jego dobór słów, choć do pewnego stopnia jest to prawda. Ezekiel i Kimberly przez jakiś czas byli razem, potem się nią dzieliliśmy, a na koniec mu ją zabrałem.

– Odniosłem wrażenie, że twoja żona nie jest tak odizolowana od ludzi, jak ci się wydaje. Skądś czerpie wiadomości. Zastanawia mnie, ile wie i kto sprzedaje jej informacje. I oczywiście, co w zamian zdradza o nas.

Zrywam się z miejsca.

– Teraz to już bez znaczenia.

– O czym ty mówisz?

– Wydaje mi się, że Isabelle jest w ciąży. – Ezekiel nic nie odpowiada, tylko wpatruje się w moją twarz. – Upewnię się za kilka dni.

– Zorientowała się już?

Kręcę głową.

– Sądzi, że codziennie łyka pigułkę antykoncepcyjną.

– A to nieprawda?

– Podmieniłem opakowania.

– Chryste! – Zeke patrzy na mnie z naganą, a ja odwracam wzrok. Nie mogę znieść oskarżycielskiego spojrzenia. – Wiesz, że cię za to znienawidzi?

Czuję ucisk w piersi.

– To też nie ma znaczenia – mówię głosem przypominającym głos robota. To rzeczywiście nie miało mieć znaczenia, przynajmniej na początku.

– Ponieważ wkrótce dostaniesz to, co jest ci niezbędne, by przejść do kolejnego etapu swojego genialnego planu.

– Tak, do przejścia spadku Bishopów.

Ezekiel prycha i potrząsa z niedowierzaniem głową. Podchodzę do biurka i chwytam za krawędź blatu.

– Carlton ją zabił.

– Czy ty, kurwa, widzisz, co robisz? Zdajesz sobie sprawę, że niszczysz komuś życie? A właściwie więcej niż jednej osobie.

Ezekiel wstaje, a ja trudem łapię oddech.

– Podsumujmy twój genialny plan, Jericho. Zabrałeś Isabelle bratu, ożeniłeś się z nią i zrobiłeś jej dziecko. Co teraz? Co się stanie po tym, jak urodzi?

Zaciskam zęby, odwracam się i podchodzę do okna.

– Odbierzesz jej dziecko, a potem zabijesz żonę i pochowasz w grobie obok Nellie Bishop?

Cóż, taki właśnie miałem zamiar. Na samym początku. Gdy Isabelle Bishop była dla mnie nic nieznaczącym nazwiskiem.

– Ciekaw jestem, jaką zjebaną wymówką poczęstujesz Angelique, która, tak tylko informuję, pokochała tę kobietę i traktuje ją jak rodzoną matkę. Pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie, bo nie chciałbym, żeby historia się powtórzyła.

„Mam tylko nadzieję, że nie popełnisz tych samych grzechów, nie wskrzesisz okropnej przeszłości”, jak to ujął Carlton.

– Co masz na myśli?

– Jak sądzisz, co zrobi Bishop, gdy się o wszystkim dowie? Weź pod uwagę jego wcześniejsze, hmm, osiągnięcia. Uważasz, że nie będzie próbował znów jej skrzywdzić? Albo i gorzej?

## 45 ISABELLE

Następnego popołudnia słyszę pukanie do drzwi, gdy wymiotuję w łazience Jericha. Ktoś naciska kilkakrotnie na klamkę. Dziękuję Bogu za działający zamek.

– Isabelle? – dobiega do mnie głos Leontine.

– Zaraz wychodzę – mówię i spuszczam wodę. Opieram się plecami o wannę, pod udami czuję chłód płytek.

– Wszystko w porządku? Otwórz. Przyniosłam grzanki i piwo imbirowe.

– Nie jestem głodna.

„Jak ona może myśleć, że dam radę cokolwiek przełknąć?”

Odgarniam włosy z czoła, które całe się lepi. Czy to normalne, żeby człowiek tak się poccił podczas wymiotowania? Dawno nie miałam jelitówki, więc nie potrafię sobie przypomnieć.

Wstaję z trudem i wlokę się do umywalki, by przemyć twarz zimną wodą, a potem przeglądam się w lustrze. Wyglądam okropnie. Jestem wyczerpana i wychudzona. Od kilku dni niewiele jem. Chyba od tygodnia. I niestety widać to po mnie.

– Isabelle, dzwonię po lekarza.

– Nic mi nie jest.

Pospiesznie wycieram ręce, żeby otworzyć drzwi. Za nimi stoi teściowa. Na jej twarzy maluje się zmartwienie. Robi krok do tyłu i mi się przygląda. Jestem naga, jeśli nie liczyć koszulki Jericha, która, chwała Bogu, sięga do połowy uda. Była pierwszą rzeczą, jaka nawinęła mi się pod rękę, kiedy się obudziłam i poczułam falę wymiotów podchodzącą do gardła. T-shirt pachnie właścicielem.

– Nie wyglądasz na zdrową.

– To tylko niezły żołądek. Przejdzie za dzień lub dwa.

Patrzę ponad ramieniem Leontine na niepościelone łóżko. Niczego bardziej w tej chwili nie pragnę niż wślizgnąć się z powrotem pod koc. Jestem wyczerpana i rozbita.

– Chodź – nakazuje teściowa i bierze mnie pod ramię. – Zjedz grzankę. Od razu poczujesz się lepiej.

– Naprawdę wszystko w porządku. Muszę jedynie wziąć prysznic. Obiecałam Angelique, że pomogę jej naprawić książeczkę, i zasnęłam.

Ostatnio śpię dłużej niż zazwyczaj. To do mnie niepodobne.

– Angelique zrozumie. Jedz, a ja zadzwonię po lekarza.

– Zostawisz mnie samą, jak zjem?

Wzdycha, ale przytakuje.

– Nic mi nie jest, serio. – Biorę do ręki tost i wmuszam w siebie dwa kęsy. – Widzisz? Wszystko gra. – Udaje mi się przełknąć jeszcze jeden kawałek. – Przekaż, proszę, Angelique, że przyjdę do niej, jak tylko się ogarnę.

Resztki sił zużywam na przejście do swojej sypialni. Kiedy zostaję sama, opieram się o drzwi, kładę rękę na brzuchu i czekam, aż mdłości ustaną. W końcu ruszam do łazienki. Drzwi zamykam na klucz. Ściągam koszulkę Jericha. Przeciągając ją przez głowę, wdycham jego zapach, a gdy się na tym łapię, zastanawiam się, co ja, do cholery, robię.

Wczorajsza noc była przedziwna. Od początku do końca. Najpierw Angelique powiedziała, że uważa mnie za swoją mamę, bo przecież wyszłam za męża za jej tatę. Jerichowi kompletnie odwaliło, kiedy przypadkiem podsłuchał naszą rozmowę. A potem mężuś kupił na

aukcji te jebane dyby i się zaczęło.

Myślę, że z początku naprawdę chciał mnie ukarać za to, co powiedziała Angelique. Jakbym miała na to jakikolwiek wpływ. Z drugiej strony rozumiem jego zazdrość o łączącą nas relację. Mała mi ufa. I chociaż zna mnie dość krótko, jestem przy niej przez cały czas. W przeciwieństwie do męża. Niestety dziewczynka wie, że nie może na nim polegać, a jedna lekcja pływania nie naprawi pięciu lat jego nieobecności.

Kiedy wróciliśmy do domu, zabrał mnie... Wróc. Kiedy wróciliśmy do domu i powiedziałam, że zgłodniałam, zrobił mi kanapkę. Chciałam przygotować ją sobie sama, ale mnie wyręczył.

„Dobra, Isabelle, nie ekscytuj się zanedo. To były tylko trzy kromki chleba z masłem. Pewnie nie chciał, żebyś zemdlała, bo zabawa przeszłaby mu koło nosa”.

Wracam pamięcią do tamtej nocy, gdy przyśnił mi się koszmar. Do tego, jak Jericho mnie tulił. Jakim był dla mnie oparciem. Potrząsam głową, żeby wspomnienie się rozwiało. Wtedy pojawia się kolejne. Na samą myśl o tym, co wydarzyło się przy dybach, robi mi się gorąco, a żołądek fika kozła. Ale nie z powodu mdłości.

Wyciskam pastę na szczoteczkę i szoruję porządnie zęby, a następnie wchodzę pod prysznic.

Zupełnie nie spodziewałam się tego, co stało się w nocy. Kiedy myślę, jak Jericho mnie pieprzył i jak bardzo mi się to podobało, to... Sama nie wiem. Powinnam czuć się upokorzona. Mąż zakuł mnie w dyby i zerznął mi tyłek. Przecież to poniżające, prawda? A jednak miałam zajebisty orgazm. Chociaż nie wątpię, że Jericho mógłby sprawić, by zrobiło się z tego bardzo nieprzyjemne doświadczenie. I chyba tu jest pies pogrzebany. Podobne mieszane uczucia zrodziły się, gdy zrobił mi kanapki i gdy wychłostał się paskiem po udzie zamiast zbić mnie. No i wówczas, gdy po wybudzeniu z koszmaru podał mi szklankę wody, po czym przytulił.

Jericho może i chce odgrywać diabła, lecz musi mocno się starać, żeby zachowywać pozory. Dbą o to, aby nie stała mi się krzywda. Troszczy się o mnie bardziej, niż troszczono się przez trzy lata, które spędziłam w domu Carltona. Domu, w którym miejsce – przynajmniej w teorii – należało mi się z racji więzów rodzinnych. Ani brat, ani kuzynka, ani w ogóle nikt od śmierci Christiana nie przedkładał moich potrzeb ponad swoje. A Jericho tak właśnie robi.

Nagle przypominam sobie, co mi powiedziałam w nocy. Wracam myślami do momentu, kiedy słowa wypadły spomiędzy moich ust. Nie sądzę, by mąż je usłyszał. A nawet jeśli, pewnie uznał – tak jak robiłam to ja – że to tylko przejęzyczenie. Że w szale miłosnych uniesień straciłam kontrolę nad tym, co mówię. Że powiedziałabym wszystko, byle doprowadził mnie do orgazmu. A to akurat potrafi. Jestem skołowana. Nie rozumiem, ani co dzieje się dokoła, ani co dzieje się w mojej głowie. Sama nie wiem, czego chcę.

Pragnienie daje o sobie znać, więc podnoszę głowę i piję łapczywie wodę prosto z prysznic. Szybko okazuje się, że to duży błąd. Znow ogarniają mnie mdłości, do których zaczynam się już przyzwyczajać. Naprędce zakręcam kurek, chwytam ręcznik i padam na kolana przed sedesem, jednocześnie podnosząc klapę. Zwracam odrobinę wody, którą przed chwilą wypijałam, i drobinki grzanki. Słyszę, jak z szafki dobiega buczenie mojego telefonu. Kilka dni temu przeniosłam go tutaj z poprzedniej skrytki. Cały czas mi niedobrze, lecz chociaż męczą mną torsję, nie mam już czym wymiotować.

Telefon cichnie, ale po chwili znow zaczyna brzęczeć. To niepodobne do Julii, by tak wydzwaniać, jeśli nie odbiorę. Zawsze czekała, aż oddzwonię. Wie, że Jericho może w każdej chwili wpaść do domu, a jak przyłapie mnie z komórką, to z pewnością mi ją zabierze.

Po kolejnym ataku torsji doczołguję się do szafki i grzebię w niej w poszukiwaniu telefonu. Kiedy w końcu udaje mi się go znaleźć i usiąść z plecami opartymi o wannę, po raz

kolejny zaczyna wibrować, więc przesuwam palcem po ekranie.

– Cześć – witam się z kuzynką. – Przepraszam, nie czuję się najlepiej. Czy mo...

– Wydzwaniam do ciebie od kilku godzin! – przerywa mi. – Isabelle, mamy problem.

Jej głos brzmi dziwnie, jakby była zmartwiona albo podenerwowana.

– Co się dzieje? Chodzi o Matty’ego?

Słyszę, jak ktoś wchodzi do sypialni, a chwilę później bezskutecznie próbuje otworzyć drzwi do łazienki.

– Isabelle?

To Jericho.

– Chwileczkę! – krzyczę spanikowana. – Muszę kończyć – szepczę do telefonu.

– Czekaj!

Znów czuję, jak żołądek kurczy się spazmatycznie. Mąż dobija się do drzwi i szarpie za klamkę.

– Lekarz przyjechał.

– Będę rzygać – mówię Julii.

Zanim odsuwam telefon od ucha i przenoszę uwagę na sedes, słyszę jeszcze jak kuzynka rzuca:

– Znalazłam je. Nie bierzesz...

Wymiotuję. W wodzie na dnie muszli lądują kolejne kawałki niestrawionej grzanki. Zjadłam ledwie parę gryzów, skąd tyle się tego bierze? W ustach mam obrzydliwy smak. Czuję się pusta i pozbawiona energii.

– Isabelle, otwieraj.

W odpowiedzi puszczam kolejnego pawia. W przerwie między torsjami przykładam telefon do ucha.

– Muszę kończyć. Zadzwoń, jak tylko będę mogła.

– Posłuchaj. Znalazłam twoje pigułki. Są tutaj. Zapas na trzy miesiące. Zostały w domu.

– O czym ty mówisz?

– O twoich tabletkach antykoncepcyjnych, Isabelle.

– Wchodzę! – krzyczy Jericho.

– Nie, Julio, ma je tutaj i biorę codziennie. O Boże...

Przytrzymuję się brzegu muszli i pochylam nad nią. Odnoszę wrażenie, jakby ktoś wyrócił mi żołądek na lewą stronę. Przy akompaniamencie wymiotów słyszę dobiegający ze słuchawki spanikowany głos kuzynki i przypominam sobie, jak pierwszego dnia pobytu w rezydencji St. Jamesów, wyciągając blister tabletek z niewielkiego, wściekle różowego opakowania i wyciskając jedną na dłoń, rzeczywiście przemknęło mi przez głowę, że wyglądają odrobinę inaczej. A potem, w tygodniu, w którym powinnam dostać okresu, prawie nie krwawiłam. Ledwie kilka kropel. Winę zvaliłam na stres.

Torsje ustają. Siadam i zaczynam liczyć. Mój mózg ledwie rejestruje dźwięki otwieranego zamka i naciskanej klamki.

„To nie może dziać się naprawdę. Nie! Boże, błagam!”

– Julia?

Dokładnie w tym momencie długie palce zamykają się wokół mojej dłoni. Podnoszę głowę i widzę rozmazaną sylwetkę Jericha. Przez wymioty mam załzawione oczy. Przez wymioty i manipulację, która właśnie wyszła na jaw.

Mąż wpatruje się we mnie surowym, wściekłym wzrokiem. Czoło ma zmarszczone, oczy płoną mu wewnętrznym ogniem. Wyciąga mi telefon z ręki, rzuca przelotne spojrzenie na ekran i rozłącza rozmowę, przerywając Julii w pół słowa. Na koniec chowa komórkę do kieszeni.

– Coś ty zrobił?!

Czołgam się jak najdalej od niego, aż natrafiam plecami na wannę. Wciąż jestem naga, więc zrobiło mi się zimno i trzęsę się, chociaż jednocześnie pot spływa mi po plecach.

– Coś ty, do cholery, zrobił?! – drę się ile sił w płucach.

I nie jest to pytanie. To oskarżenie, które rzucam mu prosto w twarz. A kiedy kolejny atak torsji sprawia, że zginam się wpół, już nie mam wątpliwości, co je wywołuje. Wiem, dlaczego ciągle mi niedobrze. Dlaczego nie mogę utrzymać w żołądku żadnego jedzenia, a moje ulubione potrawy powodują odruch wymiotny.

Jestem w ciąży. Jestem w ciąży z Jerichem St. Jamesem.





## **PODZIĘKOWANIA**

Dziękuję Wam za przeczytanie Pionka diabła. Mam nadzieję, że spodobała Wam się historia Isabelle i Jericha. Jej zakończenie znajdziecie w książce Odkupienie diabła.

## **O AUTORCE**

Natasha Knight jest bestsellerową autorką powieści z gatunku romantic suspense i darków z list USA Today. Sprzedała ponad pół miliona książek, które przetłumaczono na sześć języków. Obecnie mieszka w Holandii z mężem i dwiema córkami. Kiedy nie pisze, spaceruje po lesie, słuchając audiobooków, siada w kącie z książką albo zwiedza świat tak często, jak tylko może oderwać się od obowiązków.

Napisz do Natashy na adres: [natasha@natasha-knight.com](mailto:natasha@natasha-knight.com)

[www.natasha-knight.com](http://www.natasha-knight.com)

## **Inne książki autorki wydane w Papierówce**

### **SERIA BRACIA BENEDETTI**

1. Salvatore
2. Dominic
3. Sergio
4. Killian
5. Giovanni

### **SERIA SOCJETA (w duecie z A. Zavarelli)**

1. Requiem duszy
2. Odkupienie grzechu
3. Odrodzenie serca – w przygotowaniu

